



DEBORAH
MOGGACH
*Przemilczane
tajemnice*



DEBORAH
MOGGACH

*Przemilczane
tajemnice*

Przełożyła
MAJA JUSTYNA



DOM WYDAWNICZY REBIS

Lyrze, Kitowi i Meridzie,

z wyrazami miłości

Prolog

Oreya, Afryka Zachodnia

Ernestine była wysoką, dobrze zbudowaną kobietą, która nosiła na głowie cały sklep kosmetyczny. W ciężkiej, wypełnionej po brzegi drewnianej skrzynce otwieranej od przodu mieściło się wszystko to, co mogło się przydać kobiecie, która pragnęła być obiektem pożądania. Znajdowały się w niej kremy do twarzy, przybory do włosów, mydło, kosmetyki do makijażu, preparaty do rozjaśniania skóry, odżywki, różne żele, maszynki do golenia, pianka do depilacji, spinki i ozdoby do włosów, perfumy i balsamy do ciała. Ernestine sprzedawała te artykuły w okolicznych wioskach, do których docierała, przemierzając ścieżki w zakurzonych japonkach. Zatrzymywała się przy szkołach, czekała na nastolatki wychodzące po lekcjach, a potem podążała na skrzyżowanie dróg, gdzie w każdy czwartek z autobusów wysiadały kobiety wracające z targu.

Ernestine, chociaż pracowała w branży kosmetycznej, nie miała w sobie ani odrobiny próżności. Co prawda w jej domu na półce stało małe, popękane lustro, ale z braku czasu rzadko w nie spoglądała. Poza tym po zmroku było już za ciemno, żeby cokolwiek w nim zobaczyć, a nie mieli elektryczności. Zresztą mężowi podobała się taka, jaka jest.

Przynajmniej tak się jej wydawało.

Kwomi był dobrym i pracowitym człowiekiem; pobożnym, przykładnym parafianinem – podobnie jak ona parafianką – i oddanym ojcem dla ich dzieci. W przeciwieństwie do wielu, bardzo wielu mężczyzn nigdy nie zbłądził. Nie zdarzyło się, żeby kiedykolwiek przejawiał choć najmniejsze zainteresowanie inną kobietą. Żyli w związku małżeńskim od siedemnastu lat i ani razu nie pożałowała, że opuściła swój rodzinny dom na północy, położony nad wielkim jeziorem z zatopionymi w nim drzewami, które zagarnęła woda, gdy zbudowano zaporę. Młodszy bracia Ernestine pływali po tym podwodnym lesie i rozplątywali pozaczepiane na gałęziach sieci, zarabiając w ten sposób parę groszy. Z rozrzewnieniem wspominała tamto jezioro, słońce znikające w jego toni i ryby, które śmigały w głębinie między pniami drzew. Nie chciała jednak wracać do dzieciństwa. Teraz miała własne dzieci, kochała je i one ją darzyły miłością – Bogu niech będą dzięki – a Kwomi był dobrym mężem. W każdym razie tak uważała.

W przeddzień zdarzenia, czyli w środę wieczorem, Grace wróciła do domu późno. Najstarsza córka Ernestine, pilna i pracowita szesnastolatka, wyglądem przypominała matkę. Była wysoka, grubokoścista i miała silnie zarysowaną żuchwę. Nosiła okulary, zza których wyniosłym wzrokiem spoglądała na świat.

Uczyła się bardzo dobrze. Wieczorami, kiedy wieś pogrążała się w ciemności, Grace odrabiała pracę domową w mdłym świetle żarówki, która jarzyła się na straganie ze smażonymi rybami przy głównej drodze. Różni ludzie zatrzymywali się tam, żeby poplotkować z jej ciotką, właścicielką straganu, ale Grace zawsze przemykała obok ze spuszczoną głową, nie wykazując najmniejszego zainteresowania plotkami, ponieważ twardo postawiła sobie nieodwołalny cel: zdać egzaminy i dostać się na studia. Nie dla niej były dziewczęce chichoty w szkole, ukradkowe szeptanki na temat chłopców i szminek. Grace takie rzeczy miała za nic i tyle. Niedawno została wybrana na przewodniczącą zespołu do spraw programu na rzecz abstynencji z hasłem przewodnim „Po prostu powiedz NIE”. Wygłaszała pogadanki dla nastoletnich koleżanek i kolegów o zagrożeniach wynikających z przedmałżeńskiego seksu i destrukcyjnym wpływie wczesnego rodzicielstwa na marzenia o przyszłej karierze. Intonowała piosenkę „Chłopcy, chłopcy, chłopcy, szanujcie dziewczyny, dziewczyny, dziewczyny” i wiodła prym podczas zbiorowego śpiewu; zachęcała swoich rówieśników do stosowania różnych metod radzenia sobie z cielesnymi pokusami, na przykład do intensywnego uprawiania sportu albo czytania pouczających broszurek.

Ogólnie rzecz ujmując, Grace była godną podziwu młodą osobą. Ernestine rozpierała duma – czyż mogło być inaczej? Czasami jednak niepokoiło ją postępowanie córki, a zarazem martwiła się o tę dziewczynę, która niezłomnie trwała przy swoich bezkompromisowych osądach, nawet w obliczu poważnych życiowych komplikacji. Co więcej, Grace nie należała do osób łatwych we współżyciu; niedawno zaczęła zachowywać się tak, jakby członkowie jej własnej rodziny, nawet bracia i siostry, popadli w niełaskę i powiększyli grono grzeszników.

Tamtego wieczoru była wyjątkowo rozdrażniona i zrobiła awanturę babci, która zapomniała wyprać jej koszulkę piłkarską. Następnego dnia miał się odbyć mecz z drużyną szkoły średniej z Oreyi. Grace wpadła jak burza do pokoju, który dzieliła z siostrami. Ernestine myślała, że powodem irytacji córki jest wyłączenie prądu, wskutek którego w ciemności pogrążył się nawet stragan z rybami. Nie dociekała jednak, ponieważ po pierwsze, nie należała do wścibskich matek, a po drugie w rodzinie tak licznej jak jej nietrudno było o awanturę, zwłaszcza między dziewczętami. Chłopcy swoje spory zwykle rozstrzygali w bójkach.

Nie ulega wątpliwości, że napełnianie dzień po dniu ośmiu brzuchów wymagało nie lada wysiłku, ale Pan Bóg obdarzył ich zdrowiem i mimo trosk mieli wiele powodów do wdzięczności. Wśród klientek Ernestine było niemało kobiet, które z ogromnym trudem samodzielnie utrzymywały swoje rodziny, ponieważ ich mężowie albo pracowali z dala od domu, albo już poumierali, albo odeszli i oddawali się swawolom z innymi kobietami. Jeden z nich na przykład, czterdziestotrzyletni, wziął sobie – aż trudno uwierzyć – siedemnastoletnią

dziewczynę za drugą żonę, porzucił dzieci i przeniósł się do Nigerii.

Z całą pewnością Ernestine się poszczęściło, że ma Kwomiego za męża.

Następny dzień, czwartek, był w Oreyi dniem targowym.

Kwomi jeździł tam co tydzień sprzedawać rajskie banany i ananasy wyhodowane na własnej ziemi. Tym razem towarzyszyła mu Ernestine, ponieważ musiała uzupełnić zapasy artykułów kosmetycznych.

W dzień targowy w mieście panował wzmożony ruch autobusów, ciężarówek i furgonetek załadowanych workami pełnymi towarów. Wszędzie tłoczyli się obwoźni handlarze, którzy sprzedawali chrupki, banany, Biblię, smażone przekąski, napoje gazowane, podkoszulki z napisem „Arsenal”, wszystko, co tylko można sobie wyobrazić. Ernestine dostrzegła Mustafę, małego synka swojej sąsiadki, który na pochylonej pod ciężarem głowie dźwigał plastikową miskę pełną torebek z wodą; podawał je ludziom wyciągającym do niego rękę. Krztusił się gęstym dymem spalin, ponieważ cierpiał na astmę, a jego matka nie mogła sobie pozwolić na lekarstwo dla niego ani nie było jej stać na posyłanie go do szkoły. Wcześniej owdowiała, biedaczka. Ernestine żał było chłopca i znów dziękowała losowi, że jej dzieci znają alfabet i mają ojca, który opiekuje się nimi i śpiewa pobożne pieśni, stojąc przy nich w kościele.

Kwomi, zanim zniknął w tłumie na placu targowym, zaniósł swój telefon komórkowy do budki ze stanowiskiem do ładowania. Co tydzień zostawiał go tam i odbierał po południu, przed powrotem do domu. Właściciel budki, Asaf, siedział za kontuarem, na którym w rzędach leżało wiele telefonów. Ernestine nie widziała, żeby kiedykolwiek ruszył się ze swego miejsca. Miał przenikliwe oczy i nigdy nic nie uszło jego uwagi. Było w nim jednak coś, co wzbudzało niepokój. Czuła, że nie spuszcza z niej wzroku, gdy torując sobie drogę, podążała w kierunku sklepu z szyldem „Bóg jest dobry. Kosmetyki”, znajdującego się po przeciwnej stronie ulicy.

Ernestine lubiła odwiedzać Lily, właścicielkę sklepu.

Siadały razem na zapleczu pod obracającymi się z szumem łopatkami zawieszonym pod sufitem wentylatora, popijały fantę i plotkowały. Lily opowiadała o ostatnich skandalach, o tym, który mąż uciekł od żony, czym córkom przytrafiła się ciąża. Tamtego dnia Ernestine dowiedziała się o dwóch małych dziewczynkach, które miały podstępnie zostać poddane *dipo*, obrzędowi inicjacji, ale uciekły. Wskoczyły do furgonetki i ukryły się wśród pasażerów. Ernestine była zachwycona; miejskie tragedie wydawały się o wiele bardziej ekscytujące niż te, które zdarzały się w jej sennej wiosce. Nie podejrzewała, że po drugiej stronie drogi zaczyna rodzić się dramat.

U schyłku dnia targ powoli dobiegał końca. Mąż Ernestine był wciąż zajęty, więc poszła odebrać jego telefon. Asaf wahał się przez chwilę, zanim jej go oddał.

– Muszę pani coś powiedzieć – odezwał się do niej zachrypniętym głosem.

Poczuła od niego woń alkoholu.

– Nic przyjemnego, ale uważam, że mam taki obowiązek. – Spojrzał ze smutkiem na telefon, który trzymał w dłoni. – Widzi pani, cały czas tutaj siedzę. Siedzę i patrzę. Wiem, co się dzieje, bo mam to. – Podniósł telefon i pomachał nim w powietrzu. – Sprawa dotyczy pani męża i pewnej kobiety.

Spojrzał na nią, czekając na jej reakcję. Milczała.

Podał jej aparat.

– Zabrzącał podczas ładowania, to znaczy, że przyszła wiadomość – powiedział Asaf i unióśł brwi. – Od razu pomyślałem o pani.

– O co panu chodzi? – zapytała cicho.

– O co mi chodzi, droga pani? O to, że nacisnąłem klawisz i odsłuchałem wiadomość, która miała charakter bardzo osobisty. Proszę mnie nazwać draniem. Owszem, jestem nim. Ale co się stało, to się nie odstanie. Uważam, że powinna pani wiedzieć.

Ernestine stała w autobusie przyciśnięta do męża. Nie mogła mówić; czuła, że brakuje jej powietrza w płucach. Kwomi również się nie odzywał, ale on z natury był małowówny. Mimo to jego dzisiejsze milczenie wydawało się wyraźnie obciążone winą. Stała tak blisko niego, że czuła jego wystające kości biodrowe, ale teraz to był dotyk ciała obcej osoby. Miała przytępiony umysł, była oszołomiona wstrząsem, którego doznała. Uporczywie cisnęły się w jej głowie kolejne pytania, jedno po drugim. Jak on mógł zrobić coś takiego? Jak długo to trwa? Jak często się zdarza? Jak mógł oszukać ją i własne dzieci? Jak mógł to zrobić?

Ta kobieta miała na imię Adwoa. Ernestine dobrze ją znała. Adwoa Shaibu-Ali zaliczała się do jej najlepszych klientek. Mieszkała na drugim końcu wsi. Była postawną, urodziwą i leniwą kobietą z gromadką niepiśmiennych dzieci. Dziewczynki trzymała w domu i zmuszała do opieki nad młodszym rodzeństwem, które przychodziło na świat w regularnych odstępach czasu; i do prac domowych, ponieważ jej samej nie chciało się tym zajmować. Jej chudy, podstarzały mąż pracował bez słowa skargi, żeby miała wszystko, do czego przywykła – nowy makijaż, nowe ubrania, comiesięczną wizytę u fryzjera w Oreyi. Bardzo niewiele miejscowych kobiet mogło sobie pozwolić na fryzjera, więc owijały głowy chustkami, Adwoa natomiast zawsze miała lśniące włosy, ładnie podkrecone, uczesane „na boba” i ozdobione licznymi przypinkami ze skrzynki Ernestine. Większą część dnia Adwoa spędzała na pogawędkach z sąsiadkami, przeglądaniu kolorowych czasopism, z krótką przerwą na skarcenie kłapsem któregoś z dzieci, oraz na pisaniu i wysyłaniu wiadomości z telefonu komórkowego. Ciągle była zajęta pisaniem wiadomości.

Słońce chyliło się ku zachodowi, gdy Ernestine wróciła do domu.

Zwykle była to jej ulubiona pora dnia. Śpiące na drzewach nietoperze budziły się i odłączały od grupy, w której spały, przyczepione do gałęzi jak ciężkie kiście owoców; kolejno wlatywały w niebo przesycone gasnącym światłem dnia. Dzisiaj wyglądały złowrogo z tymi swoimi skórzastymi skrzydłami i małymi, ostrymi ząbkami. Cały świat stanął na głowie. Ernestine czuła się tak, jakby wpadła głową do jeziora pamiętanego z dzieciństwa, znalazła się pod nieruchomą powierzchnią wody, w obcym świecie, a on okazał się zniekształconym odbiciem tego, który naiwnie uznawała za własny.

Wciąż jeszcze było gorąco i duszno. Przyglądała się Kwomiemu, który mył się w misce. Był rozebrany do pasa, z włosów kapą mu woda. Nie zaliczał się do przystojnych mężczyzn, miał zbyt duży nos, odstające uszy, ale należał do niej, byli małżeństwem przez połowę jej życia. Obok niego niczego niepodejrzewająca Grace mieszała *banku* nad ogniem. Wyglądała na taką spokojną, niewinną. Matka Kwomiego kroїła cebulę. Ta wiekowa i wątła kobieta kochała syna bezgraniczną miłością. Co się stanie z ich rodziną, która jeszcze kilka godzin temu wydawała się taka szczęśliwa?

Nastał wieczór. Nikt nie zwrócił uwagi na milczenie Ernestine; nigdy nie była rozmowna. Poruszała się po domu półprzytomna, głosy członków rodziny docierały do niej z oddali jak echo. Czuła się bardziej rozżalona niż rozgniewana – zraniona i głęboko dotknięta, że jej mąż nie okazał się ani trochę lepszy od tych rozpustników, których żonom tak bardzo współczuła. Jakże była zaślepiona! W łóżku leżała sztywno obok niego, a gdy poczuła jego rękę na piersi, mruknęła, że jest zmęczona, i odepchnęła go od siebie.

Wkrótce zasnął, a ona spędziła wiele bezsennych godzin, nie mogąc powstrzymać natłoku myśli. Co ma teraz zrobić? Powiedzieć mu, że wie o jego schadzkach z Adwoą? Wyrzucić go z domu? Ta perspektywa przyprawiała ją o gwałtowne bicie serca. Obok spali jej najmłodszy chłopcy, bliźniacy. Co poczyna bez ojca? Co robi Grace, młodziutka, dopiero rozkwitająca kobieta u progu życia, niewinna i niesłychanie ambitna? Jak się zachowa, kiedy się dowie, że ma ojca rozpustnika?

Następnego dnia Ernestine poszła na comiesięczne spotkanie kobiet należących do kasy oszczędności. Zwykle chętnie brała w nich udział. Między dwunastoma uczestniczkami tej inicjatywy wytworzyła się więź oparta na wzajemnym zaufaniu, dzieliły się doświadczeniami w sprawach finansowych. Poza tym można było nadrobić zaległości i zebrać najbardziej aktualne wiadomości. Ernestine była dumna z siebie, że potrafiła co miesiąc zaoszczędzić trochę pieniędzy i zgromadzić kwotę potrzebną na rozpoczęcie własnej działalności; że jej, jako cieszącej się ogólnym szacunkiem członkini tej wspólnoty, został powierzony jeden z kluczy do skarbonki. Tego dnia jednak czuła się wyjątkowo nieswojo. Gdy siedziały pod drzewami, spoglądała na twarze otaczających ją

kobiet. Czy któraś z nich wie? Czy cała wieś już wie i wszyscy mieszkańcy szepczą za jej plecami? Czy sama wkrótce podzieli los Dede, owdowiałej matki małego Mustafy, która sprzedaje wodę i żyje w takiej nędzy, że może wpłacać tylko jedno ledi na miesiąc, i którą inne kobiety często wyciągają z kłopotów finansowych, a ona tak bardzo się wstydzi, że chciałaby się zapaść pod ziemię?

Adwoa nie należała do ich klubu; racjonalnym gospodarowaniem nie zaprzętała sobie głowy. Była kobietą energiczną i bezwzględną, wysyłała męża do pracy, a sama siedziała w domu na swoim wielkim tyłku i nagrywała wiadomości na pocztę głosowej męża Ernestine. Ernestine zastanawiała się, co teraz robi Adwoa – stroi się na schadzke z Kwomim? Wciera w skórę masło shea marki Imam i maluje usta przedniej jakości błyszczkiem Yana, który kupiła w ubiegłym tygodniu, żeby namiętniej się z nim całować? Ernestine czuła mdłości. Skrawek ziemi Kwomiego znajdował się niedaleko domu Adwoi. Czy to tam się spotkają pod osłoną krzewów manioku? Ernestine nie odsłuchiwała wiadomości; Asaf ją skasował, żeby oszczędzić jej upokorzenia. Ale chciała wiedzieć, jak bardzo Adwoa tęskni za mężczyzną, który jest mężem Ernestine, czy tak bardzo pragnie znów się z nim zobaczyć, że nie może się doczekać spotkania z Kwomim. Mężem Ernestine.

Ernestine pomyślała o najmłodszym dziecku Adwoi, które ma duży nos, taki sam jak Kwomi.

– Jesteś gotowa?

Wyrwana z zadumy aż podskoczyła. Pozostałe posiadaczki kluczy już na nią czekały.

Podeszła do nich i w trójkę otworzyły kłódki. Razem odśpiewały pieśń, skupione wokół blaszanego pudełka, i zabrały się do pracy. Dede, której mąż zmarł na AIDS, zbierała na niewielką działkę pod uprawę kukurydzy. Humu oszczędzała na naukę w szkole. Na ten cel odkładała część pieniędzy zarobionych na prowadzeniu straganu z artykułami spożywczymi. Z kolei Lydia – na piekarnię herbatników. Ernestine rozglądała się dookoła – obserwowała cętkowane cienie, kurczaki grzebiące w pylistej ziemi, dzieci, które przebiegają od jednej do drugiej kobiety sprzedającej słodycze i plantanowe chipsy. Sekret jej ciążył, przytłaczał ją. Miała wielką ochotę komuś się zwierzyć.

Rozległy się głośne śmiechy. Nancy i Irene siedziały razem, wspólnie żartowały. Miały też wspólnego męża, Yawo. Dwa lata temu, kiedy wziął sobie młodą Irene za drugą żonę, rozpętało się istne piekło, ale pogodził je klub oszczędności. Wcześniej obie kobiety żyły bardzo skromnie ze sprzedaży manioku, który pracowicie siekały ręcznie, a za mielenie płaciły pośrednikowi. Potem zgromadziły w blaszanym pudełku pieniądze na zakup maszynki do mielenia manioku i teraz pracowały razem, żartując przy jej terkocie na temat sprawności seksualnej Yawo i jego żalonych przechwałek. Czy Ernestine potrafiłaby sobie

wyobrazić dzielenie się mężem z inną kobietą?

Na samą myśl ogarnęła ją odraza. Wolałaby umrzeć.

Później, już w domu, przyglądała się odbiciu swojej twarzy w lustrze, bezbarwnej i z mocno zarysowaną, kwadratową szczęką. Nigdy nie nosiła makijażu. Być może powinna użyć kilku kosmetyków ze swoich zapasów, żeby zwrócić na siebie uwagę Kwomiego i zachęcić go do powrotu. Mogłaby wyregulować sobie brwi i rozjaśnić skórę rozświetlaczem. Mogłaby skropić się perfumami o zapachu jaśminu i użyć zestawu do makijażu Côte d'Azur, który zawierał szczoteczki i pędzelki, nanieść cienie na powieki i pomalować usta. Może wtedy zdołałaby odzyskać jego miłość.

Albo mogłaby odwiedzić Giti, czarownicę. Wszyscy się jej bali. Mieszkała sama za meczetem, a słynęła z tego, że potrafi rzucić zły urok. Nie tak dawno, bo w ubiegłym tygodniu, znaleziono przed jej drzwiami kurczaka bez głowy. Giti mogłaby rzucić klątwę na jeden z kremów, które sprzedaje Ernestine. Wtedy Adwoa, która zapewne chętnie go kupi, dostałaby na twarzy czyraków i Kwomi uciekłby od niej z przerażeniem.

Co jeszcze mogłaby zrobić Ernestine? Na przykład pójść do kościoła i się pomodlić. Albo wtargnąć jak burza do domu Adwoi i nakrzyczeć, żeby ta odczepiła się od jej męża. Mogłaby ostatecznie rozmówić się z Kwomim.

Może też nie robić nic i mieć nadzieję, że cała sprawa sama się rozwiąże.

Ernestine nie należała do odważnych, więc nic nie zrobiła. Słońce skryło się za drzewami. Nietoperze nagle zerwały się i odleciały. Pozamiatała podłogę i pomogła teściowej umyć głowę. Rozdzieliła szarpiących się synów. Ze szkoły wróciły jej starsze dzieci. Przyrządziła im ryż zapiekany z sosem z czerwonym pieprzem. Mąż przyszedł z pola do domu i położył telefon komórkowy na półce, tam gdzie zwykle. Wróciła też Grace z książkami pod pachą. Córka nie powiedziała ani słowa. Ernestine zauważyła, że Grace przygląda się jej i Kwomiemu z dziwną miną. Czyżby wiedziała, że coś się wydarzyło?

Mijały dni. Ernestine wędrowała po okolicy i sprzedawała kosmetyki, ale omijała dom Adwoi; nie mogła znieść myśli o spotkaniu z tą kobietą. W środe drużyna dziewcząt rozgrywała mecz piłki nożnej i Ernestine, krążąc wśród widzów, sprzedała sporo specyfików. Grace wycofała się z meczu, tłumacząc się złym samopoczuciem. Nigdzie nie udało się jej znaleźć, nie było jej też w domu, kiedy Ernestine do niego wróciła. Wtedy niczego nie podejrzewała, uznając, że Grace ma miesiączkę; poza tym tak wiele innych spraw zaprzętało jej głowę.

Następnego ranka, z zamiarem uzupełnienia zapasów, wstała wcześniej, żeby pojechać z mężem do Oreyi. Trudno jej było uwierzyć, że minął zaledwie tydzień od ostatniej wizyty w mieście.

Słońce wschodziło, gdy wsiadali do autobusu. Już ruszył i zaczął wyjeżdżać na drogę, gdy nagle ktoś krzyknął:

– Zaczekaj!

Ernestine wyjrzała przez okno. W ich stronę kuśtykała Adwoa. Jedną ręką podtrzymywała długą, obcisłą spódnicę, a drugą machała do kierowcy autobusu, dając mu znaki, żeby się zatrzymał.

Adwoa wcisnęła się na siedzenie za nimi. Miała na sobie pomarańczowo-zielony batikowy kostium, a we włosach ozdobną spinkę w kształcie gardenii, kupioną od Ernestine. Była cała spocona z wysiłku, do którego nie nawykła.

Ernestine zamarła. Rozpustnica uprzejmie przywitała się z Kwomim w taki sposób, jakby ledwie go znała – skinęła mu tylko głową, tak samo jak innym osobom ze wsi. Miała rozmazany tusz, ciężko dyszała.

Pochyliła się do Ernestine.

– Chyba pęknę ze złości, moja droga – mruknęła. – Zaraz się rozprawię z tym moim braciszkiem, nikczemnym pijaczną.

Ernestine czuła zamęt w głowie. Zerknęła na męża, ale autobus już jechał, a on najwyraźniej drzemał. Dla zachowania pozorów oczywiście.

Adwoa nie przestawała trajkotać. Wyglądało na to, że w jej rodzinie powstał spór w związku z testamentem.

– ...zostawił mu kawałek ziemi, ale on nie może jej przecież uprawiać, pokurcz i szubrawiec!

Jej słowa dobiegały jakby z daleka. Umysł Ernestine zajęty był zupełnie czymś innym. Zastanawiała się, czy to ma być wcześniej umówiona schadzka jej męża z Adwoą. Ernestine nie miała zwyczaju jeździć do Oreyi tydzień po tygodniu. Tych dwoje rozpustników z całą pewnością toczy sprytną grę; Kwomi, udając, że śpi, a jego kochanka, zajmując Ernestine zupełnie niezrozumiałą opowieścią o jakimś kalece pijaku.

Dotarli do miasta i Adwoa od razu zaczęła się przepychać na przód autobusu. Ernestine obserwowała ją, dużą i jarmarcznie kolorową, jak przedziera się przez tłum i podąża w kierunku budki, w której zostawiało się telefony do ładowania.

Stała teraz przy niej i krzyczała na Asafa, właściciela budki, mężczyznę, który nigdy się stamtąd nie ruszał i, jak się okazało, był jej bratem.

Ludzie mówili, że to z woli bożej Asaf urodził się kaleką. Mówili, że stało się tak z powodu klątwy ciążyącej na jego rodzinie. Mówili też, że po prostu spotkało go nieszczęście. Niektórzy okazywali Asafowi życzliwość, inni mu dokuczali. Na ogół jednak nie zwracali na niego uwagi. Kiedy był dzieckiem, zebrał na skrzyżowaniu za Oreyą, przy ruchliwej drodze prowadzącej z Assenongi, wielkiego miasta na północy. Każdego dnia któreś z jego rodzeństwa, brat albo siostra, pchało go na wózku po pasie rozdzielającym drogi szybkiego ruchu

i zostawiało przy sygnalizatorze świetlnym. Siedział tam godzinami na podkurczonych pod siebie bezwładnych nogach. Było to doskonałe miejsce dla osób poszkodowanych przez los. Nawet dochodziło między nimi do sporów i przepychanek o najlepsze stanowisko.

Najgwałtowniejsze kłótnie wybuchały między nim a jego siostrą Adwoą, która przez całe dzieciństwo dokuczała mu i z niego drwiła. To Adwoa kradła mu słodycze i uciekała na silnych, zdrowych nogach. To ona ośmieszała go przed dziewczynami. Nikt inny tylko ona zostawiała go na wózku na deszczu, a sama znikwała w krzakach z eleganckimi absztyfikantami. Ona zabierała mu pieniądze i z szyderym uśmiechem wołała, żeby przyszedł i je sobie wziął. Teraz Adwoa próbuje odebrać mu poletko manioku, które w testamencie zapisał mu ojciec.

Człowiek niepełnosprawny musi wypracować sobie metody na przetrwanie inne niż zdrowy. Przez lata Asaf nauczył się przebiegłości. Oczywiście, że był zgorzkniały – jak mogło być inaczej? Miał jednak swój rozum. Każdego dnia ze swego stoiska obserwował ludzi, którzy przychodzą i odchodzą, zajętych własnymi codziennymi sprawami, obdarzonych dziećmi; ludzi, dla których nie ma nic nadzwyczajnego w tym, że mogą się swobodnie przemieszczać z miejsca na miejsce, tańczyć, uprawiać seks.

Asaf natomiast miał tylko telefony komórkowe, ułożone rzędami przed sobą na stole, podłączone do prądu i ładujące się w ciszy. Gdy się z niej budziły, piszczały, ćwierkały albo śpiewały. W nich drzemała moc, którą posiadał i z której korzystał: mógł załagodzić zadawniony spór, odpłacić się swoim prześladowcom... wyrządzić krzywdę.

Dopiero wiele tygodni później Ernestine poznała prawdę. Okazało się, że Asaf skłamał, że nikt nie nagrał żadnej wiadomości w poczcie głosowej telefonu jej męża. Dowiedziała się, że Asaf chciał się zemścić na siostrze. Dlaczego posłużył się Ernestine i jej mężem, osobami, które cieszą się szacunkiem, ciężko pracują i są kochającymi się małżonkami? Czy kiedykolwiek zrobili mu coś złego?

Nie potrafiła zrozumieć, ponieważ była kobietą pozbawioną próżności. W ogóle nie przyszło jej do głowy, że jej surowa, prosta powierzchowność mogła rozpalić w Asafie głębokie uczucie i wzbudzić zazdrość o jej małżeństwo. Piękno utożsamiała z produktami, które sprzedawała, w żadnym razie nie uznawała go za swój walor.

Wkrótce cała ta sprawa poszła w zapomnienie. Kilka dni później córka Ernestine, Grace, która od pewnego czasu tak dziwnie się zachowywała, odciągnęła matkę na bok i wyznała jej, że jest w ciąży. Wyszło na jaw, że ojcem dziecka jest taksówkarz, który zatrzymywał się przy straganie ciotki i pożywiał smażonymi rybami. Obiecał ożenić się z Grace, ale od tamtej pory nikt go nie widział.

Biedna Grace, była taka zasadnicza i nieprzejednana... a tymczasem okazało

się, że jej słowa nie znajdowały pokrycia w czynach.

Część pierwsza

Pimlico, Londyn

Opowiem, jak się skończyło ostatnim razem. Oglądałam wiadomości i jadłam kolację przygotowaną na tacy. Relacja dotyczyła wybuchu metanu w hrabstwie Lincolnshire. W powietrze wyleciała obora z krowami. Zginęło wiele zwierząt, a oborowy tylko odniósł rany. Dla niego był to najwyraźniej szczęśliwy zbieg okoliczności.

Brakowało mi kogoś, z kim mogłabym wymienić żartobliwe uwagi na temat tego zdarzenia. Powydziać i z pożałowaniem pokręcić głową nad niedorzecznym wymysłem, jakim jest hodowla przemysłowa. Wspólnie wypić butelkę wina, którą powoli opróżniałam sama. Zastanawiałam się, czy Alan kiedykolwiek wprowadziłby się do mnie. Trudno mi było to sobie wyobrazić. Co on sądzi o hodowli przemysłowej? Nie mam zielonego pojęcia.

Właśnie wtedy nagle go zobaczyłam. Pojawił się na ekranie. Reporter stał przed terminalem pociągów Eurostar i podawał informację o wypadku w tunelu. Za jego plecami przemierzali się podróżni i wśród nich pokazał się Alan.

Był z kobietą. Po chwili zniknął. *Jadę do Somerset odwiedzić brata. Uważaj na siebie. Kocham cię. Do zobaczenia we wtorek.*

Tylko mi przemknął przed oczami, więc sprawdziłam później na kanale iPlayer. Tam ponownie obejrzałam wiadomości i zatrzymałam relację w odpowiednim miejscu. Alan odwrócił się do tej kobiety, poruszał ustami, coś do niej mówił. Była młoda, nie muszę dodawać, że o wiele młodsza ode mnie. Miała na sobie czerwoną, ocieplaną kurtkę. Tandetną podróbkę, taką w jego stylu. On stał ze spokojną miną, uniósł brwi. Zaraz potem wtopili się w tłum podróżnych.

Widzimy się we wtorek. Myślę, że do końca tygodnia uporam się z tynkowaniem.

Nie warto wypinać się na czyjaś pomoc. Kiedy się kończy, a tak zazwyczaj się dzieje, okazuje się, że człowiek zostaje sam z na wpół otynkowaną ścianą, z której zwisają przewody przypominające wnętrzości, i ze stertą gruzu w kącie. Na dodatek Alan przywłaszczył sobie moją wiertarkę.

Przed nim i przed innymi byłam mężatką. Mam dwoje dorosłych dzieci, ale jedno mieszka w Melbourne, a drugie w Seattle; wyjechały byle dalej stąd. Oczywiście rany się zabiły, ale tęsknota za nimi sprawia mi fizyczny ból; mam tylko nadzieję, że one o tym nie wiedzą. Niedostatek jest jeszcze mniej atrakcyjny w późnym wieku niż w latach młodości. Ich ojciec już dawno ponownie się ożenił. Ma pracującą w korporacji japońską żonę, która uważa mnie za pomyloną ekscentryczkę; znerwicowaną histeryczkę u progu alkoholizmu, która tylko oczekuje pomocy. Odczytuję, co myśli, z falującego ruchu jej lśniących, czarnych włosów. Swoje beznadziejne życie uczuciowe z oczywistych powodów zachowuję

dla siebie.

Zastanawiam się nad kupnem psa. Patrzyłby na mnie wilgotnymi oczami z bezwarunkową miłością. Do niej tęsknią samotne kobiety po sześćdziesiątce. Odeszłabym z tego świata, trzymając w ramionach cocker spaniela; co mi tam, innych śmierć spotyka w o wiele gorszych okolicznościach.

Minęły trzy miesiące i Alan stał się odległym upokorzeniem. Muszę znaleźć innego fachowca, który dokończy prace na dole, żebym znów mogła wynajmować tamto mieszkanie. Ogarnęła mnie jednak całkowita niemoc i nie potrafię się zmusić nawet do zejścia po schodach. Mieszkałam w nim w młodości, zaraz po przyjeździe do Londynu. Wiele lat później kupiłam ten dom. Od tego czasu różni lokatorzy wprowadzali się tam, potem się wyprowadzali, ale teraz mieszkanie stoi puste i dawne czasy nagle ożyły. Pamiętam każdy szczegół, tak jakby to było wczoraj: rajstopy suszące się nad kominkiem gazowym, seks i papierosy, śmiech. I miałabym zejść tam, do tego zimnego grobowca z tumanami kurzu i stertą gruzu – wykluczone, to jest ponad moje siły.

Może komuś się wydawać, że popadłam w depresję, ale nic podobnego. Jestem tylko kobietą, która tęskni za miłością. Wyżej uszu mam sadzania mnie na tylnym siedzeniu w samochodzie, kiedy wybieram się na wieczorne wyjście w towarzystwie znajomych małżonków. Bokiem wychodzą mi internetowe randki z łysiejącymi facetami, którzy w kółko plotą o golfie – golfie! Dość już mam wracania do domu, gdzie w pokojach dzwoni cisza i wszystko wygląda tak, jak zostawiłam przed wyjściem, jak na statku *Marie Celeste* dla samotnej kobiety. Czyżby Alan był ostatnim mężczyzną, którego trzymałam w objęciach, leżąc obok nago?

I tak się obecnie mają u mnie sprawy. Zapadła ciemność. W oknach mieszkań naprzeciwko widać twarze rozjaśnione poświatą z laptopów. Odnoszę wrażenie, że wszyscy zastygliśmy w tym samym punkcie czasu i trwamy w bezruchu jak pani Bonnard na reprodukcji wiszącej na ścianie w moim domu. Coś w końcu musi wyrwać mnie z tego odrętwienia. Moja sytuacja jest zbyt żałosna, żeby wyrazić ją słowami. Stoi przede mną miska z mieszanką bombajską, opróżniłam ją prawie do końca, zostawiłam tylko orzeszki ziemne, bo one najmniej mi smakują.

Najchętniej wyszłabym na ulicę i wyła jak pies do księżycy.

White Springs, Teksas

Lorrie była tęga. Lubiła jeść. Mało kto nie lubi. Nie ona jedna miała obfite kształty. Prawie wszystkie jej koleżanki wyglądały podobnie. Z roku na rok przybywały im kolejne centymetry w talii, a mimo to ani na chwilę nie przestawały poruszać ustami. „Od przegryzania przy świetle lodówki jeszcze nikt nie przytył” – żartowały. Mężowi Lorrie nie przeszkadzała jej znaczna nadwaga. Często powtarzał, że im ona jest większa, tym on ma więcej do kochania. Służył w armii, więc ich małżeństwo składało się z rozstań i powrotów. Kiedy przez długie miesiące widywała zamazany obraz jego twarzy na Skypie, jadła na pocieszenie; gdy wracał do domu i był w nim przez jakiś czas, gotowała bez opamiętania. Między powrotem a kolejnym wyjazdem zwykle trwał trudny dla nich okres dostosowawczy. Przez tydzień albo dłużej starali się znowu oswoić z wzajemną obcością i odbudować dawną zażyłość. Wtedy nieustannie podjadała z tego samego powodu, z którego dawno temu, w niełatwych i nerwowych czasach, wspomagała się paleniem papierosów.

Przybywały jej więc kolejne kilogramy. Trudno uwierzyć, że kiedyś była przeraźliwie chudym dzieckiem, a w dzisiejszych czasach w ogóle niewiele spotyka się takich dzieci. Teraz dzieci są o wiele grubsze niż przed laty, co uznano za zjawisko alarmujące w skali kraju, zwłaszcza że już sporo przekroczyło próg otyłości. Dzieci Lorrie ważyły za dużo jak na swój wiek, a jej przykro było patrzeć, jak z trudem się poruszają; chodząc, kołyszą się z boku na bok jak podpici marynarze. Kilka dni temu pojechała odebrać wcześniej Deana ze szkoły i z bólem serca przyglądała się, jak z ogromnym wysiłkiem wstał z krzesła i pociągnął za sobą szkolną ławkę. Biedak aż poczerwieniał ze wstydu!

Takie są skutki śmieciowego jedzenia, a całe zło najwyraźniej ma związek z wyborami prezydenckimi. Syn sąsiadki, Tyler, który studiował chemię w college'u, opowiadał, że wówczas wyborcy – rolnicy mieszkający w środkowowschodniej części kraju, gdzie uprawia się kukurydzę – nie byli zdecydowani, na kogo oddać głos, więc żeby zyskać ich przychyłość, przyznawano im wysokie dotacje, a one przyczyniły się do nadprodukcji kukurydzy i syropu kukurydzianego o wysokiej zawartości fruktozy. Cukier pochodzący z importu obłożono niebotycznym cłem, a ten syrop stosowano jako jego zamiennik i dodawano praktycznie do każdego artykułu żywnościowego, który spożywali Amerykanie. Opowiedział też o destrukcyjnym wpływie syropu na organizm i sztucznie stymulowanym apetycie, który powoduje, że chce się jeść coraz więcej i więcej. Powiedział, że Stany Zjednoczone stają się jednym wielkim żarłocznym gardłem i że ludzie doprowadzą się do samozagłady.

Tyler faszerował się narkotykami i miał skłonności do gadania

niestworzonych rzeczy. Częstował Lorrie skrętami z marihuany na podwórku i plótł na temat obcych najeźdźców. Tym razem jednak jego wywody, jak się zdaje, miały więcej sensu, więc zajrzała do internetu i stwierdziła, że rzeczywiście mówił prawdę. Kiedy Todd, jej mąż, wrócił do domu, powiedziała mu, że rząd ukrywa fakty pod presją przemysłu spożywczego, ale on tylko pociągnął ją za ucho i otworzył puszkę piwa. Czyż Ameryka nie jest najlepszym miejscem na świecie? Todd był patriotą gotowym umrzeć w obronie swobód, którymi cieszyli się obywatele jego ojczyzny, a do nich zaliczało się tycie.

Na tym polegał problem z Toddem. Lorrie go kochała. Oboje wychowywali się w biedzie, od dzieciństwa bardzo się lubili, a potem związali ze sobą na całe życie. Ale on nie traktował jej poważnie. Wciąż była dla niego jego małym ciasteczkim, jego olbrzymim ciachem i nie chciał, żeby zaprzętała sobie głowę sprawami, na które nie miała żadnego wpływu. On natomiast wziął sobie za punkt honoru, żeby ją chronić. Był mężczyzną, żywicielem rodziny; dwie kadencje służył w Iraku, na własne oczach widział, jak jego najlepszy przyjaciel stracił nogi, widział więcej, o wiele więcej rzeczy, o których nigdy jej nie opowie, choć nocami jęczał i rzucał się we śnie. Musiała uszanować jego tajemnice, przyjąć, że on ma swoje drugie, nieznane jej życie.

Niełatwo przyszło jej się z tym pogodzić. Todd chciał, żeby w jego rodzinie nie następowały żadne zmiany. Mój dom, moja twierdza, powtarzał. Dom uważał za swoje bezpieczne schronienie. Bała się, że gdyby jakieś zdarzenie zakłóciło równowagę, on straciłby grunt pod nogami. Czas, który spędzał w domu, był niezwykle cenny i przecież, mój Boże, zasłużył sobie na taki komfort. Coraz częściej jednak Lorrie czuła, że dusi się w tym swoim małym pudełku. Todd nawet nie pozwalał jej pracować. Prawdę mówiąc, nie mogłaby sobie na to pozwolić. Przez połowę czasu wypełniała obowiązki matki sprawującej samotnie opiekę nad dziećmi i pobierała zasiłek opiekuńczy, więc nie miała prawa do dodatkowych dochodów. Drugą połowę swego czasu poświęcała mężowi, kiedy był w domu, ponieważ chciał ją mieć w nim dla siebie. W taki sposób rozumował Todd.

Wciąż jednak brakowało im pieniędzy. Oszczędzali na dom, który chcieli kupić – na nowym osiedlu na obrzeżach miasta, poza bazą wojskową – i wyprowadzić się z tej wynajmowanej ciasnoty. Powstawały tam piękne domy z trzema sypialniami, w pobliżu jeziora Finnegan, gdzie można było z całą rodziną pływać łodzią i łowić ryby. Lorrie często się śniło, że tam mieszka. Uważała, że na pewno znalazłaby się dla niej jakaś praca na pół etatu, którą mogłaby wykonywać i mieć trochę własnych pieniędzy w portmonetce.

Pewnego dnia trafiła na tę reklamę. Niedługo po rozmowie z Tylerem. Siedziała przy stole w kuchni i przeglądała stronę z najnowszymi plotkami z życia gwiazd. Todd wyjechał, a dzieci poszły do szkoły. Słońce zaglądało przez kuchenne okno, był późny i już duszny poranek.

Zarabiaj co miesiąc kilkaset dolarów w zaciszu własnego domu! Zostań przedstawicielem handlowym naszej szybko rozwijającej się firmy! Ogłoszeniu towarzyszyło grupowe zdjęcie otyłych dzieci, czarnoskórych, białych i o latynoskich rysach. *Wszyscy zapomnieli o dzieciach z dużą nadwagą. Zbyt często się siebie wstydzą, bo nie ma dla nich ubrań w odpowiednim rozmiarze. Nasza firma specjalizuje się w produkcji i sprzedaży modnej odzieży dla dzieci o obfitych kształtach.* Oferowali prowizję na poziomie dwudziestu procent ceny detalicznej, która miała wzrastać proporcjonalnie do wyników sprzedaży.

Lorrie bardzo się ucieszyła. W końcu ktoś rozumiał bolączkę jej dzieci. Ubrania prezentowały się doskonale. Dlaczego nie spróbować? Przecież nie miała nic do stracenia.

Poczuła przyływ energii. Inni przedstawiciele handlowi – matki takie jak ona – w swoich opiniach o firmie podawali kwoty, które udało się im zarobić. Podobno w Teksasie wskaźniki otyłości wśród dzieci są najwyższe w całych Stanach Zjednoczonych. Rynek był więc ogromny i w znacznej mierze niezagospodarowany.

Lorrie nikomu nie powiedziała ani słowa – a przede wszystkim mężowi. Wyjechał na tydzień na szkolenie na północ. Wprawdzie liczyła na jego wsparcie, bo przecież ona znaczną część czasu będzie spędzać w domu, a praca nie wiąże się z żadnym ryzykiem, ale mimo to podczas rozmowy na Skypie tego wieczoru ani słowem nie wspomniała mu o swoich planach. Może chciała uniknąć rozczarowania jego reakcją. Wolą zachować swój sekret dla siebie; na jakiś czas, tylko na kilka miesięcy, zanim się przekona, czy dobrze sobie radzi.

Następnego ranka po raz pierwszy od wielu lat pomalowała paznokcie. Absurdalny pomysł, zwłaszcza że pracę miała wykonywać przez internet, ale musiała dodać sobie otuchy. Czowała, że budzi się z długiego snu. Dawniej pracowała, oczywiście – w różnych sklepach, w barze, w sekcji płac w biurze na jednej z dużych farm bydła w pobliżu San Antonio. Ale to było w innym życiu, zanim została matką i zmieniła się nie do poznania nawet dla samej siebie; zanim straciła poczucie własnej wartości.

Na ścianie w salonie wisiała głowa lwa – Wojownik – tak nazywał ją Todd. Zastrzelił zwierzę na safari w Kenii podczas misji w Sudanie, w wolny od służby, szalony weekend mocno zakrapiany alkoholem. Tego wieczoru Lorrie, siedząc przy laptopie, czuła na sobie szklane oczy wpatrzone w nią z przeciwległej strony pokoju. Doskonale pamięta, co wtedy zrobiła: otworzyła plik z formularzem rejestracyjnym na stronie internetowej firmy Big Kids, wpisała numer swego ubezpieczenia społecznego i dane rachunku bankowego. Naruszone przez mole trofeum z szyderczo wyszczerzonymi kłami było jej jedynym świadkiem.

Następnego ranka zadzwonił telefon.

– Czy rozmawiam z panią Russell? – zapytał mężczyzna z uderzająco

silnym, obcym akcentem i wyjaśnił, że dzwoni z jej banku. – Muszę uzupełnić dane rejestracyjne dla Agencji Zatrudnienia obsługującej firmę Big Kids. Poprosił o nazwę użytkownika i hasło, niezbędne do aktywacji konta.

Podyktowała mu. Podziękował uprzejmie i się rozłączył. Kolejnego dnia znów zadzwonił telefon.

– Czy rozmawiam z panią Russell? – zapytał mężczyzna. Powiedział, że dzwoni z jej banku.

– Czyżbym o czymś zapomniała? – zapytała.

– Nie rozumiem?

– Wczoraj pan do mnie telefonował... – przerwała zaskoczona.

– Nie, proszę pani – zaprzeczył. – Nikt od nas do pani nie dzwonił.

Kontaktuję się z panią dzisiaj, ponieważ pewna okoliczność zwróciła naszą uwagę i muszę to zweryfikować.

– Co zweryfikować?

Odchrząknął.

– Odnotowaliśmy nietypową aktywność na koncie oszczędnościowym, które ma pani u nas wspólnie z mężem.

Pieniądze zniknęły, przepadły oszczędności, do ostatniego dolara.

W nocy zostały wyprowadzone z ich konta.

Pekin, Chiny

– Jadę z tobą – oznajmiła Li Jing. – Ta sprawa dotyczy nas obojga.

Zauważyła, że jej mąż jest zaskoczony. Nie odezwał się ani słowem, tylko wkładając kurtkę, na chwilę znieruchomiał. Zaraz potem odwrócił się i sięgnął po papierosa, który tlił się w popielniczce.

Zastanawiał się, jak zareagować. Jing była prostą, wiejską dziewczyną, skromną i posłuszną; jej mąż – biznesmenem, wpływowym i odnoszącym sukcesy, więc normalnie nie przyszłoby jej nawet do głowy, żeby ingerować w jego sprawy albo ustalać zasady. Tym razem jednak sytuacja ewidentnie i bezsprzecznie dotyczyła również jej. Oboje chcieli mieć dziecko. Do niedawna w ogóle na ten temat nie rozmawiali, ale bez wątpienia Lei wiedział, że w końcu taki czas nadejdzie. Stał przy oknie i sprawdzał wiadomości w telefonie komórkowym, ale jego wyraźnie dostrzegalne napięcie świadczyło o tym, że zupełnie się z jej strony czegoś takiego nie spodziewał i nie wie, co powiedzieć.

Odwrócił się. Mieszkali na trzydziestym trzecim piętrze; dzisiaj budynki z przeciwka były niewidoczne, ginęły w smogu.

– Nie zapomnij wziąć maski – powiedział i wyszedł z pokoju.

Jing poczuła ulgę i lekkie ożywienie.

Chociaż raz uwzględnił jej życzenie! Zazwyczaj skrywała swoje potrzeby głęboko nawet przed sobą, więc mogłoby się zdawać, że niczego nie pragnie. Dziś odniosła małe zwycięstwo i przy okazji uświadomiła sobie, ile jeszcze różnych życzeń w sobie nosi. Nie pozwoliłaby sobie jednak wyrazić ich głośno. Była dobrą żoną i znała swoje miejsce.

Swoich życzeń nie ujawniała również dlatego, że nie potrafiła przewidzieć reakcji męża, który był bardzo zmienny. Czasami wydawało się jej, że prawie nic o nim nie wie. Wprawdzie małżeństwem byli już od pięciu lat, ale właściwie ich związek trwał znacznie krócej. On całymi tygodniami przebywał poza domem, a ona podczas jego nieobecności stawiała się osobą, którą była dawniej. Ich małżeństwo, tak jak wiele innych znanych jej związków, składało się głównie z rozstań i najwyraźniej nie zmierzało w kierunku stabilizacji.

Gdyby mieli dziecko, zapewne byłoby inaczej; dziecko by rosło, a oni dojrzewaliby wraz z nim. Ale go nie mieli, i to z jej powodu; ona ponosi odpowiedzialność za to, że ich bezdziejne małżeństwo utknęło w martwym punkcie. Zawsze dokuczały jej bolesne i nieregularne miesiączki, a ostatnio stwierdzono u niej zespół policystycznych jajników. To ona zawiodła męża.

A przecież wszystko mu zawdzięcza! On wyrwał ją z biedy i dzięki niemu zamieszkała w tym ogromnym, wyłożonym marmurem mieszkaniu w centralnej, biznesowej części miasta, w dzielnicy ambasad. Kupił jej ubrania i podarował

bizuterię, dawał kartę kredytową, gdy wybierała się na zakupy. Zrobił tak wiele, a nawet znacznie więcej, a ona jemu w zamian nic nie dała, nawet dziecka. Utknęła pod niebem w mieście, w którym nie miała przyjaciół i nie mogła się nikomu zwierzyć. Czasami ogarniała ją tak dojmująca tęsknota, że całe popołudnie leżała w łóżku z twarzą wtuloną w koc.

Nigdy się nie dowiedziała, kto skłonił jej męża do zrobienia badań. Wspomnił jej o nich mimochodem, jakby taka myśl tylko przemknęła mu przez głowę. Może nawet nikt mu jej nie podsunął, Lei nie ma przecież nikogo bliskiego. Być może zrodziły się w nim pewne obawy i szukał pomocy w internecie.

W każdym razie poddał się badaniom i teraz oboje siedzieli w gabinecie konsultanta, starszego mężczyzny w okularach z bardzo grubymi szklami korekcyjnymi.

– Proszę. To jest wynik badania pańskiego nasienia.

Dość obcesowy sposób przekazania tak delikatnej informacji, pomyślała, gdy lekarz podawał jej mężowi kartkę.

Zapadła cisza. Zakłócało ją tylko słabe bulgotanie dobiegające z akwarium z szybą pokrytą zielonym nalotem z glonów, które wydawało się w takim sterylnym pomieszczeniu zaskakująco mroczne.

Lei tylko zerknął na wynik. Złożył kartkę i schował ją do kieszeni.

– Może trochę poprawię panu samopoczucie – dodał konsultant – jeśli powiem, że w takim wyniku nie ma nic niezwykłego. Mniej więcej od dziesięciu lat obserwuje się u mężczyzn gwałtowny spadek liczby plemników w spermie. Dowiedziono, że na taki stan rzeczy bezpośredni wpływ ma rozwój przemysłowy. Płodność w prowincji Hebei spadła o osiemdziesiąt procent, a Pekin nie pozostaje daleko w tyle. Główną przyczyną są zanieczyszczenia, proszę pana, a nie niewydolność pańskiego organizmu. – Uśmiechnął się chłodno. – Wydaje się, że natura na swój sposób zwieńcza dzieło naszych przywódców. Polityka jednego dziecka szybko zmierza w kierunku bezdzietności.

Żadne z nich nie zdobyło się na uśmiech. W tych okolicznościach trudno się dziwić. Jing unikała wzroku męża. Przyglądała się podwodnemu zamkowi w akwarium, którego niewyraźny kształt rysował się za szklaną ścianką. Najpierw pomyślała o Leiu. Bardzo żałowała, że tu z nim przyszła i stała się świadkiem jego upokorzenia.

Wang Lei wstał, uściśnął dłoń konsultanta i wyszedł bez słowa. Podążyła za nim. W windzie ich oczy spotkały się w lustrze. Jego twarz była niewzruszona, nie zdradzała żadnych uczuć. Jing, głęboko poruszona, czuła ucisk w żołądku. Okazało się, że są skazani na bezdzietność, na zawsze. Łzy napłynęły jej do oczu, więc odwróciła się i wpatrywała w telefon alarmowy. Dopiero teraz, gdy rozwiały się jej nadzieje, uświadomiła sobie, jak usilnie i z pełnym przekonaniem myślała, że jej pragnienie wcześniej czy później się spełni. Pewnego dnia będzie trzymać

w ramionach dziecko. Będzie kochać i będzie kochana. Będzie je kochać do końca swoich dni.

Na ulicy Lei szedł z przodu zamaszystym krokiem. Mijali ich przechodnie w maskach i w szalikach osłaniających twarze. Ukazał się neon McDonalda, a po chwili baru makaronowego. Jing podążała za mężem. Czuła, jak wizja dziecka rozplywa się w smogu. A więc na tym koniec.

Przejechał autobus, pozostawiając za sobą kłęby spalin. Lei otworzył drzwi samochodu. Jing wsiadła. Mimo rozpaczy odetchnęła z ulgą – a więc to nie ona zawiniła, w każdym razie nie tylko ona. Dotychczas żyła w poczuciu winy i poniżenia, ponieważ nie sprawdzała się jako żona. Teraz ją i męża połączył wspólny problem – bezpłodność. Nic jednak nie wskazywało, że będzie to życzliwa więź bratnich dusz, zwłaszcza gwałtowność, z jaką Lei włączył się do ruchu. Głośno roztrąbiły się klaksony.

– Tak mi przykro – powiedziała.

– Przeklęty kretyn! – krzyknął do kierowcy furgonetki.

Nie potrafiła sobie wyobrazić, jak głęboko czuł się upokorzony. Wiadomo, że mężczyźni do tych spraw podchodzą zupełnie inaczej niż kobiety. Kierują się ambicjami, one są dla nich źródłem niepokojów, ale też energii motywującej do działania. Wang Lei był twardym, dumnym i impulsywnym mężczyzną. Dla niego liczyła się pozycja – nie, znacznie więcej niż tylko pozycja. Ona stanowiła jedynie fundament. W ten sposób często rozumują mężczyźni niewielkiego wzrostu. Sklepiarz w jej rodzinnej wsi, niski i krępy jak mops, zawsze był skory do bójek.

Mąż Li Jing swoje bitwy toczył w sali konferencyjnej albo wszędzie tam, gdzie prowadził interesy. Nic nie wiedziała o jego pracy, nigdy o niej nie mówił, a jej nawet nie przyszło do głowy, żeby go pytać. Afryka, miejsce jego niejasnych interesów, pozostaje mroczną i niezgłębioną tajemnicą. Męża znała tylko z życia prywatnego jako mężczyznę uzależnionego od whisky i hazardu. Jego najbardziej osobistą aktywność, która tak często kończyła się niepowodzeniem, zachowa w tajemnicy aż do śmierci. „Nic się nie stało”, szeptała, dotykając go, gdy leżał odwrócony do niej plecami, zwinięty w kłębek. Nie reagował, więc nauczyła się milczeć. Czasami się im udawało – na tyle często, że mieli szansę począć dziecko, gdyby żadne z nich nie miało zdrowotnych ograniczeń.

Minął rysujący się w szarym powietrzu budynek hotelu Hyatt Park, w pobliżu miejsca, w którym mieszkali, ale nie skręcił w ulicę prowadzącą do domu.

– Nie jedziemy do domu? – zapytała.

Lei zaprzeczył ruchem głowy.

– Chcę ci coś pokazać – powiedział.

Tylko tyle i ani słowa więcej. Wjechali na drugą obwodnicę miasta. Przemykały im przed oczami światła reflektorów aut jadących w przeciwnym

kierunku. Było dopiero wpół do trzeciej, ale w mieście półmrok panował przez cały dzień. Siedząc w ich pięknym, cichym samochodzie, pomyślała, że zanieczyszczenia są takie same dla wszystkich, dla bogatych i dla biednych. Niemal w tej samej chwili zatęskniła za błękitnym niebem znad swojej rodzinnej wsi. Przypomniała sobie czyste strumienie, czaple stąpające po płycznach, ostrożnie i z wahaniem. Przywołała w myślach obraz upranej bielizny rozwieszanej na sznurkach i kołyszącej się na wietrze, przed oczami stanęła jej babcia pokrzykująca na kury podczas karmienia. Marzyła, żeby teraz usiąść z rodziną na świeżym powietrzu, pić herbatę i żartować. Ale między nią a nimi powstała kolejna przepaść. Nigdy, przenigdy nie będzie mogła im powiedzieć, co się wydarzyło w gabinecie u lekarza. Jedna przepaść po drugiej, żadna nie do pokonania – zwłaszcza ostatnia. I pomyśleć, że szkolne koleżanki jej zazdroszczą!

Po drodze mijali rzędy sklepów z elektroniką lśniących jaskrawym światłem, przejechali przez wiadukt. W półmroku dostrzegła rysujące się sylwetki dźwigów i bloków mieszkalnych. Pekin był jednym ogromnym placem budowy, który wciąż się powiększał. Nie mogła się nadziwić, że charakterystyczne obiekty, które służyły jej za punkty orientacyjne, tak szybko zniknęły – wydawało się, że z dnia na dzień – a na ich miejscu wyrastały wieżowce. Przecież mieszkała w tym mieście zaledwie od pięciu lat.

Niebo się rozjaśniło, wyjechali już poza teren miasta. Jaką niespodziankę przygotował Lei? Czyżby jechali na wieś porwać dziecko? A może zaplanował samobójstwo we dwoje, wspólny skok z mostu? Jing nie miała pojęcia, ale też niespecjalnie ją to obchodziło, ogarnęło ją zubożenie. Ten stan okazał się zdumiewająco relaksujący. Opuściło ją wewnętrzne napięcie i podczas jazdy autostradą sennie snuły się jej po głowie myśli, których nigdy odważyłaby się ubrać w słowa. Jak by to było kochać się z innym mężczyzną? Wychodząc za męża, była dziewczicą. Czemu Lei nie okazywał zainteresowania jej życiem? Dlaczego podporządkowała się narzuconym zasadom i też nie interesowała się jego życiem? Czy każda żona czuje się równie samotna jak ona? Czy dziecko naprawdę silniej związałoby ich ze sobą? Czy Lei uprawiał seks z czarnoskórymi kobietami w Afryce? Zastanawiała się, czy w ogóle darzy go sympatią.

W swojej rozpaczycy Jing stała się niezwykle szczerą wobec siebie; aż się zarumieniła z powodu własnej śmiałości. Kiedy była dziewczynką, poszła na występ brzuchomówcy; teraz, siedząc obok męża, czuła, jakby te zakazane pytania bulgotały jej w brzuchu. Narastały i nabrzmiewały tak szybko, że aż trudno jej było uwierzyć, że Lei, siedzący tuż obok za kierownicą w chmurze dymu papierosowego, niczego nie zauważył.

Podróż po zatłoczonej autostradzie trwała już godzinę.

Lei, trąbiąc, wyprzedzał sznur autokarów. Po obu stronach drogi pojawiły się górskie szczyty. Jing już kiedyś tędy jechała, gdy Lei wiozł ją do Wielkiego Muru.

Zabrał też jej rodziców – był pięciogwiazdkowy hotel, wystawne posiłki; musi pamiętać, że jej mąż jest hojny. Nie wolno jej też zapomnieć, jak bardzo on cierpi. Z powodu upokorzenia, swojej męskiej niedoskonałości, utraty nadziei.

Wydawał się jednak wyjątkowo radosny, gdy zasygnalizował skręt w lewo. Zaczął nawet pogwizdywać.

– Dokąd jedziemy? – zapytała.

Uśmiechnął się do niej.

– Zaczekaj, a zobaczysz, *bao bei*.

Jego pieszczotliwy ton sprawił jej przyjemność. Pojawiło się słońce, choć szczyty gór kryły się we mgle. Tam, wysoko rozciągał się Wielki Mur, wznosił się i opadał, jak gdyby w takt rytmicznej muzyki. Blisko pobocza jechała na rowerach grupa turystów w jaskrawych kurtkach. Droga wiodła wzdłuż doliny, obok sadów morelowych i wiejskich domów. Starsi mieszkańcy wiosek ćwiczyli na przyrządach gimnastycznych.

Ich samochód zaczął piąć się w górę krętą drogą wśród wielu innych pojazdów. Strzałki wskazywały kierunek do hoteli; na tablicy widniał napis „Swoje śmieci zabierz ze sobą”. Jing nabrała przekonania, że mąż przywiózł ją do Wielkiego Muru. Miał jednak na sobie garnitur, strój zupełnie nieodpowiedni na taką eskapadę. Może zdecydował się na nią pod wpływem impulsu, żeby poprawić nastrój żonie. Uświadomił sobie, że ostatnie wiadomości sprawiły jej taką samą przykrość jak jemu.

Zaparkował w miejscowości Beigou, gdzie z autokarów tłumnie wysypywali się turyści. Jing i Lei również wysiedli z samochodu. Miała przemożną ochotę wziąć go za rękę z wdzięcznością, ale nie lubiła publicznie okazywać uczuć. Skinął na nią. Ruszyła ścieżką, przy której stała tablica z informacją: WSTĘP TYLKO DLA MIESZKAŃCÓW.

Podążała za mężem. Stopy wymykały się jej z miejskich sandałów. Wkrótce pozostawili za sobą wieś i turystów. Ścieżkę po obu stronach gęsto porastały krzewy. Jing dostrzegła kamery monitorujące. Mniej więcej po dziesięciu minutach Lei się zatrzymał. Spojrzał na nią, w oczach miał błysk entuzjazmu. Sięgnął do kieszeni.

Skreśliła za nim i zamarła z wrażenia. Przed nimi stał dom. Zupełnie nowy, z dwuspadowym pagodowym dachem i ogromnymi oknami ozdobionymi otokami z drewna.

Pomyślała, że pewnie przyjechali w odwiedziny do kogoś, z kim wiążą go interesy, być może do jakiegoś urzędnika rządowego. Lei miał znajomości na najwyższych szczeblach, tylko tacy ludzie mogli sobie pozwolić na taką posiadłość.

– Czyj jest ten dom? – zapytała.

Lei otworzył dłoń. Leżał na niej klucz.

– Nasz – odpowiedział.

Otworzył drzwi, wszedł do środka i wolnym krokiem przespacerował się po holu. Przesunął od niechcienia palcem po drewnianej powierzchni, jak rolnik muska bok krowy.

– To jest nasz piękny dom wakacyjny, miejsce ucieczki z dusznego miasta. Nasz ukochany kraj kiedyś się udusi. A my tu, moja droga żono, znajdziemy cudowne ocalenie. Tutaj możemy odpoczywać na świeżym powietrzu. – Wskazał na podłogę. – Takich samych cegieł użyto do odbudowy Wielkiego Muru. Są prosto z fabryki, w której zostały wyprodukowane. Projekt wykonał architekt światowej sławy. Z Włoch.

Wciąż nie mogła się otrząsnąć z oszołomienia. Dlaczego zrobił to wszystko i nie powiedział ani słowa? – pomyślała. Jakże jeszcze skrywa tajemnice?

– Dom wakacyjny? – zdziwiła się. Nigdy nie słyszała o czymś takim. Bogaci jechali do Europy albo do Stanów Zjednoczonych, biedni do swoich wiosek.

Był zirytowany. Nie mogła mieć mu tego za złe.

– Tak się teraz robi – burknął. – Nie wiesz?

– Nie – odpowiedziała i podeszła do niego. – Przepraszam. Dom jest naprawdę piękny.

– Obejrzymy?

Wchodząc za nim po schodach, zastanawiała się, jak bardzo zagadkowy jest dla niej własny mąż. Wiedziała, że ma inne nieruchomości. Kupił kilka mieszkań w Londynie, zainwestował w jakimś Kensington i Battersea. Godzinami rozmawiał przez telefon. Uświadomiła sobie nagle, że ilekroć o nim pomyśli, widzi go z telefonem przy uchu zamykającego drzwi nogą.

Przystanęli w głównej sypialni. Cała jedna ściana była przeszklona, rozciągał się stąd widok na sam koniec świata.

– Chętnych do kupna nie brakowało – powiedział Lei. – Ale się uwinąłem. Wiesz, że zawsze dostaję to, co chcę mieć. – Podeszedł bliżej i dotknął zagłębienia jej szyi. – Kiedy cię zobaczyłem, od razu wiedziałem, że musisz należeć do mnie.

Uniósł na palcu jej złoty łańcuszek. Jing poczuła przyływ pożądania – to niezwykle uczucie sprawiło ją w zdumienie.

Zupełnie nie pamiętała tamtej chwili. Tamtego dnia w hotelu Sheraton w Szanghaju, gdzie pracowała w recepcji. Zajmowała się odjeżdżającym klientem, a Wang Lei akurat się meldował. Obsługiwała go jej koleżanka. Nie trzeba dodawać, że nigdy się mu nie przyznała, że go wtedy nie zauważyła.

Gdyby był wysoki i przystojny, przypuszczalnie zwróciłaby na niego uwagę. Ale Lei niczym szczególnym się nie wyróżniał. Atrakcyjność w jej oczach zyskał dzięki swojej energii. Sylwetką przypominał boksera – był niewysoki i krępy. W ciągu pierwszych tygodni ich znajomości podejmował ją wystawnie, a ona poddawała się urokowi jego nieodpartej siły. Przekonywał ją, że zapewni jej

bezpieczeństwo do końca życia – i rzeczywiście, zamknął ją i trzymał w takim luksusie, jaki znała z kolorowych czasopism. Zabiegał również o względy jej rodziców – tak jakby było im to potrzebne – zabierając ich do Nowego Jorku na zakupy i do domów gry w Atlantic City, na wycieczkę tak oddaloną od ich rzeczywistości, że do czasu złożenia podziękowań w świątyni po powrocie do swojej wioski w ogóle nie mogli uwierzyć, że taka przygoda im się przydarzyła.

Oboje wyszli z domu i ruszyli z powrotem ścieżką w dół.

Ze wsi Beigou dochodził zapach palonego drewna. Znała go dobrze z dzieciństwa, które nigdy nie zatarło się w jej pamięci. Pamiętała, jak leżała w łóżku i babcia śpiewała jej kołysankę.

*Cicho, cicho przestań już płakać,
moja kruszyno kochana,
ze łzami twoja uroda się zmywa.
Wiem, że wyrośniesz na dobrą kobietę,
godne życie będziesz wieść.
Rodzicom wstydu nie przyniesiesz.
Ojczyznę na zawsze w sercu zachowasz.
Nie płacz, kruszyno,
widzisz ten księżyc?
Ma głowę wstrętnego olbrzyma,
który płaczących dzieci wypatruje.*

Jing tak jak mocno kochała babcię, tak sobie obiecywała, że nigdy nie będzie śpiewać równie ponurych kołysanek swojemu dziecku. Nauczy się weselszych, choćby z repertuaru Britney Spears.

Jakiemu dziecku? Znów ogarnęła ją fala rozpacz. Dotarli do parkingu. Zapach dymu drzewnego ustąpił miejsca ostrej woni spalin wydobywających się z pozostawionych na jałowym biegu autokarowych silników. Przed toaletami w długich kolejkach czekali pasażerowie.

Ośmielona obecnością innych ludzi, donośnym warkotem silników i rozbrzmiewającymi zewsząd głosami odwróciła się do Leia i zebrała się na odwagę.

– Ten dom wydaje mi się trochę za duży dla nas dwojga.

– Co masz na myśli, mówiąc dla „nas dwojga”? – zapytał.

Trzymał w dłoni wysunięty z oprawki kluczyk do samochodu wymierzony w nią, jak gdyby to było ostrze noża.

– Przecież lekarz powiedział, że... – zająknęła się i zawiesiła głos.

– Ależ oczywiście, że będziemy mieli dziecko. – Wang Lei nacisnął klawisz na główce kluczyka, brzęknął czujnik w samochodzie. – Ja się tym zajmę.

Pimlico, Londyn

Doszło do kolejnej eksplozji. Właśnie czytam o niej w gazecie. Tym razem nie krowy wyleciały w powietrze, lecz islamski terrorysta. Z informacji wynika, że ładunek wybuchowy umieścił pod samochodem zaparkowanym w pobliżu koszar. Kiedy wrócił, żeby sprawdzić, dlaczego nie doszło do detonacji, bomba wybuchła mu prosto w twarz. Policjanci uważają, że prawdopodobnie zapomniał o zmianie czasu na letni. Ich zdaniem źle ustawił zapalnik, ponieważ nie przesunął zegarka o godzinę do przodu.

Roześmiałam się głośno. Dziwne, prawda? Śmiech w pustej kuchni. Do tej pory powinnam była się już przyzwyczać, ale wciąż mam wrażenie, że oszalałam. Co mam począć ze śmiechem i masą niewypowiedzianych słów, które wypełniają mi głowę? O tak wielu rzeczach chcę komuś powiedzieć, gdzie mam zgromadzić ten ciężki bagaż? Potrzebny mi jest jakiś magazyn, w którym mogłabym go przechować na później, do czasu, aż spotkam kogoś, kto by się nim zainteresował. Teraz wzdłuż Tamizy rozciąga się nieprzerwany rząd budynków – gmach elektrowni Battersea, siedziba przedsiębiorstwa Vauxhall. Szkaradne wieżowce wznoszą się do nieba. Nie są przeznaczone dla londyńczyków; mieszczą się w nich mieszkania dla przyszłych emerytów, a obecnych inwestorów zagranicznych z Malezji i Chin; większość z nich stoi pusta. Jest tam dużo miejsca. Mogłabym całe piętra zapęłnić swoimi myślami i spostrzeżeniami. Są wśród nich nawet dość zabawne, w każdym razie ja tak uważam. Choćby ten pomysł o składowaniu.

Głównie chodzi o to, że jestem samotna. Straszliwie, dojmująco samotna. Nie mogę zadzwonić do moich dzieci, ponieważ u nich jest albo środek nocy, albo szósta rano. Poza tym one mają własne życie, a ja nie chcę sprawiać wrażenia osoby w potrzebie. Oczywiście mam przyjaciół, ale oni są w pracy. Ja też powinnam być. Jestem redaktorem graficznym i już dawno powinnam siedzieć w biurze. Tymczasem dochodzi godzina jedenasta, a ja nadal nie zdjęłam szlafroka. Z dołu dochodzą odgłosy stukania młotkiem; w końcu kilku robotników wzięło się do dokończenia remontu, który rozpoczął Alan. Wspominałam już, że mnie bił? Trzy razy uderzył mnie w twarz po pijanemu. Już jeden raz to o jeden za dużo, tylko ktoś bezgranicznie przygnębiony czeka na więcej.

Dzisiaj czuję się szczególnie przybita. Od kilku miesięcy utrzymuję kontakty z mężczyznami w internecie. Robię to od lat z krótkimi przerwami. Po wielu nieudanych próbach w końcu poznałam takiego, którego nawet trochę polubiłam. Miał na imię Barry. Poczułam nawet do niego sympatię, gdy zainteresował się moim życiem – rzecz niesłychana w takich okolicznościach. Nie znosił golfa i miał gęste włosy. Może są to nieistotne zalety, ale ja, podstarzała nastolatka, na tej podstawie zaczęłam uporczywie, niedorzecznie i naiwnie snuć plany i tworzyć

sobie obraz mężczyzny moich marzeń. Wyobrażałam sobie nawet naszą wspólną przyszłość. Czy to nie żalosne? On mieszkał w Billingshurst – jeżdżą stamtąd bezpośrednio pociągi na Victoria Station – a ja w Pimlico, dzielnicy oddalonej zaledwie o kilka ulic od tego dworca. Moglibyśmy mieszkać częściowo w Londynie, a częściowo – taki obraz podsuwała mi wyobraźnia – w jego malowniczym domu na głębokiej wsi w Sussex, gdzie spędzalibyśmy dni w ogrodzie, a potem, z westchnieniem, zagłębialibyśmy się w naszych fotelach i przy szklaneczce whisky. Rozśmieszałabym go opowieściami o islamskich terrorystach wysadzających się w powietrze przez pomyłkę.

Aż nagle pewnego dnia przestał odpowiadać na moje maile, a po tygodniu jego profil z powrotem pojawił się na portalu randkowym.

Na domiar złego właśnie wtedy, gdy czuję się najbardziej przygnębiona, moja wieloletnia przyjaciółka Bev przysłała mi mailem jeden z tych swoich cyrkularzy.

Bev trafiło się jedno z najbardziej udanych małżeństw na świecie i swoim szczęściem lubi się dzielić z szerokim gronem przyjaciół i znajomych, do których wysyła te koszmarne, pełne zachwyty fragmenty swego bloga. Tak jakby, do cholery, one kogokolwiek interesowały. Mieszka w Afryce Zachodniej z tym swoim cudownym mężem, Jeremym, który pracuje dla jakiejś dużej firmy farmaceutycznej. Jest prawnikiem, specjalistą od rozstrzygania sporów, i podejrzewam, że zajmuje się jakimiś mrocznymi sprawami, na przykład skargami, które wnoszą biedni ludzie wykorzystywani jako króliki doświadczalne w testowaniu nowych leków. Kojarzy mi się taka sprawa sprzed kilku lat z pigułką odchudzającą. Jeremy ma w sobie coś z hochsztaplera, choć muszę przyznać, że jest zabawny.

Bev z całą pewnością też tak uważa. *Jest taki wesoly, że przy nim cały dzień się śmieję. Jest moim kochankiem i najlepszym przyjacielem. Czy takie dyrdymały nie mogą przyprawić o mdłości? Ma doskonałe relacje z miejscową ludnością, uczy się nawet tutejszego języka – brawo, Jem!* Bev twierdzi, że ich wspólne życie jest jednym nieprzerwanym pasmem przygód: podróżują dookoła świata i mieszkają w różnych egzotycznych zakątkach. *Te wędrówki z miejsca na miejsce jeszcze bardziej nas do siebie zbliżają.*

Oto i przepis na szczęście. Wystarczy tych bredni. Tak samo jest z hemoroidami – nikt się nimi nie chwali, prawda? Na tych, do których uśmiechają się bogowie, ciąży pewna odpowiedzialność polegająca na powstrzymaniu się przed doprowadzaniem nas, czyli wszystkich pozostałych, do stanu jeszcze większego zdruzgotania, bo serca kurczą się nam do rozmiarów orzecha włoskiego.

Owszem, to prawda, że nie należę do osób łatwych we współżyciu.

Moje stosunki z własnymi dziećmi są nieco napięte – bez wątpienia ma na to wpływ ich obecne miejsce pobytu. Miewałam okresy ciężkiej depresji. Mój

terapeuta powiedział, że są to problemy wynikające z braku zaufania i samotności – tfu, tak jakby normalni ludzie lubili mieć chandrę i być zdradzani.

Muszę też otwarcie wyznać, że mam za sobą katastrofalne wybory. Wyszłam młodo za męża – w tamtych czasach takie panowały zwyczaje. Brałam mnóstwo narkotyków, a moi pierwsi faceci byli zwykłymi lekkoduchami i tchórzliwymi ćpunami. Zwrot w moim życiu nastąpił, gdy skończyłam dwadzieścia jeden lat i zaczęłam się spotykać z Brendanem. Nosił plaketkę z napisem: *Niewłaściwy czas. Nieodpowiednie miejsce. Bądź tam*. Pamiętam, jak się mocował, otwierając puszki z piwem. Patrzyłam wtedy na jego chude ręce i ogarniało mnie uczucie miłości tak silne, że traciłam oddech. Pewnego dnia uświadomiłam sobie, że obserwuję go z matczyną czułością, i naprawdę zapragnęłam mieć dziecko.

Znalazłam więc odpowiedniego, dojrzałego, barczystego mężczyznę, wyszłam za niego za męża i zanim skończyłam dwadzieścia pięć lat, miałam dwojkę dzieci i własny dom, w którym na niskim parterze spędziłam w pojedynkę beztrudne lata swego młodzieńczego życia. Gdy z mojego rozkładającego się małżeństwa zaczęły dobywać się trujące wyziewy pijaństwa, wzajemnych oskarżeń i niewierności, wdawałam się w kolejne katastrofalne związki; same banały, na pewno nikt nie chce o nich słuchać. Zresztą są to już bardzo odległe dzieje.

Powiedzmy, że byłam jak pocisk wystrzelony z bezzałogowego statku powietrznego automatycznie naprowadzany na cel, którym dla mnie byli panowie Fatalni. Ja zresztą dla nich okazywałam się również nieodpowiednią zdobyczą. Ale w miarę upływu lat nawet takich zabrakło. Mężczyźni szukają młodych kobiet. Oto brutalna prawda. Chcą kostuchę wywieść w pole, ale czy nie o to chodzi nam wszystkim? Chcą widzieć własne odbicie w młodszych oczach, a nie mieć przed sobą pooraną zmarszczkami twarz, która przypomina im o własnej śmiertelności. Ekscytująca musi być dla nich, drani, ta nieustanna pogoń za przedłużeniem młodości.

Dziś jest piękny dzień, rozpoczęło się lato. Drzewa uginają się pod ciężarem kwiatów. Mam dom przy uroczej ulicy z szeregowymi domami teraz zamieszkanymi przez bankierów i wiarołomnych polityków – mistrzów przekrętów przy rozliczaniu kosztów. W mojej dzielnicy nastąpiły spore zmiany; rodziny, których dzieci bawiły się razem z moimi, dawno się stąd wyprowadziły. Mieszkania komunalne z naprzeciwka zostały sprzedane młodym, zdolnym profesjonalistom, których twarze widzę w mdłej poświacie laptopów. Z dawnych sąsiadów pozostała już tylko obowiązkowa i trochę pomyłona kobieta, właścicielka kotów. Mieszka nieco dalej przy tej samej ulicy i – podobnie jak wszyscy pomyleni ludzie – najwyraźniej wcale się nie starzeje. Ha! Może ona to samo myśli o mnie.

Nie mogę do końca moich dni tak się kołatać po tym domu. Wiem, że powinnam go sprzedać i przenieść się do mniejszego mieszkania, ale już sama ta

myśl wywołuje we mnie paniczny strach. Dokąd miałabym pójść? Mogłabym dokądkolwiek i na tym polega problem. Wciąż liczę, że coś się wydarzy i wyrwie mnie z mojej bezwolności; że taki impuls pojawi się w najmniej spodziewanym momencie i moje życie zmieni się na zawsze.

Siedzę przy laptopie i przeglądam zdjęcia Pragi. Szukam ich do oprawy graficznej życiorysu aktorki Fanny Janauschek. Nie wiadomo skąd przyleciały biedronki i spacerują po okiennych szybach.

Może jednak powinnam kupić psa i przenieść się na wieś?

Bezwzględnie coś musi się wydarzyć. Zastanawiam się, co takiego, aż niespodziewanie ciszę przerywa ostry dźwięk. Dzwoni telefon.

White Springs, Teksas

– Co tam, kochanie?

Lorrie aż podskoczyła. Todd wyszedł na patio i stanął za jej plecami.

– Nic – powiedziała szybko. – Obserwowałam ptaka.

– Jakiego ptaka?

– Przed chwilą odleciał i schował się w krzakach.

Zapadła cisza. W milczeniu patrzyli na zniszczoną trawę w ogrodzie za domem. Wszędzie leżały porozrzucone zabawki dzieci – piłka nożna, wózek dla lalek, puste puszkę po napojach, których używał Dean do ćwiczeń w rzucaniu do celu.

Todd przykucnął za nią, położył ręce na jej ramionach. Serce dudniło Lorrie w piersiach. Już od trzech dni jej mąż był w domu. Ilekroć zjawiał się w pobliżu, sztywniała i czekała na moment, w którym odkryje, że oszczędności całego ich życia zniknęły bezpowrotnie. *Zajrzałem do internetu i zerknąłem na konto, kochanie. Chyba w banku popełnili błąd.*

Każdego ranka budziła się i przez chwilę wydawało się jej, że nawiedził ją zły sen. Ale zaraz potem następowało zderzenie z rzeczywistością. Mijały kolejne dni, a ona od rana do wieczora czuła się sparaliżowana. Przeżywała istny koszmar z powodu ukrywania prawdy przed mężem, ale wciąż nie potrafiła zdobyć się na odwagę, żeby mu ją wyznać. Po prostu nie mogła mu powiedzieć. Jedno jej zdanie, a jego życie ległoby w gruzach.

Nawet nie podejmowała próby. Między nimi powstała przepaść i tylko ona była tego świadoma. Todd ze swoją niewiedzą stał się dla niej niedostępny, a ona w osamotnieniu przeżywała męczarnie. On był jej mężem, najlepszym przyjacielem i powiernikiem. Jak mogła mu powiedzieć, co zrobiła?

Tamta strona internetowa zniknęła z dnia na dzień. Przeglądała w sieci informacje na temat oszustw internetowych i stwierdziła, że to, którego padła ofiarą, jest dość powszechne i polega na kradzieży tożsamości i innych danych. Jak mogła postąpić tak głupio? Od tamtego zdarzenia czuła się jak stara, schorowana i bezbronna kobieta, ledwie poruszająca się po własnym domu. Dzieci wprawdzie niczego nie zauważyły, ale też nigdy się jej uważnie nie przyglądały. Najwyraźniej Todd również się nie zorientował.

– Hej, skarbie. – Todd przysunął się bliżej. – Nie myślisz przypadkiem o tym samym, co mnie akurat przyszło do głowy?

Zamarła.

– To znaczy o czym?

– Właśnie pomyślałem, że dzieci wrócą do domu dopiero za godzinę. – Położył dłonie na jej piersiach. – Chodźmy na górę poćwiczyć trochę w pozycji

horyzontalnej, co ty na to?

Zawahała się.

– No, nie wiem...

– Hej, mała! – Przytulił się do niej i szeptał, dotykając ustami jej włosów.

– Pobawimy się jak dawniej, pamiętasz? Jak dzieci już spały. – Roześmiał się.

– Wtedy, kiedy Dean wparował do nas z pieluchą przy kostkach?

Jego głos dochodził do niej z daleka, jakby odbijał się echem po drugiej stronie zatoki. Lorrie czuła się rozżalona. Wcale nie z powodu wczesnego małżeństwa, ale straconego czasu w małżeństwie, które trwało od dnia ich ślubu do wtorku. Właśnie we wtorek usiadła przy komputerze i jednym kliknięciem odcięła przeszłość od terażniejszości.

– Znów masz miesięczkę? – zapytał.

Posłużyła się taką wymówką pierwszego wieczoru, kiedy chciał się z nią kochać. Teraz pokręciła głową.

– Nie, dziś nie ma takiej przeszkody – powiedziała i pomyślała, że musi zachowywać się naturalnie, bo w przeciwnym razie on zacznie podejrzewać, że dzieje się coś niedobrego.

Todd wziął ją za rękę i poprowadził na górę. Lorrie zawsze była mu wierna, ale dzisiaj, gdy zamknęła drzwi, poczuła się jak wiarołomna żona. Todd uśmiechnął się do niej i usiadł na brzegu łóżka. Pochylił się, jedną ręką zdjął podkoszulek i rzucił go na krzesło. Doskonale знаła ten gest, ta jego zwyczajność głęboko i boleśnie przeszła jej serce.

Lorrie usiadła obok męża i uniosła rękę. Zdjął jej bluzkę i przerzucił przez pokój. Był krzepki i silnie umięśniony, ciało miał mocno owłosione; dawniej żartowała sobie, że czuje się, jakby włożył na nią goryl. Leżeli obok siebie nadzy. Dziś jednak miała zamknięte oczy. Przesuwając po jego skórze palcami, na których pozostały ślady jej winy, pomyślała: W taki sposób kobiety udają – i poczuła się fatalnie.

Wsunął jej dłoń między nogi. Zesztywniała.

– Mój ty misiu pluszowy, naprawdę bardzo cię kocham.

Położył się na niej. Zdradziecko dopuściła go do siebie, ale czuła się jak nierządnicą, mrużąc i ponaglając go, starała się jak najszybciej zmierzać do końca. Ale w ten sposób jeszcze bardziej go podniecała. Opadł na poduszkę, głośno dysząc.

– No, no, skarbie. Jak ty to robisz?

Pocałowała go w czoło i usiadła. Ale on znów delikatnie przyciągnął ją do siebie.

– Lorelei, muszę cię o coś zapytać.

W jednej chwili zaschło jej w gardle. Nigdy nie nazywał jej Lorelei, chyba że sprawa była poważna.

– Tak? – szepnęła.

– Co byś powiedziała na jeszcze jedno dziecko? – Spojrzał na nią, unosząc brwi.

Zapadła cisza.

– Wielokrotnie o tym rozmawialiśmy, prawda? Już wtedy, kiedy się poznaliśmy. A Angie jest już w pierwszej klasie... no i oboje bardzo lubimy dzieci... – Wspierał się na łokciu, szukając jej wzroku. – Co o tym sądzisz, kochanie? Niedługo będziemy mieli nowy dom.

W dalszym ciągu milczała.

– Przecież zawsze tego chcieliśmy, prawda? – przekonywał.

Razem pojechali kupić Angelinie żółwia na urodziny. Ich córka była jeszcze za mała, żeby dostać zwierzaka, ale bardzo o niego prosiła. Todd uważał, że powinna mieć żywe stworzenie pod swoją opieką, a podobno żółwie, w każdym razie tak słyszał, nie sprawiają kłopotów. Lorrie miała wątpliwości, ale ostatnio we wszystkim zgadzała się z mężem. Jej tajemnica wciąż nie wyszła na jaw, więc tym bardziej starała się unikać zadrażeń i nie denerwować Todda. Tkwiąc w poczuciu winy, stała się wręcz uległa! Od kilku tygodni traktowała Todda z taką czułością, jakby był poważnie chory.

Od tamtej pory ani razu nie rozmawiali o dziecku. Powiedziała, że się zastanowi, i Todd nie naciskał. Czasem zauważyła, że na nią patrzy i unosi te swoje krzaczaste brwi, ale nigdy nic nie powiedział. Czy dopatrył się jakiejś różnicy w jej zachowaniu? Obserwowała go, swojego unięśnionego przystojniaka z groźną, żołnierską fryzurą, podczas gdy on oglądał terraria w sklepie zoologicznym Gary's Pet Center.

Grała na zwłokę. Za kilka miesięcy Todd miał znów wyjechać na służbę na Bliski Wschód. Jej mąż zupełnie nie miał głowy do papierów ani dokumentów i chociaż to on był głową rodziny, sprawy finansowe w dużej mierze pozostawił jej – ostatecznie to ona zajmowała się prowadzeniem domu w czasie jego nieobecności. A oszczędności trzymali na odrębnym rachunku. Do tej pory nie miał potrzeby sprawdzania ich stanu, a jego wyjazd z każdym dniem się przybliżał. Będzie się starała wytrwać do tego czasu, a potem się zastanowi i wszystko sobie poukłada.

Poukłada, żeby zrobić co?

– Ten brzdąc ma w nazwie „diamentowy”. – Sprzedawca wyjął żółwia z terrarium. – Proszę spojrzeć na jego pancerz i od razu będzie pan wiedział dlaczego. Jest jeszcze mały, urośnie do około piętnastu centymetrów.

Położył Toddowi żółwia na dłoni, a niewielkie stworzenie ostrożnie wysunęło głowę. Patrzyła, jak jej mąż dotyka palcem żółwiowego pyszczka. Zawsze obchodził się delikatnie ze słabszymi od siebie i między innymi za to go

kochała. Przypomniła sobie, jaki łagodny był dla dzieci, nucił im, gdy zmieniał pieluchy niezdarnymi, nieprzyzwyczajonymi do takich czynności rękoma.

Ale też potrafił wybuchnąć gniewem z zupełnie błahego powodu, na przykład gdy nie mógł znaleźć pilota do telewizora albo gdy Dean użył jego ręcznika. Lubił mieć swoje rzeczy w idealnym porządku i stanie, bardzo tego pilnował, a jeśli było inaczej, reagował złością. W jego życiu musiał panować ład. Mój dom, moja twierdza – ściśle tej zasady przestrzegał. Po powrocie z pierwszej misji w Iraku kupił pistolet, gotów odstrzelić głowę każdemu, kto śmiałby zagrozić jego rodzinie. Ostatnio w najgorszych snach Lorrie pojawiał się z bronią wycelowaną w nią.

Stała w sklepie w bezlitosnym świetle jarzeniówek. Za sobą miała całą ścianę terrariów. W jednym z nich jaszczurka próbowała wspiąć się po szklanej ścianie, przytrzymując się maleńkimi paluszkami, ale wciąż z niej spadała.

Sprzedawca, może nawet sam właściciel sklepu Gary, opowiadał o gadach.

– Niektóre z tych gatunków żyją na Ziemi od milionów lat – mówił z wyraźnym entuzjazmem. – Są tu z nami, a my możemy czuć się tak, jakbyśmy współistnieli z dinozaurami. Niesamowite, prawda?

Sprzedawca opowiadał, a Lorrie wydawało się, że popada w stan nieważkości, że uchodzi z niej życie. Dinozaury pojawiły się na świecie i z niego zniknęły, tak samo będzie z nimi, zgasną jak zdmuchnięty płomień świecy. Sześć lat temu znalazła guzek w piersi. Stała w obliczu śmierci i doznała takiego samego uczucia oddalania się od świata ludzi żyjących, izolacji i bezgranicznego osamotnienia. Teraz widziała siebie i Todda w postaci drobinek zagubionych we wszechświecie. Przez chwilę absolutnie nic się nie liczyło.

Chciałaby móc powiedzieć o swoich rozterkach Toddowi, ale on nie lubił takich rozmów. Wolał rozmawiać o konkretnych sprawach – o zabawie, dzieciach, planach dotyczących nowego domu. Ich nowego domu, który teraz rozsypał się w drobny mak.

Oczywiście, że by do niej nie strzelił. Byłby zdruzgotany i bardzo, bardzo rozgniewany. *Dlaczego nie poszłaś na policję?* I co, miała wyjść na idiotkę? Strona oszustów zniknęła bez śladu, policja nie mogłaby nic zrobić. W nocy, gdy Todd spał, zajrzała do internetu i przeczytała o podobnych przypadkach. W relacjach ofiar oszustwa znalazła pełne gorczy zwierzenia takich jak ona. Ich historie wciągały ją coraz bardziej. Żadnej z tych osób nie udało się odzyskać straconych pieniędzy.

– Weźmy parkę, kochanie – powiedziała. – Jeden będzie się czuł bardzo osamotniony.

Kupili dwa żółwie, terrarium, pompę, układ filtrujący i świetlówkę UV do umieszczenia nad wyspą, gdzie będą się *wygrzewały*. Todd narzekał, że te prezenty drogo kosztują, ale ona wciąż czuła się rozkojarzona. Co, do diabła! Było takie

angielskie powiedzenie: zwraca uwagę na drobiazgi, a lekceważy rzeczy zasadnicze.

Muszę jakoś zdobyć czterdzieści osiem tysięcy dolarów, zanim mój mąż odkryje prawdę, pomyślała. Spokojnie! Mogę na przykład zostać prostytutką! Niektórzy mężczyźni lubią kobiety o większych rozmiarach. Mogę sprzedawać narkotyki! Tyler, syn naszych sąsiadów, z pewnością by mi w tym pomógł. Mogę te pieniądze wygrać na loterii PowerBall!

– Co cię tak rozbawiło? – zapytał Todd.

– Wyobraziłam sobie minę Angie – odpowiedziała.

Gdy wyszli ze sklepu, uderzyło ich jaskrawe światło słoneczne.

Wokół samochodów stojących na parkingu przed niewielkim centrum migotało rozgrzane powietrze. Mąż Lorrie otworzył bagażnik, a ona poszła jeszcze do Hallmarku po kartkę urodzinową dla Angie. Przepęłniała ją nedorzeczną radość. Później się zastanawiała, czy ta wesołość ogarnęła ją z powodu szalonego pomysłu, który przyszedł jej do głowy.

W sklepie dostrzegła Keldę, przyjaciółkę przeglądającą kartki okolicznościowe, również żonę wojskowego, która mieszkała naprzeciwko nich. Była to potężna, niezwykle pogodna kobieta, zwykle ubrana w różowy dres. Todd nazywał ją Cukrową Pianką.

– Spójrz tylko na te słodkie kartki, kochana. – Trzymała w ręce dwie. – Jak myślisz? Którą mam wybrać? Dla siostry z St. Louis, wkrótce urodzi dziecko.

Na jednej kartce znajdowała się reprodukcja obrazu *Oczekiwanie na cud*, przedstawiającego kobietę w ciąży, na drugiej widniał napis złotymi literami: *Wyglądam jak piec kaflowy*.

– Tę z piecem? – zawahała się Lorrie.

– No coś ty? Chyba oszalałaś. Ona jest matką zastępczą.

Pimlico, Londyn

Telefonował Jeremy, mąż Bev. Wyjaśnił, że właśnie przyleciał z Afryki Zachodniej w sprawach służbowych i zostanie przez tydzień.

– Bev przekazała prezent dla ciebie – dodał. – Mógłbym wpaść któregoś dnia i ci go podrzucić?

Powiedziałam, że oczywiście, i obiecałam, że poczęstuję go kolacją. Zapytałam, który dzień najbardziej by mu odpowiadał. Jeremy zaproponował jeszcze ten wieczór. Nie był związany czasem, ponieważ właściwie nie miał już w Londynie żadnych znajomych. Od lat mieszkał za granicą, więc się wykruszyli, a poza tym chętnie się ze mną zobaczy. No i właśnie stoi w progu, wysoki, korpulentny mężczyzna znany z gromkiego śmiechu, który doskonale pamiętam.

– O mój Boże! Ależ ty wspaniale wyglądasz – zachwyca się. – Rozpromieniona i rozemocjonowana jak Irlandka zabłąkana w londyńskim metrze.

– Gotowałam. Jestem okropnie zgrzana.

Przytula mnie serdecznie. Ma zwyczaj każdego obejmować. Kiedyś byłam nawet świadkiem, jak ścisnął kelnerkę przy wyjściu z restauracji.

Ostatni raz widziałam Jeremy'ego pięć lat temu. Od tamtego czasu przybrał na wadze, ale wciąż jest atrakcyjnym mężczyzną, pogodnym i uśmiechniętym, tryskającym energią. Z dużym nosem, wydatnymi ustami i wielkimi oczekiwaniem. Pamiętam, jak dawniej jednym haustem opróżniał kieliszek za kieliszkiem, a w tej chwili z wyraźną przyjemnością wciąż nosi zapach kolacji. Ma prawie zupełnie siwe włosy, ale wciąż gęste i rozwichrzone; bardzo mu w nich do twarzy. I, zabawne, doskonale się prezentuje w koszuli z nadrukowanymi flamingami, w jakiej zazwyczaj chodzi się na plażę. Wygląda na trochę podejrzanego typka, na przykład handlarza bronią, ale Jeremy zawsze miał w sobie coś z hochsztaplera. Należy do niespokojnych, pełnych inwencji mężczyzn, którzy łatwo popadają w znudzenie, lubią wprawiać innych w zakłopotanie i bawić się ich kosztem. *Ciekawe, dlaczego lesbijki są grube i brzydkie?* Niektórzy uważają go za impertynenta, ale na mnie takie rzeczy w ogóle nie robią wrażenia. On potrafi mnie rozbawić, a niewiele powodów do śmiechu trafiało mi się w ostatnim czasie. Ciekawe, jak taki Jeremy może wytrzymać w małżeństwie z tą straszliwie nudną Bev.

– Bev przesyła ci upominek – mówi, podając mi pudełko. – Kupiła to w rezerwacie pawianów.

Siadamy przy stole w kuchni. Odpakowuję prezent przewiązany postrzępionym sznurkiem z trzeciego świata. W środku znajdują dwie drewniane obrączki do stołowych serwetek z namalowanymi małpami.

– Wiesz, jakiego ona ma bzika na punkcie zwierząt. – Jeremy wskazuje na

małpy. – Mięso tych małp jest jadalne, naprawdę. Nawet bardzo smaczne. Ani trochę nie przesadzam. W smaku przypomina naszego cietrzewia.

– Chcesz powiedzieć, że w Afryce Zachodniej powszechnie jada się cietrzewie?

Jeremy unosi brwi.

– Tylko w sezonie – odpowiada i wyjmuje z torby butelkę szampana.

– Tak czy inaczej, to bardzo miły gest z jej strony – mówię. – Jak się miewa Bev?

– Zajęta, ciągle zagoniona i zapracowana. Kobieta wulkan energii! Karmi połowę zgrai wściekłych psów i wyklóca się z tubylcami, stając w obronie ich wychudzonych osłów. Możesz sobie wyobrazić, z jakim skutkiem. – Otwiera butelkę. – Do tego dochodzi ta jej aromaterapia. W jednym z pokoi urządziła gabinet, który cieszy się sporym powodzeniem wśród pracowników organizacji pozarządowych i przynosi jej całkiem przyzwoite dochody. Ale o tym pewnie wiesz z jej listów.

Rzeczywiście, Bev pisze mi o tym od dość dawna. Kiedyś była pielęgniarką, ale zainteresowała się, a potem zajęła medycyną niekonwencjonalną, chociaż zrobiła to znacznie później niż inni. Obecnie aromaterapia straciła na znaczeniu. Wyszła już z mody. Tak jak rozsyłanie mailowych cyrkularzy.

– Miała i ma głowę do interesów – mówi Jeremy. – Na szczęście przynajmniej ona z nas dwojga...

– Przecież ty jesteś prawnikiem...

– Niestety, moja sytuacja finansowa nigdy nie przedstawiała się najlepiej.

– ...w takim ogromnym koncernie farmaceutycznym.

– Już nieaktualne.

– Co się stało?

– Opowiem ci o tym później. – Napełnia kieliszki. – Najpierw chętnie posłucham, co się dzieje u ciebie. Jak się miewasz? Gdzie twoje włosy? Fryzurę masz jak...

– Irlandka.

– Doskonale w niej wyglądasz. – Trącamy się kieliszkami. – Boże, cudownie znowu być tutaj! Tyle zieleni, żółtych kwiatów. Nie masz pojęcia, jak bardzo tęsknię za taką wiosną. – Uśmiecha się do mnie szeroko. – Ale jestem więcej niż zadowolony, że znowu cię widzę, moja droga Petro. Ciebie i ten twój dom, nasz statek bazę. Pamiętaj, nigdy go nie sprzedawaj! Obiecujesz?

Jeremy ma mnóstwo wspomnień związanych z tym miejscem, stąd jego sentyment. Wiele lat temu Bev i ja razem zajmowałyśmy mieszkanie na dole. Wtedy też poznał ją Jeremy i zakochali się w sobie. On i ten dom tworzą długą historię, dlatego czuje się z nim tak silnie związany. Od tamtej pory przyjeżdżał tu wielokrotnie, oczywiście wtedy, kiedy razem z Bev byli w Londynie. Kilka razy

mieszkali w dawnym pokoju mojej córki.

Sam jednak nigdy mnie nie odwiedzał, ale dzisiejsza sytuacja wcale nie jest niezręczna. Jeremy nie zalicza się do tych naburmuszonych Brytyjczyków, którzy gubią się we własnych uczuciach bez żony u boku. Przeciwnie, jest rozmowny i ciekawy świata. Szczególnie lubi się angażować w rozmowy na swój ulubiony temat – relacji międzyludzkich – i chętnie przy nich doprowadza się do stanu nieważkości. To jest mężczyzna w moim typie. W typie każdej kobiety. Nikt nie przepada za krzepkimi i zatwardziałymi milczkami, z wyjątkiem gejów-kulturystów.

– Jak tam twoje internetowe randki? – pyta. – Poznałaś kogoś atrakcyjnego?

Opowiadam mu o swojej ostatniej porażce i oboje dochodzimy do wniosku, że mężczyznom o imieniu Barry w żadnym razie nie można ufać.

– Spójrz tylko na siebie – mówi. – Świetna babka w najlepszych latach...

– Innymi słowy, chcesz powiedzieć, że jestem stara.

– Nie bądź śmieszna. Połowa facetów w Londynie do ciebie wzdychała.

– Otóż to: wzdychała. W tym tkwi sedno.

– Dajże spokój! Nie bądź taka przewrażliwiona. – Rozsiada się wygodnie.

– Opowiedz mi o innych. Chętnie posłucham pikantniejszych opowieści na temat burzliwych przygód miłosnych.

– Tam, za oknem, jest prawdziwa dżungla.

– W moim przypadku nawet dosłownie.

– Ze stadami cietrzewi.

Jeremy się śmieje i zapala papierosa. Jest jedynym mężczyzną spośród moich znajomych, który w dalszym ciągu pali. Ci, którzy stąd wyjechali i od dawna mieszkają za granicą, na ogół zatrzymują się w minionej epoce. To samo można powiedzieć o ich poglądach na temat własnego kraju. Dla Jeremy'ego Londyn pozostał miastem z pieszymi patrolami policyjnymi.

Dolewa szampana, a ja zabawiam go opowieściami o moim beznadziejnym życiu uczuciowym. Ktoś, kto żyje w stabilnym związku, lubi, z perspektywy swego bezpiecznego małżeństwa, słuchać o baraszkowaniu na kanapie. Nie takie znów baraszkowanie na mojej się odbywa, ale koloryzuję, żeby słyszeć ten jego gromki śmiech. Opowiadam o Alanie, którego zauważyłam w wiadomościach telewizyjnych, o facecie poznanym przez internet, który przed jedzeniem wyjął sobie sztuczne zęby; o nadwrażliwym, dotykalskim emerycie, który zapytał, czy lubię gry – przypuszczałam, że jakieś sportowe, aż kiedyś mi powiedział, o co mu naprawdę chodzi. Opowiadam Jeremy'emu o menedżerze regionalnym z Cadbury, który pokazywał mi zdjęcia swojej zmarłej żony, i o mężczyźnie, który szczegółowo mi wyjaśniał schemat instalacji elektrycznej w jego astrze vauxhall.

Przemilczam rzecz jasną moją prawdziwą sytuację – nie wspominam ani słowem o wielkich, pustych pomieszczeniach, w których echem dudni samotność,

o gorzkiej zazdrości rozpalającej się we mnie na widok małżonków spacerujących razem po parku Hampstead Heath, witających się z wnukami na stacji metra Victoria, przeglądających repertuar kina w cukierni Patisserie Valerie, przechadzających się po galerii Saatchi i komentujących żartobliwie dzieła sztuki, kupujących razem glukozaminę i statyny na receptę, szukających się wzrokiem na przyjęciach, wyjeżdżających na weekend do Lizbony, sadzających mnie na tylnym siedzeniu w swoim samochodzie, robiących każdą przekłątą rzecz razem. My, my, my. Ani o tym, jak się czuję, myśląc o zapalonych światłach, nalanych drinkach, czekającym na górze łóżku małżeńskim, w którym mogą razem otulić się kołdrą, odgrodzić od strachów czyhających w ciemności, przespać razem kolejną noc i wywieść w pole swoją nieuchronną śmierć.

To wszystko pomijam.

Skończyliśmy już szampana i otworzyłam butelkę hiszpańskiego wina z Riojy. Oboje, Jeremy i ja, mamy mocne głowy i w równym tempie opróżnimy kieliszki; twierdzi, że to jedna z moich zalet, które we mnie podziwia. Bev po jednej szklaneczce dżinu z tonikiem zaczyna chichotać i zaraz potem zasypia. Jestem ciekawa, czy zmieniłby zdanie, gdyby zobaczył mnie w mojej samotni późnym wieczorem, kiedy czepiam się poręczy, wlokąc się po schodach do łazienki na górze. Tam wlewam w siebie kilka kubków wody i spocona patrzę w lustro na oślizłego i pomarszczonego pomidora, który podobno jest moją twarzą.

Jeremy krąży po kuchni, bierze do ręki różne przedmioty i odstawia je z powrotem. Na nowo zaznajamia się z tym miejscem. Jest piękny wieczór. Przez okno jeszcze zagląda słońce, a w jego promieniach połyskują garnki wiszące nad kuchenką. Przyjemnie mi tutaj w jego towarzystwie, gdy tak od niechcenia wrzuca sobie do ust winogrona i ogląda fotografie pozatykane wokół ramy obrazu.

– Dobry Boże! Jack ma dziecko?

Kiwam głową.

– Tak, jestem babcią. Babcią przez Skype’a.

– Szczęściara!

Jeremy i Bev nie mają dzieci. Według Bev tradycyjna rodzina nie komponuje się z wędrownym trybem życia. „Powieм szczerze, żadne z nas nie chce mieć dzieci”, wyznała mi kiedyś. „Pewnie zabrzmiało to egoistycznie, ale naprawdę doskonale się czujemy we własnym towarzystwie i do pełni szczęścia wcale nie są nam potrzebne dzieci”.

Doskonale się czujemy we własnym towarzystwie. Ta kobieta ma skórę nosorożca. Zawsze tak było. Bev i ja chodziłyśmy razem do szkoły. Pamiętam, co wyprawiała w toalecie, kiedy miałyśmy po trzynaście lat. Ja miałam czoło i brodę w pryszczach, ale to ona wpatrywała się roztrzęsiona w swoje odbicie w lustrze, marszcząc brwi, i jeśli tylko wypatrzyła maleńką plamkę na policzku, od razu podnosiła lament: „Tfu, zobacz, jakie mi się zrobiło paskudztwo!” – krzyczała.

„Ale ohyda! Co ja mam teraz zrobić? Tfu!”

Jeremy jest tradycyjny. Należy do mężczyzn, dla których posiłek musi się składać z mięsa i ziemniaków. Przygotowałam więc pieczeń z jagnięcego udźca, kupionego w supermarkecie sieci Waitrose, który udając lokalny sklep, sprytnie przyczaił się na niewielkiej ulicy i doprowadził do upadku prawdziwy lokalny sklepik, gdzie pogodni sprzedawcy, chyba jako ostatni z żyjących na Ziemi ludzi, zwracali się do mnie „kochana”. Zachwiałam się lekko. Otworzyłam paczkę mrożonego groszku i jej zawartość wsypałam do rondla.

– Wiesz, jak długo powinien się gotować? – pyta Jeremy. – Tyle, ile trwa piosenka *I Can't Get No Satisfaction*. W każdym razie my tak odliczamy czas.

W jednej chwili ulatnia się mój dobry nastrój. Zalewa mnie tak silna fala mrocznej i gorzkiej zazdrości, że tracę oddech. Jeremy i Bev, którzy wspólnie krzątają się po swojej kuchni w tropikalnym upale i głośno śpiewają piosenkę Stonesów. Nie mogę tego znieść. Nie mogę tego znieść!

– Stanowczo za długo – mówię ostro. – Po takim czasie będzie rozgotowany.

Wcale nie chcę mieć Jeremy'ego dla siebie, oczywiście, że nie. Ja tylko całym sercem tęsknię za takimi głupstewkami. Za trzydziestoma pięcioma latami żartobliwych pogawędek i wesołości z mężczyzną, którego kocham. Czym Bev sobie na to zasłużyła? Ona nie jest ani szczególnie urodziwa, ani szczególnie mądra, ani nawet szczególnie sympatyczna.

Najwidoczniej wszystko zależy od szczęścia. Szczęścia i czasu. Kobieta w młodości jest jak śliwka dojrzewająca na gałęzi. Mnie z drzewa strząsnął Paul, facet, który nigdy nie śpiewał podczas gotowania, nigdy nie dostrzegł moich włosów. Właściwie w ogóle nie wypowiadał się na mój temat. Z upływem lat czułam, że blaknę jak druk na papierze faksowym. W skrajnej rozpacz domagałam się od niego komplementów. Kiedyś, stojąc już na krawędzi przepaści, zapytałam go: *Nie jesteś zachwycony, że ożeniłeś się z kobietą o takich szczupłych udach?* Upokarzające! Nic dziwnego, że wyglądał na zaskoczonego. Pod koniec małżeństwa niewiele mi brakowało do obłędu.

Porozumienie. Za nim tęskniłam. Paul był dobrym kochankiem, przystojnym mężczyzną, którego ładne ciało harmonijnie porozumiewało się z moim – taki miał sposób na wyrażanie uczuć. Ale niewypowiedziane słowa nieustannie krążyły wokół mojej głowy – nie znajdowały miejsca, w którym mogłyby osiąść, więc umierały miliony razy. Aż ostatecznie, ponieważ nie natrafiły na uszy, które chciałyby je usłyszeć, bezpowrotnie zniknęły.

Paul spędził wiele lat na drabinie, przywracając dawną świetność sztukateriom. Za pomocą dłuta, niewielkiego, twardego pędzla i urządzenia przypominającego maszynę parową, które ciągle się psuło, w milczeniu mozolnie usuwał kolejne warstwy farby. Nikt nie miał prawa się do niego odzywać, nie wolno mu było przeszkadzać. Kiedy nasze małżeństwo się rozpadło, spoglądałam

w górę na gipsowe ornamenty: liście akantu i misterne ślimacznice, i myślałam, że każdy ich centymetr był przemilczanym fragmentem nieodbytej rozmowy. Zadawałam sobie pytanie, komu, do diabła, są potrzebne sztukaterie. Czasem zastanawiałam się, czy ze swoimi kochankami rozmawiał więcej niż ze mną. Byłam bardziej zazdrosna o rozmowę niż o seks.

Siadamy z Jeremym do stołu.

– Jakie masz plany na najbliższy tydzień? – pytam.

– Muszę odbyć parę spotkań. Kupić kilka rzeczy, pojechać do mojej wiekowej mamy do Marlborough. Koniecznie muszę nadrobić zaległości w kulturze, cholernie brakuje mi z nią kontaktu. Ilekroć oglądam *Ocean's Eleven* na DVD, zawsze czuję ucisk w gardle. Ty jesteś w tych sprawach na bieżąco. Podpowiedz, co warto zobaczyć.

Okazuje się, że nigdy nie był w Tate Modern, muzeum sztuki nowoczesnej. Akurat nie miałam zbyt wiele pracy, więc umówiliśmy się na jutrzejsze popołudnie.

Rejon Afryki Zachodniej, w którym mieszka Jeremy, nazywam Ngotolandią. Wymyśliłam też inną nazwę dla jego miasta. Dla bezpieczeństwa. Mam nadzieję, że te środki ostrożności nie będą potrzebne. Inną nazwę nadałam też jego firmie farmaceutycznej.

Do niedawna w niej pracował, ale stamtąd odszedł.

Wspominałam już, że Jeremy ma w sobie coś z hochsztaplera. Ta jego cecha dodaje mu uroku. Lubi żeglować ostro na wiatr, wtedy się mobilizuje. Bev nazywa go urwisem, ale moim zdaniem to zbyt delikatne określenie. On jest lekkomyślny i impulsywny, dużo pije. Przypomina mi się pewne zdarzenie z Kuala Lumpur, jeszcze z czasów, kiedy tam pracował. Chodziło o jakiś wypadek drogowy, po pewnym czasie całą sprawę wyciszono. Zawsze był niezrównoważonym i brawurowym kierowcą. W latach naszej młodości miał triumpha staga i jeździliśmy nim z balangi na balangę. Bev i ja wrzeszczałyśmy wniebogłosy, gdy Jeremy pędził w nocy z wyłączonymi światłami po Fulham Road. Gdyby żył wcześniej, z pewnością jako poszukiwacz przygód próbowałby zbić fortunę w czasie gorączki złota albo w przebraniu Pasztuna i z biegłą znajomością języka tubylców ruszyłby walczyć w Północno-Zachodniej Prowincji Pogranicznej. Niektórzy ludzie przychodzą na świat w nieodpowiednim czasie i on bez wątpienia się do nich zalicza. Oczywiście wszędzie pełno jest lekkomyślnych facetów, między innymi właśnie tacy doprowadzili naszą gospodarkę do ruiny, ale zupełnie nie wyobrażam sobie Jeremy'ego na parkiecie w Lehman Brothers. On jest indywidualistą, autsajderem. Samotnym jeźdźcem.

Dlatego byłam zdumiona, że przez tyle lat pracował dla korporacyjnego giganta, jakim jest Zonac. Okazuje się, że z tym koncernem farmaceutycznym

związany był umową, ale pracował na własny rachunek jako specjalista w moralnie wątpliwej dziedzinie rozstrzygania sporów.

Właśnie te sprawy zawodowe zawiodły go do Afryki Zachodniej.

Siedzimy w kawiarni przed Tate Modern, słońce ogrzewa nam twarze. Jemy do spółki kawałek ciasta marchewkowego. Zastępy turystów przetaczają się przez drzwi wejściowe do muzeum; do środka została właśnie wchłonięta grupka poszturchujących się uczniów. W taki piękny dzień nawet nie chce nam się myśleć o zwiedzaniu. Do diabła z nim, dajmy sobie spokój, korzystajmy z okazji i cieszymy się swobodą jak wagarowicze. Wspólnie doszliśmy do takiego wniosku. Jest tak ciepło, że Jeremy ubrał się w koszulę z krótkimi rękawami – tym razem w paski, bo wcześniej był na spotkaniu. Ja mam na sobie T-shirt. Z rozkoszą wygrzewam się na słońcu, a on opowiada mi o wydarzeniach w Ngotolandii.

Opowieść dotyczy tamtejszego plemienia Kikanda. Z jego relacji wynika, że jest to plemię łowców i zbieraczy żyjących głęboko w buszu. Jeszcze do niedawna wierni byli zwyczajom, których tradycja sięga epoki kamienia łupanego. Wiodą koczowniczy tryb życia. Mężczyźni znikają na wiele tygodni, polują na zwierzęta za pomocą zatrutych strzał, kobiety natomiast zbierają orzechy i owoce. Członkowie Kikanda porozumiewają się językiem składającym się z odgłosów mlaskania i gwizdania.

Wiadomo też, że podczas polowań mężczyźni żują roślinę o nazwie *kar*, która ma właściwości hamujące łaknienie. Jest sukulentem występującym wyłącznie na terenach należących do tego plemienia, bogatym w witaminy i minerały. Prawdopodobnie oddziałuje na komórki mózgowie w sposób podobny do glukozy, czyli sygnalizuje stan sytości.

– Roślina zawiera związek o nazwie P57 – wyjaśnia Jeremy. – Wywiera on wpływ na podwzgórze, część mózgu odpowiedzialną za kierowanie pobieraniem pokarmu.

Od rzeki odgradza nas rząd srebrzystych brzoź.

Słyszymy dobiegające zza drzew ciche dźwięki muzyki ulicznego grajka.

– Ktoś z koncertu Zonac – mówi Jeremy – dowiedział się o tej roślinie. Mniej więcej pięć lat temu koncert uzyskał licencję na jej pozyskiwanie i prawo do sprzedaży w Ameryce.

– Ale po co?

– Ponieważ ta roślina tłumi głód. Rozumiesz, na czym cała rzecz polega?! Wszyscy rozdęci jak balony ludzie, którzy ledwie się toczą, są uzależnieni od jedzenia. Śmieciowego jedzenia, które wywołuje coraz większy apetyt na ten rodzaj pożywienia. Aż tu nagle pojawia się rozwiązanie – prosty i szybki sposób na powstrzymanie głodu. Wystarczy kilka kapsułek dziennie... Mamy cudowne lekarstwo. Wyobrażasz sobie, jak jest rozchwytywane? Cena akcji Zonacu sięgnęła zenitu. – Podaje mi na swoim widelcu ostatni kęs ciasta. Kręcę głową, a on wkłada

go sobie do ust. – Dopiero wtedy członkowie plemienia Kikanda zorientowali się, co się dzieje. Pozwali Zonac, a przedstawiciele koncernu oświadczyli, że z informacji, którymi dysponują, jasno wynika, że plemię przestało istnieć. Buszmeni odpowiedzieli, że nic podobnego, że ich plemię wcale nie wymarło, przeciwnie – bardzo się rozrosło. Stanowczo twierdzili, że *kar* rośnie na ziemi ich przodków, że roślina należy do nich i że wynajmą najlepszego prawnika z Johannesburga, i wytoczą sprawę sądową koncernowi za naruszenie ich terytorium i biopiractwo. I wtedy zjawiłem się ja.

– Żeby działać w imieniu Zonacu?

Jeremy kiwa głową.

– Przeciwno bezbronnym, żyjącym w ubóstwie, wyjątkowym i zagrożonym ludziom, którzy nie mieli absolutnie nic?

– Tak.

Zbiera okruchy z talerza. Obserwuję, jak oblizuje palec.

– Podły łajdak!

Pali mnie twarz. Czuję się dziwnie ożywiona w towarzystwie Jeremy'ego.

– Pojedynek Dawida z przeklętym Goliatem. Podejrzywałam, że wdałeś się w jakieś ciemne sprawy, choć starałam się zachować resztki nadziei, że jednak się mylę. No dalej, powiedz mi, że po prostu wykonywałeś swoją pracę.

– Postęp zawsze pociąga za sobą ofiary – mówi spokojnie Jeremy. Odchyła się do tyłu i opiera na krześle. – Na pierwszy rzut idą szczury doświadczalne, po nich przychodzi kolej na innych. Ratowanie życia wiąże się z odbieraniem życia.

– Co za bzdury! Ty nikomu nie ratujesz życia, tylko wciskasz coś nieświadomym ludziom, którzy za dużo jedzą.

– Rzecz w tym, moja droga Petro, że plemię Kikanda i tak jest skazane na zagładę. Nie ma dla nich przyszłości przy ich dotychczasowym trybie życia.

– Zapala papierosa. – Jeśli nie wykończy ich jedno, to znajdzie się coś innego. Wokół ich terenów aż się roi od Chińczyków, którzy zbierają łupy w postaci minerałów. Grasują kłusownicy, którzy wybijają dzikie zwierzęta, krążą arabscy szejkwowie, którzy wzniecają ogień na szlakach wędrowek, zagarniają ziemię i urządzają sobie polowania. Każdy przekupuje każdego, rządy są przesiąknięte korupcją, na całym tym obszarze trwa jedna wielka grabież.

W oddali, za drzewami, rozległ się odgłos bębnow. Perkusiści zaczęli grać w rytmie muzyki z afrykańskiej dżungli. Ogarnia mnie przygnębienie.

– To cię w żadnym razie nie usprawiedliwia.

– Nie, oczywiście, że nie. Dlatego zrezygnowałem z tej pracy.

– Co takiego?

Opowiada, jak do tego doszło.

Nie był to moment uchwycony na obrazie Caravaggia *Nawrócenie w drodze do Damaszku*.

– Decyzję podjąłem podczas golenia – mówi Jeremy. – Był zwykły ranek, najzwyklejszy pod słońcem! – Unosi brwi. – Pewnie już zauważyłaś, że wielkie rzeczy najczęściej się zdarzają w najbardziej banalnej chwili?

Kiwam głową. Wiatr porywa moją serwetkę.

– Zanim skończyłem się golić, prawnik ulotnił się ze mnie jak ta serwetka ze stołu.

– I co zrobiłeś?

– Nie podjąłem się tej pracy. Powiedziałem im, żeby poszli do diabła!

Nie spuszczam z niego wzroku.

– Miałem trochę zaoszczędzonych pieniędzy. Przez lata nawet sporo się ich nagromadziło. Nie kupiliśmy domu, nie zainwestowaliśmy oszczędności w nic równie sensownego, a ja zarabiałem zupełnie przyzwoicie. Założyłem więc niewielką organizację pozarządową, żeby pomagać plemieniu Kikanda. Ściągnąłem parę innych osób, przeprowadziłem kilka kampanii i zebrałem dodatkowe fundusze. Budujemy niewielki obiekt, w którym będzie klinika i szkoła. Otrzymaliśmy dotację na zakup ciągników, więc ci z Kikanda będą mogli uprawiać ziemię, siał i zbierać własne plony – opowiada z coraz większym ożywieniem w głosie. – Wiem, kończy się era ich tradycyjnego życia, ale oni muszą się dostosować do nowych warunków, inaczej nie uda im się przetrwać. Współpracują z nami, mówią nam o swoich potrzebach i nabywają nowe umiejętności. – Śmieje się. – Historyjka o przemianie kłusownika w gajowego. Nie uważasz?

Wizerunek Jeremy'ego zmienia się w moich oczach. Przed chwilą go atakowałam, a teraz słucham z uwagą i mowę mi odbiera z zachwytu. Pod wpływem tej gwałtownej przemiany emocjonalnej mam ochotę go uściskać. Tak jak pasażer w samolocie po ustaniu turbulencji nagle czuje się bliżej związany z nieznanym, który siedzi na miejscu obok.

Nie, Jeremy w żadnym razie nie jest dla mnie kimś obcym, oczywiście, że nie. Chodzi o to, że do tej pory w zasadzie nie miałam okazji przebywać z nim sam na sam. To z Bev przyjaźnię się od dawna, znam ją na wylot, a Jeremy'ego pobieżnie, tylko jako kogoś, kto dla mnie odgrywa drugoplanową rolę jej męża.

– Dlaczego Bev nie wspomniała o tym w swoich mailach? – pytam.

– Sytuacja z koncernem Zonac przedstawia się dość niepewnie, naruszenie warunków umowy i tak dalej. Wymiana korespondencji trwa w dalszym ciągu. W grę wchodzi gigantyczne interesy tych, którzy chcieliby wypędzić Kikanda. Historia jak z *Jądra ciemności*, która dzieje się naprawdę. Gdyby świat wiedział, co się wyrabia w Afryce... – Wzrusza ramionami. – Nikomu nie jest tam potrzebne plemię tubylców wyedukowane i świadome swoich praw. Nie spotykamy się więc z sympatią.

W oddali lśni w słońcu kopuła katedry św. Pawła. Wydaje się, że siedzimy tu już ładnych kilka godzin. Zmieniają się goście przy innych stolikach, przychodzą

i odchodzą; ucichły odgłosy bębnow dobiegające zza brzoź.

– Ty owszem – mówię i oboje śmiejemy się z tego niedorzecznego spostrzeżenia.

Żadne z nas nie ma planów na wieczór, więc Jeremy proponuje, żebyśmy poszli razem na kolację. Pytam, jaka restauracja by mu odpowiadała, a on odpowiada:

– Upadająca. Żadne kulinarne fanaberie mnie nie interesują. Najchętniej wybrałbym się do knajpy ze znużonymi, podstarzałymi kelnerami w poplamionych fartuchach, takiej, gdzie na przystawkę serwują grejpfruta z puszkii...

– ...nie bądź śmieszny, nikt już nie podaje grejpfruta z konserwy...

– ...z cienkimi tostami.

– Ostatnim miejscem, w którym mieli takie tosty, była restauracja Beotys przy St. Martin's Lane, zamknięta mniej więcej osiemset lat temu.

– Znajdziemy taką, o jaką mi chodzi. Jestem pewien.

Przechodzimy przez most Warterloo.

– Nonsens. Idę o zakład, że nic z tego nie będzie.

– Stawiam dwa funty.

– W porządku, przyjmuję.

Przystajemy, podajemy sobie ręce i przecinamy zakład. Jeremy mówi, że tęskni za czasami swojej młodości, dlatego tak bardzo chce znaleźć restaurację z dawnych lat. Uważa, że mieszkanie poza rodzinnym krajem każdego wyłącza z normalnego procesu dojrzewania. Przekonał się na własnym przykładzie, a ja podzielałam jego zdanie. Czas się zatrzymał. Czuje się całkowicie zagubiony, kiedy przyjeżdża do Anglii, i kurczowo trzyma się solidnych, dawniej cenionych wartości. W jego przypadku z bardzo odległej przeszłości. Z naszego dzieciństwa.

– Przygnębiające i godne współczucia – mówię.

– Wiem, ale ty masz obowiązek mnie zabawić, ponieważ jestem gościem.

Dotarliśmy do Covent Garden. Wieczór jest fantastyczny, kojący, niemal odurzający. Bardzo rzadko takie się zdarzają o tej porze roku.

– Aaach! – wzdycha Jeremy. – *Przyjemna noc po trzykroć pożądana, by sen rozwiązał członki*, według Homera.

– Tak napisał?

– Nie, ale mógł napisać.

Jeremy jest oczywiście przyzwyczajony do wysokich temperatur. W Afryce towarzyszy im wysoka wilgotność powietrza. Duszny upał wyciska z człowieka pot w dzień i w nocy. Tak mówi. Tutaj, w dobrym, starym Londynie, powietrze – jeśli nie brać pod uwagę spalin – jest świeże i ożywcze dla przybysza z tropików. Oddycha głęboko, wciąga powietrze w płuca, jakby chciał zmagazynować tlen i zachować go na przyszłość; mieć na zapas, gdy stąd wyjedzie.

Wydaje się, że cały świat wyszedł na ulice. Widzę wiekowe pary – mężów i żony – spacerujące ramię w ramię; małżeństwa, które kiedyś wywoływały we mnie ból samotności. Dziś wieczorem my stanowimy jedną z takich par. Przechadzamy się, zatrzymujemy przy restauracjach i sprawdzamy karty dań. W „Orso”: gnocchi z orzechami włoskimi, caponata z grillowaną sałatą radicchio.

– Gnojki – jęczy Jeremy.

Idziemy dalej. Tym razem przystajemy przy wejściu do „La Cocotte”. Smażony tuńczyk ze szczawiowym veloute i dzikimi morelami.

– Beznadziejne – wyrzekam. – Wszystko na jedną modłę. – Najlepiej wypłać mi już teraz te dwa funty.

Jeremy nie daje za wygraną. Kręci głową i idzie dalej. Wchodzimy w boczną uliczkę i nagle znajdujemy takie miejsce, jakiego szukaliśmy – restaurację „Frederico’s”. Migoczący neon, przybrudzone bawełniane zasłonki w kratkę i menu niezmieniane od kilkudziesięciu lat: spaghetti bolognese, carbonara spaghetti, spaghetti vongole. Zaglądamy przez okno. Rozczochrany kelner stoi w mroku niczym figura woskowa. Nic dziwnego, że w środku nie ma ani jednego gościa.

Jeremy bierze mnie pod rękę.

– Zapraszam do stołu.

Wchodzimy odważnie.

Kelner staje na baczność. Rozkłada nam serwetki na kolanach i podaje dwie karty dań. Mają popękane plastikowe okładki. Oddała się, kuśtykając, a wtedy ja szperam w torebce i wypłacam Jeremy’emu dwa funty. Rozgląda się, zadowolony z siebie.

– Dość wysokie miejsce na liście upadających restauracji, nie sądzisz?

– Moim zdaniem nie ma sobie równych.

Siedzimy więc w knajpie, w której czas się zatrzymał, jemy spaghetti lekko przyprószone parmezanem, suszonym z pudełka z dziurkami. Nie mają tu tradycyjnych cienkich tostów, ale są za to dawno zapomniane batoniki chlebowe. Oboje jesteśmy w doskonałym humorze; atmosfera tego okropnego miejsca tak bardzo nas bawi, że wciąż się śmiejemy. Przypominamy sobie dni z naszych młodości lat, spędzone w restauracjach takich jak ta, gdzie gości być może obsługiwał ten sam kelner.

– To były czasy! – rozczuła się Jeremy. – Można było zjeść wystawną kolację za pięć szylingów.

– Ha! To jeszcze nic. Można było dostać butelkę wina Mateus Rosé, zapłacić za aborcję, dom w Scunthorpe i ze stu funtów zostałyby jeszcze trochę drobnych.

Z sentymentem przywołujemy w pamięci dawne czasy, łazienki z wyposażeniem w kolorze awokado i inne typowe cechy stylu z tamtego okresu.

– Gdzie się podziały zestawy do fondue i cegły do przyciskania kurczaka na

grillu? – pyta Jeremy.

– A pomarańczowe emaliowane dzbanki do kawy, o które tak łatwo można było poparzyć sobie palce?

– Pamiętasz butelkę hirondelle, którą się nosiło z balangi na balangę, bo nikt tego paskudztwa nie chciał pić?

– I ten twój triumf stag.

– Ach, mój triumf stag – wspomina z rozrzewnieniem.

– Telefony komórkowe wielkie jak cegły.

– No i Cliff Michelmore.

Wybuchła tym swoim grzmiącym śmiechem. Potem patrzy na mnie, bierze głęboki oddech i po namyśle mówi piękną rzecz:

– Coś ci powiem... Faceci, którzy uganiają się za znacznie młodszymi kobietami, chyba postradali rozum. Oni przecież nie mają najmniejszych szans na taką pogawędkę jak nasza. Pewnie się czują cholernie samotni.

Wcale nie muszę dodawać, że też tak uważam.

– Muszą się wypowiadać w sprawie zespołów muzycznych, o których nawet nie słyszeli.

– I punkowcach.

– Od tamtej pory minęło tyle lat. Ni mniej, ni więcej kilkadziesiąt.

– To prawda. – Wzdycha. – Najgorsze jest to, że taki facet musi udawać zainteresowanie.

– Biedny drań.

– Jezu, oczywiście, że tak. Od razu boli mnie głowa, jak tylko o tym pomyślę.

– A one w dodatku chcą mieć dzieci.

Kiwa głową.

– I ten nieborak musi udawać, że też chce.

– Ani się obejrzy, a z bólem w kolanie pcha podwójny wózek po Aldim z dwoma wrzeszczącymi bachorami i zastanawia się, czy rzeczywiście jemu, takiemu młodemu przystojniakowi z pięknie ukształtowanym ciałem, warto się było w to wikłać.

Jeremy przechyla głowę i myśli.

– Powiedzmy, że brzmi to dość atrakcyjnie.

– Wiesz co, lepiej się zamknij.

– Ale, ale! Co to jest Aldi?

– Widzisz? Wszystko na nic, bo kompletnie straciłeś kontakt z rzeczywistością.

Ostatecznie Jeremy zgadza się ze mną, gdy pochylamy się nad talerzami spaghetti w tej ponurej, dogorywającej restauracji. Wsunął sobie serwetkę za kołnierzyk koszuli jak śliniak – przy jego sposobie jedzenia jest rzeczywiście

nieodzowny. Mówię mu, że wygląda jak podstarzałe niemowlę. Moje spostrzeżenie prowadzi do wymiany zdań na temat infantylizmu w ogóle, a następnie w zupełnie naturalny sposób przechodzimy do rozmowy o klubach dla dżentelmenów i urokach przedszkolnego jedzenia. Mamy odmienne poglądy na temat budyniu. Dyskusja o mlecznych deserach prowadzi do krów jako takich, a w nawiązaniu do nich opowiadam mu o wybuchu metanu w Lincolnshire. Moja opowieść bardzo mu się podoba. Od relacji z tego zdarzenia przechodzimy do polemiki na temat brodatych mężczyzn, wytaczamy argumenty za lub przeciw (ostatecznie oboje jesteśmy przeciw), a potem z jakiegoś powodu przenosimy się na temat drukarek i zastanawiamy, dlaczego zawsze zacina się w nich papier. Wkrótce rozwija się między nami gorąca dyskusja o dużych i małych psach, w której on zażarcie opowiada się za rasą Jack Russell. Niewiele nam brakuje do awantury.

Jeremy dolewa mi chianti – aż trudno uwierzyć – z butelki oplecionej rafią, takiej jak kiedyś robiło się kłosze do lamp. Myślę sobie, że jemy tu prawdopodobnie najgorszy posiłek na West Endzie, ale założę się, że w innej restauracji trudno byłoby o lepszą zabawę, niż mamy tutaj.

Tej nocy po raz pierwszy od wielu miesięcy śpię doskonale. Kiedy się budzę, słońce wpada już przez żaluzje do pokoju. Na szaro-zielonych ścianach, pomalowanych przez mojego byłego męża, w kilku miejscach wystąpiły plamy wodne po deszczu, który wlewał się do środka. Malowanie zrobił bardzo dawno temu, nasz syn był wtedy jeszcze przed mutacją. Pamiętam, jak wołał do swego ojca, który jak zwykle stał wysoko na drabinie. Rozglądam się dookoła i uświadamiam sobie, że komuś z zewnątrz ten dom może się wydawać zapyziałą norą starszej pani. Wiem, muszę coś zrobić ze swoim życiem – wyremontować dom, przeprowadzić się na wieś, przenieść do Hiszpanii, zamieszkać w Seattle i być wścibską babcią. Poderwać faceta w pralni chemicznej i zostać obowiązkową żoną muzułmanina. Dopiero dostarczyłabym moim przyjaciołom tematu do rozmów! Zbyt wiele lat poddawałam się żalostnej bezwolności.

Dziś rano czuję się ożywiona. Wyprostowuję pod koldrą nogi „ze szczupłymi udami”. Całe moje ciało wypełniła energia, tlen krąży w żyłach. Umysł pracuje, aż szumi. Przypomniała mi się historia, o której czytałam kilka dni temu w dzienniku – na temat wyścigów chartów. Podobno zamykają stadiony w Londynie – Catford, Wembley, Walthamstow. Jednym z powodów jest nosówka, w związku z nią psy nie mogą biegać po torach, ponieważ mogą roznosić chorobę. Dlatego zapadła decyzja o likwidacji torów wyścigowych i budowie na ich miejscu luksusowych mieszkań.

Rozmowa na temat plemienia Kikanda i korupcji skłoniła mnie do pewnych rozważań nad uczciwością weterynarzy. Nieuczciwi mogą być przecież w zмовie z inwestorami budowlanymi, postawić niewłaściwą diagnozę i mieć udział

w zyskach. Przedstawię tę teorię Jeremy'emu. Ciekawa jestem, jaka będzie jego reakcja. Mamy się spotkać po południu i iść na zakupy.

– Czy ja rzeczywiście wyglądam na handlarza bronią?

Kiwam głową.

– Podejrzany Rosjanin na wakacjach nad Morzem Czarnym.

Ma na sobie kolejną krzykliwą koszulę, tym razem w palmy.

– Bev stwierdziła, że ta koszula jest trochę jarmarczna. Kupiłem ją na wyspie Penang, kiedy mieszkaliśmy w Kuala Lumpur.

– Uważam, że powinieneś zmienić styl i nosić się jak faceci w wygniecionych lnianych ubraniach z powieści Grahama Greene'a, bywalcy podłych barów w tropikach.

– Czyli w niczym nieprzypominający szemranych typków – żartuje Jeremy.

– Niech ci będzie, szemranych, ale...

– Lepiej przedstawionych.

Spotkaliśmy się w holu hotelu, w którym zatrzymał się Jeremy, bardzo blisko Bayswater Road. Mam zamiar zaprowadzić go do Uniqlo, domu handlowego, o którym z całą pewnością nie słyszał, i pomóc mu w zakupach.

Wychodzimy na ulicę. Jest kolejny wspaniały dzień. Mamy najcieplejszy kwiecień od lat. Wzdłuż chodnika stoją samochody z napędem na cztery koła i przyciemnionymi szybami, silniki pracują. Ich pasażerowie, żony szejków z twarzami zasłoniętymi aż po gałki oczne i ich dzieci, siedzą w Hyde Parku, mają tam piknik. Jeremy stwierdza, że terazniejszy Londyn wydaje mu się zupełnie obcym miastem. Tym spostrzeżeniem wywołuje we mnie poczucie wyższości. Mijają nas dziewczyny w lekkich, letnich sukienkach, rozmawiają przez telefony komórkowe. Mówi, że w Afryce wszyscy mają telefony komórkowe, że odmieniły one życie ludzi. Ilekroć z jego ust pada słowo „Afryka”, głos mu łagodnieje. Najwyraźniej kocha to miejsce. Opowiada, że buszmeni z plemion żyjących w zakątkach najbardziej oddalonych od cywilizacji, nawet kiedy pędzą bydło, nie rozstają się z telefonami, bo muszą na bieżąco znać wyniki rozgrywek piłkarskich. Mówi, że w każdym miasteczku w dzień targowy siedzi w specjalnej budce jej właściciel i przyjmuje do ładowania telefony komórkowe, ponieważ do wielu wsi nie doprowadzono jeszcze prądu.

Nagle zatęskniłam za Afryką. Byłam tam tylko raz, na safari w Kenii, gdy nasze dzieci były małe. Masajowie tańczyli dla nas przy trzaskach migawek aparatów fotograficznych; w ich twarzach widziałam dumę i pogardę jednocześnie. Mój mąż stracił wtedy doskonałą okazję na wyjątkowe zdjęcie. W pewnej chwili zauważyliśmy lwa, ale akurat wyczerpała się bateria w aparacie, więc po Kenii donośnym echem rozniosły się jego przekleństwa.

Trzaskają migawki aparatów, buszmeni z Kikanda mlaszczą i gwizdzą. Mój

mąż nigdy nie gwizdał, stojąc na drabinie. Na czym polega tajemnica tych łowców i zbieraczy, którzy nie mieli sztukaterii do odrestaurowania? Czego zabrakło nam, Paulowi i mnie, przez te wspólne lata? Dlaczego szczęście się ulotniło? Przecież przez jakiś czas bardzo dobrze się nam układało.

Przyszedliśmy z Jeremym do Uniqló. Jak żona trzymam przed nim uniesioną koszulę, a on ją ogląda. Wybiera niebieską i czerwoną. Nie wiadomo, dlaczego stał się nagle dziwnie milczący. Jestem ciekawa, czy zastanawia się, o czym ja myślę, występując u jego boku w charakterze żony. Być może brakuje mu Bev, która towarzyszyła mu w podobnych sytuacjach pewnie z tysiąc razy. Drobną, dziewczęcą Bev z perlistym śmiechem i lśniąco-ciemnymi, kasztanowymi włosami.

Oświetlenie w sklepie jest bezlitosne. Spoglądam na własne odbicie w lustrze, swoją wysoką i chudą postać. Twarz mam wyblakłą. Nikt nie uprzedza w wywodach na temat starości, że odbiera ona koloryt, że twarz stopniowo staje się bezbarwna i wygląda jak z autoportretu wykonanego techniką akwaforty. Drobną siateczką zmarszczek dodatkowo robi swoje. Jak zestarzała się Bev? Nie widziałam jej od wielu lat. Na niezliczonych zdjęciach, które zamieszcza na Facebooku, wygląda tak samo jak dawniej. Bardzo się od siebie różnimy – ona jest niska, ma kształtną, kobiecą sylwetkę, ja natomiast jestem wysoka i chuda. Ktoś kiedyś nas porównał do pieska chihuahua i charta zmieszanego z owczarkiem szkockim.

Jeremy kupuje koszulę i wracamy do pogawędki.

Przyszła kolej na program *The News Quiz*, który każde z nas obowiązkowo ogląda, tylko na innym kontynencie. Przechodzimy następnie do rozmowy o japońskim jedzeniu. Jeremy, który mieszkał w Japonii, się nim zachwyca. Ja z kolei uważam, że japońskie restauracje są sterylne, beżowe i z przygnębiająco uprzejmą obsługą.

– Czy ktoś uprawia seks po japońskim posiłku?

– Zapewne Japończycy.

Opuszczamy czyściec, czyli Oxford Street, i spacerem przechodzimy przez Soho. Jeremy rano był na spotkaniu w sprawie dotacji, ale do wieczora jest wolny, więc zapraszam go na herbatę do mojej ulubionej cukierni, Maison Bertaux. Wiem, że powinnam pracować nad książką o Pradze, ale on przyjechał tylko na kilka dni i niegrzecznie byłoby siedzieć przy komputerze. Wagarowanie wchodzi mi w nawyk.

W milczeniu przemierzamy Dean Street.

Przez ostatnie kilka dni spędziliśmy ze sobą tyle czasu, że rozmowa między nami jak między parą małżonków to cichnie, to znów się ożywia. Moje codzienne życie nie płynie w taki sposób. Ono się toczy zrywami. Znajomi przychodzą i odchodzą – wspólny posiłek, wyjście do kina – a potem znów następuje przerwa i ciągnie się do kolejnego spotkania. Tak wygląda życie w mieście osoby, która mieszka sama. Nie ma w nim ciągłości, nie da się nadać mu określonego rytmu,

jeśli się nie ma nikogo bliskiego. Uświadamiam sobie, jak bardzo mi kogoś takiego brakuje.

– Dobry Boże, ci wszyscy tutaj to cioty!

– Hej! – Szturcham go łokciem. – Spróbuj dogonić rzeczywistość.

Jeremy jest zdumiony zmianami w Soho. Nie był tu od lat, a od ostatniego razu nastąpiła wymiana ludności. prostytutki i cyganeria artystyczna zniknęły, a pojawili się mężczyźni szukający przygód. Dopiero czwarta, a na chodnikach jest ich co niemiara, stoją i popijają piwo Peroni. Spoglądają na Jeremy'ego bez żadnego zainteresowania, odwracają się i znów zajmują własnymi sprawami.

– Jesteś stary, dla nich przezroczysty! – wyrokuję z satysfakcją. – Przyjmuję cię do mojego klubu.

Idziemy dalej. Po drodze opowiada mi o swoim nauczycielu geografii ze szkoły prywatnej. Głaskał chłopców po pośladkach, kiedy oddawali mu pracę domową. Jeremy twierdzi, że na szczęście jemu nic złego nigdy się nie przytrafiło.

– Już nie udawaj takiego Anglika z zasadami – mówię ostro. – Musiało się to na tobie w jakimś stopniu odbić, tyle że swoje przeżycia głęboko ukrywałeś.

Mój nastrój się zmienił, czuję się wojowniczo. Wybieranie koszul wytrąciło mnie z równowagi, nieważne z jakich powodów.

– To prawda, poszedłem nawet do psychiatry – wyznaje nieco później przy herbacie w Bertaux, gdzie w oknie palą się kolorowe światełka. – Kiedy miałem dziewiętnaście lat i zaczęły mnie dręczyć nocne koszmary. Zapisalem się na wizytę u pewnej kobiety, przyjmowała w Acton. – Poprawia widelec, który leży obok talerzyka. – Nie wiem, czy była freudystką, czy jungistką, czy zwolenniczką jakiejś innej szkoły... Ty pewnie lepiej się w nich orientujesz. Okazała się bardzo sympatyczna, mimo sterczących wąsików. Wytłumaczyła mi, że nie po mojej stronie leży wina. – Unosi okrągłą, opaloną twarz i patrzy na mnie. – Wiesz co? Nigdy nikomu o tym nie powiedziałem.

Ogarnia mnie przyjemne uczucie.

– Nie ma nic złego w chodzeniu do psychiatry. Przyjmuję cię do mojego klubu.

– Dzisiaj już po raz drugi. Czy wobec tego mogę liczyć na składkę członkowską z rabatem?

Śmieję się. Znów zmienia mi się nastrój. Jedząc czekoladowe eklery, rozmawiamy o naszych ulubionych miejscach, o tym, że wydają się nam ulotne i nietrwałe, zapewne dlatego, że je kochamy. Na przykład ta magiczna starodawna herbaciarnia. Często myślę, że pewnego dnia, gdy będę tędy przechodzić, stwierdzę, że zamiast niej jest tu salon optyczny Specsavers, a ona istniała tylko w moim śnie. Miasta ciągle się przekształcają, to naturalny proces, śni się jeden sen, po nim kolejny. Ale Jeremy postrzega Londyn inaczej. W jego umyśle zatrzymał się w miejscu, a teraz zaskakują go różne niespodzianki, które miasto

przed nim odkrywa. Nagle zaroilo się w nim od nigeryjskich i albańskich rikszarzy, wieżowców rzucających nowe cienie na ulice, a te przez to stają się nie do poznania. Nasuwają mi się na myśl moje relacje pozbawione ciągłości.

– Mam wrażenie, że uciera się nam pewien zwyczaj – mówi Jeremy. – Co byś powiedziała na codzienne spotkania przy herbatce? W Afryce nie ma co marzyć o filizance dobrej herbaty, nie dostaniesz jej ani za seks, ani za pieniądze. Podają zaparzone śmieci zmiecione z podłogi. – Uśmiecha się. – Już czuję, że jeszcze bardziej obrosnę sadłem, ale właściwie co mi tam...

Do cukierni wchodzi mężczyzna. Jeremy upiera się, że to Jack Nicholson. Nowy gość zajmuje miejsce przy stoliku w rogu i szpera w torbie ze znakiem firmowym Hamleysa.

– To nie jest Jack Nicholson.

– Oczywiście, że to on – zapewnia mnie Jeremy ochryłym szeptem. – Kupił zabawki dla swoich wnuków.

– To nie jest Jack Nicholson. Wielu mężczyzn wygląda jak on. Spójrz, ma stare, brudne adidas.

– Zakładamy się o piątkę?

Niemal w tej samej chwili tamten wyjmuje telefon komórkowy i zaczyna mówić po rosyjsku. Od razu dochodzi między nami do wymiany zdań na temat innych, rzekomo znanych osób.

– Kiedyś widziałam Tinę Turner – opowiadam. – Wychodziła ze sklepu prasowego Fags and Mags na Frith Street.

– Chyba zwariowałaś! To na pewno nie była Tina, tylko jakaś podstarzała dziwka.

Ubolewamy nad znikaniem prostytutek z Soho. Inwestorzy budowlani, którzy stopniowo je stamtąd wypychają, argumentują, że panienki z ulicy łatwo stają się ofiarami handlu ludźmi.

– Nigdy nie korzystałem z usług prostytutki – wyznaje Jeremy. – Ale dobrze wiedzieć, że tam są. Tak jak kościół.

Rozmowa o inwestorach budowlanych wiąże się bezpośrednio z teorią na temat wyścigów chartów i przekupnych weterynarzy, którą wysnułam rano. Moja przenikliwość robi wrażenie na Jeremym, który przyznaje się do kilku przekrętów popełnionych w młodości. Najbardziej brawurowym okazuje się wepchnięcie samochodu do rzeki, żeby zgarnąć odszkodowanie z polisy ubezpieczeniowej. Ani trochę mnie tym nie zaskoczył. Tymczasem przy stoliku w rogu sali Jack Nicholson głośno wydmuchuje nos w wygnieciony kawałek papieru toaletowego. Jeremy bez słowa podaje mi pięciofuntowy banknot.

Dzisiaj w cukierni jest podobnie jak wczoraj. Goście przychodzą i odchodzą, a my wciąż trwamy tutaj niczym skały omywane falami. Zupełnie straciliśmy poczucie czasu. Spoglądam na zegarek i okazuje się, że dochodzi wpół do siódmej.

– Masz coś ważnego do załatwienia? – pyta Jeremy.

– Nie, nie mam.

– Doskonale. W takim razie może zafundujemy sobie rozrywkę kulturalną? Wczoraj się nam nie udało, więc spróbujmy dzisiaj. Co powiesz na teatr? Grają coś ciekawego? Ja funduję.

Niedaleko stąd, w teatrze Donmar Warehouse, wystawiają *Króla Leara*. Czytałam entuzjastyczne recenzje.

– Gra w nim gościnnie słynny amerykański aktor filmowy – mówię. – Al Pacino albo Robert De Niro.

– Może Jack Nicholson?

– Akurat skończył pić herbatę.

W teatrze okazuje się, że wszystkie bilety są wyprzedane. Na ulicy ciągnie się długa kolejka czekających na zwroty.

– Co za ulga – stwierdza Jeremy. – W tej sztuce absolutnie nic się nie dzieje. W szkole średniej zdawałem z niej egzamin na poziomie podstawowym.

– Możemy się wymigać od wszystkiego i robić to, na co mamy ochotę.

– Oczywiście, że tak. – Stoi na środku ulicy. – Zauważyłaś, że chodzimy sobie z wagarów na wagary?

Nagle wpadam na doskonały pomysł.

– Chodź, obejrzymy przedstawienie na ekranie monitora. Jest w barze. W dodatku nic nie trzeba płacić.

Twarz Jeremy'ego rozjaśnia uśmiech.

– Czy mam rozumieć, że będziemy mogli przy okazji czegoś się napić?

Przeciskamy się przez zatłoczony hol na parterze. Bar znajduje się na pierwszym piętrze. Natrafiamy jednak na przeszkodę, ponieważ u podnóża schodów drogę zastępuje nam bileterka, która sprawdza bilety wstępu.

Niczym niezrażony Jeremy uśmiecha się do niej szeroko.

– Dobry wieczór przemilej pani. Nasze bilety mają przyjaciela, a siedzą w barze.

Przemykamy się, popędzani siłą tupetu Jeremy'ego, który został mu jeszcze ze szkoły prywatnej. Przypomina mi się sytuacja, o której dawno temu opowiadała mi Bev. Kiedyś dostali z Jeremym bilety do opery i on ubrał się w smoking. Po przedstawieniu poszli do restauracji, ale bardzo długo żaden kelner się nie zjawiał i goście zaczęli się niecierpliwić. Wtedy Jeremy przewiesił sobie serwetkę przez rękę, wędrował od stolika do stolika i przyjmował zamówienia. Robił to z taką wprawą, że nikt się nawet nie zorientował, że wcale nie jest kelnerem.

Siedzimy w barze przy butelce sauvignon. Wkrótce rozlega się dzwonek i bar pustoszeje. Monitor wisi wysoko na ścianie. Obraz jest tak niewyraźny, że nie potrafimy się zorientować, którą postać gra ten sławny aktor. Na dodatek nie sposób zrozumieć ani słowa. W zasadzie nie ma to dla nas znaczenia, ponieważ na

tylko dobrze znamy ten dramat, że sami recytujemy kwestie z poszczególnych dialogów. *Na piekła ciemność (...) wyrodny bękarcie!*¹ Jeremy nalewa kieliszek wina i częstuje barmana. Przyjmujemy go do naszego towarzystwa. Woli się pośmiać z nami, niż siedzieć i patrzeć na te beznadziejne nudy. Wszyscy znamy zakończenie.

Bev poznała Jeremy'ego, gdy pracowała w gabinecie lekarskim w Barons Court. Zgłosił się tam z kontuzją, której doznał podczas meczu w rugby. Była pielęgniarką, więc zakładała mu szwy. Tego wieczoru po powrocie z pracy wszystko mi o nim opowiedziała. Zawsze lubiła banalne określenia – nazwała go wtedy „wielkim misiem w ludzkiej skórze”.

Kilka tygodni później zdejmowała Jeremy'emu szwy. Pewnie tak dużo gadał, że klepnęła go w policzek, dla żartu, żeby go uciszyć. Jeremy, którego wychowały nianie, bez wątpienia uznał to za przejaw zainteresowania i zaprosił ją na drinka. Na koniec wieczoru odwiózł ją do domu swoim triumphem stagiem – wtedy nikt się nie zastanawiał, czy wolno siadać za kierownicą po spożyciu alkoholu.

Każda z nas miała do dyspozycji niewielką sypialnię. Moja znajdowała się w zimnym końcu korytarza w głębi mieszkania i była oddzielona cienką ścianą od naszej równie małej łazienki. Pierwszym sygnałem obecności Jeremy'ego, który usłyszałam – bez wątpienia męskim – było głośne ciurkanie w toalecie.

W tamtych czasach Jeremy był bardziej rozhukany niż teraz i zupełnie nie w moim typie. W dalszym ciągu nie jest, naprawdę. Wtedy nikomu się jeszcze nie śniło o poprawności politycznej, ale on i tak nabijałby się z innych dla zabawy. Uważałam, że dla mnie jest zbyt pyszałkowaty, za bardzo w stylu salonowego snoba.

Bev też nie należała do osób w moim guście. To była typowa dziewczyna o infantylnych zainteresowaniach i kształtnej figurze. Godzinami siedziała z suszarką w dłoni przed lustrem i układała sobie włosy. Trudno byłoby ją nazwać intelektualistką, ale trzeba przyznać, że miała mnóstwo wrodzonego sprytu, zwłaszcza gdy chodziło o facetów. Potrafiła, jak sama mawiała, owinąć sobie każdego wokół małego palca.

Wiem, można odnieść wrażenie, że krytykuję Bev, ale wcale tak nie jest, ponieważ – szczerze mówiąc – było nam razem bardzo wesoło. Od tak dawna i tak dobrze się znamy, że to, czy ją lubię czy nie, absolutnie nie ma najmniejszego znaczenia. Chodziłyśmy do tej samej klasy w Chester. Potem, kiedy wyjechałam na studia, na pewien czas nasze kontakty się rozluźniły. Po kilku latach wróciłam do Londynu i dowiedziałam się, że ona zamierza zrobić to samo. Wynajęłyśmy więc lokum na niskim parterze w Pimlico i zamieszkałyśmy razem, głównie dlatego, że żadna z nas nikogo innego nie znała. Gdyby nie okoliczności, nigdy bym takiej

koleżanki jak ona nie chciała mieć za współlokatorkę, ale Bev traktowałam jak członka rodziny, a tych się nie wybiera.

Ostatecznie bardzo dobrze nam się układało. Wprawdzie odżegnywała się od narkotyków, ale była rozmowna i przebojowa, zawsze gotowa na przygodę. Pochodziła z trudnego środowiska, więc z ogromną determinacją starała się czerpać z życia jak najwięcej. Podziwiałam ją za to. I rzeczywiście miałyśmy wspólnie, jak mawiała, „niezły ubaw”. Bardzo różniłyśmy się gustem. Ona na ścianie w swoim pokoju powiesiła oprawione w ramki zdjęcia kociąt i ustawiła rząd pluszaków na łóżku. Miała jedną akwarelę i sprzęty w drobnomieszczańskim stylu. Żadnych książek. Hippisowska rewolucja minęła ją bokiem, jedynym akcentem, który miał z nią związek, był kwiatowy wzór na ścianach jej pokoju.

Nigdy też nie podobali się nam ci sami mężczyźni.

Gdy poznała Jeremy’ego, koniecznie chciała go zdobyć. Zdobyć i wyjść za niego za mąż. Bev marzyła o zamążpójściu. Taki postawiła sobie cel w życiu i wcale się z nim nie kryła. W tamtym czasie Jeremy miał dziewczynę, powracającą i odchodzącą, przyjaciółkę z dzieciństwa, ale Bev szybko ją odstraszyła – a w zasadzie jego zniewoliła, nie wypuszczając ze swego łóżka.

Ja spotykałam się wtedy z Brendanem – uroczym ćpunem. Pamiętam wieczór, kiedy czekał na mnie w łóżku. Byłam w łazience i zakładałam sobie krążek antykoncepcyjny. Siedziałam na sedesie z szeroko rozstawionymi nogami; palce miałam śliskie od plemnikobójczego żelu. Akurat wyżej podsuwałam sobie kapturek i nagle rozległy się głucho uderzenia w ścianę. Usłyszałam stłumione jęki Bev, właściwie krzyki. W jej głosie dźwięczały erotyczne i intymne nuty, ale też triumfalne, jakby chciała mi ogłosić: „Słyszysz, ja mam prawdziwego faceta, który potrafi posuwać mnie do utraty tchu, a ty się wozisz z takim pożałowania godnym cherlakiem!”.

Wkrótce potem zerwałam z Brendanem i znalazłam sobie tak zwanego prawdziwego mężczyznę – mojego przyszłego męża. Czasami się zastanawiam, czy Jeremy miał na to jakiś wpływ.

Muszę przyznać, że zaczynam lubić Jeremy’ego. Tydzień naszego wspólnego wagarowania toczy się własnym, już utartym rytmem – prowadzimy między sobą długą rozmowę, zawieszoną wieczorem, kiedy jedno i drugie idzie swoją drogą, i wznawianą następnego dnia. Jest to czas wykradzony z normalnego życia, jego i mojego. W pewnym sensie razem spędzamy taki *Stracony weekend*, tylko bez alkoholika pod opieką, choć z rzeką wina i „niezłym ubawem”. Nie spotykamy się z nikim innym, z żadnym z moich znajomych; spacerujemy tylko we dwoje po Londynie skąpanym w słońcu. Moja skrzynka pocztowa pęka od maili, ale nie mam ochoty na nie odpowiadać. Odwołałam wiele spraw, które musiałam załatwić, ale do diabła z nimi.

Czas mija nam na przyjemnościach, a pod ich powierzchnią powoli gromadzi się ładunek erotyczny – zaczyna iskrzyć między samotną kobietą a mężem innej kobiety. Oboje czujemy elektryzujący dreszczyk, jestem pewna, ale nie zamieniamy na ten temat ani słowa. Napięcie rośnie z każdym dniem. Wyraźnie je wyczuwam – można wierzyć lub nie – podczas naszej wspólnej wizyty w Marlborough u jego matki cierpiącej na demencję i nietrzymanie moczu.

Te odwiedziny wydają się nawet bardziej intymne, różnią się zdecydowanie od naszych dotychczasowych wspólnych zajęć. Jeremy prosi mnie, żebym towarzyszyła mu w podróży, ponieważ potrzebuje wsparcia moralnego. Wizyty u matki wywołują w nim poczucie winy, że od wielu lat jest tylko nieobecny synem. W pociągu mówi mi, że jego matka i Bev zupełnie nie potrafią się ze sobą porozumieć; matka uważa, że Bev jest zbyt pospolita, a Bev, że jej teściowa to nadęta matrona. Matka Jeremy’ego wini Bev za to, że nie urodziła jej wnuków. Jest pewien, że gdyby widywały się częściej, ich relacje byłyby lepsze, ale takie między innymi są konsekwencje mieszkania za granicą – następuje zanik wzajemnych więzi.

Marjorie nie widziałam od ślubu Jeremy’ego, wiele lat temu. Starsza pani z wielkim trudem podnosi się z krzesła – rozlega się chrobotanie w stawach – i bierze mnie w ramiona.

– Petra, moja kochana dziewczyna! Gdzie się podziewałaś tyle czasu? – Wskazuje na Jeremy’ego. – Czy ten nicpoń przynajmniej się tobą opiekuje?

– To nie jest Bev, mamó – prostuje Jeremy.

– Przecież wiem, że nie ta nieznośna Beverly – niecierpliwi się staruszka.

– Ona jest w Krainie Golliwoga. Odwraca się do mnie i uśmiecha przyjaźnie. – Jak tam konie?

Waham się chwilę.

– Hm, tak jak zwykle. – Jeremy zerka na mnie.

– Cały czas jeździsz na tym łobuzie Sułtanie? – pyta Marjorie. – Wybrałaś sobie bardzo dobre krzesło. Usiądź na tym.

Marjorie przebywa w domu opieki, ale pokój ma zagracony bibelotami i obwieszony zdjęciami ze swego ogromnego domu, z którego wygnała ją demencja. Zastanawiam się, za kogo ona mnie wzięła.

– To nie jest Janie, mamó – wyjaśnia Jeremy. – Tylko Petra, przyjaciółka Bev.

Marjorie nie zwraca na niego uwagi i patrzy na mnie błyszczącymi oczami.

– Wciąż dla każdego Toma, Dicka i Harry’ego zdejmujesz majtki?

– Ależ mamó! – Jeremy spogląda na mnie porozumiewawczo.

Uśmiecham się do niego.

– Dziękuję za pamięć – odpowiadam. – W dalszym ciągu uważam, że trzeba szukać przyjemności w tym, w czym się ją znajduje.

– Ha! Powiedz to jego ojcu. – Znów wskazuje na Jeremy’ego. – Nie potrafił znaleźć łechtaczki, nawet jak wylazła na wierzch i szturchnęła go w głowę.

Słyszę, że Jeremy się poruszył, ale nie spoglądam w jego stronę.

– Nie poddajmy się starości – mówię w pociągu w drodze powrotnej. – Mam na myśli tę bardzo zaawansowaną.

– Uważam, że powinniśmy złożyć przyrzeczenie, nie sądzisz? – Pochyliła się nisko nad stolikiem, wspiera głowę na dłoniach. Patrzy na nasze miniaturowe buteleczki ginu.

– Tylko jak je zrealizujemy? Wybierzemy się na Beachy Head?

– Podobno teraz urwiska pilnują strażnicy, którzy powstrzymują desperatów. Niech szlag trafi takie opiekuńcze państwo.

– Jaki masz wobec tego pomysł?

Podnosi swoją wielką głowę i ze smutną miną wygląda przez okno. Obserwuję jego odbicie w szybie, demoniczne na tle umykających pól.

– Poproszę któregoś buszmena z Kikanda, bardzo ładnie poproszę, żeby nasmarował strzałę trucizną i strzelił we mnie.

Bev nie była ładna, ale ostentacyjnie i z dobrym skutkiem zachowywała się jak kobieta wyjątkowej urody. Oprócz tego mnóstwo czasu spędzała przed lustrem. Wspomniałam już, że była pełną wdzięku dziewczyną i umiała trzepotać rzęsami, a filigranowa figura była jedną z jej najskuteczniejszych przynęt. Często staje mi przed oczami widok jej butów w rozmiarze trzydziestym czwartym, stojących na podłodze obok moich przepastnych kajaków. Jej pantofelki wyglądały tak delikatnie, że już na pierwszy rzut oka było wiadomo, że ich właścicielka potrzebuje opieki. Wiedziała, jak przyłgnąć do mężczyzny i patrzeć mu w oczy z bezgranicznym oddaniem. Pod tą zewnętrzną otoczką kryło się jednak żelazne postanowienie, żeby „owinąć go sobie wokół małego palca”.

O tak! Była podstępna, przyznaję, ale podziwiałam jej upór. Mnie było łatwiej, ponieważ wywodzę się ze średnio zamożnej rodziny. Ona natomiast na każdym kroku musiała pazurami torować sobie drogę i sama o wszystko walczyć. Nigdy jednak nie robiła gorzkich uwag na temat swego pochodzenia, tylko koncentrowała się na tym, co chciała osiągnąć. Już wtedy, kiedy chodziłyśmy jeszcze do szkoły, wyczuwałam u niej tę nieustępliwość i determinację.

Przez dość długi czas byłyśmy nierozłączne. W pewnym sensie jej zaborczość mi schlebiała; wciąż jeszcze pamiętam siłę jej uścisku, kiedy obejmowała mnie w kolejce po lunch. Później, w wieku dwunastu lat, zaczęłam się przyjaźnić z inną koleżanką, Susie, która miała podobny do mojego charakter – również miała skłonności marzycielskie i artystyczną duszę. Razem rysowałyśmy komiks o życiu rodziny Dingalongów. Pewnego dnia, podczas przerwy, Bev

podeszła do mnie uśmiechnięta od ucha do ucha i wręczyła mi plastikową torbę, której zawartość przypominała jeżyny. *Zebrałam je dla ciebie*. Zajrzałam głębiej do środka i okazało się, że torba jest pełna ślimaków.

Byłam porażona okrucieństwem Bev, ale jeszcze bardziej jej zawziętością – musiała przez wiele godzin czołgać się pod krzakami w ogródkach sąsiadów, żeby zebrać tyle ślimaków. Pamiętam, jak głośno krzyczałam, ale nawet wtedy nie opuszczała mnie myśl, że za nic nie chciałabym mieć w niej wroga.

Nic dziwnego, że w tym tygodniu Bev często przychodzi mi do głowy. Dużo czasu spędzam z jej mężem, więc ona niczym zjawa unosi się w pobliżu. Nie jestem o nią zazdrosna, niech Bóg broni. W gruncie rzeczy to ja na swój sposób mam przewagę, ponieważ to, co ostatnio robię, jest całkiem świeże. Obiektywnie być może nudne i monotonne, ale zupełnie nowe i atrakcyjne dla Jeremy'ego, ponieważ tak bardzo różni się od rutyny i przewidywalności jego długoletniego małżeństwa. Czy rzeczywiście po wielu latach związku musi pojawić się nuda? Jeremy nie wspomina na ten temat ani słowem, nie krytykuje też Bev, i za to go lubię.

Myślę o niej, kiedy otwieram drzwi do mieszkania na dole. Dziś jest nasz ostatni wspólny wieczór. Jutro Jeremy leci z powrotem do Afryki. Chce rzucić okiem na to miejsce, które zna dobrze z dawnych czasów, i jest ciekaw, co w nim zmieniłam.

Pogoda się załamała. Powietrze jest nasycone wilgocią, a niebo zasnuwane gęstymi, sinoszarymi chmurami. Słychać donośne odgłosy burzy. W mieszkaniu panuje chłód. Czuć zapach świeżego tynku. Nasze głosy rozbrzmiewają echem w pustym pomieszczeniu.

Przez lata przewinęło się przez nie wielu lokatorów. Podczas gdy w moim domu na górze ciągle w stagnacji tkwi pani Haversham, atmosfera w tych pokojach zmieniała się wraz z każdym nowym życiem. Mieszkanie przebudowałam, jest teraz dwupokojowe, z jedną sypialnią. Właściwie zrobił to Alan. Po likwidacji prowizorycznej ścianki w małej łazience powstał wielki salon kąpielowy z wolno stojącą wanną o wywiniętych brzegach i na ozdobnych nóżkach i z kabiną prysznicową bez brodzika.

Jeremy jest zdezorientowany.

– Co się stało z twoją sypialnią? – pyta, choć większość czasu spędził w sypialni Bev. Przechadza się po jej dawnym pokoju, wygląda przez okno na podwórze otoczone murem z pokrytych sadzą cegieł. Ten widok zna doskonale.

Wydaje się rozkojarzony. Najprawdopodobniej z powodu nieuchronnie zbliżającego się wyjazdu. Jak wszyscy, którzy wybierają się w podróż, jest już tutaj nieobecny, a jego uczucia zostały spakowane do bagażu. Nawet ubrał się inaczej – w spodnie typu chino i zwykłą koszulę w kratkę; wygląda jak licytator z jednego z hrabstw położonych w pobliżu Londynu.

Ja też nie potrafię myśleć o niczym innym. Boli mnie oko, czuję, że rośnie mi jęczmień. Całe szczęście, że on wyjeżdża i nie będzie musiał oglądać tego paskudztwa.

– W tym miejscu chyba był kominek? – Jeremy przeszedł do salonu i patrzy na ścianę.

Kiwam głową.

– Gazowy. Pamiętasz? Suszyliśmy przy nim pranie.

– Jasne, że pamiętam. – Wzdycha z rozrzewnieniem. – Głównie wasze majtki.

Pokój wydaje się bardzo ciasny jak na tę przeszłość, która została w nim zmagazynowana. Pamiętam, jak wielki wydawał się Jeremy – stół w składzie porcelany – gdy się przeciskał między meblami wtedy, kiedy stały tu fotele, każdy inny, stół ze sklepu z rupieciami, na którym były wypalone głębokie ślady po papierosach i przy którym jedliśmy spaghetti i graliśmy w karty. Bev była prawdziwą karciarą. Kiedy je tasowała, nie mogłam oderwać wzroku od jej palców, które tylko migały mi przed oczami. Grała w pokera jak zawodowiec.

A potem, późno w nocy, stłumione chichoty dobiegały z jej pokoju. Miarowy stukot, jakby uderzeń mokrej bielizny o skałę podczas prania.

– Bawiliśmy się tu doskonale – mówię.

– Tak, było naprawdę wesoło. – Głos Jeremy’ego dzwoni jak echo.

Nie mam nic do dodania. O czym rozmawialiśmy przez cały miniony tydzień? Wyeksplataowały się tematy naszych żartobliwych pogawędek, wyczerpały się baterie.

Ktoś na ulicy przeciąga patykiem po barierce ogrodzenia, słychać równomierny stukot. Znów rozlegają się donośne grzmoty. Patrzą na Jeremy’ego, który stoi przy oknie i zasłania sobą światło. Wydaje się, jakby sprawdzał szczelność kitu przy ramach okiennych.

– Tyle stąd mamy wspomnień – dodaję. – Byliśmy tacy młodzi.

Kiwa głową, odwrócony do mnie plecami.

– To mieszkanie wygląda obco, teraz, kiedy jest puste – mówię.

– Tak, to prawda.

– Zostawiliśmy za sobą niewybrane drogi, i tyle. Dziwnie byłoby zaczynać wszystko od nowa, od samego początku i mieć zupełnie inne życie.

Jeremy odwraca się do mnie i stoi bezradnie; w pokoju nie ma nawet fotela, na którym mógłby usiąść. Chrząka.

– Ja nie chcę wracać – mówi.

– Nie ma takiej możliwości. Było zabawnie, ale tamten etap jest bezpowrotnie zamknięty.

Patrzy na mnie. Nadchodzi wieczór i w pokoju robi się ciemno, więc nie widzę jego twarzy.

– Ja nie chcę wracać do Afryki.

Zapada cisza. Serce mi łomocze i nie mogę wydobyć z siebie słowa.

Jeremy podchodzi, bierze mnie w ramiona i całuje.

William Szekspir, *Król Lear*, w przekładzie Leona Ulricha. [wrót]

White Springs, Teksas

W miasteczku Lorrie mieszkają Chińczycy: właściciel pralni, kelnerzy w Golden Gateway w małym centrum handlowym. Do tego chińskiego baru Lorrie chodzi z dziećmi na pierożki gotowane na parze. Na ulicy nie widuje jednak Chińczyków. Oni żyją zamknięci we własnym świecie. Lorrie przypuszcza nawet, że budzą się do życia tylko wtedy, kiedy otwierają się drzwi i wchodzi klienci; tak jak w garderobie zapala się lampa, która reaguje na ruch.

Wie z filmów, których Todd zgromadził na płytach cały zbiór, że ludzie Wschodu mają bezwzględna naturę. O co właściwie chodzi z tymi mężczyznami i kung-fu? Ostatnio Dean siada przed telewizorem obok ojca i obaj nie mogą oderwać oczu od tej szarpaniny, a przy tym cały czas poruszają szczękami i opróżniają olbrzymie opakowania chipsów. Wyglądają na tak szczęśliwych, że Lorrie nie ma serca odebrać synowi torby z jego smakołykami, którą przytrzymuje sobie pulchną ręką.

Zaraz ma się spotkać z panem Wang Leiem, któremu zgodziła się urodzić dziecko. Siedzi w samochodzie, je doritos i strasznie się poci. On jest tak bardzo obcy, że ogarnia ją przerażenie. Nawet nie wie, jak ma się do niego zwracać. Panie Wang Lei? Czy może panie Lei albo panie Wang? Czy Chińczycy w ogóle używają formy „pan”? Wang Lei podobno mówi po angielsku, ale czy zdołają się porozumieć?

Co sobie o niej pomyśli? Ubrała się elegancko, w zielone spodnium, w którym chodziła na rozmowy kwalifikacyjne. A dzisiejsza? Czy jest taką rozmową? Spotykają się przecież nie w sprawie pracy, ale wynajęcia jej ciała. I w sprawie nowego życia. Ewentualnego nowego życia. Czy ona sama będzie potrafiła traktować to, na co się zgodziła, wyłącznie jako zadanie do wykonania?

Czy on pomyśli, że jest za gruba? Za mało wykształcona? Przeczytała, że Wang Lei jest bogatym biznesmenem i dysponuje sporą sumą pieniędzy, które jest gotów zapłacić. Wystarczająco dużą, żeby mogła spłacić dług bez wtajemniczenia Todda. Pan Wang Lei przekazuje z góry jedną trzecią ustalonej kwoty, a pozostałą część przy odbiorze dziecka. Odbiór kojarzy się z przesyłką doręczaną przez firmę kurierską UPS. Sharlene, szefowa kliniki, mówi, że od jej klienta zostaną pobrane trzy dawki spermy, żeby zwiększyć szanse zapłodnienia. Nasienie zostanie umieszczone w specjalnym aparacie do wypłukiwania prawidłowych plemników, ponieważ w jego nasieniu jest ich mało. Lorrie natomiast jest wyjątkowo płodna. Jedno i drugie jej dziecko zostało poczęte zaledwie tydzień po tym, jak przestała przyjmować tabletki antykoncepcyjne. Todd nawet kiedyś zażartował, że mogłaby zajść w ciążę w zatłoczonej windzie. Mimo to rezultat obecnego planu nie jest pewny.

Lorrie nikomu o nim nie powiedziała. Todd myśli, że pojechała na zakupy. Jeszcze przez najbliższe cztery miesiące jej mąż będzie w domu. Koniecznie powinno jak najszybciej dojść do zapłodnienia, ponieważ terminy są niezwykle napięte. Potem trzeba donosić dziecko do wyznaczonego terminu rozwiązania i urodzić je, zanim jej mąż wróci z misji. W razie jakiegokolwiek opóźnienia cały plan legnie w gruzach, a ona będzie kompletnie pogrążona. Todd wróci do domu i zastanie żonę w zaawansowanej ciąży, a ona będzie musiała się z niejednego mężowi wytłumaczyć. A jeżeli zapłodnienie nie dojdzie do skutku? Owszem, część długu zostanie spłacona, ale będzie musiała skłamać, skąd wzięła pieniądze. Nie może nawet o tym myśleć, w każdym razie teraz nie będzie.

Todd może odkryć prawdę w każdej chwili. Jeśli tak się stanie, rozpęta się istne piekło. Nawet jeżeli jej nie zastrzeli – chociaż wcale nie jest tego pewna – to jak nic wyrzuci ją z domu. Który mąż tolerowałby żonę wyprawiającą takie rzeczy, w dodatku w tajemnicy? Dopuściła się przecież gigantycznego oszustwa. Szuka w głowie argumentów na swoje usprawiedliwienie; może się tłumaczyć, że zrobiła to dla niego, dla ich przyszłości; że przecież to ona przeżywa koszmar i znosi ból. W głębi duszy wie jednak, że nic tym u niego nie wskóra.

Nie, o tym też nie może myśleć.

Lorrie wciąż siedzi w samochodzie na parkingu. Na podłodze leżą pudełka po daniach z KFC i brudne serwetki. Wczoraj po południu Todd był z dziećmi na wrotkarni. Denerwuje ją widok porzuconych odpadków z życia jej rodziny, dowodów bez troski i niefrasobliwości, podczas gdy ona znajduje się teraz poza ich światem. Jest w innym miejscu i zupełnie sama. Gdy wysiądzie z samochodu, już nie będzie miała odwrotu.

Klinika mieści się w niskim, anonimowym budynku na przedmieściach San Antonio. Dojazd tutaj zajął jej półtorej godziny. Zaraz obok jest stacja benzynowa. Lorrie jak zahipnotyzowana obserwuje podjeżdżające i odjeżdżające samochody; życie innych ludzi w poniedziałkowy poranek, które toczy się zwykłym rytmem. Jej dzieci są teraz w szkole, mąż w swojej bazie. Będzie musiała wstąpić do sklepu, bo w domu skończył się papier toaletowy i proszek do prania, powinna też kupić coś na kolację. I jeszcze pamiętać o maści na wypryski dla Angie.

Pot spływa jej strużką między piersiami. Jest południe, czas spotkania. Strzepuje z siebie okruchy po chipsach, bierze głęboki oddech i otwiera drzwi samochodu.

Dwie rzeczy dodają jej odwagi, gdy idzie przez wyasfaltowany parking. Jedną z nich jest wciąż nieodkryta przez Todda kradzież. Strach przekształcił się w przewlekły stan lękowy, który objawia się nieustannym, cichym wewnętrznym brzęczeniem, ale do niego też się przyzwyczaiła. Skoro Todd nie zorientował się w ubiegłym tygodniu, dlaczego miałby poznać tajemnicę w tym tygodniu albo w przyszłym?

Drugą rzeczą jest jej przebiegły plan ukrycia ciąży. Będzie najbardziej potrzebny na końcowym etapie. Lorrie znalazła w internecie coś, co pomoże jej zrealizować ten ryzykowny – nie, raczej szalony – pomysł.

Spotkała się z Sharlene w zeszłym tygodniu na wstępnej konsultacji. Wszelkie formalności są już dopełnione: została skompletowana dokumentacja zdrowotna Lorrie, dokumenty prawne i ubezpieczeniowe, przeprowadzono badania psychologiczne i weryfikację sytuacji finansowej. Zapytana o zdanie męża skłamała, zapewniła, że on w pełni akceptuje i popiera jej decyzję. Powiedziała, że mają już dwoje dzieci i on wie, ile radości potrafią dostarczyć; jest uradowany, że jego żona może takie samo szczęście wnieść w życie innych par małżeńskich, którym Bóg w tej sprawie nie pobłogosławił. Lorrie, która uczęszcza do kościoła, spostrzega, że słowo „sprawa” bardzo łatwo przechodzi jej przez gardło. Sharlene wydaje się zadowolona.

Lorrie chce poczuć sympatię do Sharlene, swojej przewodniczki w tej zatrważającej podróży – nawet nie tyle podróży, ile wyprawie rakieta w kosmos bez zabezpieczenia. Problem w tym, że Sharlene przypomina Lorrie koleżankę, która dokuczała jej w szkole. Jest młoda i dość obcesowa, ma chłodne i nieprzejednane spojrzenie, brokatowe zielone paznokcie i nieskazitelny makijaż. Lorrie, która wolałaby mieć do czynienia z osobą o bardziej mamusiowatym wyglądzie, czuje się przy niej gruba i zaniedbana. Ta młoda kobieta wygląda tak, jakby nigdy nie widziała dziecka. Prowadzi klinikę, którą traktuje jak przedsiębiorstwo, i na tym koniec.

– Ten pan czeka w saloniku – mówi Sharlene. – Jest tam kawa i ciasteczka.

Prowadzi Lorrie korytarzem. Po drodze Lorrie dostrzega kabinę z umywalką. Zza zamkniętych drzwi dobiega perlisty kobiecy śmiech. Wyraźnie wyczuwa się w tym miejscu tymczasowość, chwilowy charakter, jak teatralnej scenografii. Lorrie towarzyszy dziwne wrażenie, że ta klinika i jej wyposażenie zostały przygotowane tylko dla niej i jutro nie będzie po nich śladu.

Sharlene otwiera drzwi. Ukazuje się pokój pomalowany na beżowo, na stole w wazonie stoją sztuczne kwiaty. Okiennice są zamknięte. W środku siedzi pan Wang Lei i rozmawia przez telefon; wydaje się, że jego wypowiedzi składają się z serii głośnych szczeknięć. Jest to mężczyzna w nieokreślonym wieku – u Chińczyków trudno go rozpoznać – zwyczajny, przysadzisty, przypomina ropuchę o gładkiej skórze. Ma na sobie jasny poliestrowy garnitur i okulary w złotej oprawie.

– Zostawiam państwa samych. Proszę sobie spokojnie porozmawiać i bliżej się poznać – mówi Sharlene i wychodzi.

Pan Wang Lei w dalszym ciągu prowadzi rozmowę i mierzy Lorrie wzrokiem, z góry na dół i z dołu do góry. Twarz ma nieruchomą, pozbawioną

wyrazu. Lorrie czuje się tak, jakby znalazła się w domu publicznym – saloniki, stłumione śmiechy. Ten niewysoki, całkiem obcy mężczyzna taksuje ją wzrokiem, a wkrótce jego nasienie znajdzie się w jej ciele.

Ogarnia ją panika. Odwraca się, chce wyjść, ale w tej samej chwili on wyłącza telefon, wstaje i się z nią wita.

– Bardzo panią przepraszam – mówi. Przysuwa jej krzesło. Nawet jeżeli jest zdenerwowany, nie daje tego po sobie poznać. Skąd ona miałaby wiedzieć? Słowo *nieprzenikniony* przychodzi jej do głowy, zanim zdążyła je powstrzymać.

Lorrie siada. Przez ścianę słychać szum podobny do odgłosów robota kuchennego; a może pracuje tam jakiś aparat medyczny? Wirówka nasienia?

Pan Wang Lei chrząka.

– Moja żona i ja jesteśmy bardzo wdzięczni – mówi. – Ofiarowuje nam pani bezcenny dar.

Wzmianka o żonie uspokaja Lorrie. W tym wszystkim zupełnie zapomniała o pani Wang Lei. Z dokumentów wynika, że poddała się kolejnym badaniom, które jednoznacznie wykazały, że jest bezpłodna.

– Jeśli mogę, chciałabym pana zapytać... – przerywa mu Lorrie. – Dlaczego nie chcecie państwo, żeby matką zastępczą została Chinka?

Najwyraźniej to pytanie nie zrobiło na nim żadnego wrażenia.

– Zależy nam na silnej, zdrowej Amerykance, blondynce, takiej jak pani. Oczywiście jest wiele chińskich surogatek, również absolwentek Harvardu, ale uważamy, że dwurasowe dziecko będzie miało w naszym kraju większe możliwości. W Chinach, jak zapewne pani wiadomo, korzystanie z matek zastępczych jest niezgodne z prawem.

Mówi zupełnie bez emocji. Ich rozmowa mogłaby dotyczyć każdej innej transakcji handlowej. Lorrie czuje się uspokojona, jej serce zaczyna bić nieco wolniej.

Ona także może mówić otwarcie.

– Dostaliście tylko zdjęcie mojej twarzy. Teraz widzi mnie pan w całości...

– Stara się uśmiechnąć. – I ma pan co oglądać...

– Droga pani, jestem zadowolony, nie zgłaszam żadnych zastrzeżeń.

Otwiera teczkę i wyjmuje z niej paczuszkę.

– Mam nadzieję, że przyjmie pani ten drobiazg od mojej żony i ode mnie.

Lorrie odpakuje prezent, czuje się skrępowana i drżą jej ręce. Wyjmuje duży notatnik w jedwabnej oprawie. Są na niej wyhaftowane ptaki, a z boku wystaje zakładka – pęk czerwono-złoty frędzli związanych w chwościk.

– Chcielibyśmy prosić o pewną uprzejmość, a mianowicie żeby przez najbliższe miesiące prowadziła pani dziennik – mówi. – Oczywiście, jeżeli procedura zakończy się powodzeniem.

Lorrie jest poruszona. Ten notatnik w dziwny sposób przybliżyła do

rzeczywistości to, co się do tej pory wydarzyło; samo słowo „procedura” zabrzmiało ogólnikowo, eufemistycznie.

Tylko krok dzieli ją od opuszczenia swego świata i wejścia na zaminowany teren. Jeden fałszywy ruch i rozpadnie się na kawałki. Musi być czujna, poruszając się po tym nowym terytorium kłamstwa i oszustwa.

Już okłamała pana Wang Leia, potencjalnego ojca jej dziecka. W rzeczywistości jest brunetką, a nie naturalną blondynką; od dawna farbuje włosy, zaczęła, kiedy była nastolatką.

Jeden zółw umarł. Angie stoi w ogrodzie i głośno szlocha. Jej ojciec kopie dołek, gdy jest już wystarczająco głęboki, wkłada do niego pudełko, a mała chowa twarz w dłoniach i zanosi się płaczem.

Lorrie przytula córkę, ale ta się wyrывa. Prawdę mówiąc, reakcja Angie jest trochę na pokaz. Przypomina Lorrie laments zawodowych płaczek na pogrzebach w krajach Bliskiego Wschodu. Widziała w telewizji, jak się biją w piersi.

Taka strata. Angelina jest naprawdę nieutulona w żalu. Umarł samczyk. Wypisali jego imię, Borys, na małym drewnianym krzyżu. Teraz samiczka będzie sama w terrarium. Wynurzona do połowy, będzie przesuwac nóżką po szklanej ścianie, daremnie szukając drogi do wolności. Do tej pory oba żółwie każdego dnia przez większość czasu robiły to razem.

Dean jest w domu i znowu się dąsa. Między nim a ojcem wybuchła kłótnia. Syn staje się coraz bardziej nieznośny. Dziś wczesnie rano wysypał na głowę swojej pogrążonej w smutku siostrze całe pudełko płatków zbożowych i od pewnego czasu kategorycznie odmawia spania jak małe dziecko na niższym poziomie piętrowego łóżka. Zmuszony do tego, grzmoci pięściami w materac nad sobą i budzi Angie, która śpi na górze w swoim gniazdku w otoczeniu lalek. Zaczyna kopać kolegów w szkole. Wczoraj jego nauczycielka, pani Conniff, zapytała Lorrie, czy u nich w domu jest wszystko w porządku.

Nic się nie zmieniło, a jednak jest inaczej. Czy dzieci zdają sobie z tego sprawę? W dalszym ciągu są na wczesnym etapie rozwoju prymitywnych stworzeń o zwierzęcych instynktach, jak psy, które piszczą żałościwie, kiedy ich właściciele ulegają wypadkowi setki kilometrów od domu. A tu dramat rozgrywa się znacznie bliżej, bo głęboko w łonie ich matki.

Minęły trzy tygodnie od zastrzyku, który był nieprzyjemnie zimny i metaliczny. Lorrie nie ma pojęcia, czy poczęło się w niej nowe życie, ale od tamtego czasu nie opuszcza jej wrażenie, że przestała być sobą. Jej serce bije nierównym rytmem, jest oszołomiona; jej ciało stało się bombą zegarową; czuje się jak jeden z buntowników, z którymi musiał się rozprawić jej mąż; wydaje się jej, że słyszy tykanie zaprogramowanego zapalnika ukrytego pod ubraniem. Niezależnie od tego, czy jest w ciąży czy nie, uważa się za oszustkę.

Powiedziała Toddowi, że ma infekcję, więc on musi stosować prezerwatywy. Mąż wyrzeka, że czuje się w niej, jakby włożył jakąś cholerną skarpetę trekkingową, która ociera mu nogę, ale spełnia jej życzenie. Ostatnio niezbyt często się kochają, nie tak jak na początku małżeństwa. W łóżku znów dręczą go koszmary. Miota się, jęczy, potem dostaje napadów duszności i gwałtownie chwytając powietrze, jakby brakowało mu tchu. Czy te napady wywołuje bliskość jej zdradzieckiego, nagiego ciała? Trudno uwierzyć, że te trzy istoty ludzkie, które Lorrie kocha najbardziej na świecie, nie mają pojęcia, że jest między nimi ktoś obcy.

O Boże, myśli Lorrie, co ja najlepszego zrobiłam?

Wciąż nie pojawia się miesiączka, ale może się opóźnić po odstawieniu pigułek antykoncepcyjnych. Ten fakt oczywiście zachowuje w tajemnicy przed mężem. W dzień po śmierci żółwia obudziła się i czuła mdłości.

Lorrie przygotowuje śniadanie i ma wrażenie, że występuje w reklamie telewizyjnej. Promienie słoneczne wlewają się przez okno do kuchni. Każdy z członków jej rodziny siedzących przy stole gra swoją rolę, ale nie wydaje się przekonujący; dziś rano odnoszą się do siebie niezwykle uprzejmie, jak gdyby nauczyli się swoich kwestii ze scenariusza. Dean nawet usłużnie odkręca siostrze słoik z masłem orzechowym.

Wszyscy wyszli z domu, a wtedy Lorrie kładzie się na kanapie i trwa na niej w bezruchu. Z sąsiedniego domu dobiega hałas wiertarki. Wprowadziło się tam małżeństwo i remontują dom. Kelda, która mieszka po drugiej stronie ulicy, twierdzi, że mąż tej kobiety siedział w więzieniu, ale znalazł tam Boga i teraz dostał pracę w rzeźni miejskiej. Lorrie jest smutno, że nie ma już Tylera. Tęskni za jego zawiłymi wywodami, którymi ożywiały jej samotne dni. Na pożegnanie podarował jej kilka jointów.

Jestem w ciąży. Jeśli leży bez ruchu, potrafi zapanować nad strachem. Wymaga to od niej siły i koncentracji, przypomina zarzucanie siatki na szamoczącą się dziką bestię. Dawniej miewała napady niepokoju, ale na ogół bez konkretnych powodów. Obecnie jest ich mnóstwo.

Skupia myśli na ulicach, które pamięta z dzieciństwa. Idzie do kamieniołomu razem z bratem. To jest ich ulubione miejsce. Słońce świeci, ptaki śpiewają, jej ręka spoczywa bezpiecznie w jego dłoni. Koncentruje uwagę na każdym kroku... skrzynki pocztowe, piaszczyste pobocze... zarośnięty chwastami pusty plac, gdzie kiedyś widziała węża... rząd krzewów na skraju parkingu dla przyczep turystycznych, gdzie mieszka jej przyjaciółka Nomi.

Lorrie usilnie stara się przywołać w wyobraźni kamieniołom z huśtawką na linach i spalony samochód – spotkało ją tam tak wiele radości – ale nic jej z tego nie wychodzi. Fala strachu powraca.

Trawka może pomóc. Może też powstrzymać mdłości. Sięga po skręta od Tylera i pali.

Wciąga dym i od razu czuje zawroty głowy. Gdyby tylko mogła z kimś porozmawiać... Patrzy na nadgryzionego przez mole Wojownika wiszącego na ścianie. Jego martwe szklane oczy są skierowane wprost na nią. Kawałek lamety ciągle zwisa mu z grzywy, jeszcze od Bożego Narodzenia, i nadaje zawadiacki wygląd. Pan Wang Lei pracuje w Afryce, podobno wielu Chińczyków robi tam interesy. Todd mówi, że opanowują cały kontynent. Lorrie się zastanawia, czy ten orientalny „inseminator” kiedykolwiek widział lwa. Todd mówi, że Chińczycy miały penisy lwów, żeby dodać sobie męskości; Lorrie wie, że chodzi o tygrysy, ale nie podważa zdania męża – nie chce urazić jego męskiej ambicji.

Irytuje ją, że musi chodzić na paluszkach wokół męża i chronić jego dumę. Jej dotychczasowa delikatność się ulotniła. W rzeczywistości jest do niego zdecydowanie wrogo nastawiona. Wie, że dzieje się tak z powodu poczucia winy, które ją dręczy, i że próbuje go ukarać za swoje oszustwo. Chociaż jest tego w pełni świadoma, nie potrafi się powstrzymać. Gniew narasta, w postaci intensywnych rumieńców wykwita na jej twarzy.

Przy kolacji Lorrie wypija trzy puszki piwa. Todd nie dostrzega w tym niczego niezwykłego, ze spuszczoną głową zmiata z talerza swoją porcję jedzenia. Irytuje ją, że dziobie widelcem spaghetti, zamiast je wokół niego okręcać, prymitywny wieśniak. Tyle podróżował po świecie, a niczego się nie nauczył. Oto jakich mamy żołnierzy! Nawet pan Wang Lei jest bardziej obyty – jej współnik, chiński spiskowiec, rywal męża w jej łonie.

Dzieci śpią. Lorrie i Todd zostali sami, a ona czuje, że za chwilę wyrwie się jej coś głupiego. Chwiejąc się lekko, wkłada talerze do zlewu. Do niedawna myślała, że wkrótce na dobre opuści tę zapyziałą, ciasną kuchnię, że zamieszka w nowiutkim domu ze zmywarką i widokiem na jezioro. Z zupełnie niezrozumiałych powodów teraz za zaprzepaszczenie tych marzeń najwyraźniej obarcza winą męża. Co się z nią dzieje?

Odwraca się. Todd siedzi przy stole, sprawdza wiadomości w telefonie.

– Płaciłeś kiedyś za seks?

Todd gwałtownie podnosi głowę. Patrzy prosto na nią.

– O co ci chodzi, kochanie?

– Zapytałam, czy kiedykolwiek byłeś z prostytutką. W burdelu. – Lorrie pochyła się nad zlewem. – Nie mam pretensji, kochanie. Przez długi czas jesteś poza domem, a facet ma swoje potrzeby.

Todd nagle wstaje i wychodzi z pokoju. Lorrie idzie za nim do salonu.

– Co w ciebie wstąpiło? – mamrocze Todd.

Lorrie wybucha głośnym śmiechem. Gdybyś wiedział, to dopiero byś się zdziwił.

– Nic.

– Uważasz, że to zabawne?

– Przepraszam, kochanie. Po prostu chcę wiedzieć.

– Chcesz wiedzieć? – Twarz Todda robi się purpurowa. – W takim razie powiem ci, do cholery, że to nie twój interes! – zaczyna krzyczeć. – Wyjeżdżam stąd i jestem gotów umrzeć dla mojego kraju. Ty to robisz? Co? Wiesz, jak to jest, zobaczyć zwłoki najlepszego przyjaciela, a potem jego ciało w worku, który wywożą do kraju? Że tyle po nim zostało jego bliskim? Że następnym razem mnie może spotkać to samo? Że już nigdy nie zobaczę własnych dzieci? Masz coś na ten temat do powiedzenia?

– Tylko pytam.

– Nie pleć mi tu bzdur. Chcesz wiedzieć, więc uważasz, że tak możesz mnie traktować.

– Nic podobnego, ja nie...

– Nie mam zamiaru ci mówić, do cholery. To moja sprawa, więc się zamknij. Czyli to prawda. Todd opada na kanapę, trzęsie się ze złości. Lorrie czuje ulgę. Siada obok niego i bierze go za rękę.

– Kochanie, tak naprawdę nic mnie to nie obchodzi.

Spogląda na nią zdziwiony.

– To po co w ogóle zadajesz mi takie pytania?

Lorrie wzrusza ramionami.

– Bo kiedyś obiecaliśmy sobie mówić o wszystkim.

Zapada cisza. Todd patrzy na nią spod uniesionych krzaczastych brwi.

– Co się dzieje, misiaczkule kochany? Ostatnio zachowujesz się trochę dziwnie. Gdzie się podziała moja dawna dziewczyna?

– Jestem tutaj. – Głaszcząc jego palce, jeden po drugim. – Przepraszam. Dziś po południu wypaliłam skręta, a potem wieczorem doprawiłam się piwem.

– Naćpałaś się?

Lorrie wstaje i bierze wazon, który kupili razem w Santa Fe. Sięga do środka i wyjmuje skręta.

– Dostałam to od Tylera – wyjaśnia. – Pociągniemy sobie dymka jak za dawnych czasów?

Todd trochę się waha i próbuje ją od tego odwieść, ale w końcu zapalają.

Włączają telewizor i siedzą obok siebie w kłębach dymu. Gdy Angie schodzi na dół, bo się przebudziła i nie może usnąć, jej rodzice oparci o siebie chichoczą jak nastolatki.

Lorrie, która jest oszołomiona, myśli, dlaczego ma sama zostać ze swoją winą. Przez piętnaście lat wszystko robili z Toddem wspólnie. Ta sprawa też w pewnym sensie dotyczy ich obojga.

Takie rozumowanie nie do końca jest logiczne, ale czym się tu przejmować,

do diabła. Ostatnio sprawy dziwnie się układają.

Pimlico, Londyn

Jeremy znów przyjeżdża do Londynu i tym razem jego wizyta wygląda zupełnie inaczej. Jesteśmy w sobie bezgranicznie i szaleńczo zakochani. Przez sześć dni prawie nie opuszczamy mojego domu. Mojej sypialni. Mojego łóżka. „Ogromne Wszędzie czyniąc z izby małej”¹. Poza nią świat dla mnie nie istnieje. Słów Donne’a nie przytaczam tu w żadnym szczególnym celu; tak się składa, że w ciągu tych upojnych sierpniowych dni ten poeta często przychodzi mi na myśl.

Kompletnie straciłam głowę dla Jeremy’ego, mimo że od gorąca pojawiła mu się nieestetyczna wysypka na całym ciele na wysokości pasa i że przy kilku początkowych próbach miał kłopoty z erekcją. Zapewne z powodu poczucia winy. U niego afrodyzjak w postaci niewierności wywołuje odwrotny skutek, a ja lubię go za to jeszcze bardziej. Lubię go. Kocham go.

Kocham go, bo potrafi mnie rozśmieszyć i sprawić, że mnóstwo słów przychodzi mi do głowy. Jest ich tyle, że paplam cały dzień, a potem jeszcze przez pół nocy. Kocham go, ponieważ ubarwił mój świat, ożywił go i rozweselił. Kocham go, bo dostrzega moje smukłe i szczupłe uda. Kocham go, bo nie jest moim byłym mężem ani żadnym z tych mężczyzn, których – oszukując siebie – próbowałam uznać za bratnie dusze, a którzy ewidentnie nimi nie byli. Kocham go także za to, że przez cały czas był w pobliżu i tylko czekał na odpowiedni moment, żeby wejść do mojego życia i wyrwać mnie z zięjącej pustką samotności. Nigdy nawet nie przyszło mi na myśl, że coś podobnego może mi się przydarzyć w moim wieku i przynieść aż tyle zniewalającej radości. Uwielbiam sposób, w jaki mówi: „Jesteś jedną z sześciu posiadaczek najpiękniejszych pleców w Wielkiej Brytanii”. Zachwyca mnie niedorzeczność tego stwierdzenia. W moim życiu nie było zbyt wiele beztroskiej żartobliwości, czy ta nie zasługuje na szczególne wyróżnienie? Wesołość i serdeczność, w najprawdziwszym i najgłębszym sensie, w towarzystwie osoby, przy której wyzwalają się najlepsze cechy osobowości i która nimi zainspirowana ujawnia najbardziej atrakcyjne strony swego charakteru. Zadziwienie zapiera mi dech w piersiach. On też jest oszołomiony; oboje reagujemy tak samo.

Istne szaleństwo. Jeremy wychodzi z sypialni, a ja z niezwykłą czułością przyglądam się wgłębieniu w jego poduszce. W tym miejscu spoczywała jego głowa – „Och, Rumak to szczęśliwy, gdy Antoniusza ciężar może dźwigać”².

Wciąż prowadzimy – w komfortowych warunkach, leżąc w łóżku – te rozmowy, w których powracamy do przeszłości. Opowiada o zdarzeniach z dawnych czasów w mieszkaniu na parterze.

– Pamiętam, kiedy zjawiał się zaraz po wyjściu z łazienki – wspomina. –

Miałaś mokre włosy, wycierałaś je ręcznikiem.

– Co wtedy robiłaś?

– Naprawiałem dętkę z roweru Bev.

Bev i ja miałyśmy dwa stare rowery.

– W dalszym ciągu korzystam z roweru, jeżdżę nim wszędzie – mówię. – To jedyny sensowny sposób poruszania się po Londynie. Wskakuję na siodełko i na tym małym zwinnym koniku po dwudziestu minutach jestem na Trafalgar Square.

– Nie ma w tym nic nadzwyczajnego – przekomarza się Jeremy. – Ja natomiast wskakuję na ciebie i już po pięciu minutach mój mały zwinny konik jest w raju.

Wybucham śmiechem.

– Naprawdę cię kocham.

– Ja też cię kocham.

Odstawia kubek na nocny stolik, wspiera się na poduszkach i patrzy na mnie.

– Zawsze cię kochałem, wiesz?

– Nie, to nieprawda.

– Podobałaś mi się. Ale chodziłaś z tym gościem z kolczykiem, który tak koszmarnie grał na gitarze.

– Ty natomiast wcale mi się nie podobałaś.

– Dlaczego?

– Byłeś takim rozkapryszonym gnojkiem. Zupełnie nie w moim typie.

– Który się nie zgrywa na artystę?

– No właśnie. I chodziłaś w spodniach z diagonalu.

– Ooo przepraszam! Nigdy nie nosiłem spodni z diagonalu.

– Ale wyglądałaś na faceta, który mógłby je nosić.

Nie ma ani słowa prawdy w tym, co mówię. Pamiętam, jakby to było wczoraj, palącą zazdrość, kiedy przez ścianę słyszałam jego śmiech. Nie byłam w nim zakochana, ale zazdrościłam go Bev, jeśli takie wyjaśnienie ma jakiś sens.

– Ożeniłaś się jednak z Beverley.

Kiwa głową.

– Owszem, ożeniłem się z Beverley.

Zamierza powiedzieć coś jeszcze, ale się powstrzymuje. Odrzuca kołdrę i wstaje.

– Zostań tutaj, a ja przyniosę śniadanie.

Leżę w łóżku, które aż emanuje seksem. Po początkowych porażkach, o dziwo, poczuliśmy się swobodniej, jesteśmy bardziej wrażliwi i otwarci na siebie. On w miarę poznawania mego ciała staje się fantastycznym kochankiem. *Faceci lubią sypiać na mokrych plamach*. Pamiętam dziewczynę ze szkoły, która tak mówiła i z wyższością potrząsała głową. Jeszcze oczywiście nie miała o niczym pojęcia, żadna z nas nie miała, byliśmy niewinnymi panienkami. Od tamtego czasu

minęło prawie całe życie. Jeremy i ja wydalibyśmy się tamtej dziewczynie podstarzałymi dziwakami, ale dla siebie nawzajem jesteśmy porywającą nowością. Nowością, ale dobrze znaną! Na tym polega ta oszałamiająca niezwykłość. Chcę, żebyśmy zostali zamknięci na klucz w moim domu już na zawsze.

Wiem, że powinnam czuć się winna. Oszukuję swoją starą przyjaciółkę. Ostatnio Bev napisała mi w mailu: „Zapomniałam Ci podziękować za opiekę nad Jeremym. On się czuje jak ryba wyciągnięta z wody przed każdą podróżą do Londynu. Wspaniale, że wykroiłaś trochę czasu ze swoich codziennych obowiązków i możesz mu zapewnić jakąś rozrywkę. Podobają mi się te jego nowe koszulki! Zawsze grymasi i nigdy nie jest zadowolony z rzeczy, które mu kupuję, ale jestem pewna, że przy Tobie lepiej się zachowywał! Powiedział mi, że pogadaliście sobie o starych, dobrych czasach w The Dungeon. Szkoda, że mnie tam z Wami nie było, ale on, jak przypuszczam, cieszył się z kilku dni wolności!”.

Jeremy wraca, niesie tacę. Już dobrze wie, jak się poruszać po moim domu. Staliśmy się parą i jest tak, jakbyśmy mieszkali tutaj przez całe nasze życie. Ta sytuacja wydaje się zupełnie naturalna, choć mam świadomość, że jest i niegodziwa, i nieprawdziwa.

Śniadanie jemy w łóżku, smarujemy grzanki masłem.

Jeremy przerywa na chwilę i trzyma w dłoni uniesiony nóż.

– Tak naprawdę kiedyś powiedziała, że jest w ciąży.

– Ach tak.

– Nie powinienem ci tego mówić, ale...

– Nic nie wiedziałam.

Mogę sobie wyobrazić Bev, jak szlocha w pluszowego misia i zerka ukradkiem na niego tymi swoimi małymi, badawczymi oczkami, żeby sprawdzić, jakie jej lament robi na Jeremym wrażenie. Tyrania człowieka słabego.

– Nie zrozum mnie źle – wyjaśnia Jeremy. – Kocham ją. Była pełna życia i zabawna, gotowa na wszystko. A ja nie chciałem okazać się łajdakiem. Musisz wziąć pod uwagę, że chodziłem do prywatnej szkoły, więc w sprawach damsko-męskich nie miałem żadnego doświadczenia. Dziękuję ci, moja kochana szkoło w Oundle.

Mogę go sobie okręcić wokół małego palca. Takich słów użyła Bev i okazały się prawdziwe. Jeremy był postawnym facetem, uczciwym i o wielkim sercu; w krawacie i ze sportowym, ryczącym samochodem. W tamtych czasach młodzi mężczyźni byli okropnie dziecinni w porównaniu do nas, przebiegłych kobiet.

Czy byli ze sobą szczęśliwi?

Jeremy czyta w moich myślach.

– Byliśmy szczęśliwi. Jesteśmy szczęśliwi. – Nie ruszył swojej grzanki.

– Ona jest wspaniałą dziewczyną, wysportowaną, z nieprawdopodobnym poczuciem humoru i, na miły Bóg, potrzebowała... – Jeremy próbuje znaleźć

właściwe słowa. – Chodzi mi o to, że wspólnie przeszliśmy trudne chwile. Znalazła się z dala od rodziny i przyjaciół, utknęła ze mną w zaścianku dotkniętym epidemią malarii, w pogrążonym w mrokach niewiedzy kraju, gdzie, nie znając języka, stara się żyć jak we własnym. Próbuje osiągnąć sukces, być żoną, towarzyszką życia, prowadzić firmę, zarządzać służbą i, co wcale nie jest takie proste, znaleźć sobie miejsce wśród ludzi żyjących na obczyźnie. Nie uwierzyłybyś w ich rozmowy, jeśli w ogóle można je tak nazwać. Do tego radzić sobie z samotnością, gdy ja jestem w podróży służbowej...

Dobry Boże, on zakochuje się w niej na nowo.

– Jedz grzanekę.

Zapada cisza.

– Zawsze była o ciebie zazdrosna – dodaje Jeremy.

– Co takiego?!

– Chodzi mi o to, że bardzo cię podziwia i zawsze czuła się od ciebie gorsza.

– Bev?

– Jesteś taka mądra, utalentowana i piękna. Miałaś zalety, których jej brakowało. – Dotyka mojego nosa. – Masz klasę, moja droga.

– Ale przecież ona jest taka pewna siebie.

– Tylko pozornie. – Przerzywa i bierze głęboki oddech. – Kazała mi spalić zdjęcia.

– Jakie zdjęcia?

– Z Sally, dziewczyną, z którą spotykałem się wcześniej.

– Jezu, to żalosne.

W rzeczywistości jestem zachwycona. Słysząc nutę zwycięstwa w tym demonstracyjnym krzyku, którym sygnalizuje brak poczucia bezpieczeństwa. Gdybym ja potrafiła zdobyć się na odwagę, zrobiłabym to samo. Jeremy nie wie, ile Bev i ja mamy wspólnego. Nie tylko łączy nas uczucie do tego samego mężczyzny, ale też zawzięta zazdrość o niego. Jestem jednak bardziej przebiegła niż Beverley, więc swojej nie ujawnię.

Kiedy mieszkali w Kuala Lumpur, opowiada, zakochał się w młodej Malezyjce. Była technikiem laboratoryjnym w Zonacu.

– Bev się dowiedziała i przez pewien czas w naszym małżeństwie trwał poważny kryzys... Aż pewnego dnia otrzymałem informację, że Alyssa została zwolniona z pracy.

– To była sprawka Bev?

– Nie wiem. – Zawiesza głos. – Nie powinienem ci o tym mówić, jesteś przecież jej najlepszą przyjaciółką.

– Owszem, i właśnie postępuję jak przyjaciółka.

Żadne z nas się nie śmieje. Jemy śniadanie w milczeniu. Co będzie dalej? Nie możemy przecież wiecznie spiskować i się ukrywać. Jeremy powiedział Bev,

że ma sprawy do załatwienia w różnych miejscach, że będzie w ciągłym ruchu, więc żeby dzwoniła do niego na telefon komórkowy, a nie do hotelu. Ma tu być jeszcze tylko przez trzy dni, a potem wyjeżdża. Zostanie nam tylko kontakt mailowy.

Już jestem nieszczęśliwa z powodu jego wyjazdu. Jeremy jest miłością mojego życia, teraz to wiem. Przypuszczam, że ja dla niego podobnie, ale ani razu nie wyraził słowami swoich uczuć. On znajduje się w znacznie trudniejszym położeniu niż ja.

Oczywiście, że poczuwam się do winy, czuję się okropnie. Ale przychodzą chwile, w których lodowacieje mi serce, i wtedy myślę, że przecież ona miała go przez całe trzydzieści pięć lat. Czy po takim czasie nie nadeszła kolej na kogoś innego? Na przykład na mnie. Ona miała jego młodego, mnie natomiast przypadł w udziale Jeremy starszy, bardziej interesujący, dawno przestał być tym kimś z okresu triumpha staga. Widział świat, dojrzał jak wino w antałku. Przez wiele lat całkowicie się zmienił. Jego błazenada przekształciła się w żartobliwość, niezdarność w łagodność i subtelność, nawet styl ubierania stał się rozczulająco fantazyjny. Teraz jest mężczyzną w moim typie.

Między Bev a Jeremym wcale nie układa się najlepiej. Wychwyciłam kilka sygnałów. Zrodził się żal, nawet gorycz z powodu braku rodziny i wydaje się, że rozdzwięk na tym tle narasta od dawna. Jeremy chciał mieć dzieci i wnuki, nawet zazdrości mi moich. Życie w takim związku jak nasz to droga bez wylotu, mówi. Bev traktuje beapańskie psy jak swoje dzieci; trzęsie się nad nimi, martwi się o nie, one są głównym tematem jej rozmów. Jego natomiast doprowadzają do szału szczekaniem po całych nocach i paskudzeniem w ogrodzie.

Oprócz tego ona ma obsesję na punkcie starości i nieustannie domaga się komplementów. Sprowadza drogie kremy przeciwzmarszczkowe i stroi fochy, jeśli on nie dostrzeże korzystnej różnicy w jej wyglądzie. Duża wilgotność powietrza powoduje, że puszą się jej włosy; przed każdym wyjściem godzinami wysiaduje z suszarką przed lustrem i je układa – doskonale znam te jej przyzwyczajenia.

Myślę, że jest znudzony jej prowincjonalnym sposobem myślenia. Bev, jak wiele żon przebywających z mężem poza swoim krajem, zupełnie nie interesuje się światem zewnętrznym. Nigdy nie czyta gazet ani nie słucha wiadomości. Kobiety w takiej sytuacji jak ona wiodą życie w izolacji. To mężczyźni są w ciągłym ruchu, a ich żony tylko siedzą w domu, wyklócają się ze służbą albo grają w tenisa według zwyczaju pań z lat pięćdziesiątych ubiegłego wieku.

Bev nie do końca jest taka jak inne żony, ponieważ prowadzi nieźle prosperującą firmę, ale nic nie wskazuje na to, żeby starała się poszerzać swoje horyzonty. Masaże Jeremy uważa za dość wąską dziedzinę zainteresowań, chociaż służy za królika doświadczalnego. Wprawdzie poddaje się masowaniu gorącymi kamieniami i różnym innym zabiegom, ale nigdy nie wie, co ma jej potem

odpowiedzieć na pytanie: „Relaks w skali od jednego do dziesięciu?”. Ona się oczywiście irytuje.

Mam wrażenie, że do tego dochodzi pewne napięcie wokół spraw erotycznych. Bev kilkakrotnie mi mówiła, że ma wyjątkowo duże potrzeby seksualne. „Jestem osobą bardzo zmysłową”, powiedziała; tak jakby wszyscy oprócz niej byli z azbestu. W czasach młodości miała podręcznik pod tytułem *Jak zadowolić mężczyznę w łóżku* z rysunkami par w różnych niesamowitych wariantach gry wstępnej. Pod koniec wizyty, kiedy oboje jesteśmy już na solidnym rauszu, Jeremy wyznaje, że to wszystko mu ciąży. W dodatku dostrzega u niej pewne, choć ledwie widoczne przejawy samozadowolenia z wymyślnych gimnastycznych pozycji, które przyjmuje, jakby występowała na scenie przed publicznością. W ostatnich latach ich życie seksualne prawie ustało i – jeśli ma być całkowicie szczery – przyjmuje to z ulgą.

Następnego ranka jest przerażony własną nielojalnością.

– Bev jest wspaniałą kobietą. Zapomnij o tym, co ci powiedziałem. O Boże, o mój Boże! – Ukrywa twarz w dłoniach.

Dziś już wyjeżdża. Żadne z nas nie zadało pytania: „Co teraz zrobimy?”. Przez bardzo krótki czas mieszkaliśmy razem, a teraz odwożę go w godzinach szczytu na lotnisko Heathrow. Zupełnie bez sensu, bo mógł pojechać metrem, ale dzięki temu spędzamy ze sobą jeszcze godzinę.

Stoję w hali odlotów i patrzę na tablicę informacyjną. Do tego czasu oboje milczeliśmy, a teraz on zniknął za barierką jak Orfeusz w progu piekieł. Nie mogę jednak stąd odejść. Wciąż wyobrażam sobie, że Jeremy nagle zawróci, stanie w drzwiach i zawoła: „Nie mogę bez ciebie żyć, kochanie, wracajmy do domu”. Wyobrażam sobie nawet, jak żartuje na temat swego paszportu do Pimlico.

Informację o odlocie jego samolotu podano już kilka minut temu. Na tablicy informacyjnej z szelestem zmieniają się dane poszczególnych lotów i wyświetla się napis – *Lot NA26: ostatnie wezwanie* – i wtedy wybucham płaczem.

Dzień dobry Johna Donne’a, w przekładzie S. Barańczaka. [wróć]

William Szekspir, *Antoniusz i Kleopatra*, w przekładzie J. Limona i W. Zawistowskiego. [wróć]

White Springs, Teksas

Przyleciał pan Wang Lei, ponieważ chce uczestniczyć w badaniu ultrasonograficznym w dwudziestym tygodniu ciąży Lorrie. To ważna chwila dla niego i dla niej. Jest zdenerwowana z wielu powodów i zaraz po śniadaniu wymiotuje, chociaż poranne mdłości w zasadzie przestały już jej dokuczać.

Lorrie czuje ulgę, że Wang Lei nie będzie jej towarzyszył przez cały czas; odsłanianie brzucha przed nieznanym byłoby wyjątkowo krępujące. Jej mąż oczywiście był obecny przy takim badaniu, ścisnął jej rękę, gdy ich dziecko pojawiło się na ekranie. Tym razem w gabinecie jest tylko Lorrie z pielęgniarką. Oglądają zamazany, migoczący obraz płodu, który kształtem przypomina dużą krewetkę. Lorrie tak o nim myśli. Stara się nie dopuszczać do siebie żadnych uczuć. Bez wątpienia pojawią się z mocą później, ale na razie nie czuje nic; dla niej jest to tylko pokryty śluzem ślimak, który znalazł się w jej brzuchu.

Drukuje się zdjęcie dla pana Wang Leia, który pali papierosa na parkingu. Lorrie mu je przekazuje. Wie, że moment jest bardzo ważny, ale robi się późno i martwi się, że nie zdąży wrócić na czas i odebrać dzieci ze szkoły.

Wang Lei trzyma zdjęcie w dłoni. Powiedziała mu, że ma się urodzić dziewczynka. Jeśli chciał mieć chłopca, to niech swoje marzenia zachowa dla siebie. Mężczyzna zdejmuje okulary. Łzy płyną mu po policzkach, ale ich nie wyciera.

– Zaraz po powrocie do hotelu wysłę zdjęcie mojej żonie – mówi.

Lorrie nie przychodzi do głowy nic, co mogłaby mu powiedzieć. Czuje się wykluczona, sprawa jest bardzo osobista, jego i jego żony. *Jestem tylko inkubatorem*. Odniosła wrażenie, że również w klinice nie poświęcają jej tyle uwagi, ile na początku. Sharlene nawet się nie pokazała, a pozostali pracownicy byli bardzo zajęci innymi obowiązkami. Lorrie zorientowała się, że teraz, kiedy ona i pan Wang Lei są już zarejestrowani, pozostawiono ich samym sobie. Parking jest prawie pusty, nawet na stacji benzynowej nie widać żadnego ruchu. Lorrie znajduje się w stanie oszołomienia; wkrótce pewnie się ocknie i stwierdzi, że ta cała historia była tylko urojeniem. Na tym etapie powinna się już oswoić z sytuacją, ale w dalszym ciągu, i to już od wielu tygodni, rzeczywistość wydaje się jej snem.

– Chciałbym o coś zapytać, droga pani. – Pan Wang Lei chrząka, wydając przy tym ostre, dziwnie chrapliwe pomruki. Indianie robią tak samo, może to taki azjatycki zwyczaj. – Czy mógłbym przy tej okazji odwiedzić pani męża i rodzinę?

Serce podjeżdża jej do gardła. Oczywiście, że on może mieć takie życzenie, jest to zapisane w pakiecie informacyjnym. *Zachęcamy wszystkich naszych dawców i matki zastępcze do nawiązywania i zacieśniania wzajemnych relacji*. Wang Lei

zatrzymał się w San Antonio na trzy dni. W jaki inny sposób miałby wykorzystać swój czas? Cięża najwyraźniej przytępiła jej umysł.

– Oczywiście – odpowiada. – Wprawdzie mój mąż wyjechał, ale będzie pan mile widzianym gościem w naszym domu.

Lorrie powtarza sobie, że jest tylko inkubatorem, i przez większość czasu w zasadzie w to wierzy. Ta wiara przychodzi jej w miarę łatwo, ponieważ ono jeszcze nie zaczęło kopać. O dziecku myśli „ono”. Od czasu do czasu zapisuje swoje spostrzeżenia w dzienniku, ale wyłącznie dla przyszłych rodziców, nie dla siebie. Właściwie nie bardzo ma o czym pisać, do tej pory znalazło się w nim kilka zdań o pogodzie i o jej stanie zdrowia – nic istotnego, nie ma żadnych niepokojących sygnałów, czuje się dobrze. Nie zamieszcza żadnych wzmianek ani na temat męża, ani rodziny; jej sytuacja jest i tak niebezpieczna, więc nie chce brnąć w kłamstwa jeszcze bardziej.

Lorrie stara się nie dopuszczać do siebie żadnych myśli, ponieważ każda wywołuje w niej falę strachu, a sama świadomość, że z powodu nieprawdopodobnego zbiegu okoliczności coś niepowstrzymanie w niej rośnie, przyprawia ją o zawroty głowy. Nie dość, że nosi w sobie dziecko obcego człowieka, to na dodatek dziwnym trafem jest ono pół-Chińczykiem.

Mimo niechęci zagląda do internetu, żeby dowiedzieć się czegoś więcej o Chinach. Niewiele wie o tym kraju, a czuje, że powinna lepiej go poznać ze względu na dziecko, bo wtedy ono – ona – stanie się jej bliższa. Siedzi w nocy przy komputerze i ukradkiem, jakby ściągała filmy pornograficzne, szuka informacji.

Chiny mają 1,35 miliarda mieszkańców (wkrótce będzie o jednego więcej). Kraj rozwija się w zawrotnym tempie i niedługo wyprzedzi Stany Zjednoczone, stanie się pierwszą potęgą świata. Jego komunistyczni przywódcy narzucili zasadę jednego dziecka, która stała się nieszczęściem dla bardzo wielu rodzin. Językiem urzędowym jest mandaryński. „Cześć” to *ni hao*.

Lorrie spogląda na swój brzuch i mówi szeptem *nee how*.

Według podanej na stronie internetowej wymowy właśnie tak to brzmi. *Nee how* szepcze. Spaceruje po pokoju i powtarza *nee how*. Przestaje szeptać i mówi to samo głośno, jakby prowadziła rozmowę.

„Do widzenia” to *zai jian*. *Zai* rymuje się z „daj”, a *jian* brzmi jak „jee-jen”.

Kiedyś, jeżeli wszystko pójdzie zgodnie z planem, właśnie tak się pożegna z odjeżdżającym maleństwem. *Zaj-jee-jen*.

– To jest Dean, a to Angelina.

Lorrie pokazuje panu Wang Leiowi zdjęcia na ścianie.

– Piękne dzieci – chwali Wang Lei.

– Te fotografie zrobiono jakiś czas temu. – Teraz chłopiec ma siedem lat,

a dziewczynka dziesięć. Są starsze i grubsze. Lorrie ma nadzieję, że jej gość nie poprosi o aktualne zdjęcia, bo wtedy mógłby się zaniepokoić, że jego dziecko też będzie otyłe. Czuje nagły przyływ opiekuńczej miłości do swoich dzieci, wstydzi się własnej nielojalności. – Przykro mi, że ich pan nie zobaczy. Zupełnie zapomniałam, że dziś po lekcjach mają w szkole zajęcia.

Nie może ryzykować, on nie powinien zostać tu do powrotu jej dzieci. Jego obecność będzie powodem do niekończących się pytań. Kim był ten pan, mamó? Opowiadania ojcu na Skypie: *Dziś, jak wróciliśmy ze szkoły, u mamy był taki śmieszny Chińczyk*. Chcąc tego uniknąć, Lorrie pozwoliła im iść dziś z przyjaciółmi i zostać u nich do czasu, aż tutaj, w ich domu, teren będzie czysty.

Częstuje Wang Leia wodą sodową. Przejechał dość długą drogę z San Antonio wypożyczonym samochodem. Zepsuła się klimatyzacja i ciurkiem leje się z niego pot. Poza tym mimo włączonego wentylatora w salonie jest duszno i bardzo gorąco.

Jak będzie wyglądało kilka następnych godzin?

Lorrie nie ma pojęcia, co powiedzieć. On jest uprzedzająco grzeczny. Czy wszyscy Chińczycy tak się zachowują? Czy może powodem jego nadzwyczajnej uprzejmości są te niezwykle dziwne okoliczności?

Ona jego obecność w swoim domu uważa za niepokojąco osobliwą. Wang Lei należy do jej innego życia, które trzyma w tajemnicy. Zastanawia się przez chwilę, czy jej mąż ma podobne odczucia w związku ze służbą w armii, ze swoim podwójnym istnieniem. Obecna sytuacja wydaje się jednak bardziej oderwana od rzeczywistości. Obecność pana Wang Leia w jej salonie jest równie nieprawdopodobna jak trzymanie w domu łosia albo ciągnika rolniczego. Nie potrafi w żaden sposób powiązać tego człowieka z tym pokojem. O czym będą rozmawiać? *Zachęcamy naszych dawców i matki zastępcze do nawiązywania i zacieśniania wzajemnych relacji*. Nawet nie może mu podać lunchu, ponieważ już jadł.

Wang Lei w dalszym ciągu nie usiadł. Stoi ze szklanką w ręku, jakby przybył tu służbowo. Spogląda na Wojownika – głowę lwa.

– Mój mąż upolował go w Afryce – wyjaśnia Lorrie. – Byłam bardzo niezadowolona. – Prawdę mówiąc wściekła. Doszło między nimi do awantury. Niewiele brakowało im do rozstania, ale o tym nie może mu powiedzieć. Musi być przekonany, że jej małżeństwo jest stabilne. Poza tym Chińczycy bez skrupułów zabijają dzikie zwierzęta, tak gdzieś czytała. – To było podczas jego czynnej służby wojskowej, przypuszczalnie musiał się wyżyć. Powiedział, że są wyznaczone jakieś kwoty, że trzeba utrzymywać liczbę dorosłych samców poniżej określonego poziomu.

– To nie jest dorosły samiec, proszę pani. Był młody, nie całkiem dojrzały. – Pokazuje na grywę. – Takim jak ten specjalnie wplata się dłuższe włosy.

– Co takiego?

– Proszę spojrzeć tutaj.

Podchodzi do Wojownika i dotyka jego grzywy.

– W buszu mają całe zespoły specjalistów od wypychania zwierząt – mówi.

– To jest przemysł na wielką skalę. Wybito zbyt wiele dorosłych samców, więc teraz młode upodabniają do dorosłych.

– Ale po co?

– Mężczyźni mają swoją dumę, pani Russell. – Nagle wybucha śmiechem podobnym do szczekania psa. – Swoją dumę. Rozumie pani?

Lorrie próbuje się uśmiechnąć, ale bezskutecznie. Jest zbyt zdenerwowana. Wang Lei to zauważa.

– Bardzo przepraszam – tłumaczy się. – Niestety tam, gdzie w grę wchodzi natura, za dążeniami mężczyzn do imponowania męskością stoi wielki biznes.

– Słowo „męskość” zawisło w powietrzu. Wang Lei najwyraźniej poczuł się nieswojo.

Todd wiedział, że strzela do młodego lwa, i trzymał to w tajemnicy. Skłamał. Cóż za żalona sytuacja powstała z tego powodu.

– Nie mam na myśli pani męża, pani Russell. To była tylko ogólna uwaga.

Ale w końcu ona też okłamała swego męża.

Lorrie wyjmuje ozdobę z grzywy lwa i wyrzuca do śmieci. Wang Lei przeprasza ponownie. Jest speszony własną niezręcznością i gwałtownie siada na kanapie.

– Czy nie będzie pani miała mi za złe, jeśli zdejmę marynarkę, droga pani?

Chusteczki do nosa, które ma ze sobą, są zupełnie mokre, więc Lorrie przynosi z kuchni papierowy ręcznik na rolce i mu podaje. Atmosfera staje się mniej oficjalna i oboje trochę się rozluźniają. Wang Lei dziękuje jej, bierze ręczniki, zdejmuje okulary i wyciera twarz.

– Moja żona bardzo się niepokoi – mówi.

– Wszyscy jesteście zaniepokojeni.

– Zaproponowałem, żeby przyleciała z Pekinu na nasze spotkanie, ale ona jest nieśmiała i woli zostać w mieszkaniu.

– W mieszkaniu? – dziwi się Lorrie. Sądziła z jakiegoś powodu, że mieszkają w domu z pagodowym dachem. Najwyraźniej nie ma o niczym pojęcia.

– Mógłbym, jeśli pani pozwoli, zrobić dla niej kilka zdjęć pani i jej wspaniałego domu.

– Wcale nie jest taki wspaniały – stwierdza Lorrie. – Zamierzamy się wkrótce przeprowadzić do nowego.

– Moja żona pochodzi z małej wsi – dodaje Wang Lei. – Jest bardzo przesadna.

– Oddam je. Oddam ją wam. Proszę uspokoić żonę. Może się nie martwić.

Przejdę przez to do końca.

– Mąż panią wspiera? W stu procentach?

– W stu procentach – potwierdza Lorrie głośno i z przekonaniem.

– Przepraszam za to, co mówię, ale wszystko może się zmienić, kiedy pojawi się dziecko.

– Nic się nie zmieni, proszę mi zaufać.

Z zewnątrz słychać miarowe uderzenia młotka. Carl, sąsiad Lorrie, stracił pracę w rzeźni i całymi dniami zajmuje się naprawami w domu. Jeszcze się nie dowiedziała, jakie przestępstwo popełnił.

Czy Wang Lei wciąż nie jest przekonany? Nie potrafi nic wyczytać z jego nieruchomej twarzy ani z oczu, które ledwie widać spod opadających powiek.

– Widzi pan, potrzebuję pieniędzy. To dziecko przyniesie mi ratunek – nagle wyrzuca z siebie Lorrie i po tych słowach nieruchomieje. Absolutnie nie powinna mówić w ten sposób.

Ale Wang Lei kiwa głową.

– Nam też ona przyniesie ratunek.

Lorrie marszczy brwi.

– Dlaczego, jeśli wolno spytać?

– Ponieważ moja córka będzie miała amerykańskie obywatelstwo.

Uderzenia młotka ustają. Lorrie patrzy na swego gościa zdziwiona.

– Moja córka urodzi się na amerykańskiej ziemi – mówi Wang Lei. – Będzie obywatelką tego kraju, otrzyma zieloną kartę, a gdy skończy dwadzieścia jeden lat, jej rodzina, to znaczy ja i moja żona, będzie miała prawo przyjechać tu legalnie i zamieszkać w pani ojczyźnie. – Unosi brwi. – Myślałem, że pani o tym wie.

– Nie, nie wiedziałam.

– Wasze cudowne Stany Zjednoczone Ameryki są wolnym krajem.

Upływa kilka chwil, zanim to, co powiedział Wang Lei, do niej dociera. Lorrie czuje się w pewnym sensie wykorzystana, ale właściwie kto kogo wykorzystuje w całym tym przedsięwzięciu? Głupio jej, że o tym nie pomyślała. Ale też czuje się zawiedziona, tak jakby właśnie wyszło na jaw, że jej chłopak spotykał się z nią tylko dlatego, że miał ochotę pojeździć jej samochodem. Bzdura! Trudno byłoby wyobrazić sobie kogoś, kto miałby mniejsze szanse na awans na jej chłopaka niż pan Wang Lei.

– Nie będzie pani miała nic przeciwko, jeśli zapalę papierosa? – pyta i wstaje.

– Nie, ale proszę nie wychodzić na zewnątrz! – Nie można ryzykować, sąsiedzi nie mogą go zobaczyć. – Proszę zapalić tutaj.

Wang Lei zerka na jej brzuch.

– Ale dziecko...

Właściwie od przyjazdu dość często spogląda na jej brzuch. Lorrie nie

potrafi stwierdzić, czy robi to ze względu na jej ciążę czy na jej tuszę. W zasadzie zaokrąglony brzuch jest ledwie widoczny dla kogoś obcego, zwłaszcza że Lorrie nosi luźne ubrania.

Podaje mu popielniczkę i siada po drugiej stronie pokoju, z daleka od dymu.

– Pozwoli pan, że zapytam... Dlaczego chcecie tu przyjechać?

– Widzi pani, mój kraj już teraz się krztusi, a wkrótce udusi się na dobre. – Zaciąga się dymem i chociaż dostaje ataku kaszlu, wyraźnie nieco się uspokaja. Rozsiada się wygodnie w fotelu. – Zanieczyszczenie powietrza jest ogromne, każdego roku coraz większe. Ja jestem biznesmenem i stawiam na rozwój, ale wiem, że doprowadzi nas on do zagłady. Rzeki mamy zatrute, miasta również, wpadliśmy w pułapkę. Znaleźliśmy się w sytuacji nie do opanowania, ponieważ rozwój przemysłowy pozwala naszej partii rządzącej utrzymać władzę, a dzięki niemu możemy stawiać światu swoje warunki. Wy musicie wspierać nasz rozwój, żeby zapełniać swojego Walmarta tanimi ubraniami dla dzieci i żyć w amerykańskim śnie, do którego – jak się wam zdaje – macie prawo. Otóż my w Chinach uważamy podobnie i też chcemy tak żyć. W Afryce też chcą. A ja w tym procesie uczestniczę. Zarobiłem na tych wzajemnych powiązaniach sporo pieniędzy, ale takie życie ma swoją cenę i trzeba ją będzie zapłacić. Chcę się więc stamtąd wynieść, zanim cały ten układ nas zniszczy. – Siedzi wyczerpany, mały mężczyzna podobny do żaby w chmurze papierosowego dymu. Mogę to pani powiedzieć, droga pani Russell, ponieważ dzięki pani realizacja mojego planu będzie możliwa. Oboje jesteśmy współnikami w tym przedsięwzięciu.

Lorrie jest zaskoczona jego przemową. Ze wszystkich sił stara się poczuć sympatię do tego człowieka, z którym jest nierozzerwalnie związana, i jego szczerść jej w tym pomaga. On ma rację, zawarli transakcję handlową. Ale czy ona hoduje mu tylko żywą przepustkę do innego świata? Słyszała, że Chińczycy są bezwzględni, mają obsesję na punkcie pieniędzy i hazardu, że nawet jedzą psy. Jakimi wobec tego są rodzicami? Czy tę małą dziewczynkę ktoś będzie kochał tak samo, jak Lorrie kocha własne dzieci?

– Chcę, żeby mojej córce przydarzył się amerykański sen – mówi Wang Lei.

– Jest pan tego pewien? – Lorrie nagle czuje wewnętrzne poruszenie. – Naprawdę chce pan wiedzieć, jak wygląda amerykański sen?

Wang Lei unosi brwi. Z zewnątrz dobiega warkot wiertarki.

– W mieście, w którym się wychowywałam, była huta – opowiada Lorrie. – Ogromne przedsiębiorstwo i potężny pracodawca, ale zostało zamknięte i wszyscy zatrudnieni tam ludzie stracili pracę. Mój ojciec kompletnie się załamał i zapił na śmierć. Żyliśmy z zasiłku z pomocy społecznej, a matka pracowała po nocach, żebyśmy mieli co postawić na stole. Połowa dzieci z mojego miasta wyrosła na ćpunów, a druga połowa, żeby tylko stamtąd uciec, gdzie oczy poniosą, zaciągnęła się do wojska. – Przerzywa, bierze głęboki oddech. Jej dłoń spoczywa w dłoni brata,

gdy skaczą i biegają po kamieniołomie. Nie wspomina temu obcemu mężczyźnie ani słowem o tym, jak umarł Toller; do tej pory nie może o tym mówić. – Ludzie próbowali się stamtąd wydostać, ale dokąd mieli pójść? Po pewnym czasie rozpoczęło się szczelinowanie i już nikt nie mógł z miasta wyjechać, nawet gdyby chciał, bo cała okolica przekształciła się w jedno wielkie toksyczne wysypisko. Dzieci dostawały krwotoków z nosa, a z kranów płynęła maź. Kto kupiłby dom ludzi, którzy chcieliby opuścić miasto?

Lorrie nagle milknie. Teraz pan Wang Lei jest zaskoczony. Ona jednak nie myśli o nim, tylko o swoim nowym domu. To jest jej amerykański sen, jej i Todda – wyjadą stąd, zostawią to niewielkie wynajmowane pudełko i przeniosą się pod numer dwunasty z widokiem na jezioro, do domu z trzema sypialniami, kuchnią z nowymi lśniącoymi urządzeniami, nawet ze zmywarką... Ale czy będą tam szczęśliwi i czy ich dzieci będą miały przyszłość?

Szumi jej w głowie. Czy należy winić za to Chiny? Za upadek jej miasta z Main Street i Walmartem, wraz z którym zniknęło tam życie, a młodzi mężczyźni wyruszyli na wojnę, bo nie mieli się gdzie podziać, i po powrocie budzą się w nocy i krzyczą, a potem znęcają się nad swoimi dziećmi? I tak to się toczy.

Wang Lei gasi papierosa.

– Moja babcia miała bandażowane stopy i potem ledwie mogła chodzić. Myślałem, że u starszych kobiet to normalne. Moja rodzina pochodziła ze wsi, a potem... potem Mao doszedł do władzy. Szanowna pani Russell, nie ma pani pojęcia, co znaczy wolność.

Jego słowa poruszają Lorrie. Nikt, kogo zna, nie mówi o takich rzeczach, z pewnością nie Todd. Właściwie ona też nie. Nagle uświadamia sobie, że na całym świecie jest mnóstwo krajów, wiele możliwości, języków i miast, których nigdy nie zobaczy, z ich wieżami i minaretami. Jej umysł się otworzył. Nic nie wie o Chińczykach, ale czuje, że ich trudy mają inny wymiar niż jej uciążliwości. Ten człowiek jednak osiągnął w życiu sukces, jeździ po świecie, prowadzi interesy w Afryce, w części świata dla niej równie tajemniczej jak Chiny.

Wojownik patrzy ponad ich głowami spod opadającej grzywy dorosłego osobnika. Teraz wygląda żałośnie, jak dziecko w peruce. Myśl o tym, że młode zwierzę nie miało szansy dorosnąć, przepełnia ją smutkiem. Todd przerwał życie Wojownika, żeby udowodnić sobie, że jest mężczyzną. Czuje złość na swego nieobecnego głupiego męża, którego oszukuje w tak niewiarygodny sposób. W tej chwili wydaje się sobie tą odważną. Żaden mężczyzna nigdy nie zazna bólu porodu. Nawet żołnierz.

Czuje się trochę rozkojarzona i próbuje się skoncentrować. Pan Wang Lei pokazuje zdjęcia swego mieszkania w Pekinie. Lorrie jest zdumiona jego przepychem – złocone lustra, białe, puszyste dywany, balkon z widokiem na las wieżowców ginących we mgle. Pokój jest już przygotowany dla dziecka,

pomalowany na żółto, z wizerunkami tygrysów na ścianach. Pokazuje jej także zdjęcia rezydencji, którą nazywa wakacyjną kryjówką. Również jest ogromna. Obecny dom Lorrie mógłby się tam zmieścić w salonie z galerią. Mówi jej, że posiadłość znajduje się w pobliżu chińskiego Wielkiego Muru, który widać z kosmosu.

Z całą pewnością jest dumny ze swego majątku. Opowiada jej szczegółowo o wielkiej powierzchni i najnowocześniejszym systemie alarmowym. Chwali się też, że jest właścicielem najwyższej klasy range rovera i bmw jakiejś tam serii. Lorrie zastanawia się, czy wszyscy Chińczycy są tacy wyniośli i chępliwi, czy może Wang Lei udaje takiego pyszałka z powodu niepełnowartościowego nasienia. Wojownik wciąż pozostaje na swoim miejscu.

Lorrie zastanawia się też, czy Wang Lei zastrzelił antylopy, których głowy zdobią ściany jego pałacowej sypialni. Mężczyźni to godne pożałowania kreatury.

Ich rozmowę przerywa głośnie pukanie do drzwi. W progu staje Carl, sąsiad, ze strzelbą w ręku. Ostatnio zapuścił brodę i wygląda jak półdziki człowiek lasu.

– Czy to pana samochód tam stał? – zwraca się do pana Wang Leia. – Jakieś bachory przed chwilą nim odjechały. Strzeliłem do nich, ale uciekły. – Odwraca się do Lorrie. – Te od Polaków z naszej ulicy.

Wizyta kończy się tym, że Lorrie odwozi swego chińskiego gościa na dworzec autobusowy. Po długim oczekiwaniu pan Wang Lei wyjeżdża do San Antonio. Jej przeprosiny przyjmuje ze sztywną uprzejmością i Lorrie zupełnie nie potrafi stwierdzić, co on sobie myśli. Jego twarz jest jak zwykle obojętna. Niezgłębiona.

Z hukiem znika jego amerykański sen. Wang Lei był porażony jej domem i sąsiedztwem. Pewnie się wycofa z umowy, a ona nigdy więcej go nie zobaczy. Urodzi chińskie dziecko – trzeba się będzie z niejednego tłumaczyć!

Ale ostatecznie czy noworodki nie są podobne do Chińczyków?

W drodze do domu Lorrie wybucha histerycznym śmiechem. Gdyby tylko mogła z kimś porozmawiać! Czuje się, jakby miała za chwilę wybuchnąć.

Późno odbiera swoje dzieci. Kłócą się jak zwykle, do jej życia wróciła normalność. Lorrie gotuje im obiad. Wydarzenia z wczesnego popołudnia wydają się nierzeczywistym snem. Gdyby nie niedopałek w popielniczce, trudno byłoby uwierzyć, że pan Wang Lei siedział u niej w salonie.

Nie może się nadziwić utracie apetytu. Normalnie podjadałaby ciasteczka przez całe popołudnie – szczególnie w dniu tak pełnym napięć. Zachęcona zapachami podczas smażenia kurczaka sięgałaby po wszystko, co znajduje się w zasięgu ręki.

Tymczasem połknęła dwie kapsułki i nie czuje łaknienia. Zażywa dwie

czterystumiligramowe kapsułki karpanolu dwa razy dziennie.

Karpanol jest jej tajną bronią przed zdemaskowaniem. Uważa, że dzięki niemu jej niezwykle ryzykowny plan może się powieść.

Dowiedziała się o tym specyfiku z internetu. Wytwarza się go na bazie wyciągu z rośliny o nazwie *kar*. Zgodnie z informacją podaną na etykiecie jest to suplement o działaniu hamującym apetyt, przeznaczony „dla każdego, kto zmaga się z uczuciem głodu, zachciankami ciążowymi i ma problemy z ograniczeniem ilości pożywienia”. Środek jest całkowicie bezpieczny, nie stwarza zagrożenia dla dziecka rozwijającego się w łonie matki. Mechanizm działania ma podobny do cukru i niweluje łaknienie. Lorrie nie przestała jeść, przestała się tylko napychać przez cały dzień.

Na tym polega cudowne działanie kapsułek. Chudnie, a jednocześnie przybiera na wadze. Przez kolejne miesiące nikt nie zauważy różnicy.

Stąd Lorrie czerpie nadzieję i trzyma się jej kurczowo.

W następną sobotę zabiera dzieci na zakupy. Dean już wyrósł ze spodni, w których chodzi do szkoły, i musi mieć większe. Gwałtownie przybiera na wadze. Lorrie przypuszcza, że syn bardzo tęskni za ojcem i szuka pocieszenia w jedzeniu. Ostatnio zaczął chować opakowania po przekąskach, jego kłamstwa doprowadzają Lorrie do rozpacz. Nie ma mowy, żeby choć słowem wspomnieć mu o diecie, zwłaszcza teraz, kiedy jest już starszy. Przychodzi jej więc nawet do głowy szalony pomysł, żeby podawać mu ukradkiem karpanol.

Spodnie są niemodne – w dużych rozmiarach zazwyczaj tylko takie można dostać. Dean chce ubierać się modnie i na luzie jak inne dzieci. Lorrie przegląda spodnie na wieszakach, szuka podobnych do tych, które widziała na stronie internetowej Big Kids, w ładnym fasonie, uszytych z fantazją. Ale takich nie ma, tak jak tamtej strony.

Wciąż nie potrafi zrozumieć, jakim sposobem strona mogła zniknąć tak z dnia na dzień. Czyżby ktoś zadał sobie tyle trudu, żeby okraść jedną osobę? Czy może pojawiła się znów w innej postaci z innymi nieprawdziwymi produktami? A może czterdzieści osiem tysięcy dolarów wystarczyło temu komuś, żeby przejść na emeryturę i zamieszkać w wymarzonej domu?

– Mamo, jestem głodna. – Angie szarpie Lorrie za rękę.

Bar Golden Gate znajduje się niedaleko, po drugiej stronie parkingu. Neon w kształcie budynku z pagodowym dachem mruga nierówno w słonecznym świetle. Mają promocyjną ofertę na sobotni lunch, więc Lorrie zabiera tam dzieci.

W środku nie ma gości, choć kręci się wielu kelnerów.

Lorrie odnosi wrażenie, tak jak zawsze, że personel pojawia się tylko wtedy, gdy wchodzi klient. Zupełnie jak tamta strona, myśli teraz.

Przygląda się kelnerom. Szczerze mówiąc, do tej pory w ogóle na nich

uważniej nie patrzyła. Ludzie mówią, że wszyscy Chińczycy wyglądają tak samo, ale to nieprawda; po prostu nikt ich nie ogląda, kiedy są w grupie. Twarze kelnerów są różne, ale mają jedną wspólną cechę: taki sam wyraz obojętnej uprzejmości. Lorrie przyszło nawet do głowy, żeby rozebrać się do rosołu i sprawdzić, czy w ogóle zareagują.

– Tfu! Ohyda! – Dean krzywi się na dania, które pojawiły się na stole. Jest w złym humorze z powodu upokorzenia, które spotkało go przy kupowaniu spodni.

Lorrie go ucisza. Kelnerzy się oddalili, a wtedy ona próbuje go przekonać do poszczególnych potraw. *Kung pao ming har* (krewetki z orzeszkami ziemnymi), *chow mein* (makaron), *mu shu pork* (z jajkami i pąkami lili), smażony ryż *Yangchow*. – Smakowało ci przecież ostatnim razem – mówi.

– Nie ma mowy! – Dean kategorycznie odmawia jedzenia pałeczkami.

Angie układa sobie pałeczki drobnymi paluszkami, ale wypadają jej z ręki.

– Kretynka – komentuje Dean. Pomimo grymaszenia zjada wszystko z talerza widelcem i łyżką. Jego ciemne oczy przypominające paciorki ostatnio wyraźnie się zmniejszyły, zatopiły się głęboko w poduszkowatych policzkach. – Tata mówi, że Chinole jedzą zwierzęce pupy.

Lorrie marszczy brwi.

– Twój ojciec nie ma o niczym pojęcia.

– Ale on też je!

– I nie nazywamy ich Chinolami.

– Mówi, że jedzą ich łapy i pupy, i flaki też.

– Tfu! – Angie wypluwa jedzenie.

– Proszę jeść i koniec. – Lorrie patrzy na dzieci. – Oboje!

– I mówi, że po dwóch godzinach znów trzeba jeść, bo się jest głodnym.

Lorrie wybuchą śmiechem. Nic podobnego, nie po karpanolu. Syn i córka spoglądają na nią z zaciekawieniem. Rodzice są dziwni i nieprzewidywalni.

Kapsułki działają! Lorrie zjada skromny posiłek, część zostawia na talerzu. Dawniej dosłownie każde uczucie wywoływało u niej nienasycony głód – strach, radość, napięcie, nawet relaks. Była uzależniona od jedzenia tak jak nałogowi palacze od papierosów. Jadła, żeby sobie dodać odwagi, i jadła, żeby sobie sprawić nagrodę. Jadła, żeby powstrzymać myśli, i wtedy, kiedy trzeba było rozwiązać problem. Przez cały dzień wkładała coś do ust. Teraz czuje cichą satysfakcję, gdy pod okiem milczących kelnerów odkłada na bok pałeczki.

Tego wieczoru, gdy dzieci poszły spać, Lorrie otwiera dziennik w okładce z czerwonego jedwabiu.

Pisze w nim: *Dzisiaj dziecko zjadło pierwszy chiński posiłek!*

Pimlico, Londyn

Kolejny fragment z bloga Bev.

Moi drodzy! Załączam zdjęcie naszego najnowszego dziecka. Przedstawiam wam Dalilę. Czyż nie jest urocza? Znalazłam ją całą w ranach i z odgryzionym ogonem. Ale wystarczyło trochę czułości, miłości i troskliwej opieki, które czynią cuda, i ta biedna psina stała się teraz prawdziwą damą. Sukie, nasza główna bohaterka dramatu, wygląda na śmiertelnie obrażoną!

Przy okazji, nawiązując do czułości, miłości i troskliwej opieki, muszę się podzielić z Wami wspaniałymi przeżyciami w związku z niespodzianką, którą Jem zrobił mi w zeszłym miesiącu. Ostatnio bardzo dużo podróżował w sprawie pozyskiwania funduszy na swoją działalność charytatywną, a ja ciągle byłam sama. Wyobraźcie sobie moje zdziwienie, kiedy zaprosił mnie na romantyczną podróż z okazji naszej rocznicy ślubu (tak, tak, już trzydziestej piątej, jakkolwiek by liczyć!). Zostawiliśmy moje dzieciątka pod opieką Clarence'a, naszego domowego pomocnika, i poleciliśmy do Kenii, do pięciogwiazdkowego hotelu Talbot Game Lodge. Tam, w pokoju, czekał na nas szampan i róże. Po południu wybraliśmy się na safari i widzieliśmy sporo różnych zwierząt, nawet duże stado żyraf. Są wysokie i piękne i zupełnie nie zwracają na nas uwagi. Podobnie jak kelnerzy w restauracji w hotelu Sheraton w Nairobi, stwierdził Jem. Uśmieśliśmy się jak nigdy!

Po cudownie odprężającej sesji w centrum odnowy biologicznej (wspaniałe masaż!) piliśmy szampana na naszym balkonie z widokiem na niewielkie jezioro, do którego po zmierzchu przychodzą słonie. Jakież to zachwycająco majestatyczne stworzenia!

Zupełnie nie mieści mi się w głowie, jak można do nich strzelać – od kul powinni ginać ci, którzy to robią!

Później zjedliśmy wyśmienitą kolację przy świecach, a reszta objęta jest cenzurą! Wszystko razem złożyło się na wprawdzie krótki, ale cudowny odpoczynek. Mieliliśmy okazję na chwilę oderwać się od codzienności. Jestem naprawdę najszczęśliwszą dziewczyną na świecie!

- Ona niczego nie podejrzewa?
- Nie.
- Jesteś pewien?
- Tak.
- Bez żadnych wątpliwości?
- Znam ją, Petro. Ona jest moją żoną.

Ta wizyta różni się od poprzednich. Nasza wesołość znika. Oboje jesteśmy podminowani i pijemy sporo alkoholu. Jeremy ugina się pod brzemieniem winy i zamknął się w sobie. Muszę być wyrozumiała, ponieważ on ma bardzo wiele do stracenia.

Odchodzi od Bev.

Sporo schudł. Wygląda starzej i – trudno się dziwić – jest bardziej spięty. W naszych relacjach nastął dziwny okres. Czuję się mu bliższa – choć odnosimy się do siebie ostrzej, jesteśmy bardziej drażliwi i nadpobudliwi – a zarazem bardziej zdystansowana. Zapewne dlatego, że znajduję się poza jego światem, a on jest nim całkowicie zaabsorbowany. Czy może być inaczej? Małżeństwo, pracę, kraj, wszystko, co kocha – zostawia dla mnie. Nasz romans natomiast należy do mojego świata, wypełnia każdy jego zakamarek, każdą szczelinę. Mamy do czynienia z całkowitym zachwianiem równowagi; czasami zastanawiam się nawet, czy nasza więź nie jest zbyt krucha, żeby stanowiła przeciwwagę dla jego ogromnego poświęcenia. Czy zacznę mieć do mnie pretensje?

Wyczuwa mój nastrój, jestem pewna. W takich chwilach ożywia się i staje się dawnym Jeremym – zabawnym, kochającym, optymistycznym. Wydaje mi się, że poczuł ulgę, gdy podjął tę decyzję. Od czasu, gdy postanowił odejść od żony, opowiada o niej, nie szczędząc jej pochwał, i między innymi za to go kocham. Ze wzruszeniem i pewnym niepokojem patrzę na swego starego przyjaciela, który jest zupełnie nieświadomy przyszłości. Czuję się trochę tak, jakbym obserwowała samochód, który beztrąsko jedzie pod prąd, i – wiedząc, że czeka go katastrofa – chciała mu światłami dać sygnał ostrzegawczy.

No nie wiem. Każdy, kto rozsyła takie cyrkularze, zasługuje na swój los. Nadeszła moja kolej. Kiedy przez trzydzieści pięć lat Bev śpiewała z mężem w duecie nad garnkami, ja byłam oszukiwana, sfrustrowana i opuszczona. Bardzo, bardzo samotna. Ludzie żyjący w związku małżeńskim nie mają pojęcia o samotności.

Moje stwierdzenie może się wydawać okrutne, ale życie nas nie oszczędza. Wystarczy poczytać gazety. Dokładnie przyjrzeć się własnej rodzinie. Poobserwować Palestyńczyków. Jeremy mnie uratował, a ja na śmierć i życie będę walczyć, żeby go przy sobie zatrzymać.

Pogoda jest ponura, padają ulewne deszcze i po ulicach strumieniami płynie

woda.

Jesień nie powinna być taka. Powinna zachwycać rześkimi porankami i kasztanami; Anglia powinna wyglądać tak, jak w swojej wyobraźni widzą ją ci, którzy pocą się w tropikach. Chcę, żeby Anglia pokazywała się z jak najlepszej strony, żeby Jeremy miał chęć tu mieszkać. Głupi pomysł, wiem – to ja powinnam być dla niego wystarczającą zachętą. Ale patrzę na moje starzejące się ciało, piersi, które przypominają uszy spaniela, i myślę, czy on dla takich widoków rzeczywiście może zrezygnować z tego, co ma teraz.

W końcu nadchodzi pogodny dzień, więc proponuję, żebyśmy się wybrali na spacer do Cotswolds. Jeremy jest miłośnikiem pozamiejskich krajobrazów, tęskni za błotnistymi bagnami i jeżynowym gąszczem.

Mamy początek listopada, z drzew już dawno opadły liście. Idziemy buczynowym lasem w kierunku wzgórza. Jeremy jest tu już od trzech dni, a w ogóle nie rozmawialiśmy o naszych planach. Na ich temat padło tylko jedno zdanie, że przyjedzie do Londynu i zamieszka ze mną. Na świeżym powietrzu powinny się nam przewietrzyć głowy, ale ja słyszę w swojej tylko szum – ile przywiezie tu swoich rzeczy i gdzie mam je umieścić? Czy jego cierpiąca na demencję matka będzie mnie uważała za Bev? Jak to będzie znów mieszkać z mężczyzną? Czy Bev przyjedzie do Londynu i wyważy mi drzwi? Ciekawe, że jednocześnie nie mogę się doczekać, aż Jeremy stąd wyjedzie, żebym mogła po prostu rozkoszować się bez rozpraszania uwagi tym, co się dzieje, i jak nastolatka oddać się marzeniom o miłości.

– Musimy się wstrzymać z ogłoszeniem nowiny – mówi Jeremy.
– O naszych planach powiem jej po Bożym Narodzeniu.

Jaki czas jest właściwy na przekazanie takiej wiadomości? Oczywiście żaden. Zawsze dzieje się coś takiego, co stoi na przeszkodzie w uderzeniu obuchem w głowę. Spacerujemy po wzgórzu, spod nóg umykają nam króliki, a ja wyobrażam sobie różne scenariusze. Bev będzie straszyć rakiem piersi. Ktoś otruje jej psy. A może będzie zupełnie inaczej – sprawy potoczą się tak gładko, że on nawet nie zdąży odchrząknąć i powiedzieć: Odchodzę, moja droga. Pamiętam zdziwienie na twarzach moich dzieci, kiedy dostawały zastrzyk – pełne zaufania szczęście w jednej chwili zmieniało się w bolesną rozpacz. Jak można zrobić coś takiego drugiemu człowiekowi?

– Zamierzam najpierw uporządkować swoje sprawy – ciągnie Jeremy. – Dopiero potem jej powiem. Działalność charytatywna może już funkcjonować bez mojego udziału. Zresztą przeszkoliłem asystentów. O to przecież chodziło, żeby się stała samowystarczalna. Przekazałem pewną kwotę na rachunek bankowy Beverley i zrobiłem, co trzeba, żeby była odpowiednio zabezpieczona... – Głos mu się rwie.

„Odpowiednio zabezpieczona” brzmi lodowato. Ale ja właśnie mam zupełnie odwrotne odczucia. Nagle robi mi się strasznie żal Bev. Co ona zrobi?

Wróci do Anglii?

Wydaje się, że Jeremy dość lekko podchodzi do zaniechania swojej wielkiej pasji – projektu, dla którego zrezygnował z kariery. Czy robi to dlatego, że jego miłość do mnie wzięła górę? Oczywiście, że jestem zadowolona, ale w dalszym ciągu czuję się nieswojo. Jeremy zawsze był impulsywny, nieobliczalny, więc obawiam się, że podejmuje pochopną decyzję. Czym się będzie zajmował przez pozostałą część życia – spędzi ją na emeryturze? Nie należy do osób, które zwijają żagle. Nie zamierza też zapewne wędrować po Cotswolds, bo już teraz narzeka, że dokuczają mu kolano, i proponuje, żebyśmy znaleźli jakiś pub w okolicy.

– Najlepiej, żeby to był taki staromodny i chylący się ku upadkowi – mówi.

– O Boże! Taki jak tamta restauracja?

– Z wiecznie pijanym właścicielem, brudnymi pastuchami i skwarkami ze słoniny na zakąskę. Taki, jaki pamiętam z młodości.

– Miejsca w tym stylu już nie znajdziesz w Cotswolds, kochanie. – Teraz zwracam się do niego „kochanie”, bo czuję wtedy dreszczyk emocji. – Jesteśmy w krainie range roverów.

A jednak natrafiamy na taki pub, pewnie ostatni w Oxfordshire, do którego nawet ktoś mało wymagający nie da się zwabić. Jedynym gościem jest starszy mężczyzna w spodniach związanych sznurem do belowania słomy. Na ścianie wisi pożółkły plakat z zapowiedzią występu grupy grającej muzykę zespołu Herman's Hermits, którego koncert widziałam kiedyś na żywo.

Siedzimy z Jeremym w rogu sali i delektujemy się piwem kuflowym. Lubi używać czasownika „delektować się” w pubach. Rozmawiamy o rodzinie mojego syna, który mieszka w Seattle i z którym w ubiegłym tygodniu rozmawiałam na Skypie. Powiedział mi, że ich niania musiała wziąć wolny dzień, bo jej koń miał zaplanowane badanie rezonansem magnetycznym. Na gromki śmiech Jeremy'ego barman zerka na nas znad gazety. Jestem szaleńczo szczęśliwa. Stan napięcia zniknął; chcę tutaj siedzieć już zawsze, z dala od nadciągającej nawałnicy rozpacz i złości. Zastanawiam się, jak Jeremy zamierza sobie z tym wszystkim poradzić.

Otwierają się drzwi i wchodzi kobieta w podeszłym wieku z długimi, siwymi włosami, wśród których widoczne są brązowe kosmyki po dawnym farbowaniu. Ma na sobie prosty płaszcz w szkocką kratę. Bardzo podobny nosiła Bev w latach siedemdziesiątych. Za staruszką drepcze nieduży pies ze skołtunioną sierścią.

Kobieta zatrzymuje się i patrzy na Jeremy'ego.

– Czy ja cię znam?

– Nie sędzę – odpowiada Jeremy.

– Nie ty! – Odwraca się do mnie. – Ciebie pytam. Znasz mnie?

– Znasz mnie? – pytam ją.

– Nie drażnij się ze mną. Dopiero co wstałam. – Patrzy na swojego psa. – Chodź tu, Patsy!

Pies nie reaguje i zaczyna obwąchiwać nogę krzesła.

– Patsy, do mnie!

Pies zatrzymuje się i po chwili niechętnie do niej podchodzi.

– Siad! – Kobieta ostro wydaje polecenie psu.

Pies ani drgnie.

– Wstań! – rozkazuje jego właścicielka.

Pies w dalszym ciągu stoi. Kobieta patrzy na nas triumfalnie i idzie do baru.

Jeremy wraca do Afryki. Tym razem jego wyjazd odbieram inaczej. Jestem prawie szczęśliwa, że odjeżdża.

– Churchill kiedyś powiedział: „Jest to koniec początku!”¹. – Jeremy całuje mnie i znika w hali odlotów.

Bieg zdarzeniom został nadany, rozpoczęło się odliczanie. On potrzebuje kilku miesięcy na przeczekanie świąt Bożego Narodzenia i uporządkowanie swoich spraw. Pod koniec stycznia będzie ze mną w domu, na zawsze.

Przez kolejne tygodnie Jeremy kontaktuje się ze mną, ale tylko sporadycznie. Dużo czasu spędza w dżungli z buszmenami z Kikanda, a tam nie ma połączenia z internetem. Mimo że dzielą mnie od niego tysiące kilometrów, czuję, jak on demontuje swoje życie. Kilkakrotnie jeździł do stolicy, Assenongi, żeby uporządkować kwestie finansowe. Nie mam pojęcia, co on mówi Bev na temat swoich zajęć.

Dostaję od niego listy pocztą elektroniczną. Są serdeczne, ale wyczuwam w nich rozkojarzenie. Nie jestem tym zdumiona. Jeremy przypuszczalnie czuje się jak morderca mieszkający ze swoją ofiarą, która niczego się nie spodziewa i beztrudnie zajmuje własnymi sprawami. Wyobrażam sobie jego, szczerego i pogodnego mężczyznę, któremu z ust płynie kłamstwo za kłamstwem. Bez wątpienia serce mu pęka.

Cztery paczki z jego rzeczami już przysły do mojego domu. Jest to nawet bardziej ekscytujące niż obecność tu na miejscu rzeczywistego mężczyzny; są tak bardzo zwyczajne. Czyli plan zostanie zrealizowany. Przenoszę paczki do sypialni i ustawiam przy ścianie, żebyśmy mogła patrzeć na nie z łóżka.

Pomagają mi się uspokoić, bo ostatnio nawiedzają mnie dręczące i ponure sny. Boże Narodzenie przyszło i minęło. Pogoda jest bardzo wietrzna. Tegoroczny styczeń jest chyba najbardziej niespokojny z tych, które pamiętam. Codziennie budzę się zdenerwowana, z mocno bijącym sercem.

Jeremy, choć jest daleko stąd, odgaduje, kiedy tracę poczucie bezpieczeństwa. Mówi mi wtedy, że mnie bardzo kocha, że dają mu tyle szczęścia, ile jeszcze od nikogo nie dostał, że kupił dla mnie prezent gwiazdkowy i nie może się doczekać, żeby mi go wręczyć. Ponieważ zbliża się jego przyjazd, wyraźnie

narasta we mnie napięcie. Zarezerwował sobie bilet na dwudziestego stycznia. Zamierza o wszystkim powiedzieć Bev w przeddzień wyjazdu. W moim przekonaniu takie metodyczne i skrupulatne planowanie odejścia w najdrobniejszych szczegółach – przelewy bankowe i tak dalej – trzeba uznać za najgorszą z możliwych formę zdrady. Dla Bev jest niezwykle hojny, ale nie sądzę, żeby to w czymkolwiek pomogło. Niezależnie od tego, jak uprzejmie i łagodnie przekaze jej wiadomość, i tak niczego jej nie ułatwi. W tej sytuacji nic nie pomoże. Jako kobieta czuję jej dotkliwy ból, jakby ktoś nożem rozpruwał mi wnętrze. Czasami nachodzi mnie złość na Jeremy'ego w jej imieniu. Cóż za przewrotność!

Oczywiście wiem, że stracę ją na zawsze, najdawniejszą przyjaciółkę, która wiąże mnie z moją przeszłością. Nikt oprócz niej nie istniał w moim życiu stale przez tak długi czas. Ona nie jest osobą w moim typie, o czym już wspominałam, ale nasza więź ma znaczenie o wiele głębsze niż sympatia czy jej brak. Traktuję ją raczej jak siostrę, której nigdy nie miałam – możemy działać sobie na nerwy, mieć zupełnie odmienne upodobania i cenić różne wartości, ale nie w tym tkwi sedno.

Ona zniknie z mojego życia. Gorzej, będzie moim najzagorzalszym wrogiem. W pracowni plastycznej przekłułyśmy sobie palce nożykiem do linoleum i zmieszałyśmy naszą krew. *Siostry krwi*. Ona jest zdolna do silnej miłości i potężnej, wyniszczającej zazdrości. Spaliła zdjęcia należące do Jeremy'ego. *Teraz będziesz kochał już tylko mnie*. Bóg jeden wie, co zrobi, kiedy się dowie, że ukradłam jej męża.

Nie jest to jednak wygórowana cena, którą mi przyjdzie zapłacić.

Dwa tygodnie przed przyjazdem Jeremy pyta mnie w mailu, czy wyjdę za niego, jak to się skończy.

Tak, odpowiadam.

Zrobiłam w domu gruntowne porządki, wszystko przygotowałam na jego przyjazd. Wyszorowałam nawet piekarnik, marna była ze mnie gospodyni domowa. Odświeżyłam też sypialnię – naszą sypialnię – pomalowałam ją farbą w kolorze tokańskiej czerwieni. Nie jestem zbyt wprawnym malarzem, ale mam nadzieję, że Jeremy'emu nie do końca udany efekt nie będzie przeszkadzał. Nie wiem, na ile jest drobiazgowy. Właściwie zupełnie nie wiem, jaki on jest w warunkach domowych. Dawno temu Bev i ja byłyśmy bałaganiarami, a Jeremy przychodził tylko w odwiedziny. Czy lubi czystość i porządek? A może jest niechlujny? Zaczynam poważny związek z nieznanym mężczyzną, który wydaje mi się znajomy, ale pod tymi względami w istocie jest zupełnie obcy. Tylko Bev wie, jak się z nim żyje.

Teraz plan się realizuje, opowiadam swoim bliskim znajomym. Niewielu z nich zna Bev, a zresztą nawet jeśli ją znają, to nie widzieli jej od lat, więc nie ma obawy, że coś do niej dotrze. Ona należy do mego dawnego życia, nie do

obecnego. Ogromną przyjemność sprawia mi przekazywanie im nowiny i obserwowanie ich zaskoczenia. Uwielbiam wymawiać głośno imię Jeremy'ego, czuć, jak trzy sylaby turlają się po moim języku. Jestem wzruszona reakcją bliskich mi osób, które cieszą się moim szczęściem. Widziały mnie pogrążoną w bezgranicznym smutku, w wielu dramatycznych sytuacjach, więc doceniają znaczenie nowej rzeczywistości. W moim zaawansowanym wieku znalazłam się w gronie osób, które przeżywają miłość.

Napisałam do dzieci. Rozmowa na Skypie wydaje mi się zbyt obnażająca, napisanie o moim związku przychodzi mi o wiele łatwiej. Z Sashą zawsze szło trudniej. *Jeremy!!!???* – pisze. *Duch z przeszłości? Nawet nie wiedziałam, że go lubisz. Chodzi o tego przemądrzałego torysa?* Jack natomiast wydaje się zadowolony bez zastrzeżeń, ale to facet, więc do wszystkiego podchodzi prosto i otwarcie. *Bardzo się cieszę, mam. Zaslugujesz na szczęście.* Najbardziej zadowolony jest pewnie z tego, że może przestać się o mnie martwić; jego ulgę czuję nawet przez Atlantyck.

Rozebrana do naga stoję w świetle nocnej lampki w sypialni w kolorze terakoty. W lustrze odbija się moje starzejące się ciało. Jest żylaste i chude, piersi dramatycznie obwisłe, skóra na brzuchu rozciągnięta i pofałdowana po urodzeniu dzieci. Ale ktoś je pokochał. Mam mężczyznę, który będzie je oglądał. Wizja śmierci wydaje się mniej przerażająca teraz, gdy ktoś będzie mi w drodze ku niej towarzyszył. Brzmi ponuro, ale wcale takie nie jest. Mojej wdzięczności dla Jeremy'ego nie da się wyrazić słowami. Z pewnością głośno o niej nie powiem. Mam swoją tajemnicę, a każdy powinien jakąś mieć tylko dla siebie – ubóstwo, depilowanie woskiem okolic intymnych, strach przed umieraniem w samotności. Najwspanialsze jest to, że żywa czy martwa nie jestem już sama. On wkrótce będzie leżał ze mną w łóżku, trzymał mnie w ramionach.

Pamiętam czas spędzony z Jeremym. Staje się coraz bardziej odległy, ale często wracam myślami do tych wspólnych dni... wspominam nasz śmiech w podupadającej włoskiej restauracji, podróż powrotną pociągiem do domu po wizycie u jego matki, tamte kilka minut w pustym mieszkaniu na dole, jego pierwszy pocałunek. Nasz tydzień w łóżku. Tak dawno wyjechał, że nie mam się czym karmić, ale już niedługo będziemy mieć całe życie wypełnione takimi chwilami. Niezwykle ekscytująca perspektywa! Od lat nie kupowałam bielizny, więc idę do Fenwicka, który ku memu zadowoleniu wciąż istnieje, i wydaję fortunę na jedwabne majtki i biustonosze. Podstarzały sprzedawca staje się cichym powiernikiem mojej miłosnej tajemnicy.

Został tylko tydzień. *Chyba dopadła mnie grypa, pisze Jeremy. Oto i moje szczęście.* Czy on jest hipochondrykiem? Nie mam pojęcia. Nie wygląda na takiego, ale czy można wierzyć pozorom?

Następnego dnia pisze: *Mam wysoką gorączkę i pulsujący ból głowy. B.*

chodzi w swoim czepku pielęgniarzkim, ale jej opieka, nie muszę nadmieniać, tylko pogarsza całą sytuację. Oczywiście jeszcze nic jej nie powiedziałem. Mam nadzieję, że będę w stanie wyruszyć w podróż dwudziestego. Kocham cię bardzo.

Biedny Jeremy. Ma pecha – my mamy pecha. Do jego wyjazdu zostało jeszcze sześć dni i do tej pory najgorsze bez wątpienia będzie miał za sobą. Po południu idę do fryzjera i robię sobie pasemka. *Wyglądasz jak Irlandka zabłąkana w londyńskim metrze.* Ilona, moja fryzjerka, jest Polką i nie zrozumiałaby, co miał na myśli. Nie jestem pewna, czy sama dokładnie wiem. Proszę ją, żeby zrobiła mi nieregularne pasemka, że ma być taki irlandzki efekt.

W nocy śnią mi się żyrafy wędrujące po równinie, smukłe i piękne, w ogóle nie zwracają uwagi na otoczenie. Stoję prawie naga, mam na sobie tylko srebrne majtki. Ryby pofrunęły w górę i przysiadły na drzewach. Trzepoczą się przez chwilę i nagle przestają, ponieważ zapadły w sen albo zastała je tam śmierć.

Następnego wieczoru jem kolację przed telewizorem. Nadają wiadomości. W powietrze wyleciał konwój sił pokojowych w Afganistanie. Zostały mi jeszcze tylko trzy kolacje przed telewizorem, myślę bezdusznie. Kiedy na ekranie pojawia się spalony pojazd, a ja mu się uważnie przyglądam, dzwoni telefon.

W pierwszej chwili nie rozpoznaję głosu, bo bardzo słabo słycać.

– Petra! Petra!

– Kto mówi?

– To ja, Beverley!

Serce zamiera mi w piersiach.

– Bev – odzywam się w końcu. – Co u ciebie słycać?

Ona płacze. Nie mogę zrozumieć, co mówi.

– Bev, co się stało?

– Jeremy! On... – Szlocha tak mocno, że nie słyca, co mówi dalej. A może zagłusza ją łomotanie mojego serca. – Bev, nie słyca cię!

– Stało się coś strasznego.

Czuję ucisk w gardle. Nie mogę wydusić z siebie ani słowa. Co on jej powiedział? Jest okropnie zdenerwowana. Czyżby opowiedział jej całą historię? Ale gdyby tak było, z pewnością nie dzwoniłaby do mnie i nie zachowywała się w ten sposób. Byłaby wściekła, a nie zrozpaczona.

– On nie żyje – bełkocze Bev.

Tak to w każdym razie brzmi. Może się przestyszałam. Czy chodzi jej o to, że *on umarł dla mnie?*

– Co ty powiedziałaś?! – krzyczę do telefonu.

– Jeremy nie żyje. Umarł wczoraj w nocy.

https://pl.wikiquote.org/wiki/Winston_Churchill [wróć]

Część druga

Assenonga, Afryka Zachodnia

Głowa mi pęka. Wypiłam dwie wódki z tonikiem i na moim stoliku rzędem leży kilka buteleczek po czerwonym winie. Stewardesa, która miała w tym swój udział, uśmiecha się do mnie, podając mi obiad, kurczak czy ryba? Jest prawie w moim wieku; okrążyła kulę ziemską tysiące razy i widziała niejedno, a już z całą pewnością nietrzeźwych pasażerów. Dzieciak w fotelu za mną od godziny nogami objima mi nerki, ale nie reaguję. Podobnie jak jego rodzice.

Za cztery godziny wyląduję w Casablance i tam mam przed sobą trzy godziny czekania na samolot do Assenongi. Wzięłam kilka tabletek uspokajających, ale wcale nie jestem pewna, czy zdołam przez to wszystko przejść. Siedzę wciśnięta między dwóch zwalistych sąsiadów i czuję, że ogarnia mnie paniczny strach. Chcę zerwać z siebie pasy bezpieczeństwa i wyć z rozpacz. Chcę się wydostać z tej dusznej kapsuły zapchanej obcymi ludźmi, którzy tak zuchwale i z takim uporem żyją. Chcę być sama, spadać swobodnie w przestrzeni... spokojnej i cichej... Zaciskam powieki i staram się na tej czynności skoncentrować.

Tylko że szamotanie się w nicości jest równie przerażające jak siedzenie w samolocie. Właściwie pragnę znaleźć się z powrotem w domu, w otoczeniu znajomych rzeczy. Chcę się położyć we własnym łóżku, naciągnąć kołdrę na głowę i nigdy, przenigdy się z niego nie ruszać.

Tak naprawdę najbardziej chcę umrzeć.

Ale nie mogę, ponieważ lecę do Afryki pocieszać Beverley.

Proszę, błagam Cię, Pet, przyjedź! Nie zdołam się zmierzyć z tym nieszczęściem, zupełnie się rozsypałam. Nie mam tutaj żadnych prawdziwych przyjaciół, nikogo takiego jak Ty. Nie mogę być sama, ogarnęła mnie całkowita niemoc. Dygoczę i płaczę przez cały czas, pewnie to objawy szoku. Proszę, wsiadaj w samolot, zwrócę Ci pieniądze za podróż. Tylko przyjeżdżaj jak najszybciej! Ty też go kochałaś i on Ciebie kochał. Dla mnie w tej chwili to bardzo ważne. Jesteś mi potrzebna, moja kochana Petro. Nie wiem, co bez Ciebie pocznę. Już lepiej byłoby umrzeć!

Opuściłam swoje życie i przybyłam na inną planetę. Wyczerpana i skacowana ciągnę walizkę przez halę bagażową. Panuje tu hałas i zaduch, wszędzie stoją mężczyźni z karabinami. Wokół siebie widzę tylko czarne twarze. Czuję się jak uchodźca; tym razem jednak to ja jestem przedstawicielką mniejszości. Tęgie kobiety zdejmują ogromne walizki z taśmy bagażowej, dzieci

siedzą na stosach pakunków i tobołków. Dokąd jadą? Co robią? W jakim języku rozmawiają? Nie mam pojęcia. Jeszcze nigdy w życiu nie czułam się tak strasznie samotna.

Wystarczyła chwila, żeby Jeremy skurczył się do imienia. Muszę go od siebie oderwać, zamknąć w izolacji, nie mogę nawet o nim myśleć, ponieważ całą swoją energię muszę skierować na uporanie się z obecną rzeczywistością, tu i teraz. Mam mętlik w głowie, piecze mnie w gardle, mam wrażenie, że moje ciało rozpada się na kawałki i składa ponownie w całość, ale jeden do drugiego nie pasuje. Wnętrznosci mi się rozpływają, a ja nie wyławiam wzrokiem niczego, co mogłoby wydać mi się choć trochę znajome.

W końcu dostrzegam Beverley. Stoi w hali przylotów, ledwo widoczna za plecami dwóch postawnych taksówkarzy, którzy trzymają kartki z wypisanymi na nich nazwiskami podróżnych, których oczekują. Macha do mnie i przeciska się między ludźmi w moją stronę.

Przytulamy się na powitanie. Jest taka delikatna. Krucha. Obejmuje mnie mocno, twarz wciska w mój obojczyk. Cała się trzęsie od płaczu. Ja też szlocham i drzę, a wokół nas przepychają się ci, którzy właśnie przyjechali i chcą się przywitać z najbliższymi. Opłakuję swoją stratę, a ona swoją, gdy z głośników rozlegają się zapowiedzi o odlatających samolotach; donośny głos spikera rozbrzmiewa echem wokół nas.

Beverley wyciera oczy i chwyta moją walizkę. Nie widziałam jej wiele lat, mocno się zmieniła. Ubrana jest w T-shirt, džinsy i japonki. Nie ma makijażu. Smutek zmył z niej sztuczność i wyłoniła się jej naturalna twarz. Dziwnym trafem ten skromny styl do niej pasuje. Wiem, że takie myślenie jest nie na miejscu, ale niewiele znaczy wobec mego perfidnego oszustwa. Czuję się chora ze zdenerwowania. Jak mam przeżyć tych kilka najbliższych dni?

Ona nic nie wie o mnie i Jeremym. Nie ulega wątpliwości. Uświadomiłam to sobie, kiedy do mnie zadzwoniła. Nie spotkałybyśmy się tutaj, gdyby było inaczej. Jestem tu jako jej najdawniejsza przyjaciółka, która przyjechała, żeby ją wspierać w tych dramatycznych chwilach. Nie mam pojęcia, jak mam poradzić sobie z rolą pocieszycielki.

Teraz, kiedy to mnie jej wsparcie jest tak bardzo potrzebne.

Nie wolno mi o tym myśleć. Rozpacz wzbiera we mnie jak czarna fala, która za chwilę się rozbije i roztrzaska mnie na kawałki. Powstrzymuję ją siłą woli i muszę to robić tak długo, jak długo tu będę.

Wychodzimy z budynku i zderzam się ze ścianą upału. Mimo że już zapadł zmierzch, powietrze jest gęste i zatykające jak wata. Bev przywołuje taksówkę. Zostajemy na noc w hotelu w Assenondze, ponieważ do rana na liniach lokalnych nie latają już żadne samoloty. Właściwie nie zrozumiałam, z jakiego powodu umarł Jeremy; od pierwszej rozmowy telefonicznej z Bev wiele było zdenerwowania

i uzgodnień. Przynajmniej będę miała osiem godzin dla siebie na zebranie myśli.

– Mamy wspólny pokój – oznajmia Bev. – Nie przeszkadza ci to? – Bierze mnie za rękę. – Za nic nie mogę być sama, w każdym razie nie teraz.

– Oczywiście, rozumiem – mówię i ściskam jej dłoń.

Taksówka jedzie wiaduktem, skręca w boczną ulicę. Łukowato ułożone lampy oświetlają parking, na którym połyskują samochody do wypożyczenia. Poniżej rozciąga się pas startowy. Widać oczekujące samoloty, a nad nimi niebo z czerwonymi smugami. Mogłaby to być stolica dowolnie wybranego kraju na świecie. W Afryce byłam tylko raz i jestem zupełnie zdezorientowana, nie potrafię powiązać tego miejsca z żadną częścią świata.

– Myśleliśmy, że to grypa – opowiada Bev. – Miał typowe objawy.

Okazuje się, że nikt nie wie dokładnie, co się przyczyniło do jego śmierci. Bev, na podstawie swego doświadczenia pielęgniarki, przypuszcza, że chorobę wywołał jakiś wirus lub pasożyt tropikalny.

– Jego ciało jest w szpitalu, tutaj w Assenondze – dodaje.

Jego ciało.

– Przeprowadzają różne analizy – wyjaśnia. – Musiałam wszystko sama pozałatwiać u brytyjskiego konsula. Zonac nie udzielił żadnej pomocy. Właściwie w obecnych okolicznościach nie ma w tym nic dziwnego, ale spodziewałam się choć odrobiny ludzkiej życzliwości. Ostatecznie przecież pracował dla nich przez piętnaście lat. – Zgniatą moje palce i wygląda przez okno. – Nie mogę się pogodzić z tym, że on musi zostać tutaj. Moim zdaniem to nie jest w porządku. Wciąż myślę, że będzie zupełnie sam w tym wielkim mieście. Ale niestety jutro musimy jechać do domu.

Ich dom znajduje się w Oreyi, małej miejscowości oddalonej o godzinę lotu od Assenongi. Bev ma rację. Pozostawianiu Jeremy'ego tutaj instynktownie sprzeciwia się również każda część mojego ciała. Będzie mu tak bardzo zimno. Wyobrażam go sobie leżącego na wózku w kostnicy: jego duże stopy, etykietę przewiazaną wokół kostki, ciało pod wybrzuszonym prześcieradłem. W uszach rozbrzmiewa mi jego śmiech, który ucichł na zawsze.

– Proszę się zatrzymać!

Taksówkarz gwałtownie skręca i hamuje. Prawie wypadam przez drzwi. Idąc poboczem, wymiotuję. Siedzę oparta o betonową barierę. Mijają nas samochody, klaksony trąbią. Bev przykuca obok mnie. Odgarnia mi włosy i je przytrzymuje, gdy znów dopadają mnie torsje. Daje mi się napić wody z plastikowej butelki.

– Może zaszкодziło ci coś, co zjadłaś w samolocie – mówi, gdy siedzimy z powrotem w taksówce. – O Boże, mam nadzieję, że się nie rozchorujesz. – Nie mam wątpliwości, że myśli: Jeszcze tylko tego mi brakuje. Ale ona delikatnie ociera mi usta jednorazową chusteczką. – Moje biedactwo – dodaje ze współczuciem.

Przez pewien czas nie rozmawiamy. Siedzę sztywno. Gdybym wykonała choć najmniejszy ruch, rozsypałabym się w drobny mak. W taksówce czuć ostry zapach kostki do toalety, wiszące maskotki podskakują nad głową kierowcy. Nie patrzę przez okno, ten obcy kraj mnie przeraża.

Ale muszę pocieszać Beverley. Po to tu przyjechałam. I na dodatek ona niczego nie może się domyślić.

Bev bierze głęboki oddech.

– Takie ćwiczenia oddechowe robimy na moim kursie świadomej kontroli umysłu – mówi. – Pomagają radzić sobie z urazami psychicznymi. Doskonały sposób panowania nad emocjami poprzez oddychanie. Naprawdę działa.

Ja też zaczynam głęboko oddychać. Syczymy, dyszymy i pojękujemy w zgodnym rytmie. Oczy kierowcy w lusterku wstecznym spotykają się z moimi. Wydajemy z Bev takie odgłosy, jakbyśmy na tylnym siedzeniu uprawiały seks.

Jesteś jedną z sześciu posiadaczek najpiękniejszych pleców w Wielkiej Brytanii. Taksówka zatrzymuje się przy hotelu, ale nie mogę się z niej wydostać. Lampy w hotelowym holu lśnią jaskrawym światłem. Czuję się zbyt słaba, żeby stanąć oko w oko z recepcjonistą.

– Dobrze się czujesz, kochanie? – pyta Bev.

Przytakuję.

– Ty też w porządku?

Chociaż tyle. W pokoju są dwa osobne łóżka. Beverley rzuca się na jedno z nich.

– Nie mogę uwierzyć w to, co się stało – mówi. – Wciąż mam wrażenie, że za chwilę on stanie w drzwiach i oświadczy: Tylko żartowałem. – Zmusza się do śmiechu. – Taki żart.

– Zawsze miał je na zawołanie.

– Ostatnio nie był sobą. Wydawał się jakiś nieswój, nadpobudliwy. Musiało mu się coś dostać do krwiobiegu. – Odwraca się i chowa twarz w poduszkę. – Żałuję, że nie zabrałam go do lekarza. Ciągłe powtarzał, że to nic poważnego, tylko przeziębienie.

– W niczym nie zawiniłaś, kochanie.

– Był dla mnie taki czarujący. Nadzwyczaj kochający, jakby wiedział, że czas ucieka.

Patrzę na jej bose stopy, maleńkie jak u dziecka. Zrzuciła japonki ozdobione plastikowymi słonecznikami. Porzucone na podłodze wyglądają żałośnie i jarmarcznie.

Siadam na drugim łóżku.

– Och, Bev, tak mi przykro. Nie potrafię sobie wyobrazić, co przeżywasz.

– Taki kochający. – Jej głos tłumi poduszka. – To znaczy w łóżku. Ostatnio

było intensywnie. Jak w dawnych czasach. Miałam tylko wrażenie, że bardziej niecierpliwie. Robił mi takie rzeczy, jakich nigdy nie próbował... – Odwraca się w moją stronę i patrzy na mnie. – Ktoregoś razu wszedł Clarence i zastał nas na podłodze w salonie. Kochaliśmy się jak szaleńcy, do utraty tchu. – Chichocze i przyciska dłoń do ust. – O Boże, przepraszam. Nie powinnam o tym mówić. Ale co tam, jesteś przecież moją najlepszą przyjaciółką...

– Nic nie szkodzi. – Uśmiecham się blado. – Każdemu zdarzają się takie sytuacje.

Nieco później schodzimy do restauracji. Żadna z nas nie jest głodna, ale musimy się napić czegoś mocniejszego. Wydaje mi się, że znajdujemy się w hotelu Excelsior przy lotnisku. Zupełnie nie zwracałam uwagi na otoczenie, dopiero teraz rozglądam się dookoła. W zasadzie może to być każdy hotel w dowolnym miejscu na świecie. Za oknem połyskuje woda w basenie ogrodzonym wysokim murem. Jest jasno oświetlony, ale nikogo tam nie ma. Leżaki równym rzędem stoją w otoczeniu roślin doniczkowych. W restauracji rzuca się w oczy telewizor z płaskim ekranem, na którym widać kobietę i mężczyznę siedzących na skórzanej kanapie. Wykrzykują coś do siebie w obcym języku.

– Nigeryjski serial – wyjaśnia Beverley. – Wszyscy go tu oglądają.

Głosy aktorów są donośniejsze, kobieta wstaje i rzuca lampą w mężczyznę.

Oprócz barmana, który ogląda telewizję, w restauracji nie ma nikogo. Panuje tu senna atmosfera. Wciąż myślę o Jeremym, który leży samotnie zaledwie kilkanaście kilometrów stąd. Nie mogę się pozbierać. I pomyśleć, że jeszcze dwa dni temu kupowałam nową pościel u Johna Lewisa.

Chciałabym zobaczyć Jeremy'ego, pożegnać się z nim.

Chciałabym, żeby Beverley nie opowiedziała mi o ich seksie.

Chciałabym cofnąć czas o dwa dni. Dopiero co zamówiłam pakiet Sky TV, żebyśmy mogli wspólnie z Jeremym oglądać filmy. Dekoder wciąż jeszcze stoi w opakowaniu, on miał go podłączyć.

Zdaję sobie sprawę, że Bev patrzy na mnie spod uniesionych brwi. Czuję, że się rumienię.

– Wódka z tonikiem dla ciebie? – pyta. – Kiedyś taki zestaw lubiłaś, prawda?

Leżymy obok siebie w kremowo-fioletowej sypialni. Obie patrzymy w sufit. Z zewnątrz dochodzi szum ruchu ulicznego, światło reflektorów samochodowych przenika przez zasłony. Jesteśmy jak kamienne posągi wiernych elżbietańskich żon na sarkofagach w kościele, z dłońmi ułożonymi na piersiach, splecionymi do modlitwy. Gdzieś w tym nieznanym mieście leży Jeremy w takiej samej pozycji, zimny jak kamień.

– Dzwoniłam do jego matki, ale chyba nic do niej nie dotarło – mówi Beverley. – Ona już zupełnie straciła świadomość.

– Naprawdę?

– Mówił mi, że kiedy ostatnim razem u niej był, ciągle robiła niestosowne uwagi na tematy erotyczne. U pacjentów z otępieniem bardzo często występują takie zachowania.

Więc nie powiedział, że pojechałam tam z nim. Nie mam pojęcia, o czym jej mówił, a czego nie ujawnił. Muszę dokładnie ważyć słowa.

– Nigdy mnie nie lubiła – ciągnie Bev. – Przekłeta snobka. Pielęgniarka nie była wystarczająco dobra dla jej ukochanego synka. A zgadnij, kto teraz podciera jej tyłek?

Najdziwniejsze jest to, że lubię Bev bardziej, niż się spodziewałam. To spostrzeżenie mnie poruszyło, ale muszę przyznać, że rozpacz ją uszlachetniła. Straciła tę swoją dziewczęcość i stała się bardziej szczerą, naturalną i dojrzałą.

Taka zmiana nie mogła w niej nastąpić tylko z powodu smutku. Może jest także wynikiem postępującego wieku i długoletniego życia w Afryce. Nie mam pojęcia. Od wielu lat rzadko się z nią widywałam. Jedno wiem na pewno, że zmieniłam zdanie. Jestem naprawdę zadowolona, że mamy wspólny pokój. Chybabym oszalała, gdyby przyszło mi siedzieć samej we własnym.

Panuje tu nieznośny wilgotny zaduch. Żadna z nas nie potrafi włączyć klimatyzacji. Najwyraźniej takimi sprawami zawsze zajmował się Jeremy. Bev rzuca z siebie prześcieradło i leży skulona w nocnej koszuli. Służy jej za nią długi T-shirt w groszki. Jeremy'emu był pewnie doskonale znany. Ku memu przerażeniu w wyobraźni widzę, jak go na niej podciąga. A może, gdy byli razem, sypiali nago. Mocno zaciskam powieki, próbuję odpędzić od siebie ten obraz.

– Dobranoc, moja kochana – mówi Bev. – Cieszę się, że tu ze mną jesteś.

– Dobranoc.

– Mam nadzieję, że nie chrapiesz. Jeremy warczał jak guziec.

– Wiem.

Skrzypi łóżko. Bev odwraca się do mnie.

– Skąd wiesz?

– O czym?

– Że on chrapie.

– Czytałam na twoim blogu – odpowiadam swobodnie. – Wiele lat temu. Pisałaś o głośnych afrykańskich nocach, ujadaniu psów, chórze cykad i chrapaniu Jeremy'ego.

– Naprawdę? – pyta z wahaniem. – Nie przypominam sobie.

Znów mówi mi dobranoc, odwraca się tyłem i zwija w kłębek. Naciąga nocną koszulę na kolana. Jest tak mała i krucha, że odczuwam nieodparte, choć absurdatne pragnienie roztoczenia nad nią opieki.

Jeremy przychodzi do mnie w snach; wiedziałam, że tak będzie. Jest

w ogrodzie przy domu, w którym się wychowałam, chowa się za krzakiem. Moja matka mnie woła, ale jestem zbyt zajęta szukaniem Jeremy'ego, który szepcze: *Tak tylko żartowałem.* Znajduję go i widzę, że jest w tej swojej hawajskiej koszuli, którą miał na sobie wtedy, pierwszego dnia, ale umazanej błotem. *Buduję zamek,* mówi, *tylko że ciągle mi się rozpada. Przyrowadź swojego ojca, żeby coś na to poradził, dobrze?* Teraz wcale nie żartuje, wygląda na rozgniewanego i bardzo zmęczonego.

Budzę się cała mokra od potu. Nie mogę się zorientować, gdzie jestem. Ktoś chrapie.

To Bev. Światło słoneczne przebija się przez zasłony, już jest gorąco. Śpi odwrócona tyłem do mnie, przykryta prześcieradłem podciągniętym wysoko pod brodę. Chrapie gardłowo i głośno, po męsku.

Wstaję z łóżka i zerkam przez zasłony. Jesteśmy na trzecim piętrze, powyżej ściany, którą budynek hotelu przylega do własnego węzła klimatyzacyjnego. Z drugiej strony rozpościera się zdumiewająca panorama Afryki. Wzdłuż drogi ciągnie się uliczny targ. Z blaszanych budek wydostaje się dym; tam na prowizorycznych piecykach gotują się w garnkach różne potrawy. Z zatłoczonych autobusów wysypują się pasażerowie, wszędzie widać falujący tłum ludzi. Przez chwilę wydaje mi się, że śnię. Ale zaraz uświadamiam sobie wstrząsającą rzeczywistość.

Jestem w Afryce. Jeremy nie żyje, a ja nawet nie mogę rozpaczać, ponieważ Bev jest tuż obok mnie.

Oreya, Afryka Zachodnia

Po śmierci bliskiej osoby wciąż chce się o niej rozmawiać. Właśnie zdałam sobie z tego sprawę. Chce się czuć na języku głóska jej imienia, jego dźwięk rozchodzący się po pokoju. Pragnie się opowiadać historie o tej osobie innym i od nich słyszeć opowieści o niej. Nowe, stare, w kółko te same, bez znaczenia jakie. Zapotrzebowanie na nie jest nienasycone. W rzeczywistości nie sposób rozmawiać na inne tematy.

Bev najwyraźniej czuje podobnie. Ona zawsze była gadułą. Teraz, w pierwszych dniach swojej żałoby, ani na chwilę nie przestaje mówić o Jeremym. Ma strasznie dużo do powiedzenia. Trzydzieści pięć lat spędzonych razem – jest o czym opowiadać. Niektóre jej wspomnienia odnoszą się do odległej przeszłości – „Pamiętasz, jak wszyscy pojechaliśmy do Brighton w środku nocy?” – ale większość oczywiście dotyczy ich małżeństwa.

Muszę słuchać i wydawać właściwe potakujące dźwięki. Tylko że ja nie chcę tego wszystkiego słuchać. Nie chcę słyszeć o ich pikniku przy wodospadzie w Penang, kiedy nosił ją na barana. Nie chcę słyszeć o jego dzieciennym zachwycie posiłkami serwowanymi w samolotach ani o tym, jak lubił, gdy obcinała mu włosy, a przez ostatnie lata również włoski w nosie. Chcę zatkać sobie uszy i krzyknąć. W dodatku nie mogę mówić o nim, ponieważ muszę zważać na każde słowo albo jawnie kłamać. Postępując w ten sposób, sprzeniewierzam się Jeremy’emu, którego poznałam tak blisko. Przez tę swoją czujność tracę go, sprowadzam do potoku frazesów.

Bardzo tęsknię za domem. Chcę się w nim znaleźć z powrotem, być tam, gdzie czuliśmy się tacy szczęśliwi i gdzie pozostało tak wiele wspomnień. Tęsknię też za moimi przyjaciółmi w Anglii, którym mogę się zwierzyć. W ich towarzystwie będę mogła swobodnie rozmawiać. Chcę, żeby ktoś mnie przytulił i żebym mogła do woli się wypłakać. Nikomu nie powiedziałam o śmierci Jeremy’ego. Spakowałam walizki i wsiadłam do samolotu. A teraz jestem tutaj, w mieście, w którym on tyle czasu mieszkał, i czuję się tak bardzo samotna, jak jeszcze nigdy nie czułam się w swoim życiu.

Jedziemy taksówką z małego, szczątkowego lotniska. Jeremy powiedział mi, że Oreya to straszny pipidówek, ale bardzo to miejsce lubi. Swindon z komarami, tak je nazywał. Od lotniska biegnie szeroka droga, wzdłuż której ciągną się budynki biurowe. W jednym z nich swoją siedzibę ma Zonac. Są przeszklone, nowoczesne, przy bramach wjazdowych stoją budki wartownicze. Wszędzie jest zupełnie pusto, nigdzie nie widać czarnych twarzy. Pamiętam, jak opowiadał o Chińczykach, o ich ogromnych korporacjach, ich przedsięwzięciach w Afryce, wyzysku na ogromną skalę, którego się tu dopuszczają. Ciekawa jestem, czy czuł

się zagrożony, gdy przeszedł na drugą stronę i stanął w obronie wyzyskiwanych. Pamiętam naszą rozmowę nad Tamizą, wtedy zupełnie się zmienił na moich oczach.

– Byłam z niego taka dumna – mówi Bev. – Że się z tego wycofał.

O Boże, czy powiedziałam coś głośno? Czy może ona przez cały czas coś do mnie mówiła?

– Stracił emeryturę, dopłatę do pensji za wynajem naszego domu, wszystko przepadło. A potem przyszły koszty prawne. – Wzdycha. – Myślę jednak, że wtedy był najszcześniejszy, nigdy go takiego nie widziałam. Dzięki temu i ja byłam szczęśliwa. On w głębi duszy z całą pewnością nie przedkładał lojalności wobec korporacji nad swoje poglądy. Lubił wymierzać kopniaki sukinsynom. I szczerze mówiąc, Pet, niektórzy z tych, z którymi miał do czynienia, tacy właśnie byli... – Wygląda przez okno. Przejeżdżamy przez dzielnicę mieszkaniową, gdzie duże domy, stojące w cieniu drzew, wystają ponad wysokie mury. – W ogóle się nie przejął. Został zwolniony ku swemu wielkiemu zadowoleniu. Rozmawialiśmy dużo na temat rozwagi, wiesz? Jak się ze sobą uporasz, potrafisz dać z siebie wiele innym. – Dotyka palcem klatki piersiowej. – Początek jest tutaj. Jem poczuł w sobie wolność, stał się taki otwarty, bardzo kochający. Kiedy robiłam mu masaż, wyczuwałam, że również w jego ciele nastąpiła zmiana. Przeszłość z niego odpłynęła. Czułam, jakby wnikał w moje palce. – Zniża głos. – Odbyliśmy razem bardzo długą podróż.

Jasna cholera, dłużej nie jestem w stanie tego wytrzymać. Ile czasu mam tu zostać z Bev? Nie mam pojęcia, ale ta wizyta staje się nie do zniesienia. Bzdury w stylu teorii głoszonych przez zwolenników New Age już dawno wyszły z mody. Idę o zakład, że aż go skręcało, kiedy je plotła tak jak teraz. Bev zawsze była prowincjonalną dziewczyną i mieszkanie za granicą przez tyle lat nic, jak widać, nie pomogło. U niej objawienia następują dwadzieścia lat później niż u reszty z nas.

Jestem porażona własną nielojalnością. To ja powinnam się nauczyć dawania. Ona przeżywa piekło, a ja z niej szydę. Z zazdrości oczywiście. Wszzechogarniającej, palącej, rozdzierającej zazdrości. Bezgranicznej jak mój smutek. W rzeczywistości te uczucia się łączą w toksyczną mieszaninę.

Taksówka podskakuje na wybojach. Wydaje się, że w Oreyi w ogóle nie ma centrum.

Droga jest coraz gorsza, dziurawa i pylista. Mijamy skromniejsze parterowe domy i stojące między nimi zwykłe chaty. Skrawki zarośniętych krzakami nieużytków zasłane są śmieciami. W tej okolicy pojawiło się więcej ludzi, niektórzy grzebią w śmieciach. Mijamy murowany pasaż handlowy – rzeźnika, który na straganie ma wystawioną jedną marną tuszę zwierzęcą; salon fryzjerski i stoisko z olejem w puszkach.

Beverley puka kierowcę w ramię i daje mu wskazówki donośnym głosem, jak to mają w zwyczaju Brytyjczycy za granicą. Zupełnie jakby próbowali się porozumieć z kimś opóźnionym w rozwoju. *Jeremy biegle posługuje się językiem tubylców*, napisała w swoim blogu. Tak wygląda miejsce Jeremy'ego, a ona była tu dodatkiem jako jego żona. Nie mogę sobie wyobrazić jej mieszkającej tutaj bez niego; jestem pewna, że nie potrafiłaby tu żyć. Przypuszczam, że wróci do Anglii, jak tylko ta sprawa się skończy, jeśli „sprawa” jest tu właściwym słowem. Nie mam pojęcia, ile to potrwa. Wspomniała o zabranii ciała Jeremy'ego do kraju, ale potem się rozpląkała i nie zdołała dokończyć zdania. Obudziłam się w środku nocy i wyobraziłam sobie jego trumnę z nami na pokładzie samolotu. Trudno się dziwić, że dopiero po trzech godzinach udało mi się znów zasnąć.

Zatrzymujemy się przy różowej ścianie. Wita nas ujadanie psów. Beverley płaci taksówkarzowi i odblokowuje bramę kodem składającym się z kilku cyfr. Jeremy nienawidził tych środków bezpieczeństwa, tak mówi, ale są konieczne; tu jest mnóstwo przestępstw, zresztą ubezpieczyciel tego wymagał.

– Tak się cieszę, że jesteś ze mną – mówi Bev. – Nie wyobrażam sobie, że miałabym sama wrócić do domu.

Czyli tutaj mieszkał. Przedstawiałam sobie w wyobraźni jego dom tak sugestywnie, że trudno mi teraz powiązać moją wizję z rzeczywistością. Widzę przed sobą nieduży bungalow, częściowo drewniany, w stylu budynków z Sunningdale, z werandą biegnącą wzdłuż frontu. Przy okapie wiszą dzwonki wietrzne, delikatnie się poruszają i połyskują w słońcu. W ogrodzie stoi sporo rzeźb przedstawiających zwierzęta, rosną skórzaste drzewa i rośliny w doniczkach z terakoty. O mało nie potknęłam się o betonowego żółwia. Atmosfera tego miejsca, oddalonego od zakurzonego świata zewnętrznego, jego bujna roślinność i tajemniczość przypominają mi klimat z bajki o Jasiu i Małgosi. Przypuszczam, że to Bev zajmuje się ogrodem; ten ogrodniczy styl w niczym nie odbiega od wyglądu jej dawnej sypialni z pluszowymi misiami na łóżku. Ciekawe, czy Jeremy lubił ten kicz, czy po prostu godził się na to, co wymyśliła żona. Nie wiem, jaki miał gust, właściwie nic o nim nie wiem. Tutaj toczyło się ich życie, a ja jestem w nim intruzem.

Beverley wchodzi pospiesznie, żeby przywitać się z psami. Są na wygrodzonym podwórzu za domem, gdzie stoją ich budy i skąd dobiega ostra woń odchodów. Skaczą na drucianą siatkę. *Ona jest taka pocziwa i litościwa* – powiedział Jeremy. *Cała Bev z jej podopiecznymi. Bezdomne zwierzęta traktuje tak, jakby były jej dziećmi.* Zanim Jeremy pojawił się w moim życiu, też myślałam o przygarnięciu psa. Bezwarunkowa miłość – takie tam banały. Psy wyraźnie cieszą się na jej widok. Są do siebie bardzo podobne, tak samo sponiewierane, zdziczałe, szarobure jak psy dingo, prawdopodobnie są z nimi spokrewnione. Tubylcy pewnie myślą, że Bev zwariowała, ale prawdę mówiąc, wszyscy

Brytyjczycy mają bzika na punkcie zwierząt.

– Clarence?! A, tutaj jesteś! Dałeś Błyskotce jej pigułki?

Wyłania się mężczyzna, który przeciera sobie oczy. Bev powiedziała mi o Clarensie. Dawniej nazywano by go pacholkiem. Rozmawiają o psach. Jej głos, kiedy o nich mówi, całkowicie się zmienia, staje się pieśczośliwy i melodyjny. Dla miłośnika zwierząt to miasto jest zapewne polem bitwy. Jeremy opowiadał mi o kłótniach, jakie Bev toczy z mieszkańcami, kiedy widzi, że biją swoje osły albo wystawiają na sprzedaż małpy w klatkach. Wspominał, że do łez doprowadzały ją zdjęcia zabitych słońi.

Wyjdiesz za mnie, jak to wszystko się skończy?

– Biedactwo. – Bev spogląda na mnie. Zaraz potem wskazuje na psy. – Nie denerwuj się, kochanie, tym się poszczęściło.

Szanghaj, Chiny

Jestem w ósmym miesiącu ciąży. Nie powinnam latać samolotem.

Taka myśl przychodzi Li Jing do głowy, gdy wsiada do samolotu. Wie, że nie ma najmniejszego sensu. Kobieta w ciąży mieszka na drugim końcu świata. Jing czuje się jednak na tyle mocno z nią związana, że takie refleksje nachodzą ją w zupełnie nieoczekiwanych momentach, często wtedy, gdy znajduje się w miejscach publicznych. Zdarza się nawet, że czeka, żeby ktoś ustąpił jej miejsca w autobusie.

Ciażę przeżywa razem z panią Lorelei Russell.

Od kilku miesięcy są współuczestniczkami wielkiej przygody. Dzielą je oceany, a mimo to przeżycia są bardzo osobiste. Poranne mdłości, Jing czuła ich symptomy. Na późniejszym etapie miała wrażenie, że robi się ociężała, jakby przybierała na wadze. Ta nieznajoma kobieta – *Nazywam się Lorrie. Proszę mi mówić po imieniu* – teraz pewnie przy chodzeniu kołysze się z boku na bok. Jing ma podstawy tak przypuszczać, ponieważ ostatnio dostała od niej zdjęcie, na którym widać Lorrie w zaawansowanej ciąży.

A może ona jest taka tęga? Jing, przeciskając się w samolocie do swojego miejsca, uzmysłowiła sobie nagle, że jest to bardzo prawdopodobne. Jeśli to tylko sprytny wybieg? Jeżeli pani Russell z Teksasu wzięła od nich pieniądze i włożyła sobie poduszkę pod ubranie? Co będzie, jeśli wcześniej czy później zwyczajnie zniknie bez śladu? Ameryka to ogromny kraj, tak jak Chiny, i człowiek może się w nim ukryć bez najmniejszego problemu. W Chinach wciąż przecież ktoś znika.

Informacji o takich przypadkach nie podaje się do publicznej wiadomości, ale Jing na własną rękę przeprowadziła rozpoznanie.

Jej mąż nigdy nic na ten temat nie mówił, ale była ciekawa, dlaczego niektórzy ludzie zniknęli. Na przykład niejaki Zhang Jie, mężczyzna, który przysyłał esemesy z pogrózkami, nagle przestał to robić.

Dziwna rzecz się stała, gdy zaczęło się rozwijać ich dziecko. Jing wyszukuje różne informacje w internecie. Przedtem nie była szczególnie ciekawa świata, ale teraz, kiedy ono ma się urodzić, pojawiło się u niej poczucie odpowiedzialności. Najpierw czytała o Ameryce, której obywatelem będzie ich dziecko; Ameryce – wolnym kraju wolnych ludzi. Nie zdawała sobie sprawy, jak bardzo prawdziwe jest to stwierdzenie, ale zrozumiała, gdy z amerykańskich stron internetowych dowiedziała się wiele na temat realiów własnego kraju.

Widzi teraz Chiny w nowym świetle. Nic dziwnego, że jej mąż ulokował znaczną część ich pieniędzy za granicą, na przykład w nieruchomościach w Londynie. Złe rzeczy przytrafiają się ludziom, którzy stają po niewłaściwej stronie względem tych będących u władzy albo wiedzą za dużo na temat tego, co

się dzieje. Jej mąż ma bliskie powiązania z partią rządzącą, co może się okazać niebezpieczne w razie zmiany sytuacji. Wang Lei dużo mówi o zanieczyszczeniach, ale to nie jest prawdziwy powód, dla którego szykuje drogę ucieczki. Jing nie ma pojęcia, co się kryje pod tym określeniem, ale podejrzewa, że jest to coś, co wiąże się z działalnością jej męża w Afryce.

Właśnie wyjechał do Afryki na kilka następnych tygodni. Zostanie tam, aż przyjdzie na świat dziecko. Ich dziecko. Córeczka. Potem poleci do Teksasu i przywiezie ją do domu.

Jing siedzi w samolocie. Jej oczy wypełniają się łzami. Jest tak przejęta, że z trudem łapie oddech. Po swoich obu bokach ma biznesmenów. Pilnie przegląda kolorowe pismo pokładowe, żeby nie zobaczyli jej twarzy. Jak mogła podejrzewać panią Russell o złe zamiary? Przecież ta kobieta wykazuje się odwagą i wielkodusznością. Poród podobno jest najbardziej bolesnym doświadczeniem w życiu kobiety. Do tego dochodzi ból i żal związany z oddaniem dziecka. Jing ani jednego, ani drugiego nie potrafi sobie wyobrazić. Czuje głęboką wdzięczność, chciałaby móc spotkać się osobiście z tą kobietą i jej podziękować. Wydaje się jej, że pieniądze nie są dostatecznym dowodem uznania.

Zapewne niewystarczającym. Lei powiedział, że pani Russell mieszka w biednej dzielnicy, w której kręcą się podejrzane typy – potwierdzeniem jest choćby kradzież jego samochodu. Jing sądziła, że w Ameryce tylko ciemnoskórzy żyją w ubóstwie, ale okazuje się, że wcale tak nie jest. Cieszy się, że jej córka zostanie stamtąd wywieziona zaraz po przyjściu na świat. Tak jak Jing znajdzie się w gronie ludzi z wyższych sfer.

Wszystko, co ma, zawdzięcza mężowi. W miarę upływu czasu czuje coraz większą wdzięczność dla niego. Jest mu wdzięczna za to, że chce mieć dziecko tak samo jak ona i że był gotów włożyć tyle wysiłku, by do tego doprowadzić, i że nie jest rozczarowany płcią dziecka. Jest mu też zobowiązana, że potrafił zmierzyć się z problemem własnej płodności i nie dopuścił do rozpadu ich małżeństwa.

Słowo „płodność” wywołuje u niej rumieniec. Oczywiście nie może zdradzić ich wspólnej tajemnicy. Prawie nikt nie wie, że ich dziecko urodzi matka zastępcza. Mąż Jing jest bardzo skryty i niechętnie ujawnia szczegóły ich życia intymnego. Poza tym ono jeszcze nie przyszło na świat i nie chcą zapeszać. Oboje są przesądni – *ryż jeszcze nie jest ugotowany*.

Jing zdecydowała się jednak porozmawiać z Danielle, swoją przyjaciółką.

Właśnie po to leci do Szanghaju. Tajemnica zaczyna jej ciążyć, zresztą od kilku tygodni jest sama i bardzo tęskni za towarzystwem. Wysłała najlepsze życzenia pani Russell. Nie potrafi zrozumieć, co tamta kobieta czuje. Kontakt z nią ma Lei, który całe przedsięwzięcie zaaranżował. On poznał ją osobiście. W istocie ona nosi jego dziecko.

Li Jing bardzo dziwnie się z tym czuje. Ciało jej męża jest w tak bardzo

intymny sposób związane z ciałem jakiejś obcej kobiety z Teksasu. Tych dwoje dało początek nowemu życiu, które pod ich okiem się rozwija, a Jing w tym bezpośrednio nie uczestniczy. Oprócz przygotowania dziecięcego pokoju nie ma nic do roboty, jest tylko bierną obserwatorką, a jednak to jej ostatecznie przypadnie w udziale rezultat ich starań. Na obecnym etapie do niczego jej nie potrzebują. Ten brak powiązania wywołuje w jej umyśle dezorientację i czasem nawet nie bardzo wierzy, że to wszystko w ogóle się dzieje. Czasem, ale tylko czasem wyobraża sobie, że ktoś posunął się do okrutnego żartu.

Lei oczywiście nigdy nie pozwoliłby sobie na coś podobnego. Cała ta sytuacja dowodzi tylko, jak niewiele wie o własnym mężu. Tak mało o nim wie, że nawet nie potrafi określić, do jakiego stopnia go nie zna.

– Może uprawiał z nią seks. – Danielle spogląda na Li Jing zza kłębow dymu papierosowego. – Zastanawiałaś się nad tym? Pomyśl tylko, o ile zabawniejszy jest ten sposób niż zapłodnienie za pomocą szpatułki czy jakiegoś innego sprzętu.

Jing jest zaskoczona. Nic podobnego nawet nie przyszło jej do głowy.

– To mroczny typ – mówi Danielle, która nigdy nie lubiła Leia. – Wcale bym się nie zdziwiła, gdyby tak zrobił.

Jing nie czuje się dotknięta. W zasadzie nie byłaby nawet zazdrosna, gdyby to, co powiedziała Danielle, okazało się prawdą. Zastanawia się tylko, czy w ogóle kocha swego męża.

Danielle krzyżuje nogi i wypuszcza pióropusz dymu.

Jest pół-Chinką – ma ojca Szwajcara. Tak jak inne osoby rasy mieszanej odznacza się wyjątkową urodą. Pracowały razem w hotelu Sheraton i Jing zawsze ją ubóstwiała. Nie знаła takiej dziewczyny jak Danielle, zuchwałej i obytej, która potrafi przeklinać aż w sześciu językach.

– Ona będzie pół taka, pół taka, tak samo jak ty – mówi Jing.

– Nam, kundlom, zwykle dopisuje szczęście – przechwała się Danielle. – Może dziecko będzie takie słodkie, że tamta kobieta postanowi je zatrzymać.

– Nie, nie robi tego.

– Tak, masz rację – przytakuje Danielle. – Twój mąż tego dopilnuje.

– Co masz na myśli?

Danielle dotyka palcem płatka nosa.

– Już on ma swoje metody.

Takie zachowanie jest typowe dla Danielle. Ona chętnie robi aluzje. Na tym po części polega jej moc. Co ona wie, o czym Jing nie ma pojęcia? Mąż Danielle jest szefem firmy budowlanej i ma znajomości na najwyższych szczeblach. Wprawdzie Danielle może wyglądać na młodą żonę, którą upolował sobie starszy mężczyzna, ale jest inteligentna i lubi wiedzieć to i owo. Wie również, kiedy trzymać buzię na kłódkę.

Jing natomiast woli nic nie wiedzieć. Została wychowana według tradycyjnych zasad, a poza tym jest z natury nieśmiała. Wyraźnie czuje się zadowolona, że ma okazję sprawdzić reakcję Danielle na nowiny, którymi się z nią podzieliła.

Zrobiły na niej wrażenie, co do tego nie ma żadnych wątpliwości. Okazuje się, że Jing, jej bojaźliwa przyjaciółka, wcale nie jest aż taka płochliwa. Wynajmuje amerykańską kobietę, żeby urodziła jej dziecko, prawdziwe zaskoczenie! Jing, pijąc latte z Danielle w minimalistycznym mieszkaniu przyjaciółki, poczuła, że między nimi trochę się zmienił układ sił. Za oknem pada śnieg. Jest styczeń i na zewnątrz panuje przejmujący chłód, ale w środku jest tak ciepło, że długonoga Danielle siedzi z gołymi, opalonymi nogami. Jest w sandałkach bogato zdobionych błyskotkami. Paznokcie ma pomalowane na zielono. Jej beztroska wynika z łatwego życia – skończyła szkoły w Szwajcarii, pochodzi z bogatej rodziny, obraca się wśród osób znanych i zamożnych, odznacza się wyjątkową urodą. Jej ojciec jest właścicielem sieci hoteli, dlatego pracowała w recepcji. Tylko dla rozrywki, do czasu, aż znalazła męża.

Jing natomiast zaczęła od zera, sama torowała sobie drogę zawodową. Wprawdzie też wyszła za mąż za bogatego mężczyznę, ale poprzez małżeństwo trafiła do obcego świata. Ma bardzo niewielu znajomych. Jej mąż przez pół roku przebywa poza domem, a jej czasem tak doskwiera samotność, że ma ochotę krzyczeć. Tęskni za koleżankami z Sheratona i niespełna rokiem swojej niezależności.

Niedługo będzie miała dziecko, które wypełni pustkę.

Po powrocie do Pekinu idzie do sklepu i kupuje kilka rzeczy dla nowego członka rodziny – butelki, smoczki, mleko w proszku dla noworodków. Zwyczajność tych niezbędnych rzeczy sprawia, że dziecko staje się bardzo realną rzeczywistością. Jing nie może usnąć, leży na wznak i patrzy w sufit, jej serce bije przyspieszonym rytmem. Na podstawie listów od męża dochodzi do wniosku, że i on odczuwa narastający niepokój. Szkoda, że nie zna żadnej młodej matki, której mogłaby się zwierzyć. Zresztą nawet gdyby znała, to i tak byłoby im trudno wymieniać doświadczenia, ponieważ sytuacja Jing jest aż nazbyt niecodzienna. Przede wszystkim nie jest biologiczną matką. W te zimowe dni, kiedy miasto ugrzęzło w lodowatej mgłę, okoliczności, w których się znalazła, wydają się jeszcze bardziej niesamowite.

Raz czy dwa przyszło jej do głowy, żeby udawać odmienny stan. Mogłaby włożyć sobie poduszkę pod ubranie i zmieniać ją na większą w miarę upływu miesięcy.

Byłoby to zbyt straszne, oczywiście. Wang Lei byłby przerażony. Mówi, że po urodzeniu dziecka powiedzą, jak przyszło na świat. Inni zrozumieją.

Skorzystanie z pomocy matki zastępczej jest dość oczywistym rozwiązaniem dla bezpłodnych osób. Jej mąż wojowniczo wypowiada się na ten temat, próbując przekonać samego siebie, ale Jing sądzi, że on naprawdę tak uważa. Wie z internetu, że obecnie ludzie szukają różnych nietypowych metod. Pary mają problemy z poczęciem dzieci; to dość powszechne zjawisko w krajach rozwijających się, gdzie poziom zanieczyszczeń stale rośnie. Niepłodne pary zdobywają niemowlęta za pieniądze i wcale nie są to odosobnione przypadki. W ojczystym kraju Jing wolno mieć tylko jedno dziecko, nawet jeśli małżeństwa mogłyby mieć więcej potomstwa, ale istnieją sposoby nieuczciwego omijania tego odgórnie narzuconego systemu.

Danielle mówi, że będzie miała dwoje dzieci, że ma gdzieś system, bo zna, kogo trzeba, i ma pieniądze na zapłacenie grzywny. Ona jest bogata i może sobie kupić wszystko. Aż trudno uwierzyć, że Chiny były kiedyś krajem komunistycznym. Jing również żyje w tej samej stratosferze, za pieniądze już wkrótce będą mieli dziecko. Ona ma przyjść na świat za dwa tygodnie.

Li Jing dzwoni do swojej matki, która mieszka w wielkim domu na wsi. Kupił go dla niej Lei. Jest w nim klimatyzacja i marmurowa łazienka. Matka jednak wciąż narzeka. To twarda i zgorzkniała kobieta, która nie znosi swego zięcia, a Jing nie potrafi zrozumieć, z jakiego powodu, skoro jest dla niej taki hojny. Dawniej matka bardzo ciężko pracowała, a teraz nie ma nic do roboty. Siedzi całymi dniami i pali jednego papierosa za drugim, otoczona przedmiotami kupionymi za pieniądze Leia – eleganckimi meblami i bibelotami z kości słoniowej. Wieczorem rygluje drzwi przed sąsiadami, z którymi kiedyś łączyła ją przyjaźń, ponieważ uważa, że tylko czekają na sposobność, żeby ją okraść. Przestała nawet uczestniczyć w spotkaniach miłośników madzonga, ponieważ poróżniła się z innymi graczami.

Ma przyjechać i zostać z Jing przez tydzień, gdy dziecko już będzie w domu. Jing nie do końca jest z tego zadowolona.

– Ile on płaci za to dziecko? – pyta matka przez telefon.

Od kilku miesięcy próbuje wydobyć z Jing tę informację.

– Mamo, już ci powiedziałam, że nie wiem.

To prawda, Jing nie wie.

– Tobie nic nie dolega. Tylko trzeba było brać to lekarstwo, które ci wysłałam...

– Brałam, mamo. I odbyłam pełny cykl zabiegów akupunktury.

– ...zwiększa ukrwienie narządów rozrodczych. Ożywia przepływ *chi* w cyklach płodności.

– Próbowałam różnych sposobów, mamo, i nic nie pomogło.

W rzeczywistości wyrzuciła lekarstwo do zlewu. Miało obrzydliwy zapach i zawierało mnóstwo kory. Odcięła się całkowicie od tych zabobonów.

Matka trajkocze dalej. Jing powinna unikać wilgotnej żywności – sera, mleka, jogurtu. Osiadają w wątrobie i płucach, węzłach negatywnej energii, zatrzymują ją, zamiast przepuszczać. Zrzuca winę na tryb życia córki w Pekinie, tylko stres i napięcia.

– Nie dokuczają mi żadne napięcia, mamę. Mam piękne mieszkanie i żyję bez żadnych zmartwień. Lei o mnie dba.

– Dba o ciebie? Jaki z niego mąż, skoro nigdy nie ma go w domu?

– Zamierza zrezygnować z pracy w Afryce, kiedy urodzi się dziecko, i wrócić na stałe.

W rzeczywistości Jing uwierzy w te plany dopiero wtedy, gdy zobaczy ich rezultat. Lei jest pracoholikiem. Snuje sentymentalne wizje ich przyszłego wspólnego życia w domu, mówi o weekendach na wsi, w ich oazie spokoju, ale Jing podejrzewa, że są to tylko wizje, które on lubi snuć podczas nieobecności w domu. A dziecko – Jing ma takie przeczucie – niewiele zmieni. Lei jest stuprocentowym biznesmenem, zarabianie pieniędzy to dla niego źródło siły napędowej. Tylko w wirze interesów jej niewysoki, zadziorny mąż czuje, że naprawdę żyje. Nie potrafiłby zrezygnować z pracy, jemu potrzebna jest pozycja i musi sobie stawiać kolejne wyzwania. Zaspokajanie ambicji działa na niego jak narkotyk. I, podobnie jak inni mężczyźni, potrzebuje potulnej żony w domu, która okazuje wdzięczność za różne rzeczy.

I która nie pyta, skąd one pochodzą. Jing wie tylko tyle, że chodzi o jakiś rodzaj działalności eksportowej, ale tak naprawdę wcale nie jest zainteresowana szczegółami. Widzi jedynie, że w związku z interesami jej mąż znika na długo i wraca z egzotycznymi prezentami. Nigdy nie mówi mu, jak bardzo czuła się samotna. Uświadamia sobie, że jest równie samotna jak jej matka.

Wkrótce jednak ta samotność się skończy. Po zakończeniu rozmowy idzie do dziecięcego pokoju. Zapach farby już dawno wywietrzył, pokój czeka na swego lokatora. Kupiła już pluszowego misia, niedźwiadka koalę i różowego, puszystego słonia; stoją obok siebie na półce i czekają na nowego właściciela.

Jing siedzi na podłodze, opiera się plecami o łóżeczko. Ostatnio przesiaduje tu godzinami i obserwuje śnieg, który prószczy za oknem. Wyobraża sobie, że tysiące kilometrów stąd rozciąga się gorąca pustynia i tam również czeka pani Russell. Może jej dzieci dotykają jej brzucha, żeby poczuć kopnięcia dziecka. Czy będą zasmucone, gdy je odda? Słowa Danielle były niepokojące – co będzie, jeśli pani Russell zmieni zdanie?

*Cicho, cicho przestań już płakać,
moja kruszyno kochana,
Ze łzami twoja uroda się zmywa.
Za oknem robi się ciemno.*

Spójrz tylko, widzisz na niebie księżyc?

Nie ma się czym martwić. Plan na pewno się powiedzie. Jing już śpiewa dziecku piosenkę. Jej babcia nie żyje, ale kołysanka wypełnia ten dziecięcy pokój. Wszystko jedno, jaka jest ta dziewczynka, słodka czy nie, Li Jing i tak będzie ją kochać, jakby była jej własnym dzieckiem. Dla Jing zawsze będzie jej piękną córeczką. Cudem, skarbem, towarzyszką na całe życie.

Pieniądze, jak się wydaje, zatrwały żywot matce Jing, ale Jing dzięki nim zyskała motywację do życia.

Oreya, Afryka Zachodnia

Beverley włącza wentylator sufitowy. Nagły powiew powietrza zdmuchnął kartki kondolencyjne z półek. Już jest ich bardzo dużo, a Bev mówi, że codziennie przychodzą kolejne.

– Tyle osób go kochało. – Opada na fotel i wyciera sobie czoło. Jej włosy, błyszczące i gładkie w Anglii, w tym wilgotnym klimacie stały się wełniste i poskręcały się w drobne loki. Moje podobnie – wyglądają jak włosy Irlandki.

Właściwie nie wiem, co miałem myśli z tym porównaniem do Irlandki, powiedział Jeremy. Po tylu latach tak mnie zachwycił twój wygląd, że mnie zamurowało, i akurat takie głupstwo pierwsze przyszło mi do głowy.

Naszym rozmowom nie było końca. Teraz też jest tu ze mną i mówi do mnie przez cały czas. Robił uwagi na temat miasta, gdy przejeżdżaliśmy przez nie taksówką, pokazywał mi różne rzeczy, budynki, stragany. *Spójrz na ten szyld nad wejściem do sklepu: Bóg jest dobry. Kosmetyki. Nieprawdopodobnie zabawny, nie uważasz? Jestem zdumiona, że Bev nie słyszy jego głosu, który dudni mi w uszach. A to jest mój dom. Zwróć uwagę na drzewo, które rośnie na zewnątrz. Jego kwiaty wyglądają jak kufle do piwa, prawda? Nigdzie tego już nie usłyszysz: „Wychylę kieliszeczek sherry”, chyba że w klubie golfowym w Kidderminster. Nigdy nie byłem w Kidderminster. A ty? Wybierzemy się tam któregoś dnia?*

Mówił, żebym się nie denerwowała. *Wszystko jest w porządku, kochanie. Ona się niczego nie domyśli, tylko dobrze się zastanów, zanim coś powiesz.* Rzecz w tym, że wciąż popełniam oszustwo, ale teraz we własnej głowie. I Bev nie jest kilka tysięcy kilometrów ode mnie, tylko w tym samym pokoju.

– Na pewno dobrze się czujesz? – Bev uważnie mi się przygląda.

– Tak, w porządku.

– Nie podobały mi się te twoje wczorajsze wymioty.

– Naprawdę już dobrze się czuję. – Zaczynam zbierać z podłogi porozrzucone kartki. – To ja mam się tobą opiekować. Powiedz, co mogę zrobić. Pomóc ci uporządkować rzeczy? Może zrobić zakupy albo coś ugotować? Na co mogę się przydać?

Bev pochyla się i głaszcze psa, który leży przy niej i dyszy z gorąca. Niektóre psy mogą przebywać w domu. Pokazała mi je wszystkie, ale nie zapamiętałam ich imion. Ten wygląda na bardzo starego. Z trudem się podnosi i stoi na sztywnych łapach. Wciąga go sobie na kolana i trąca nosem jego nos.

– Wiesz, co możesz zrobić? – mówi stłumionym głosem. – Bardzo byś mi pomogła.

– Co takiego?

– Opowiedz mi o nim. – Podnosi głowę i patrzy na mnie. – Opowiedz mi

o Jeremym.

Zapada cisza. Serce zaczyna mi dudnić w piersiach.

Ratuje mnie pukanie do drzwi. Wchodzi Clarence z dwoma szklankami lemoniady na tacy.

– Nie powinieneś tego robić, Clarence – mówi Bev z wyrzutem i zwraca się do mnie: – To dlatego, że ty tutaj jesteś. Chce się przypodobać. – Podnosi głos. – Mam rację, Clarence?

Clarence spogląda na nią ze smutkiem w oczach i stawia tacę na stole. Czekam, aż on wyjdzie z pokoju.

– Co konkretnie chcesz wiedzieć? – pytam.

– Jak spędzał z tobą czas w Londynie. Opowiedz mi, jak było.

– Wyglądało na to, że czuł się tam dobrze.

– Nie! – przerywa zniecierpliwiona. – Chcę wiedzieć, co robił, co mówił, wszystko! Nie rozumiesz? Chcę przedstawić sobie jego obraz, poczuć, że byłam tam razem z nim! Opowiedział mi swoją wersję, a teraz chcę usłyszeć twoją. – Milknie i ciężko dyszy. – Przepraszam cię, kochanie. Widzisz, ty tak naprawdę przez coś podobnego nie przechodziłaś, prawda? Wiem, że straciłaś rodziców, ale to nie jest to samo. – Jej oczy wypełniają się łzami. – Budzę się rano i jak się przewracam na bok, sięgam ręką do niego... – Zaczyna szlochać. – Uważaj się za szczęściarę, Petro. Strasznie za nim tęsknię, tak bardzo, że chcę umrzeć. Nie masz pojęcia, jak to jest stracić mężczyznę, którego kochasz.

Tym razem jej nie pocieszam. Podnoszę szklankę do ust i wypijam spory łyk lemoniady. Czuję w niej chemiczny smak.

– Wybraliśmy się do teatru – mówię. – Ale nie było już biletów, więc oglądaliśmy przedstawienie na monitorze. Oczywiście nie ma porównania do spektaklu na żywo.

– Nie stroił sobie żartów? On zawsze potrafił znaleźć do nich powód.

– Było przyjemnie. Zjedliśmy wspólnie kilka posiłków. Poszliśmy do Tate Modern.

– Co tam widzieliście?

– W końcu nie weszliśmy do muzeum.

– Dlaczego?

– Za bardzo świeciło słońce.

– Za bardzo świeciło?

– Po prostu ładniej było na zewnątrz. – Dziwne, ale zaczynam się czuć nielojalna wobec Jeremy'ego. Nasz wspólnie spędzony czas sprowadzam do niewiele znaczących zajęć.

– I co zrobiliście?

– Wypiliśmy po filiżance herbaty.

– Jedliście coś? Założę się, że on zamówił sobie jakieś ciasto. Był okropnym

obżartuchem.

– Nie przypominam sobie. Naprawdę, Bev, widziałam go zaledwie kilka razy.

Wzdycha.

– Wiesz co? Jestem odrobinę zazdrosna.

– Dlaczego? – pytam po chwili.

– Żałuję, że się z nim nie wybrałam. Chcę teraz być tam z nim w każdej chwili jego życia.

Wzruszam ramionami.

– Trzeba było przyjechać do Londynu.

– I co, miałam zostawić psy? Na dzień czy dwa nie byłoby problemu. Ale nie mogę zaufać Clarence'owi. Nie mogłabym ich mu powierzyć na kilka tygodni.

– Dlaczego?

– Bo jest leniwy i nie cierpi zwierząt. Oni wszyscy ich nienawidzą, chyba że mogą je zjeść.

– Czy w tym, co mówisz, nie ma przypadkiem nuty rasizmu?

– Nie mieszkasz tu, Pet. Nie wiesz, jacy oni są. – Pochyliła się nad psem i sięga po kieliszek. – I nawet nie wspominaj przy mnie o kłusownictwie. Jeszcze do niedawna żył potężny, dorosły słoń z ciosami na plemiennym terenie Kikanda. Nazywano go Bomi. Był bardzo sławny. Wszyscy, którzy jeździli na safari, go znali i podziwiali. Jego zdjęcia drukowano nawet na pocztówkach. W ubiegłym tygodniu znaleziono go z okaleczoną głową. Został zmasakrowany dla kilkuset funtów. – Jej oczy wypełniają się łzami, ale tym razem nie z rozpaczy po Jeremym, lecz z żalu nad słoniem. – Zrobili to prawdopodobnie ci przekłęci tubylcy z Kikanda.

– Naprawdę?

– Nie da się odzwyczaić myśliwych od polowania. Nie ufałam im za grosz. Jem miał wielkie ideały, ale szczerze mówiąc, Petra, został wykorzystany tak samo jak buszmeni. Był taki naiwny. Chodzi mi o to, że komputery, które im kupił, zniknęły z dnia na dzień. – Wzdycha. – Ale to jest w tym wszystkim najmniej ważne. Zaczynałam naprawdę się o niego niepokoić. Działo się mnóstwo podejrzanych rzeczy, robiło się dość niebezpiecznie.

– Ale jego ciągnęło do ryzykownych przedsięwzięć, o ile mi wiadomo.

– Co masz na myśli?

– Ryzyko. Żeglowanie ostro na wiatr. Choćby ta sprawa z samochodem.

– Jakim samochodem?

– Tym, który zepchnął do rzeki, żeby dostać odszkodowanie.

Bev odstawia kieliszek.

– Co takiego?

– Nie wiesz? – Czuję przyływ zadowolenia. Wiem o nim coś, o czym ona

nie ma pojęcia.

– Kiedy ci o tym powiedział? – Patrzy na mnie i marszczy brwi.

Do diabła, muszę być ostrożna.

– Och, bardzo dawno temu. Zaraz na początku waszej znajomości.

Nieprawda, opowiedział mi tę historię podczas naszego spaceru w Cotswolds.

– Dlaczego powiedział tobie, a nie mnie?

– Może myślał, że będziesz zbulwersowana i od niego odejdziesz. Zrobił to na długo przedtem, zanim cię poznał. Był wtedy jeszcze młody i głupi.

Wentylator pod sufitem się obraca. Pod wpływem ruchu powietrza poruszają się liście roślin doniczkowych po drugiej stronie pokoju. Łagodnie wznoszą się i opadają, jakby dawały mi ostrzegawcze sygnały, że muszę uważać na słowa.

– To ma sens – stwierdza Bev. – Ostatecznie przy tobie nie miał nic do stracenia. – Przyciska dłonie do ust. – Och, przepraszam cię, kochanie, źle to zabrzmiało. On bardzo cię lubił, przecież wiesz. Często mówił, że jesteś zabawna i taka mądra – znacznie mądrzejsza ode mnie – i że wielka szkoda, że nie możesz sobie znaleźć faceta. – Przerzywa. – To znaczy faceta, który mógłby ci dać szczęście i naprawdę cię docenić. Oboje martwiliśmy się o ciebie, przecież wiesz.

Nie odpowiadam. Rozglądam się tylko po pokoju, ich pokoju. Jest zagracony trzcinowymi meblami i stolikami na cienkich nogach. Leżą na nich koronkowe serwetki, które unoszą się przy każdym podmuchu powietrza. Wszędzie stoją bibeloty – rzeźbione zebry, antylopy, rodzina słoni według wielkości jej członków, cała kolekcja lalek z czasów ich pobytu w Malezji. Na ścianach wiszą maski afrykańskie i obraz Bev, który pamiętam z jej mieszkania – paryski widok z ulicznikami. Jeden z nich nawet oddaje mocz.

– Byłam z nim taka szczęśliwa – mówi Bev. – Muszę o tym pamiętać. Był właściwym mężczyzną we właściwym czasie.

– Masz rację. Najważniejszy jest właściwy czas. – Uśmiecham się do niej. – Ja natomiast bardzo źle trafiłam.

Wyjdiesz za mnie, jak to się skończy?

Zapadła ciemność, a ja siedzę w ogrodzie i piję piwo. Beverley jest w domu i rozmawia przez telefon z matką. Wietrzyk porusza dzwonkami, w krzakach głośno grają cykady. Psy w końcu ucichły, a ja stopniowo czuję zniewalające działanie alkoholu *w przyjemną noc po trzykroć pożądaną, by sen rozwiązał członki.*

Wciąż nie mogę uwierzyć, że jestem w Afryce. Przebywam na innym kontynencie, w dziwnym ogrodzie, nie ma przede mną przyszłości, ponieważ została zgaszona. W dalszym ciągu nie mogę się otrząsnąć z oszołomienia. Do towarzystwa pozostał mi tylko głos Jeremy'ego.

Żałuję, że zamiast z nią nie ożeniłem się z tobą. Chciałbym cofnąć czas i zacząć od nowa. W rzeczywistości nigdy tego nie powiedział, ale zrobiłby to, gdyby żył dłużej. W każdym razie mówi to teraz. Wolałbym, żebyś to ty siedziała w poczekalni u lekarza z niegroźną i nieoszczędzającą kontuzją, na przykład z przewlekłym bólem łokcia. Wszedłbym i zauważył, że czytasz „The People’s Friend” i tylko czekasz, żeby ktoś ci przerwał, więc usiadłbym obok i zaczęlibyśmy rozmawiać. Od razu bym się zorientował, że jesteś miłością mojego życia, oboje byśmy to wiedzieli, prawda, kochanie? I wziąłbym cię za rękę, a potem ulotnilibyśmy się stamtąd i poszli razem do Caffè Nero. Wtedy nie było sieci Caffè Nero. Nie bądź drobiazgowa. Wobec tego nie poszlibyśmy do kawiarni, tylko zwyczajnie na spacer. Spacerowalibyśmy tak długo, że wyszlibyśmy poza Londyn, przez cały czas rozmawiając. Ciągłe byśmy rozmawiali. I ciągle rozmawiamy od tamtego naszego spotkania, prawda, że tak, moja najdroższa? Przez cały ten czas prowadzimy ze sobą jedną długą rozmowę, która się zatrzymała, ponieważ ja niefortunnie umarłem.

– Co się stało?

Bev patrzy na mnie. Nie słyszałam, kiedy przyszła.

– Nic. – Wycieram oczy. – Spociłam się. W dalszym ciągu jest bardzo gorąco.

– Och, mój Robaczku. – Siada obok mnie. – Byłam taka samolubna. Ciągłe zapominam, że innym też jest bardzo smutno. Płacz sobie, wylewaj łzy. Moja mama też głośno szlochała do telefonu. Ona go uwielbiała, pamiętasz? – Bev zabija komara. – Bardzo się cieszy, że jesteś tu ze mną. Chciałaby też być z nami, ale o tym nie ma mowy, w jej stanie to niemożliwe. Czeka na mnie w domu.

Siedzimy i słuchamy cykad. Z oddali dobiega dudnienie bębnów. Przypominam sobie tamto spotkanie z Jeremym przy herbacie, muzyka bębnów przenikała między srebrnymi brzożami. Tamten magiczny moment, kiedy on przeszedł transformację, a moja miłość do niego stała się silna i głęboka.

– Pamiętasz starą Panty, naszą nauczycielkę geografii? – Głos Beverley wyrwał mnie z zadumy. Jest lekko wstawiona. Również wypila drinka, a zawsze miała słabą głowę.

– Z pieprzykami.

– Z których wyrastały ostre włoski.

– Myślałyśmy, że jest stara, a tymczasem miała pewnie około trzydziestki, biedactwo.

– Byłyśmy dla niej okrutne – mówi Bev. – Paskudne i złośliwe.

Ty byłaś okrutna dla mnie, myślę, przywołując w pamięci ślimaki. Nie rozumiałam wtedy, dlaczego zrobiła coś takiego. *Była o ciebie zazdrosna*, powiedział Jeremy.

Uświadomiłam sobie, że przez tyle lat ja zazdrościłam jej. Zazdrościłam jej

śpiewu i rozmowy, i beztroskich żartów. Zazdrościłam jej, że gdzieś na drugim końcu świata śpi z mężczyzną, który mnie mógł dać szczęście.

O wszystkim decyduje zrządzenie losu, rzut monetą. Spotyka się kogoś, kto przyczyni się do zmiany biegu życia, i od tego momentu zaczyna powstawać opowieść o przyszłości. Gdyby Jeremy nie doznał kontuzji podczas meczu rugby, ani Bev, ani ja nie znalazłybyśmy się tutaj, w samym sercu Afryki, w środku nocy, i każda z nas z osobna nie rozpamiętywałaby swoich smutków.

Rozmawialiśmy z Jeremym na temat przypadku. *Prawdę mówiąc, żyję dzięki kuli snajpera*, powiedział. Spacerowaliśmy po Hampstead Heath; tylko przez krótki czas byliśmy jedną z tych par, którym kiedyś zazdrościłam. *Mąż mojej babci zginął podczas pierwszej wojny światowej*, powiedział. *Została sama, pogrążona w bezgranicznej rozpacz, ale po jakimś czasie znów wyszła za mąż i przyszła na świat moja matka. A moja matka urodziła mnie. Czyli dzięki przypadkowemu niemieckiemu snajperowi jesteśmy tutaj, na słońcu, nieprawdopodobnie szczęśliwi. Niesamowite, nie uważasz? Czasem się zastanawiam, jak nazywał się ten Niemiec i czy przeżył wojnę.*

– Spałaś z nim?

Zesztywniałam.

– Co powiedziałaś?

– Zapytałam, czy ona z kimś sypiała. Jak myślisz? Założę się, że nie. Była urodzoną starą panną. Nie uważasz? No i te pieprzyki, biedaczyna.

– Tak, biedna Panty.

– Podstępne małe źmije.

Słysząc szmery jakiegoś zwierzaka, który węszy wśród skórzastych liści. Nie tak podstępne jak ja teraz. Torebka ze ślimakami jest niczym w porównaniu z moją sprawką.

Przez kilka kolejnych dni zdobywam się na nadludzki wysiłek i całą uwagę poświęcam Beverley. Prawie nie wychodzimy z domu. Po krótkotrwałym ożywieniu w Assenondze poddaje się żałobie i jest zbyt wyczerpana, żeby zmierzyć się z hałasem i ruchem na ulicach. Mówi, że czuje się odarta ze skóry – bezbronna i słaba – a świat zewnętrzny wydaje się jej torem przeszkód. Ja czuję się podobnie. Za ścianami domu jest zbyt obco, zbyt zatrważająco. Ona nie ma pojęcia, że mnie spotkało takie samo nieszczęście. Smutek przychodzi falami, zwała mnie z nóg, tak samo jak ją, i też bezwolnie mu się poddaję.

Czasem ma napady złości.

– Jak on mógł mi to zrobić? – pyta. – Jak mógł mnie zostawić? Dlaczego akurat on musiał umrzeć, a tylu złych ludzi wciąż żyje? Przeklęty prezydent sfałszował wyniki wyborów i zbudował sobie pałac za dziesięć milionów funtów z prywatnym ogrodem zoologicznym, a tylko Pan Bóg wie, jak się tam traktuje

zwierzęta. Bardzo możliwe, że piecze je na grillu na swoje wystawne urodzinowe przyjęcie. – W jej głosie słycać narastającą irytację. – Dlaczego byłam taka głupia? Dlaczego nie zawiozłam Jema do szpitala? Dlaczego nie powiedział mi, że aż tak źle się czuje? Dlaczego był takim cholernie zatwardziałym Anglikiem?

Czasami robi sobie wyrzuty.

– Nie mogę myśleć o chwilach, kiedy wyprowadzałam go z równowagi.

Nie potrafię za nią nadażyć, ona prowadzi rozmowę sama ze sobą. Nie kłóciliśmy się z Jeremym, między nami dopiero niedawno zrodziła się miłość. Natomiast oni przeżyli we dwoje wiele lat.

– Wściekałam się na niego, że nie naprawiał samochodu, który rozpada się na kawałki, ale on nigdy nie miał czasu. Że tak bezmyślnie postępował z pieniędzmi, że pozwalał się ludziom wykorzystywać. Musiałam się wszystkim zajmować, a też tego nienawidziłam, tylko że on nawet nie próbował mnie zrozumieć, te rachunki i nudne formalności, i wydzwanianie do różnych ludzi, i występowanie w roli złego policjanta. Nie koniec na tym, często kłóciliśmy się o psy. – Wzdycha, jakby on wciąż tu był. Rozdrażnienie jest boleśniesz niż szczęście, ponieważ odsłania rzeczywisty obraz małżeństwa.

– W swoich listach pisałaś, że układa się wam wspaniale.

– Oczywiście, że tak było! – Obrusza się, jakbym nic nie rozumiała, bo nie mam za sobą długoletniego małżeństwa. Potem wybucha płaczem i mówi, jak bardzo go kocha. – Był taki ciepły i miły, i hojny.

– Wiem, że taki był.

– Dostrzegłaś to w nim, prawda?

– Owszem.

– Myślałam, że będziemy razem na wieki wieków.

Ujmuję jej niespokojną dłoń. Chwyta mnie mocno, gniecie moje palce.

– Wiem, jak się czujesz – mówię.

Patrzy mi prosto w oczy, twarz ma zalaną łzami.

– Jesteś taka kochana. Wiedziałam, że tylko ty potrafisz mnie zrozumieć.

Najdziwniejsze jest to, że czuję się jej bardzo bliska, o wiele bliższa niż kiedykolwiek. Od czasu do czasu zapominam o własnym związku z Jeremym i staję się jej przyjaciółką, która ją wspiera w nieszczęściu. Strata odmieniła Bev – już o tym wspominałam – niestety na lepsze. Z jej paciorkowatych oczu zniknęła nieustająca zawziętość, która popychała ją do rywalizacji. Wypłukał ją smutek. Bev stała się szczerą i otwartą.

Miotamy się więc razem, obie dajemy się porwać temu samemu nurtowi.

Jestem zaskoczona, że ona tego nie zauważa; może uznaje, że to współczucie, bo przecież rozpacz wszystkich zmienia w egoistów. Zabawne, ale przypominają mi się nasze pierwsze dni w szkole, kiedy zrodziła się między nami przyjaźń, tak jak między ludźmi rozwija się miłość – niepoohamowana,

nierozerwalna więź między najlepszymi przyjaciółmi, zaszczerpiona we krwi. Przypomniałam sobie, co przede wszystkim nas połączyło.

Pijemy sporo alkoholu – głównie dżinu z tutejszym tonikiem, który smakuje jak płyn do mycia toalet. Ona zwykle jest bardziej wstawiona niż ja, ale kogo to obchodzi? Jemy niewiele. Clarence przynosi nam na talerzach podeschnięte kanapki i zupę z puszki i bez słowa zabiera je z powrotem. Jest wysoki i chudy, Bóg jeden wie, ile ma lat. Skórę ma smoliście czarną i smutne żółtawe oczy. Zastanawiam się, jak silnie odczuwa żal po czyjejś śmierci. A może śmierć w ogóle nie robi na nim wrażenia? W kraju, w którym AIDS zbiera bogate żniwo, odejście jednej osoby więcej w jego przypadku sprowadza się do utraty pracy. Nie wiem, jakim torem będzie rozumowanie Afrykańczyka, i nie bardzo mam siłę to analizować.

Zarówno Bev, jak i ja znajdujemy się na granicy wyczerpania. Jest tak wiele rzeczy do zrobienia – załatwienie formalności związanych z pogrzebem, uporządkowanie spraw Jeremy'ego i na koniec spakowanie rzeczy w domu, jeżeli zostanę tu tak długo. Nic nie wiem o jej planach, nie znam też swoich. Odnoszę wrażenie, że moje londyńskie życie – praca, przyjaciele – rozplynęło się, wydaje mi się nawet, że nigdy nie istniało. Przychodzi mi do głowy, że w ogóle nie ma sensu wracać do domu. Na samą myśl o moim pustym mieszkaniu ogarnia mnie przerażenie, ponieważ tam będę musiała zmierzyć się z przyszłością.

Bev najwyraźniej czuje to samo. Jej dawne ożywienie zniknęło, stała się apatyczna w tym obezwładniającym upale. Jest nie tylko gorąco, ale też niezdolnie wilgotno. Wszędzie wdziera się wilgoć, mówi. I w ubranie, i w ściany. Wyraźniej sobie uświadamia, że Jeremy nie żyje; wobec jego nagłej nieobecności dom wydaje się przegrywać w walce z wilgocią. Poruszamy się po nim kompletnie bezwolnie, zdruzgotane rozpaczą. Smutek odbiera nam siły, dostrzegam to na każdym kroku. Trzeba włożyć wiele wysiłku w skoncentrowanie się na przetrwaniu każdego dnia, godziny po godzinie sygnalizowanej przez zegar.

Żyjemy więc w zwolnionym tempie w izolacji od zewnętrznego świata. Bev nie potrafi zmusić się do przejrzania ubrań Jeremy'ego, nie może się nawet zdobyć na wejście do jego gabinetu. Spędza dużo czasu przy telefonie i z psami. Zajmuje się nimi, mówi do nich i karmi je pigułkami, ale na spacer wyprowadza je Clarence i to on robi zakupy. Ze szpitala wciąż nie ma żadnych wiadomości na temat wyników sekcji.

Przychodzą znajomi w odwiedzinach, przynoszą ciasto i składają kondolencje.

Miły mężczyzna, George z Zonacu, siedzi i niespokojnie porusza rękoma, które trzyma na kolanach. Wygląda na to, że był jednym z tych, którzy pozostali lojalni wobec Jeremy'ego po jego odejściu z koncernu.

– On był duszą naszego biura – mówi. – Nie mogę uwierzyć, że już nie usłyszę jego dudniącego śmiechu. Podziwiałem go za to, co zrobił, diabelnie

odważna decyzja. Koncern okazał się niebezpiecznie mściwy moim zdaniem. Właściwie, kiedy usłyszałem, że on nie żyje, to... – przerywa w pół słowa.

– To? – pyta Bev.

– Nic. – Patrzy na nią i uśmiecha się blado. – Naczytałem się za dużo kryminałów. Niech szlag trafi to wszystko, co się dzieje w tym bagnie.

– Jeremy umarł z przyczyn naturalnych – wyrzuca nagle z siebie Beverley i wybucha płaczem.

Holendrzy Hans i Kaatja, młodzi małżonkowie, przyjechali z siedziby organizacji charytatywnej. Przywieźli dary od plemienia Kikanda – jaszczurkę wykonaną z drucianego wieszaka odzieżowego i przedmiot, który wygląda jak manekin dużego dziecka, opleciony kolorowymi nićmi. Mówią, że buszmeni ogłosili żałobę i na jej znak wysmarowali się popiołem.

– Nadali mu tytuł honorowego przodka – opowiada Kaatja.

Bev niewiele mówi. Zaczęłam podejrzewać, że jest niespecjalnie zainteresowana projektem Jeremy'ego; być może nawet wrogo nastawiona, ponieważ z jego powodu całymi tygodniami przebywał poza domem. Z pewnością z mieszanymi uczuciami podchodzi do plemienia Kikanda. W jej listach oczywiście nie było ani słowa na ten temat. W mailowych cyrkularzach swoje życie przedstawiała wyłącznie w różowych barwach.

Teraz zdecydowanie reaguje tylko na informację Hansa, że buszmeni złożyli ofiarę z bawołu, by uczcić pamięć Jeremy'ego.

– Cóż za okrucieństwo! – oburza się głośno. – On byłby głęboko poruszony, gdyby wiedział, że z jego powodu zginęło niewinne zwierzę.

Dostrzegam wahanie u obojga małżonków; może mieli zamiar powiedzieć, że przecież ona jada mięso zwierząt z uboju. Wyczuwają jednak atmosferę i w tych drażliwych okolicznościach zachowują milczenie.

Po ich wyjściu Bev opada na trzcinową kanapę, która zaskrzypiała pod jej ciężarem, i przesuwa dłonią po włosach. Są splątane i tłuste, nie myła ich od kilku dni.

– Zabiła go ta idiotyczna działalność charytatywna – mówi. – Tak uważam. Zaraził się tam jakąś chorobą albo pasożytami, albo czymś w tym rodzaju. Ich siedziba znajduje się w otoczeniu bagien i kto wie, co się w nich mnoży.

Tego popołudnia odbieramy telefon z laboratorium. W badaniach nie wykryto żadnych toksyn. Przyczyny śmierci nie można określić jednoznacznie, a wobec tego wystawiam zezwolenie na wydanie ciała Jeremy'ego i na jego pogrzeb.

– Nie jestem dobrą gospodynią – usprawiedliwia się Bev.

– Daj spokój. Przyjechałam tu, żeby się tobą zająć.

– Schudłaś tylko i wyglądasz tak strasznie jak ja.

– Nic mi nie jest.

– Może zrobię ci masaż?

Gabinet aromaterapii „Kropla rosy” znajduje się w niedużej dobudówce z widokiem na ogród. Leżę twarzą w dół rozebrana do naga; zapach świec miesza się ze smrodem psich odchodów wpadającym przez okno. Bev włącza muzykę. Słyszę odgłos pompki dozującej olejek, a po chwili czuję na plecach jej małe palce, którymi ugniata mi ciało jak piekarz ciasto. *Jesteś jedną z sześciu posiadaczek najpiękniejszych pleców w Wielkiej Brytanii.* Masuje mnie zaskakująco niedelikatnie, aż krzywię się z bólu.

– W porządku? – dobiega mnie jej głos.

Dziwna rzecz, ale czuję przyływ erotycznego podniecenia. Dawniej widywałyśmy się nawzajem rozebrane do naga, miałyśmy wtedy wspólną łazienkę. Ale teraz jest inaczej. Jej ręce przesuwają się po moim ciele, tam gdzie dotykały go dłonie Jeremy’ego. Jej wprawne palce szukają go i odnajdują za moim pośrednictwem. *Kocham twoją piękną, pomarszczoną na łokciach skórę, kocham każdy kawałek ciebie.* Z pewnością czuje go w moim ciele. *Chcesz, żebym ci tak robił? A tak?*

Obserwuję ją przez te dni. Jej usta, którymi tysiące razy pieściła jego członek. Jej dłonie, którymi gładziła jego ciało, kiedy stopniowo przybierał na wadze od lat młodości do wieku średniego. Teraz ona bada moje ciało, oklepuje je miejsce przy miejscu. Włączyła płytę *Thursday Afternoon* Briana Eno. Okazuje się zaskakująco dobra, spodziewałam się muzyki wielorybów.

Wstaję po masażu, zaróżowiona i odświeżona, jakbym kochała się z mężczyzną. Bev podaje mi szlafrok i zdmuchuje świeczki.

– Idę do łóżka. – Muska mnie dłonią po policzku. – Śpij dobrze, Groszku.

Jeremy powraca do mnie tylko w nocy. W ciągu dnia z nadludzkim wysiłkiem udaje mi się trzymać go z dala od siebie, ale gdy tylko zamykam drzwi sypialni, okazuje się, że on już tam na mnie czeka. Poddaję się więc smutkowi. Ten dom jest pełen jego rzeczy, mnie zostało po nim tak rozpaczliwie mało, ledwie kilka zdjęć w telefonie komórkowym. Przewijam je i dawkuje sobie skromnie jak skąpiec, wydzielam tylko raz każdej nocy. Znam je tak dobrze, że drżę ze strachu, żeby się ich nie pozbawić, żeby przez nieustanne oglądanie nie straciły elektryzującej mocy. Leżę przykryta prześcieradłem i patrzę na jego twarz, jak w zakazaną książkę po zgaszeniu światła. Jest tym samym starym Jeremym, niemal czuję zapach jego ciała, a jednak jest inny, zmieniony obecnością w swoim afrykańskim domu, w miejscu, z którym stopniowo się zaznajamiam. Chcę się z nim podzielić myślami. Chcę mu powiedzieć o wszystkim, co się stało, i go rozśmieszyć. Chcę, żeby otworzył drzwi na oścież, stanął w nich w tej swojej nedorzecznej koszuli i powiedział: *Przepraszam, musiałem wyjść na chwilę, ale już jestem z powrotem. Możemy od razu jechać na lotnisko!*

Pogrzeb się skończył i mamy małą urnę. Przywiozłyśmy ją do Oreyi w plastikowej reklamówce. Wolałabym, żeby Bev włożyła ją do jakiegoś ładniejszego i solidniejszego opakowania, na przykład plecionego koszyka, takiego, jakie sprzedają tu przy drodze, a nie do torby jednorazowego użytku.

Była to skromna ceremonia w kościele anglikańskim w Assenondze – Bev zamierza zorganizować wielką uroczystość poświęconą pamięci Jeremy’ego po powrocie do Anglii. Przybyło około pięćdziesięciu osób, ale wielu jego afrykańskich przyjaciół nie mogło sobie pozwolić na podróż. Jeremy nie żyje od dwóch tygodni, ale o dziwo był to jedyny czas, kiedy wydawało się, że naprawdę go już nie ma wśród nas. Pastor go nie znał i wygłaszał frazesy, które w ogóle nie miały nic wspólnego ze zmarłym. Odśpiewaliśmy kilka psalmów. Bev, ku zaskoczeniu nas wszystkich, przeczytała fragmenty z *Proroka* – akurat tę księgę wybrała spośród wielu innych w podobnym stylu. Zapisane w niej żenująco bezsensowne homilie zawsze spotykały się z drwiną tych, którzy mieli choć trochę zdrowego rozsądku.

*Miłość [...] pragnie twego rozkwitu, lecz również nadaje ci kształt*¹ – czytała Bev. – *Bowiem miłości wystarcza miłość. Jednakże to, co ponadczasowe w was, wyczuwa ponadczasowość życia.* Z pewnością Jeremy nie dał się przekonać do takich bzdur. – Bev czytała dalej o tym, że *miłość rozpostrze swe skrzydła*, którymi nas otoczy, a *jeśli miecz miałby zranić*, ona nas wzmocni. Na zakończenie odczytała wers: *Mówisz, kiedy przestajesz być w zgodzie z własnymi myślami* – słowa tak zdumiewająco nieodpowiednie w przypadku Jeremy’ego, że aż musiałam ukryć twarz w dłoniach.

Potem w końcu nadszedł moment łaski. Kiedy jechaliśmy do domu z lotniska, na naszych oczach gasł dzień. Ten rozplywający się po całym niebie afrykański zachód słońca jest tutaj cudownym zjawiskiem, które można podziwiać codziennie. Taksówka utknęła w korku. Siedzieliśmy w środku, a żebracy stukali w okna; z korony drzewa z szumem wzbily się stada nietoperzy. Wzleciały w oblane rumieńcem niebo i niemal w tej samej chwili usłyszałam śpiew. Znajdowaliśmy się przed kościołem Orey Street Mission, który mieści się w blaszanym budyńeczku. Jego okna były rozświetlone jarzeniówkami. Z wnętrza dobiegała pieśń chóru.

*Niech smutek czyni swoją powinność, ześlij mi smutek i ból,
Ośłodzą go Jego posłańcy, swą pieśnią ukoją żal mój,
Gdy zaśpiewają wraz ze mną
Więcej miłości, o Chryste, więcej miłości dla Ciebie.*

Słowa rozbrzmiewały głośno i wyraźnie, śpiewane harmonijnie przez mężczyzn i kobiety. To była pieśń Afryki, przepelniona takim ładunkiem emocji,

że łzy napłynęły mi do oczu.

Taksówka ruszyła, a Bev położyła mi głowę na ramieniu. Uświadomiłam sobie, że myśli o tym samym co ja, ponieważ powiedziała:

– To była pieśń dla Jeremy’ego.

Po pogrzebie w Beverley wyzwala się nowa energia. Nagle stała się nadpobudliwa, wręcz niezdrowo pobudzona. Oznajmia, że jest gotowa uporządkować rzeczy Jeremy’ego.

– Chcę przejrzeć jego rzeczy piorunem – stwierdza.

W ciekawy sposób mówi o swoim zamiarze, ale czasy są ciekawe, więc i wyrażenie go tymi słowami w istocie również wydaje się „ciekawe”. Żadna z nas nie jest sobą, ale akurat to wcale nie jest dziwne.

Bardzo się obawiam widoku ubrań Jeremy’ego, lecz ona decyduje, że najpierw uporządkujemy jego gabinet. Otwiera drzwi. Dwa psy, Błyskotka i Cygan, pchają się do środka zaraz za nami. Czują się nieswojo w dusznym i ciemnym pomieszczeniu. Błyskotka szczeka, a Cygan sika na podłogę.

– Obydwa psy kochały Jema! – Bev przekrzykuje ich szczekanie. – On też za nimi przepadał.

To nie jest prawda, ale oczywiście nie komentuję.

Podciąga żaluzje i otwiera okno. Przy tym upale nie czujemy specjalnej różnicy. Rozglądam się, udając, że po raz pierwszy widzę jego gabinet. W rzeczywistości czasami tu siedzę, gdy Bev idzie na drzemkę.

Osuwa się na fotel z głębokim westchnieniem i wodzi wzrokiem po pokoju. Panuje w nim większy porządek niż w pozostałej części domu, który raczej nie ma wyraźnego charakteru. Albo Jeremy był porządniejszy niż Bev, w co wątpię, albo zaczął porządkować rzeczy przed wyjazdem. Jego pokój jest nieduży, z gęsto zakratowanym oknem i półkami, na których piętrzą się stosy dokumentów. Na ścianie wisi mapa, na biurku stoi laptop. Nie obawiam się, że tajemnica wyjdzie na jaw, ponieważ Jeremy usunął z niego całą swoją korespondencję.

Bev obraca się na krześle biurowym, a Clarence sprząta po psie. Wychodzi. Słysząc oddalające się kłapanie jego sandałów po linoleum. Bev milczy przez chwilę. Obraca się na fotelu i marszczy czoło. Oczywiście ogromnie jej przykro znaleźć się w tym pokoju po raz pierwszy. Wyznaje mi, że bardzo obawiała się tu wejść.

Obraca się kolejny raz i nagle zatrzymuje się na wprost mnie.

– Ale zaraz, tu brakuje wielu rzeczy – oznajmia.

– Co ty mówisz?

– Jego rzeczy zniknęły. – Wskazuje ręką na półki. – Tam stało jego zdjęcie z rodzicami, o tam, w srebrnej ramce. I puchar, który zdobył w rozgrywkach badmintona. – Wstaje i krąży po pokoju. – Zniknęło też sporo książek. Spójrz, tam

jest luka. I nie ma jego karykatury z występów w pantomimie z czasów, kiedy mieszkaliśmy w Kuala Lumpur. Zniknął przycisk do papieru z jadeitu i hebanowa mała. – Patrzy na mnie i marszczy czoło jeszcze bardziej. – Byli tu, wiem, że byli.

Serce chyba za chwilę wyskoczy mi z klatki piersiowej. Unikam jej wzroku, pochylam się i głaszczę Błyskotkę po głowie pokrytej strupami.

Już się domyślam, gdzie te brakujące rzeczy się znajdują. One są w moim domu w Pimlico.

Przepadły też niektóre jego ubrania. Nie ma tweedowych marynarek i kilku par spodni. Bev twierdzi, że brakuje również butów. Oczywiście wiem, gdzie się podziały.

Okoliczności i bez tego są wystarczająco bolesne. Część jego ubrań wyrzucamy, pozostałe pakujemy do worków i przygotowujemy do oddania w miejscowym kościele. Niektóre z jego koszul znam. Pragnę wtulić w nie twarz i poczuć jego zapach, ale Bev jest w sypialni razem ze mną, również bardzo zdenerwowana. Nie tylko tą przygnębiającą czynnością, jaką jest porządkowanie garderoby własnego męża, ale też zniknięciem jego rzeczy.

– Może się ich pozbył i nie powiedział ci o tym – sugeruję. – Mógł przecież je wynieść dawno temu.

– Po co miałyby to robić? – Przygląda mi się badawczo.

– Czy ja wiem? Może nie potrzebował takiej odzieży. W tutejszym upale.

Zapada cisza. Ona wciąż na mnie patrzy.

– Bardzo lubił te marynarki. Były szyte w Hongkongu. Zawsze zabierał je do Europy i tam w nich chodził. Nie pozbyłby się ich tak po prostu.

– Jeremy miał hojną rękę.

– Naprawdę?

– To znaczy domyślam się, że miał. – Rumienię się. – Na podstawie tego, co o nim wiem.

Odwraca się i zaczyna wpychać koszule do worka.

– Tylko tak mówisz, Petro. Wiesz doskonale, co się stało. Nie musisz na siłę wymyślać powodów.

Nie mogę wydobyć z siebie słowa. Siedzę na podłodze otoczona zwiniętymi w kłębek skarpetami. Pot spływa mi po plecach.

– Naprawdę, kochanie, robi mi się niedobrze – mówi. – To jest zdrada, najgorsza rzecz, jaką można sobie wyobrazić. Potworna, obrzydliwa zdrada.

Z kuchni dochodzą ciche odgłosy stukania garnkami i zapach smażenia. Czuję na sobie wzrok Bev.

– Bardzo to smutne, jeśli pomyśleć o długiej drodze, którą się wspólnie przeszło.

Gwałtownie się podrywa i wychodzi z pokoju.

Siedzę sparaliżowana. Ona oczywiście ma rację. Rzeczywiście to jest najohydniejsza zdrada. Jest mi niezmiernie przykro, ale zostaję w sypialni, bo co mogę powiedzieć? Że jej współczuję, że straciła równocześnie męża i najlepszą przyjaciółkę, że kompletnym szaleństwem z mojej strony był przyjazd tutaj i że do czasu powrotu do domu zamieszkać w hotelu?

Stało się to, co było nieuniknione. Nawet, o dziwo, czuję ulgę, że ona zna prawdę. Kiedy się dowiedziała? Kiedy zaczęła coś podejrzewać i dlaczego nic nie mówiła aż do teraz? Zastanawiam się, czy Jeremy powiedział jej o nas i czy ona przez cały czas udawała, że o niczym nie ma pojęcia. Bev jest mistrzynią kłamstwa, wiem dobrze, i lubi manipulować ludźmi. Zawsze tak było.

Jestem nieprzyjemnie poruszona przyływem żalu nad sobą – czy ona w pewnym sensie mnie nie zdradza? Czuję do siebie odrazę, bo nawet nie powinno mi to przyjść do głowy, ale jestem tak dezorientowana, że nie potrafię logicznie myśleć.

Za oknami rozlega się szczekanie psów. Z kuchni dochodzą podniesione głosy. To Bev atakuje Clarence'a.

– Jak mogłeś to zrobić?! – wykrzykuje. – Jak mogłeś?

Wszystko staje się jasne. Ona podejrzewa Clarence'a.

Słyszę jego stłumiony głos. Ona mówi teraz przez łzy i jest bardzo rozgniewana. Nawet psy dokładają swoje.

Podnoszę się. Nogi mam ciężkie jak z ołowiu. Wchodzę do kuchni i widzę Clarence'a stojącego przy piecu z łopatką w ręku. Znad patelni unosi się dym. Clarence jest wysokim mężczyzną, góruje nad drobną Bev. Na jego nieodmiennie nieruchomej twarzy nie dostrzegam żadnych emocji.

– Clarence tego nie zrobił – mówię.

Bev odwraca się do mnie.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że mógł to zrobić jakiś intruz. Sama mówiłaś, że dochodzi tu do wielu przestępstw.

– A niby co ty o tym wiesz? – Beverley patrzy na mnie i zaraz zwraca się do Clarence'a: – Nie wezwę policji, ale znikaj mi z oczu. Teraz. Natychmiast!

Clarence zdejmuje fartuch. Nie wygląda na zaskoczonego.

Ona jest białą kobietą, a wobec tego osobą, której nawet nie warto próbować zrozumieć. Zwykle ospały Clarence pozostaje niewzruszony. Wyłącza gaz, kładzie fartuch na stole i wychodzi z kuchni jak zawsze dostojnym krokiem. Przyglądam się jego szarym, splekanym piętom.

Bev stoi i oddycha ciężko. Jej twarz przybrała intensywnie różowy kolor, jak koszulka, którą ma na sobie.

– Przekłęci tubylcy – wyrzuca z siebie ze złością. – Okradają nieżyjącego człowieka. Co za parszywy kraj! Im szybciej się stąd wydostanę, tym lepiej.

Próbuję ponownie stanąć w obronie Clarence’a.

– To nie mógł być on. Przecież zginęły dość dziwne rzeczy. Nie wszystkie były cenne.

– Co?! A srebrny puchar? A ramka ze srebra?

– Chodzi mi o książki i inne rzeczy. Na przykład buty.

– Nic nie rozumiesz, kochanie. Prawdziwe skórzane buty są tutaj rzadkością.

– Przygląda mi się uważnie. – Właściwie po czyjej ty jesteś stronie? Zabrał nawet tę kartkę urodzinową, którą zrobiłaś.

– Jaką kartkę urodzinową?

– Tę, którą zrobiłaś dla Jema, kolaż, kiedy skończył trzydzieści lat. Oprawił ją w ramkę. To była jedna z jego ulubionych rzeczy.

Łzy gwałtownie napływają mi do oczu. Zapomniałam o niej, minęło tyle lat. Musi być w którejś z nierozpakowanych paczek. Czeka tam na zajęcie miejsca w naszym wspólnym życiu.

– Proszę bardzo! Ruszyło cię. – Obserwuje, jak wycieram oczy. – Przestań się więc wstawiać za Clarence’em. Zresztą on był beznadziejnym kucharzem.

Dziwne, ale po odejściu Clarence’a Bev najwyraźniej poczuła ulgę. Zawsze gdy mieszkała za granicą, miała różnych służących, ale twierdzi, że nigdy nie przyzwyczała się do życia pod stałą obserwacją.

– Miałam wrażenie, jakbyśmy do naszego małżeństwa przyjęli trzecią osobę – mówi. – Nie mogliśmy się nawet posprzeczać, chyba że w sypialni.

– Jak bohaterowie powieści Jane Austen.

– Tak czy inaczej, tobie i mnie nikt więcej nie jest potrzebny. Wkrótce będziemy spakowane i wyjedziemy.

W dalszym ciągu nie wiem, ile to jeszcze potrwa, i nie mam pojęcia, czy ona chce, żebym z nią została do wyjazdu. Myśl o powrocie do życia bez Jeremy’ego, o staniu się znów osobą samotną wywołuje we mnie tak silne poczucie opuszczenia, że gotowa jestem umrzeć. Czuję się blisko niego tutaj, w dobrze mu znanym otoczeniu, w towarzystwie kogoś, kto mówi o nim przez cały czas, mimo że sprawia mi to ból. Gdy wyjadę, on odejdzie ostatecznie. Nic mi po nim nie zostanie, oprócz czterech paczek.

Tych paczek, o których kradzież został oskarżony Clarence.

– Gdzie on mieszka? – pytam Bev.

Siedzimy na werandzie i jemy pieczonego kurczaka.

– Gdzieś w mieście. Kiedyś pokazał mi to miejsce. Jeśli myślisz o odzyskaniu tych rzeczy, to nie miej złudzeń. Dawno się ich pozbył.

Mówię jej, że zapytałam z ciekawości. Wzrusza ramionami i wyjaśnia, że

jego dom znajduje się za zakładem fryzjerskim na Mera Market. Nie okazuje zainteresowania moimi pytaniami, ponieważ wraca do sprawy, która martwi ją bardziej niż kradzież, a mianowicie: co zrobić z psami.

– Jak znajdę im domy, skoro nikt nie chciał wziąć ich od razu? – Wbiją widelec w wyschnięte udko kurczaka.

– Po prostu je wypuścisz. Będą musiały radzić sobie same.

– Nie mogę tego zrobić! One mi tego nigdy nie wybaczą. Sally-Ann niedługo będzie miała szczenięta.

Psów jest teraz siedem. Bev opowiada mi o charakterze każdego z nich, ale nie potrafię ich cech powiązać z imionami. Niektóre wydają się śmielsze od pozostałych, ale wszystkie są zastraszone i agresywne. Nie ulega wątpliwości, że wskutek wcześniej doznanych krzywd, ale ich trudne przejścia w żaden sposób nie dodają im atrakcyjności.

Bev zabija komara. Jesteśmy otoczone moskitierą, ale i tak zawsze jakiś owad się przez nią przedostaje. Bev dała mi tabletki, ale ja ich nie biorę, tylko wyobrażam sobie, że umieram na malarię i wracam do Anglii w urnie tak jak mój kochanek – oboje śmiercią połączeni. W wyobraźni widzę zalaną łzami Bev przenoszącą nasze prochy w plastikowych torebkach przez kontrolę celną.

Stuka widelcem o talerz i zaczyna płakać.

– One będą głodować. – Szlocha.

Kładę jej rękę na ramieniu.

– Naprawdę bardzo mi przykro, Bev. Gdyby tutaj działało takie nasze Królewskie Towarzystwo Opieki nad Zwierzętami...

– Ja tu zapewniam zwierzętom taką opiekę – ucina.

Nagle zaczynamy chichotać. Opieramy się o siebie. Płaczymy, to znów się śmiejemy. Z powodu psów, z powodu dramatyzmu całej tej sytuacji. Bev ma na sobie różową koszulkę z wyszywanymi kwiatkami, taką, jakie noszą małe dziewczynki. *Ona jest taka drobna.* Jeremy powiedział mi: *Dziwnie się czuję, trzymając w ramionach wysoką kobietę.*

Bev pociąga nosem i przytula się do mnie.

– Bardzo się cieszę, że tu jesteś – szepcze.

Wiatr porusza dzwoneczkami. Pobrzękują, wydaje się, że rozmawiają między sobą przed jej domem w sam raz dla skrzatów.

Następnego ranka idę do miasta po zakupy spożywcze. Tak mówię Bev. Po odejściu Clarence'a same musimy o siebie dbać.

To moja pierwsza samodzielna wyprawa. Wyprowadzałam kilka razy psy na spacer po uliczkach wokół domu, ale okolica, w której mieszka Bev, bardziej przypomina okołolondyńskie hrabstwa niż Afrykę. Są tu głównie parterowe domy z różnymi bramami, zamieszkane najwyraźniej przez pracowników organizacji

pozarządowych i Ngotów z klasy średniej.

Prawdziwa Afryka zaczyna się kawałek za hotelem, mniej więcej dziesięć minut stąd spacerem. Trzeba przejść przez główną drogę i potem iść ulicą, która biegnie za siedzibą misji Kościoła anglikańskiego. Jest dopiero dziewiąta, a już panuje nieziemski upał. Spływa po mnie pot, kiedy dochodzę do Mera Market.

A więc tak wygląda twój zakątek świata, który kochałeś, mówię do Jeremy'ego. Nagle widzę przed sobą wielką arenę, na której trwa widowisko składające się ze scenek z prawdziwego życia wypełnionego sprawami zwykłych ludzi. Przyjeżdżają autobusy wypuszczające tumany spalin, tłumnie wysypują się z nich pasażerowie. Powietrze przepojone jest zapachem benzyny, gorącego oleju ze smażenia i ostrą wonią kanalizacji. Na rynku kłębią się ludzie – matki z niemowlętami w chustach, matki ze starszymi dziećmi, wychudzeni mężczyźni, straganiarze. Widzę kobietę ze sklepikiem kosmetycznym na głowie, przez szybkę z przodu skrzynki widać plastikowe buteleczki i ozdoby do włosów. Porusza się powoli, jakby we śnie, przeciska się między ludźmi. Stragany uginają się pod ciężarem najróżniejszych owoców i przypraw. Na płachtach rozłożonych na ziemi piętrzy się używana odzież.

Mimo zgiełku wyraźnie wyczuwa się tu apatię i ospałość. Gdzie spojrzę, widzę ludzi, którzy siedzą i nieruchomo patrzą przed siebie w przestrzeń. Mężczyźni stoją rzędem oparci o ściany budynków i palą papierosy. Wyglądają, jakby trwali tam od początku świata i mieli pozostać w tym samym miejscu, jak mnie już nie będzie. *Oni żyją, a ty jesteś martwy*. Stoją w całkowitym bezruchu, a ja odnoszę dziwne wrażenie, że brnę przez życie pozagrobowe w towarzystwie jarmarcznie kolorowych duchów. Niektóre kobiety mają na głowach wysokie kapelusze w kształcie cylindrów i suknie z czasów króla Edwarda VII; wyglądają, jakby przybyły tu z innej epoki. *Dlaczego one mają na sobie te sukienki? Czy to są jakieś stroje plemienne, czy może takie stroje nakazali im nosić misjonarze?* Jeremy by wiedział. *Spójrz! Jest marynarka tweedowa bardzo podobna do twojej*. Oczywiście to nie jest jego marynarka, chociaż jej widok bardzo mnie poruszył.

Po drugiej stronie rynku w niewysokich murowanych domkach znajdują się sklepy, głównie z mięsem i artykułami spożywczymi. Ale są też inne. Nad drzwiami jednego z nich wisi kawałek płótna workowego z napisem „Fryzury de Luxe”.

On mieszka za zakładem fryzjerskim.

Pewnie chodziło jej o ten zakład. Podążam gęsto zaśmieconą uliczką. Środkiem biegnie rynna ściekowa wypełniona niebieskoszarą mazią, nad którą aż roi się od much.

Za zakładem dostrzegam domy stojące ciasno jeden obok drugiego, zbudowane z pustaków. Są tu kury i dzieci, i rozwieszzone na sznurach pranie. Dostrzegam Clarence'a, który siedzi na słońcu i majstruje przy radiu rozłożonym

na części.

Nie od razu go rozpoznaję. Nie jest już służącym i wygląda zupełnie inaczej, jak nauczyciel po skończonych lekcjach w szkole. Sprawia wrażenie mężczyzny z większym autorytetem, który czuje się swobodnie we własnym domu. Służebność wysysa z człowieka seksualność, a teraz widać po nim, że odzyskał swój naturalny status. Jest przystojniejszy, młodszy.

Pozdrawiam go, a on kiwa głową. Nie okazuje zaskoczenia. Chyba nigdy niczemu się nie dziwi.

– Przepraszam, że przeszkadzam – tłumaczę się. – Ale muszę z tobą porozmawiać.

Clarence wstaje. Odkłada na bok plastikową płytkę i znika w drzwiach prowadzących do domu. Słyszę cichy kobiecy głos. Po chwili wraca z krzesłem dla mnie. Siadam.

– Przyszłam cię przeprosić – mówię. – Wiem, że nie ukradłeś tych rzeczy.

Clarence wyjmuję z kieszeni paczkę papierosów. Nonszalancko jak Humphrey Bogart wytrząsa z niej jednego papierosa i mnie częstuje. Zaskoczona biorę go, choć nie palę od wielu lat. Zapala swojego papierosa i podaje mi ogień.

– Nie jestem złodziejem, proszę pani.

W drzwiach pojawiają się główki dzieci.

– Wiem. – Zaciągam się i zbiera mi się na mdłości. – Nie powinna wyrzucać cię z pracy.

Dzieci przepychają się między sobą i chichoczą. Jakim sposobem takie żywe dzieci zamieniają się w do tego stopnia niewzruszonych dorosłych?

Clarence zza chmury dymu przygląda się radiu rozłożonemu na części. Nie potrafię powiedzieć, czy mnie słucha, ale mówię dalej:

– Pani Payne nie wie, że tu jestem, więc niech to zostanie między nami. Czy mogę ci w jakiś sposób wynagrodzić to, co cię spotkało? Co byś powiedział na pensję za jeden miesiąc?

Clarence trzyma papierosa w ustach i ogląda radio. Wkłada w nie drut i zatrzaskuje klappę. W tej samej chwili rozlega się głośna muzyka. Rick Astley śpiewa *Never Gonna Give You Up*. Zawsze lubiłam tę piosenkę i za młodych lat na cały głos mu wtórowałam.

– Pani Payne nie jest miłą kobietą – mówi Clarence.

W każdym razie mnie się wydaje, że tak powiedział.

– Co ty wygadujesz? – krzyczę.

Wyłącza radio.

– Dlatego pan Payne chciał mieć miłszą kobietę, taką jak pani.

Kręci mi się w głowie. Wciąż czuję oszołomienie po papierosie.

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– Pan Payne był bardzo dobrym człowiekiem. Dał mi duży napiwek za

zanieśnienie paczek na pocztę. – Uśmiecha się szeroko, pokazując brudne zęby.
– Dlatego że to była wielka tajemnica.

Czyli Clarence wiedział. Serce zamiera mi w piersiach. Wyobrażam sobie ich dwóch potajemnie przygotowujących Jeremy'ego do podróży. Powracając myślami do tego planu, uświadamiam sobie, jak bliska była jego realizacja. Przedstawiam sobie chlebobawcę i służącego w znowie, szepczących za zamkniętymi drzwiami jak bohaterowie opery Mozarta. Zastanawiam się, ile szczegółów niedyskretny z natury Jeremy ujawnił wiernemu pomocnikowi. Jeśli rzeczywiście temu wiernemu pomocnikowi można było ufać. Rzucam obrzydliwego papierosa na ziemię i przydeptuję nogą.

– W sercu pan Payne jest Ngotem – mówi Clarence.

– Co takiego?

– On chce nową żonę.

– On nie jest żadnym Ngotem! I to wcale nie tak było.

Clarence wydaje się nieporuszony.

– Ja mam nową żonę. Chce ją pani poznać? Ona jest młoda i ładna i dała mi trzech zdrowych synów. – Mierzy mnie wzrokiem z góry na dół. – Moja pierwsza żona była pomarszczona i stara.

Pomijam tę uwagę milczeniem. Gdzieś w pobliżu pieje kogut.

Z jednej strony nie znoszę Clarence'a za to, że wie o moim romansie, z drugiej strony – jako osoba wtajemniczona – staje mi się bliski. Spoglądam na niego innym okiem. W pracy nosił strój w kolorze khaki, teraz występuje w „cywilnym” ubraniu. Ma na sobie brudne spodnie i wzorzystą koszulę buszmena, taką, jaką nosił Jeremy. Ale ta nie należała do Jeremy'ego. Clarence nie jest złodziejem.

– Przykro mi, że pani Payne uważa, że ukradłeś te rzeczy. – Uśmiecham się do niego niepewnie. – Nie zamierzasz jej powiedzieć, prawda? O panu Payne i o mnie? Byłaby strasznie zdenerwowana. A ja jestem jej najlepszą przyjaciółką. Widzisz, jak jest...

– Pani Payne nie była dla mnie miła. Kazała mi się opiekować jej obrzydliwymi psami.

– Ale nie zamierzasz jej powiedzieć?

Clarence coś krzyczy i jego żona wychodzi z domu, niosąc dwie butelki sprite'a. Jest naprawdę urodziwa, wręcz olśniewająco piękna. Włosy ma schowane pod turbanem. Jest ubrana w szorty i T-shirt ze znakiem drużyny baseballowej Boston Red Sox. Spodziewałam się kobiety w stroju plemiennym. Ale co ja tam wiem?

Uśmiecha się do mnie szeroko, porozumiewawczo. Czy ona też jest wtajemniczona, czy powodem serdeczności jest tylko nasza kobieca solidarność?

Żona Clarence'a odchodzi, a wtedy on upija łyk sprite'a, odstawia butelkę

i mówi:

– Chcę taksówkę.

– Jak to? Teraz? – pytam zaskoczona. – Dokąd chcesz jechać?

Odchyła głowę do tyłu i się śmieje. Wydaje z siebie gromki rechot, odsłaniając różowe dziąsła i czarne pieńki zębów. Jego dzieci, zaskoczone zachowaniem ojca, podchodzą bliżej.

Clarence w końcu się uspokaja.

– Nie, droga pani. Ja chcę kupić taksówkę.

Zaczyna mi wyjaśniać wszystko po kolei. Jego kuzyn, który ma taksówkę, umiera na AIDS. Clarence zawsze chciał być taksówkarzem; to jest dobrze płatna praca, w znacznym stopniu niezależna i o wiele lepsza niż sprzątanie psich odchodów. Ponieważ Clarence należy do rodziny, kuzyn sprzeda mu taksówkę za bardzo rozsądną cenę.

W miarę jak Clarence przedstawia sytuację, ja zaczynam rozumieć, o co mu chodzi. Sprawa jest prosta. Ja kupuję mu taksówkę, a on trzyma gębę na kłódkę.

Clarence nie przejawia żadnych emocji, ale traktuje mnie przyjaźnie. Jego propozycja ma charakter czysto handlowy. O dziwo nie czuję urazy. Oferta jest uczciwa. Ujmuje mnie w nim prostota zachowania; przypuszczam, że nie rozgniewałby się, gdybym odmówiła. A dla mnie? Czy nie byłby to w pewnym pokrętnym sensie sposób na złagodzenie mojej winy?

Jestem przekonana, że cena, której żąda, jest skandalicznie wygórowana, ale nie dbam o to; w porównaniu do Clarence'a jestem bogata. Zaskakująco zadowolona z obrotu sprawy, potrząsam jego smukłą, żyłastą dłonią. Związałam się umową z Afrykańczykiem. Jeszcze godzinę temu nie mieliśmy ze sobą nic wspólnego, a teraz łączy nas zażyłość przypieczętowana mocą pieniędzy. Odnoszę wrażenie, że ze względu na Jeremy'ego stał się bliską mi osobą. Po raz pierwszy mogę przy kimś mówić otwarcie o moim kochanku i na tym zakurzonym podwórku nagle czuję się jak u siebie.

Mam teraz kolejną tajemnicę przed Bev. Przy drodze z lotniska w jednym z nowych, przeszklonych biurowców znajduje się oddział Barclays Bank. Następnego dnia wsiadam do taksówki i jadę tam wypłacić gotówkę na samochód dla Clarence'a. Podobno taka taksówka nazywa się tu tuk-tuk.

Czuję się już pewniej w moim obecnym otoczeniu, swobodniej poruszam się po miasteczku i jego okolicach. Bev jest zajęta porządkowaniem dokumentów, więc powiedziałam jej, że wychodzę trochę pozwiedzać. „Od samego początku jestem zupełnie bezużyteczna” – powiedziała. „Na pewno poradzisz sobie sama? Nie ma tu zbyt wiele do oglądania, ale powinnaś przynajmniej poczuć smak Afryki. Dobrze pilnuj torby, pamiętaj o zasuwaniu zamka”.

Ukazuje mi się inny krajobraz niż tam, gdzie mieszka Clarence. Po obu

stronach szerokiej drogi rozciągają się trawniki, na których pracują zraszacze obracające się w pełnym słońcu. Pośrodku drogi na pasie rozdzielczym rosną kwitnące drzewa. Jeremy opowiadał mi, że pierwotnie były zasadzone odwrotnie, korzeniami do góry, dopiero po pewnym czasie ktoś zwrócił uwagę na tę pomyłkę. Na koniec dodał: *I jak tu nie kochać takiego kraju?*

Obowiązuje tutaj zakaz wjazdu dla osób na wózkach zaprzęgniętych w osły i dla rowerzystów. Nie wiadomo tylko, po co mieliby tu przyjeżdżać. Na drodze widać wyłącznie samochody sportowe i limuzyny osób na wysokich stanowiskach. Za wysokimi murami wznoszą się budynki, w których mają siedziby korporacje – Zonac, Vodacom, Caledonia Mining, China State Construction Company. Nagle zatęskniłam za Jeremym tak mocno, że poczułam ostry ból pod żebrami. To było jego terytorium, ale nigdy się na nim nie odnalazł; na jaką odwagę potrafił się zdobyć, żeby swoje życie przewrócić o sto osiemdziesiąt stopni, tak jak zostały posadzone te drzewa, i zająć się udzielaniem pomocy buszmenom, których egzystencja była poważnie zagrożona! Ale przecież on w głębi duszy zawsze był buntownikiem.

Wracam do domu i zastaję Bev, która ledwie trzyma się na krześle. Wygląda na całkowicie wyczerpaną. Włosy ma wilgotne od upału, bezładnie poskręcane, żałośnie opadają jej wokół twarzy. Przypominają mi się dawne czasy, kiedy wracała do domu z przychodni, wykończona po całym dniu pobierania materiału do badania cytologicznego.

– Podjęłam decyzję w sprawie psów – oznajmia. – W dniu wyjazdu mam zamiar otworzyć bramę i pozwolić im odejść. Wyjedziemy stąd samochodem i ja nie będę się oglądać za siebie.

Wypląkała już oczy. Jej rozpacz z powodu owrzodzonych kundli wydaje się równie głęboka jak żal po stracie męża.

– Łatwo przyszły, łatwo pójda – mówię bezdusznie.
– Wielkie dzięki. – Posyła mi miazdzące spojrzenie.
– Przykro mi, kochanie. Wiesz, że lubię psy. Myślałam nawet, żeby jakiegoś przygarnąć. – Mało brakowało, a dodałabym: *Jeszcze przed przeprowadzką do mnie twojego męża.* Jestem podekscytowana z powodu zakupu taksówki.

Przyniosłam kilka butelek piwa i jedną podaję Bev. Pokój wygląda teraz bardziej pusto, wszędzie czekają skrzynie do pakowania rzeczy. Na najwyższej półce biblioteczki stoi samotnie urna z prochami Jeremy'ego. Nie mogę przeboleć, że jest z tworzywa sztucznego, tania, brzydka, opuszczona, jednorazowa. Mówię i drżą mi powieki, gdy na nią, na niego, spoglądam. To samo dzieje się z Bev. Jesteśmy tu razem, jego dwie kobiety.

Śni mi się Alan, mój niewierny specjalista od remontu. Ma ogromnego, czarnego psa i namawia mnie, żebym wybrała się z nim do miejsca, które wygląda

na afrykański busz. Wszędzie jest pełno kurzu i zbierają się groźne burzowe chmury. Boję się iść, ale on ciągnie mnie za sobą. *Daj spokój, kochanie, ze strachu ściska cię w żołądku?* Potykam się o kolczaste krzaki, aż nagle jego ręka wyslizguje się z mojej i zostaję sama. Nie słyszę nic oprócz wycia hien.

Oczywiście to psy. Wiedzą, że ich dni tutaj są policzone, czują swój koniec jak nadciągającą burzę. W ogrodzie piętrzą się plastikowe worki wypełnione niepotrzebnymi rzeczami, które pozostały ze wspólnego życia Bev i Jeremy'ego. Bez wątpienia wkrótce potem, jak trafią do misji przykościelnej, znajdą się na Mera Market i jakaś piękna czarnoskóra kobieta wyjdzie ze swojej chaty w sukience z odkrytymi plecami zawiązywanej na szyi, która należała do Bev jeszcze za naszych wspólnych czasów w Pimlico. Nie mogę takiej teraz nosić, popatrz na moje pelikanowe worki pod pachami! Życie jest wielką górą kompostu, którą ktoś przewraca widłami w zupełnie przypadkowy sposób.

Bev koniecznie chce jak najszybciej wydostać się z Ngotolandii. Wprawdzie tu był jej dom, ale bez Jeremy'ego w tym kraju czuje się obco i tęskni za Anglią, gdzie spotka się z matką i dawnymi przyjaciółmi i spróbuje poskładać swoje życie. Siedzimy w otoczeniu skrzyń, a ona z rozmarzeniem wspomina czerwone autobusy i Carnaby Street w Londynie, tak jak to robił Jeremy. Nie chcę jej sprowadzać na ziemię, pozwalam jej snuć te fantazje, podobnie jak nie przeszkadzałam Jeremy'emu.

Rozprawia o przeszłości, o dawnych latach, kiedy byłyśmy młode i podbierałyśmy prezerwatywy z poradni, w której pracowała, wpraszałyśmy się na imprezy i bawiłyśmy się do rana, po pijanemu uprawiałyśmy seks z niewiadomo kim, gdy w sąsiednim pokoju dudniła muzyka, autostopem jechałyśmy do Stonehenge, żeby obejrzeć przesilenie letnie, na cały głos wyłyśmy piosenki Beatlesów, jeżdżąc na rowerach w deszczu po Londynie, który oferował nam nieograniczone możliwości.

– To była zabawa – wzdycha, patrząc na rolkę taśmy klejącej.

Zarezerwowała dla nas bilety na samolot za dziesięć dni. Straciłam rachubę czasu, a moje życie w Pimlico jest odległym wspomnieniem. Nie wiem, czy tak się stało za sprawą smutku czy dziwnego, usypiającego działania Afryki. Bev i ja żyjemy na ziemi niczyjej, która pozostała po naszej stracie. Cierpimy oddzielnie, ale w niepojęty sposób jesteśmy oparciem dla siebie nawzajem. Ona to czuje, mimo że nie rozumie, dlaczego miałyby tak być. *Och, tak się cieszę, że tu jesteś,* mówi wieczorem, kiedy siedzimy na werandzie i obserwujemy świetliki. Rzeźby zniknęły, oddała je szwedzkiemu antropologowi z przepukliną kręgosłupa, który brał u niej masaże.

Bez Clarence'a musimy dbać o siebie same, a ona nie miała do czynienia z taką sytuacją przez cały czas trwania swego małżeństwa. Ludzie mieszkający

poza własnym krajem są pomysłowi – potrafią sobie radzić na obcej ziemi – ale również bezradni, ponieważ na ogół mają służbę do pomocy. Bev jest marną kucharką, więc obowiązek gotowania biorę na siebie.

Przechadzam się po Mera Market powoli jak Afrykanka. Upał jest niemiłosierny. Ani Bev, ani ja nie mamy apetytu, ale musimy jeść, więc kupiłam kotlety wieprzowe. Posoka kapie z torby na zakupy, w której je niosę; wszystko tutaj mają marne i byle jakie, nawet plastikowe reklamówki. W Londynie jest teraz środek zimy, ale Londyn zniknął, wyparował. Nie mam siły panikować z tego powodu. Nie mam siły na nic innego, oprócz istnienia w tej chwili, w tym miejscu, wśród tych straganów, na których sprzedawcy będą cierpliwie co roku prezentować wyroby, wykladać na kawałku papieru kilka pomidorów albo wymontowane części samochodu, które nigdy już nikomu nie będą służyć do niczego. Zaczynam się przyzwyczajać do tego miasteczka. Afryka Jeremy’ego stopniowo staje się moją Afryką, miejscem, które zupełnie niezależnie od niego zaczyna tworzyć w mojej świadomości własną tożsamość. Jest to zarówno niepokojące, jak i uspokajające, okazuje się bowiem, że mogę istnieć, tylko ja i mój koszyk na zakupy. Nie potrafiłam sobie wyobrazić życia bez niego, ale muszę przetrwać, bo jaką mam alternatywę?

Rozglądam się po rynku z pewnym zainteresowaniem, jakby budząc się z długiego snu. Chcę dobrze zapamiętać to miejsce, ponieważ wkrótce stąd wyjadę, więc zaczynam robić zdjęcia telefonem komórkowym – małej, rozpadającej się chaty, na której widnieje napis Hotel Paramount; namalowanych na ścianie fryzur, podobizny Baracka Obamy, zawodników miejscowej drużyny piłki nożnej trzymających flagi. Wokół mnie gromadzą się dzieci, przepychają się między sobą, chichoczą. Im też robię zdjęcia, a potem pozwalam je oglądać.

Nieopodal przystanku autobusowego Clarence poleruje swoją taksówkę. Jest ubrany w czystą białą koszulę i ma dumną minę jak chłopiec, który dostał nowy rower. Czuję wewnętrzne poruszenie. *Nasz romans przyniósł mu taksówkę*, mówię do Jeremy’ego. To najdziwniejsza rzecz, jaka mogła się zdarzyć!

Fotografuję stoisko z przyprawami, kosze wypełnione po brzegi kolorowymi stożkami z proszkiem „Piekielnie ostre chilli teściowej”. Chcę zrobić zdjęcie kobietom ubranym jak majątne starsze panie z epoki edwardiańskiej, ale mają zbyt nieprzystępne miny, więc nie ośmielam się nawet zapytać o pozwolenie.

Wtedy dostrzegam starszego mężczyznę siedzącego w drewnianej budce z otwartymi okiennicami. Zapisuje coś pracowicie w księdze. Na tabliczce widnieje napis: Super Telecom: internet, automatyczne połączenia międzymiastowe, ładowanie telefonów. Mnóstwo telefonów komórkowych leży na kontuarze, podłączonych wśród płataniny przewodów do gniazdek zasilania. Jeremy opowiadał mi o nim i o usłudze ładowania telefonów. Pytam mężczyznę, czy mogę mu zrobić zdjęcie, a on kiwa głową.

Sadowi się wygodnie na swojej ławce. Fotografuję go, a potem on sięga do mojego telefonu, więc mu go podaję. To nowy iPhone. Ogląda go okiem eksperta. Zdecydowanie nim jest.

- Ma pani aplikację taksówek w Londynie – oznajmia.
- Niestety tutaj jest bezużyteczna.
- Taksówki w Londynie są bardzo drogie?
- Bardzo.

Z jakiegoś powodu się śmieje – piskliwym, dziewczęcym śmiechem. Za jego plecami ryczy osioł.

- Ma pan bardzo ładny sklep – chwalę od niechcenia.
- Bardzo ładny – potwierdza.

Patrzy na swoje zdjęcie w moim telefonie, a potem zaczyna przesuwając palcem po ekranie i oglądać inne fotografie. Nie irytuje mnie jego wścibstwo, jest właściwie dość przyjazny.

- Pani dzieci? – pyta.
- Ależ nie! – Przechyłam się, żeby zerknąć na zdjęcie. – To moje wnuki, Gus i Ellie. Mieszkają w Ameryce.

- Ameryka jest bardzo ładna. Ma afrykańskiego prezydenta.

Przewija zdjęcia i nagle zatrzymuje się na zdjęciu Jeremy'ego, który trzyma lody na patyku i uśmiecha się do mnie. To zdjęcie zrobiliśmy w dniu, w którym poszliśmy na spacer do Hampstead Heath.

- Pani go zna?

Kiwam głową

- To jest pan Payne. On tu mieszkał.

Mężczyzna od telefonów komórkowych wydaje gardłowy odgłos *tssyt*.

- Trzeba to usunąć.

- Dlaczego?

- Bo będzie sprowadzać złe duchy.

Złe duchy? O czym ten człowiek mówi? Przemyka mi przez głowę szalona myśl, że on wie o naszym romansie. Clarence przecież wiedział. Może odpowiedział w całym mieście i tylko Bev o niczym nie ma pojęcia.

To głupie, mam chyba manię prześladowczą.

- Dlaczego miałyby sprowadzać złe duchy?

Mężczyzna przewraca oczami jak Frankie Howard.

- Bo on został zamordowany.

Kręcę głową.

- Umarł na jakąś chorobę.

– Droga pani... – Wyciera nos wierzchem dłoni. – Anglik został zamordowany.

Zapada długa cisza. Krew odpływa mi z twarzy.

- Co pan powiedział?
- On został zamordowany.
- Ależ oczywiście, że nie!

Wzrusza ramionami i nagle traci zainteresowanie.

- Skąd pan wie? – pytam.

Przenosi wzrok na leżące przed nim telefony. Potem znów patrzy na mnie przekrwionymi oczami.

- Moje usta milczą.

Idę przez rynek i nogi uginają się pode mną. Bez dwóch zdań ten mężczyzna kłamie. Albo wymyślił sobie jakąś historię, bo nudno mu siedzieć cały dzień w tej budzie. Chciał zobaczyć, jak zareaguję, na chwilę poczuć przewagę nad białą kobietą.

Clarence kuca przy samochodzie i poleruje kołpaki.

Na plecach jego koszuli powstała wyraźna ciemna, mokra plama od potu. Gdy mnie widzi, podnosi się i wyciera ręce o spodnie.

- Koniecznie muszę z tobą porozmawiać – mówię.

W pobliżu nie ma prawie nikogo, z wyjątkiem kilku kobiet. Siedzą na ogromnych workach wypchanych ich rzeczami. Czekaają na autobus i wyglądają na to, że drzemią.

- Ten człowiek, tam, z budki telefonicznej, powiedział mi coś o panu Paynie.
- Wzruszam lekceważąco ramionami. – On twierdzi, że pan Payne został zamordowany.

Po tych słowach serce wali mi jak młotem. Patrzę na twarz Clarence'a i czekam, aż zaprzeczy.

Opadły mu powieki. Nie widziałam go dotąd z zamkniętymi oczami. Nasze dotychczasowe porozumienie się ulotniło.

Clarence głośno chrząka i spluwa w piach, po czym mówi coś, co przenika mnie chłodem do szpiku kości:

- Ma pani zamiar powiadomić policję?

Nie mogę wrócić do domu i stanąć oko w oko z Bev, jeszcze nie mogę. Wiruje mi w głowie i muszę pozbierać myśli. Ale nie mam dokąd pójść, żeby w spokoju się zastanowić – nie ma tu ani Caffè Nero, ani parku miejskiego. Jestem w środku afrykańskiej mieściny, gdzie nikt nie może być sam. Nie ma tu nawet gdzie usiąść, chyba że będę udawać, że czekam na autobus. Poza tym mężczyźni mi się przyglądają, dzieci nie odstępują, jestem obiektem zainteresowania. Tylko nieliczni biali przychodzą na ten rynek; to nie jest miejsce turystyczne, nikt nie przyjeżdża tu fotografować ludności.

Wystarczy się rozejrzeć, żeby wiedzieć, co się tu dzieje, jeżeli ktoś taki się

zjawi.

Czuję się coraz bardziej nieswojo. Nie jestem przestraszona, tylko zaniepokojona. Nie mogę uwierzyć w to, co usłyszałam, z pewnością nie może to być prawda. Ale wątpliwość została zasiana, w powietrzu zawisło napięcie. „Poziom przestępczości jest tu zatrważająco wysoki” – powiedziała Bev. „Dlatego potrzebne mi są psy, kiedy jestem sama”. Przepęstw przeciwko cudzoziemcom popełnia się szczególnie dużo, dlatego mają strażników i złożone systemy zabezpieczeń.

Potem znów myślę: Nie bądź głupia. Nie ulega wątpliwości, że Jeremy nie zginął od ciosu nożem ani nie umarł z powodu pobicia, jego ciało było nienaruszone. Musiałoby to być subtelniejsze morderstwo, bez śladów.

Jak w ogóle mogę myśleć w ten sposób? Jak mogę sądzić, że coś podobnego mogło się przytrafić Jeremy’emu? Kochanemu, nieżyjącemu Jeremy’emu? Nudności wzbierają mi w gardle, przetykam więc raz po raz ślinę, żeby je powstrzymać. Chodzę między straganami i udaję, że oglądam warzywa. Wyczuwam nieprzewidywalność zachowań ludzi, czuję ich oczy skupione na sobie. Czy rzeczywiście ktoś chce mi wyrządzić krzywdę? Koniecznie muszę się stąd wydostać.

Przebiegam przez główną drogę, pakunek z mięsem obija mi się o nogi. Przejeżdża limuzyna, której kierowca głośno trąbi. Za szybami widzę twarze Chińczyków, którzy się odwracają i patrzą na mnie, kiedy samochód przyspiesza i błyskawicznie się oddala.

Wracam do domu i zastaję Bev na wyciąganiu worków ze śmieciami na podwórko. Wypuszczone z zagrody psy piszczą żałośnie i kręcą się jej pod nogami.

– Doskonale wiedzą, że nadciąga burza – mówi Bev i ociera czoło.

Ma na dłoniach lateksowe rękawiczki, takie, jakich pielęgniarki używają do badań. Zdejmuje je energicznie i wskazuje na czyste, błękitne niebo.

– Zwykle orientują się na długo przed nami. Niesamowite!

Bev jest w dziwnym nastroju. Ma roziskrzzone oczy, cała się świeci od potu. Kosmyki włosów wymknęły się jej spod chustki, którą obwiązała sobie głowę, i przykleiły się do twarzy. Wygląda jak dzikuska w euforii. Może psy wyczuły, co się szykuje, a nie nadciągającą burzę, i przestraszyły się rychłego wydalenia. Czasami nie wiem, jak postępować z Bev, nie potrafię jej zrozumieć. To, co się dzieje w jej głowie, staje się dla mnie coraz większą tajemnicą.

Na podwórzu śmierdzi moczem. To miejsce stało się slumsem raczej angielskim niż afrykańskim i dlatego trudniej to zaakceptować. Rzucam zakupy na stół kuchenny, z którego wzbija się drzewny pył. Termyty zjadają ten dom i wkrótce nic z niego nie zostanie. Książka, którą otworzyłam wczoraj wieczorem, rozpadła mi się w rękach.

Przychodzi Bev i opada na krzesło.

- Co będzie na kolację? – pyta.
- Najpierw muszę się czegoś napić.

Szykuję dla nas dwie szklanki dżinu z tonikiem. Informuje mnie, że kupiła bilet na samolot do Cape Town, bo chce, zanim wreszcie opuści Ngotolandię, pojechać tam na kilka dni w odwiedziny do swojej przyjaciółki, Maxie. Okazuje się, że Maxie cierpi na chorobę Crohna i ma wiarołomnego męża.

– W przyszłym miesiącu idzie na kolejną resekcję fragmentu jelita – tłumaczy Bev. – Już trzeci raz i pewnie nie ostatni. Biedna dziewczyna. U Adriana nie znajduje żadnego wsparcia. Ona myśli, że on ciągle ma romans ze swoją małą czarnoskórą przyjaciółką. Wyobrażasz sobie? Ta kobieta ma założony worek stomijny.

Słowa odbijają się echem, dobiegają do mnie jakby z daleka. Opróżniam szklankę i zbieram się na odwagę, żeby jej powiedzieć. Dżin uderzył mi do głowy.

– Bev, muszę ci o czymś powiedzieć. Dzisiaj usłyszałam dziwną rzecz na rynku. Ktoś mi powiedział o śmierci Jeremy’ego.

Bev ostrożnie odstawia szklankę na stół.

– Co takiego?

– To tylko... Wiem, że zabrmi śmiesznie, ale tam siedzi facet, który przyjmuje telefony do ładowania. Clarence twierdzi, że on czyta wiadomości tekstowe, które przychodzą do ludzi...

– Clarence? A co on ma z tym wspólnego?

– Dobrze. Clarence też tak uważa.

– Ale co uważa, kochanie?

– Że Jeremy... że był jakiś spisek. Widzisz, trochę o tym myślałam. To znaczy Zonac miał coś do niego, a to jest koncern farmaceutyczny, no a w końcu oni wiedzą sporo o truciznach i tak dalej...

– Truciznach?

Bev patrzy mi prosto w oczy. Nagle wygląda jak uczennica, którą kiedyś znałam. Wydaje mi się, że siedzimy w tym ciemnym pokoju z więziennymi oknami i szykujemy spisek przeciwko nauczycielom; jesteśmy jak jakieś dziecinne konspiratorki.

Biorę głęboki oddech.

– Może on nie umarł z przyczyn naturalnych. – Teraz gram na scenie w zbudowanym na chwiejnych podstawach starym dramacie Agathy Christie. – Przecież mógł zostać zamordowany.

To słowo zawisło w powietrzu. Bev nie odpowiada, tylko patrzy na lalkę Kapustkę z rozerwanym brzuchem leżącą na podłodze, jedną z zabawek jej psów.

– Myślałam – ciągnę – że, no wiesz, może powinniśmy się skontaktować z policją...

– Policją? – Gwałtownie podnosi głowę.

– Albo konsulem brytyjskim w Assenondze, tym, który przyszedł na pogrzeb.

– Nie rób tego!

– Dlaczego?

– Ani się waż! – Znów patrzy prosto na mnie. Nagle staje się tą samą dziewczynką, od której dostałam torbę pełną ślimaków.

Jej gniew zbija mnie z tropu.

– Czy nie powinniśmy... na przykład przeprowadzić jakiegoś rozpoznania? Wiem, że jesteś pielęgniarzką i w ogóle, ale wygląda na to, że nikt nie znalazł przyczyny jego śmierci. Może został otruty i może Clarence maczał w tym palce? Nie uważasz, że jesteśmy to winne Jeremy'emu, że powinniśmy się dowiedzieć?

– Nie!

– Ale dlaczego?

Patrzy na mnie spod uniesionych brwi. Jej chustka zsunęła się na bok, nadając Bev trochę szalony i zawadiacki wygląd.

– Bo to jest prawda – mówi.

Khalil Gibran, *Prorok*, przeł. Bogusława Jurkevich,
<http://www.beezar.pl/ksiazki/prorok-khalil-gibran>. [wrót]

Oreya, Afryka Zachodnia

– Właściwie mi ulżyło, że wiesz – mówi Bev. – Nie mogłam znieść tej tajemnicy. W końcu przecież zawsze o wszystkim sobie mówiłyśmy.

Kręci mi się w głowie. Siedzi na wprost mnie, a ja na nią patrzę. Wygląda na całkiem spokojną.

– Nie mogę w to uwierzyć.

– Tak mi przykro.

– Ale...

– Nie chcesz znać powodu – przerywa mi. – Naprawdę nie chcesz.

– Dlaczego nie?

– Bo bardzo lubiłaś Jeremy’ego i najlepiej tak go zapamiętaj...

– Co masz na myśli?

– Po prostu daj spokój, Petra!

– Jak to? Co on zrobił?

Bev wzdycha głęboko, zmęczona i zrezygnowana. Ukrywa twarz w dłoniach. Jej zachowanie wydaje mi się trochę teatralne i czegoś tu nie rozumiem. Jestem oszołomiona. *Nie chcesz znać powodu.*

W sąsiednim pokoju zegar wybija godzinę... liczę uderzenia, jakby od nich zależało moje życie. Moje życie i Jeremy’ego, moja przeszłość i moja przyszłość.

– Nic nie wiesz, Gruszczyko – mówi Bev. – Nic nie wiesz o tym zepsutym kraju, moja droga pani z tym swoim „Guardianem” i ładnym londyńskim domem. Czemu nie chcesz tego zostawić? Małpa nie słyszy niczego złego, małpa nie mówi nic złego. – Śmieje się przejmująco jak Clarence. – Mała małpa, jeśli mam być szczerą, chce tylko stąd uciec gdzie pieprz rośnie.

White Springs, Teksas

Zaczęły się skurcze i jest przy niej Kelda – przyjaciółka z naprzeciwna, a teraz powierniczka. Lorrie zdradziła jej swoją tajemnicę. Keldzie można zaufać, sama od lat prowadzi podwójne życie. Ma kochankę, który pracuje na giełdzie mięsa wołowego, i odwiedza go w czasie zajęć tanecznych swojej córki.

Lorrie powiedziała jej o pigułkach odchudzających, ale Kelda nie dała się nabrać.

– Wiedziałam, że coś się kroi, moja droga – mówi. – Co tu dużo gadać, jest sadło i „sadło”.

Lorrie nie za bardzo rozumie, o co Keldzie chodzi.

Skurcze nie są niczym nadzwyczajnym, zwłaszcza że pojawiły się w przewidzianym terminie. Todd ma wrócić do domu dopiero za dwa tygodnie i Lorrie jest wdzięczna dziecku za współpracę w realizacji jej planu. Skrupulatna punktualność – tę cechę przejęłaś od Chińczyka. Wybucho histerycznym śmiechem wywołanym przez kolejną falę silnych skurczów.

Lorrie trudno uwierzyć, że to się dzieje, w dalszym ciągu wydaje się jej nierzeczywiste, choć minęło tyle miesięcy. Przez całą ciążę marzyła o tej chwili tak jak przy poprzednich dzieciach... tyle miesięcy życia w zawieszeniu, czas, który wlecze się w nieskończoność, a potem wreszcie koniec; zassanie ze świstem w głąb tunelu i wrażenie, jakby cały ten czas nigdy nie istniał. Zastanawia się, czy wszystkie kobiety czują się podobnie. Nie chodzi o tę konkretną sytuację – bez czekającego wózka dziecięcego, bez poskładanych pieluch gotowych do użycia. Skurcze wzbudzają w niej przerażenie. Chyba oszalała! Kilka miesięcy temu sama się w tę historię wpakowała, a teraz ze strachu odchodzi od zmysłów. Co będzie, jeśli wystąpią powikłania i nie obejdzie się bez cesarskiego cięcia? Albo dziecko urodzi się z jakąś wadą? Albo jeżeli rozbije się samolot pana Wang Leia, a ona będzie musiała niejedno wyjaśnić? Dostaje od Todda coraz bardziej alarmujące maile – *Chcę już całować Twoją słodką, ciepłą cipkę*. Na szczęście Kelda pomaga jej wziąć się w garść i zapewnia, że cała sprawa dobrze się skończy.

Umówiły się, że Kelda zajmie się dziećmi Lorrie przez te dni, które ich matka zamierza spędzić w innym mieście, u dawnej koleżanki ze szkoły. Zamówiona jest taksówka, którą Lorrie pojedzie do szpitala znajdującego się kilka przecznic od jej domu. Dzieci są w szkole, taksówkarz – tak się dobrze złożyło, jest nieznanym Indianinem, który nie zadaje żadnych pytań i słucha z uwagą transmisji z meczu nadawanej w radiu.

Taksówka wyjeżdża na ulicę i Lorrie z trudem się obraca z powodu monstualnych rozmiarów. Macha ręką Keldzie w różowych dresach, której sylwetka o obfitych kształtach zostaje coraz dalej z tyłu i która energicznie macha

do Lorrie. Na skrzyżowaniu taksówkarz skręca i Kelda znika.

Łzy napływają Lorrie do oczu. Została sama, zupełnie sama. Nie ma przy niej męża, który trzymałby ją za rękę. Nie ma przyszłości z dzieckiem, które rozpoczyna swoją burzliwą drogę na świat. Lorrie nie będzie uczestniczyła w jego dzieciństwie wypełnionym śmiechem, płaczem i naznaczonym posiniaczonymi kolanami. Nie będzie matką przez nadchodzące lata w obcym miejscu zwanym Chinami, które jej córka będzie nazywać swoją ojczyzną. Dziewczynka wyrośnie na nastolatkę w obcym kraju, a Lorrie nie będzie jej doradzać fryzur i podpowiadać w sprawach chłopaków. Ich wspólnie spędzone dziewięć miesięcy dobiega końca.

Lorrie zwija się z bólu przy kolejnym skurczu i mocno ściska klamkę. Taksówka pędzi autostradą w kierunku szpitala. Lorrie próbuje się skupić i myśleć o swoim ulubionym miejscu – zawsze w taki sposób sobie pomagała w trudnych sytuacjach – o kamieniołomie, gdzie bawiła się w dzieciństwie, znajdującym się kilka kilometrów stąd, o linowej huśtawce i gałęziach migających jej przed oczami, gdy jej brat bujał ją wyżej, coraz wyżej. Ale jej brat zniknął, jego śmiech wymazała heroina. Oni wszyscy odeszli. Została sama ze swoim przerażeniem, bez niczyjej pomocy. Czeka ją na nią w szpitalu obcy ludzie w fartuchach, gotowi odebrać poród jej dziecka, które pójdzie w ręce cudzoziemca.

Oreya, Afryka Zachodnia

Bev stoi na krześle i zdejmuje wietrzne dzwonki. Obserwuję ją, ale jej nie pomagam. Schodzi z krzesła i wrzuca je do kartonu. Spadając, dźwięczą i szemrzą.

– Musisz mi powiedzieć, co zrobił Jeremy.

– Nie ma mowy!

– Proszę cię, Bev...

– Wykluczone!

– Jesteś mi to winna.

Gwałtownie odwraca się do mnie.

– Jak to jestem ci winna?!

– Chodzi mi o... – Zastanawiam się przez chwilę. – Chodzi mi o to, że przebyłam tę całą drogę i...

– I co?

– Po prostu muszę wiedzieć, co się stało.

Bev znów wchodzi na krzesło. Ledwo dosięga haczyka. Mogłabym dosięgnąć do niego z łatwością, ale nie ruszam się z miejsca. W ciemnościach rozlega się rechotanie rzekotek drzewnych.

Bev stuka paznokciem w szkło.

– Kupiłam ją w Singapurze. Ładna, prawda?

– Posłuchaj, Bev, nieważne, jak złe są wiadomości.

– Czyżby? Naprawdę tak uważasz?

– O wiele gorzej przechodzić przez to samej. Dlatego tu jestem. – Próbuję się uśmiechnąć. – Siostry krwi i tak dalej.

Nagle oświetla nas jaskrawe światło. Aż się wzdrygamy, zaskoczone. Światło sygnalizujące obecność intruza. Ogród gwałtownie wyrósł bardzo blisko nas.

– To tylko coś w krzakach – uspokaja Bev.

– Coś czy ktoś?

– Nie ma się czym przejmować! – ucina ostro. – Tam zawsze coś się dzieje.

Nikt tu do nas nie wtargnie.

Patrzę na nią, stojącą w ostrym świetle. Wygląda, jakby znalazła się na przesłuchaniu. Schodzi z krzesła i wrzuca do pudła kolejny komplet wietrznych dzwonek. Rozlega się brzęk tłuczonego szkła, ale ona nie reaguje.

– Czuję się niekomfortowo – mówię – z tym, że coś przede mną ukrywasz.

– Uważasz, że kłamię...

– Nie...

– Masz rację, skarbie. Owszem, nie powiedziałam prawdy. – Opada na krzesło. – Przez cały ten tydzień cię okłamywałam. Nie było mi z tym dobrze,

możesz mi wierzyć.

W blasku światła jej twarz wydaje się pozbawiona koloru. Dostrzegam drobne zmarszczki wokół ust. Obie jesteśmy już starszymi paniami.

– Rzeczywiście chcesz wiedzieć? – pyta.

Nie, nie chcę. Wolę zatrzymać się w tym momencie. Chcę wrócić do Anglii z Jeremym, którego na zawsze zachowam w sercu w niezmienionej postaci. Życ w niewiedzy, bo wtedy będę mogła go kochać do końca.

Ale na pewno nie może być aż tak źle! On po prostu postąpił nierozważnie, zrobił coś głupiego i nic jej o tym nie powiedział, a teraz ona czuje się rozgoryczona i oszukana. *Nie chcesz wiedzieć*. Czyli mnie okłamywała. I co z tego? Ma swoją dumę. Rzekomo idealne małżeństwo wcale nie było takie doskonałe.

Czuję przypływ zadowolenia. Odsłaniaj karty!

– W porządku. Sama chciałaś. – Wzdycha. – Właściwie jest mi lżej. Czułam się jak oszustka. Od kilku tygodni wszyscy się nim zachwycają, mówią, jaki był wspaniały. A ja uśmiecham się i kiwam głową, przyjmuję kondolencje, a tymczasem tak naprawdę jestem największą frajerką. – Jej oczy wypełniają się łzami. – O Boże, Petra, to obrzydliwe. Ponieważ przez cały czas to on okłamywał mnie, przekłety drań.

Poraża mnie jej stwierdzenie. Odsuwa krzesło, wstaje i idzie do salonu. Widzę przez okno, jak szpera w kartonie. Przeklina pod nosem, potem przeszukuje następne pudło, wyrzuca z niego papiery, coraz szybciej, całe sterty papierów. Wreszcie chwyta coś w rękę i wychodzi na werandę.

Przynosi wycinek z gazety. Podaje mi i wtedy gasną światła ostrzegawcze. Spoglądam na ten skrawek gazety w przyćmionym świetle lampy.

Jest na nim zdjęcie czegoś, co przypomina potężne głazy. Wkładam okulary i analizuję dokładniej. Nie, na zdjęciu są słonie. Leżą przewrócone na bok. Mają odcięte ciosy i odrąbane głowy.

– Oto, co on robił – mówi Bev.

Odebrało mi mowę. Mam dziwne wrażenie, że rozpuszczam się na swoim wiklinowym fotelu.

– Nie osobiście, rzecz jasna – dodaje. – Zabijali je ci z Kikanda. Jeremy zajmował się organizacją.

Zmyśla. To jakiś niesmaczny żart. Zdruzgotana żalobą próbuje ukarać Jeremy'ego za to, że umarł. Słyszałam o takich przypadkach. Bolesna strata może doprowadzić do szaleństwa. Patrzę na Bev, która wyraźnie rzuca mi wyzwanie: uniesiona broda, triumfalny błysk w oczach. Ona w ostatnim czasie zachowuje się irracjonalnie. Muszę się mieć na baczności.

– To nieprawda, Bev. Wiesz, że to nie jest prawda – mówię w końcu. – Jeremy nigdy nie brałby udziału w takim procederze.

– Myślisz, że nie przychodziło mi to samo do głowy z tysiąc razy?

Gigantyczna niedorzeczność, prawda? – Śmieje się szyderczo. – Kłusownik okazał się gajowym, hm? I co? Otóż kłusownik okazał się przeklętym kłusownikiem! – Przechyla się do tyłu na krzesło, rozstawia nogi i wywija nimi w pełnym szyderstwa rozbawieniu. Na kolanach jej dżinsów wyszyte są dwa małe serduszka.

– Jest już późno, chodźmy lepiej spać. – Pochyłam się do przodu i wyciągam do niej rękę.

Gwałtownie się cofa.

– Nie traktuj mnie, do cholery, tak protekcyjnie! Nie mówiłam ci, że to było straszne? Pomyślałaś, jak ja się czuję? Przecież to mężczyzna, którego kochałam, moja bratnia dusza, do cholery, mój własny mąż! Nawet nie możesz sobie wyobrazić, jak to jest. Powiem ci. To jest tak, jakby ktoś otworzył szambo, gnijące, cuchnące szambo, i jakby w nim wszystko się utopiło, wszystko, co nas łączyło. Całe nasze zaszrane życie! Rzygać mi się chce, jak tylko o tym mówię!

Jeden z psów zaczyna szczekać i natychmiast przyłączają się do niego pozostałe. Spotykam się z histeryczną reakcją z każdej strony.

– Masz tylko wycinek z gazety – tłumaczę. – Skąd wiesz, że to on za tym stoi?

– Ponieważ wpłacił ogromną sumę pieniędzy na moje konto w banku.

Nie odpowiadam. Czuję, jak mi się w brzuchu przewraca i zbiera na mdłości.

– W taki sposób się dowiedziałam – mówi. – Mam osobny rachunek dla „Kropli rosy”. Nigdy się nim nie interesował, aż tu nagle znalazło się na nim dużo pieniędzy.

Przekażę pewną kwotę na rachunek bankowy Beverley, żeby była odpowiednio zabezpieczona...

Słowa Bev kompletnie wytrąciły mnie z równowagi. W głowie mam zamęt, nie mogę nadażyć za biegiem zdarzeń.

Czyli Jeremy zrobił to, co mi powiedział. Beverley natomiast uważa, że postąpił tak z zupełnie innego powodu.

– Zastanawiasz się dlaczego. Tak? – Patrzy na mnie spod półprzymkniętych powiek i uśmiecha się ponuro. – Myślę, że próbował je ukryć, przekazał mnie, żeby nie można było ich wytropić. Naprawdę głupie rozumowanie, zwłaszcza że byliśmy małżeństwem. A dla ciebie Jeremy to nieszczęśnik, który cierpi na brak gotówki.

Wciąż nie mogę mówić. Wiem, że zachowuję się dziwnie, ale ona pomyśli, że jestem wstrząśnięta. Wzdycha, głęboko i boleśnie, odwraca wzrok i patrzy na ogród.

– To niczego nie dowodzi – mówię. – Absolutnie niczego.

– Oczywiście, że nie! Wydawało się zabawne i tyle. Przeprowadziłam więc małe śledztwo.

Przygląda mi się długo i nieustępliwie. Przez chwilę myślę nawet zupełnie bezsensownie, że dowiedziała się o Jeremym i o mnie. Nie mam najmniejszych wątpliwości, że w jej spojrzeniu kryje się coś dziwnego.

– Nie wierzysz mi, prawda? – pyta. – Nie wierzysz, że on był zdolny do czegoś takiego. Cóż, mnie też to się nie mieściło w głowie. Ale sprawdziłam, skąd się wzięły pieniądze.

– Jak to zrobiłaś?

– Uważasz, że jestem tępa, prawda? – wybucha gniewem.

– Nie, wcale nie...

– Wiadomo, ty z tymi twoimi celującymi ocenami i profesorską rodziną...

– Przestań mnie atakować – mówię ostro. – Ja nie zabiłam tych cholernych słoni.

Patrzemy na siebie wrogo. Obie oddychamy ciężko. Po chwili ona się pochyła i głaszcze mnie po kolanie.

– Przepraszam, Myszko. To tylko... Czasem miałam wrażenie, że ty i Jem naśmiewacie się ze mnie.

– Wcale tak nie było.

– Może nie zdawaliście sobie sprawy, że to robicie. Bo wy byliście z wyższych sfer. Należeliście do jednego klubu, a ja czułam się tylko nic nieznaczącym dodatkiem odsuniętym na margines.

– Posłuchaj, Bev, nic się nie działo.

– Ja przecież nie powiedziałam, że coś się działo, Głuptasku. – Szczypie mnie w kolano. – Nigdy mi to przez myśl nie przeszło.

– To dobrze.

Cofa rękę.

– Ale on powiedział, że jesteś w jego typie.

– Być może, ale on nie był w moim, w tym sęk.

Zapada cisza. Psy przestały szczekać. Wydaje się, że nasza rozmowa zaczyna zmierzać w nieprzyjemnym kierunku. Równie irytującym jak to, co ona ma mi teraz do powiedzenia.

Ponieważ wraca do słoni. Mówi, że idąc śladem pieniędzy, odkryła, że na terenach plemiennych, na których żyją buszmeni z Kikanda, odbywa się masowe kłusownictwo.

– Kto wie, czy działalność charytatywna nie była tylko przykrywką. Nie wiem i mam to w głębokim poważaniu. Wiedziałam o kłusownictwie, czytałam o nim na stronie internetowej „Słonie w niebezpieczeństwie”. Ich sytuacja pogorszyła się kilka lat temu. Zapytałam Jema, a on mi powiedział, że członkowie Kikanda zawsze żyli w zgodzie ze słoniami, ale teraz, kiedy porzucili koczowniczy tryb życia, wiele się zmieniło. Słonie niszczą ich uprawy, więc zaczęli je zabijać.

– Przerywa. – On po prostu zbagatelizował całą sprawę i zmienił temat.

Pomyślałam, że zachowuje się dziwnie, bo mnie zlekceważył, chociaż dobrze wiedział, że ta sprawa bardzo mi leży na sercu.

– Nic z tego, co mówisz, zupełnie nie pasuje do Jeremy’ego.

– Skąd ty to wiesz? – rzuca nerwowo.

Nie odzywam się przez chwilę.

– Trudno powiedzieć, po prostu nie wydaje mi się taką osobą.

Wzdycha.

– No tak. Skoro ty tak uważasz, to wyobraź sobie, jak ja się czuję. Powiedział, że zabili tylko kilka intruzów. W rzeczywistości kłusowali i na skalę przemysłową pozyskiwali kość słoniową, a potem wysyłali do Azji. A w tym procederze uczestniczył kto? On, mój własny mąż.

– To nie może być prawda.

Patrzy na mnie.

– Co się z tobą dzieje?

– Myślałam tylko, że...

– Dlaczego tak go bronisz?

– Myślę, że może coś źle zrozumiałaś.

– Gdyby tak było! To mnie zabija. Zabija. Trzeba mi było nic ci nie mówić, ale przypadło, teraz już wiesz.

Huczy mi w głowie. Muszę natychmiast przerwać tę okropną rozmowę.

– Przerazające – mówi, jakby czytała w moich myślach. – Tak bardzo go nienawidzę, że nawet czasem jestem szczęśliwa, że on nie żyje. I właśnie to jest najgorsze. – Odsuwa krzesło i wstaje. – Idę do łóżka.

– Dlaczego został zabity? – Nie mogę wypowiedzieć słowa „zamordowany”, ponieważ brzmi jeszcze gorzej.

Wzrusza ramionami. Jest taka drobna i delikatna. Wyraźnie schudła w ciągu kilku ostatnich tygodni, nawet biust się jej zmniejszył.

– Musiał wdać się z nimi w konflikt albo przekupił niewłaściwą osobę. Kto to wie? Przypuszczam, że jakiś tubylec z Kikanda go otruł. Oni są specjalistami od trucicia. Trucizny powolne, trucizny błyskawiczne. Dlatego był chory, kiedy od nich wrócił. Myślał, że złapał grypę.

– I trucizny nie wykryto by podczas sekcji zwłok?

– Być może nie było już jej w krwiobiegu. Posłuchaj, Petra, nie wiem i nie chcę wiedzieć. Chcę się tylko stąd wydostać. Bóg wie, co się może ze mną stać, jeżeli się zorientują, że znam prawdę. – Zawiesza głos. – A teraz również z tobą. Mówiłam ci, że to niebezpieczne. – Całuje mnie w czubek głowy. – Dobrej nocy, Słonko.

Wychodząc, kopie karton. Pudło wydaje odgłos sprzeciwu.

– Przekłete dzwonki wietrzne. Tak mawiał Jeremy. Przyprawiały go o gęsią skórę – mówi i znika w drzwiach.

Leżę w łóżku, wpatrując się w wentylator sufitowy. Mijają godziny. *To jest tak, jakby ktoś otworzył szambo, gnijące, cuchnące szambo, i jakby w nim wszystko się utopiło, wszystko, co nas łączyło.* Serce mi łomocze. Jeszcze nawet nie zaczęłam się przyzwyczajać do życia bez Jeremy'ego – w samotności, w pustej przestrzeni, którą wypełniłyby nasze rozmowy i śmiech, ciepło jego ciała.

Jak on mógł? Wzdrygam się na samą myśl o powiązaniu Jeremy'ego, którego kochałam, z tą nowo ujawnioną, odrażającą osobą. Wiedziałam, że ma skłonności do kombinatorstwa, oczywiście, że tak. Ta cecha nawet dodawała mu uroku. Pamiętam, jak przyjechał z bukietem kwiatów, które – jak się zorientowałam po pewnym czasie – zerwał w ogrodzie tej pomyłonej kobiety z mojej ulicy. Nie można jednak porównywać takiego dość zabawnego podkradania kwiatków z bestialską rzezią słoni.

Ale zdarzały się też poważniejsze incydenty. Na przykład oszustwo ubezpieczeniowe, niejasne okoliczności wypadku samochodowego w Kuala Lumpur – cała sprawa została wyciszona zapewne za pomocą pewnej sumki. Jego praca w charakterze prawnika w Zonacu, którą w najlepszym razie można określić jako mało budującą, do czasu aż rozjaśniło mu się w głowie i przeszedł na drugą stronę.

A może wcale nie przeszedł. Może działalność charytatywna miała jedynie charakter fasadowy. Z całą pewnością był zdolny do kłamstwa, miałam na to mnóstwo dowodów. W rzeczywistości zupełnie nieźle mu szło. Pamiętam jego rozmowy telefoniczne z Bev, które przypadkowo słyszałam; uderzała mnie łatwość, z jaką przekręcał rzeczywiste zdarzenia. Nawet czułam się wtedy nieswojo, czy tak samo mógł okłamywać mnie? Teraz myślę o rzeczach, które wydawały się nie do pomyślenia – może nigdy nie zamierzał jej zostawić, może był zwyczajnym ohydny świntuchem, któremu akurat przyszła ochota na seks z nieszczęśliwą, starzejącą się kobietą.

Ta myśl jest najgorsza. Nie może mieć nic wspólnego z prawdą, wykluczone! Przecież wpłacił pieniądze na jej konto w banku – przekazał jej swoje zaskórniaki. W tym względzie zrobił to, co obiecał.

Ale czy miał jakiś ukryty motyw? W końcu mam duży dom w Pimlico, który teraz wart jest fortunę. Skoro potrafił mydlić oczy Bev, byłby też zdolny do oszukiwania mnie. Mógłby rozwieść się ze mną, zażądać połowy domu i być ustawiony do końca życia.

Czuję się nielojalna, nawet kiedy myślę o czymś takim. Nielojalna wobec starego Jeremy'ego, którego kochałam i który szybko ode mnie ucieka. Jeśli jest jakiś nowy Jeremy, to z pewnością nie potrzebowałby moich pieniędzy. Zgarniał przecież miliony funtów z handlu kością słoniową.

Ależ to niedorzecznie brzmi! Istne szaleństwo. Jednak im dłużej o tym

myślę, tym więcej dostrzegam w tym sensu i tym bardziej taki scenariusz wydaje mi się wiarygodny. Zegar bije cztery razy. Wciąż nie śpię, jestem oszołomiona domysłami, które rodzą się w mojej głowie.

Czy Bev też nie może spać? Wyczuwam jej obecność przez ścianę. Leży w swoim pokoju, skulona, w T-shircie w groszki naciągniętym na kolana. Obok niej tli się kadzidło w kształcie spirali, którego dym ma odstraszać komary. To zapach małżeńskich nocy przez dziesiątki lat spędzanych w tropikach, w łóżku w ramionach zdradzieckiego męża.

Budzę się i mam wrażenie, że nie ma psów. Wyczuwam to w ciszy nawet jeszcze przed wyjściem do ogrodu. Ich zagroda jest pusta, brama otwarta, gumowe zabawki leżą porzucane na betonie.

Bev siedzi w kuchni i obcina sobie włosy nożyczkami. Jej palce poruszają się zręcznie, rozdziela włosy na pasma i mniejsze kosmyki. Kiedy pytam o psy, pochyła się w stronę lustra, przygląda się sobie, marszczy czoło i przycina grzywkę.

- Weterynarz przyjechał furgonetką i je zabrał.
- Ale... myślałam, że je wypuścisz.
- Szybciej będzie w ten sposób, Śliweczko.
- Kazałaś mu je uśmiercić?
- Owszem.

Jestem zdumiona. Jednak dobrze słyszę, ona rzeczywiście nuci sobie pod nosem. Natrafia w lustrze na mój wzrok i puszcza do mnie oko.

- Szkoda, że nie miały ciosów – mówi. – Mogłybyśmy zgarnąć fortunę.

Siedzi i trzęsie się ze śmiechu. Wycofuję się i krzątam przy czajniku. Czyżby zupełnie pomieszało się jej w głowie? Dziś jest jeszcze gorzej niż wczoraj wieczorem, jeśli to w ogóle możliwe. Teraz naprawdę jestem zaniepokojona.

Skrzypi krzesło, na którym siedziała Bev. Odwracam się i widzę, że wstała i trzepie ręcznik nad zlewem.

- Jak wyglądam? – Kręci się wokół własnej osi. – Wystarczająco elegancko jak na dziewczynę z wielkiego miasta?

Ma na sobie żółte spodnium, którego nigdy u niej nie widziałam. W tych krótszych włosach ładnie wygląda, mimo że siwe odrosty stały się bardziej widoczne.

- Nie martw się, pasemka zrobię sobie już tam – mówi. Widocznie znowu czyta mi w myślach. – Na pewno sobie poradzisz tu sama? Nie chcesz jechać ze mną?

Kręcę głową. Samolot ma o dwunastej w południe do Assenongi, a potem przesiada się na drugi, do Cape Town. Wyjeżdża na dwa dni, a po jej powrocie lecimy do domu, do Londynu.

Nie mogę się doczekać, aż wreszcie pojedzie. Przez trzy tygodnie byliśmy razem zamknięte w tych ścianach i dawne zadrażnienia zaczynały odżywać, te sprzed lat, kiedy mieszkaliśmy razem w Pimlico. Znow irytują mnie jej mętne, przesłodzone spojrzenia, pompatyczne czułości. Wymieniam oczywiście najmniej istotne z jej sztuczek. O wiele gorszy jest wysiłek, na który muszę się zdobywać, żeby ją powstrzymać od rozsypki, gdy sama jestem w stanie rozkładu. Sytuacja stała się nie do wytrzymania, a po okropnościach ostatniej nocy jeszcze chętniej zostanę sama. Dopiero wtedy, w pustym domu, będę zdolna myśleć.

– Poradzę sobie bez trudu – zapewniam ją i sięgam po torebkę herbaty. – Wiem już, jak się poruszać w okolicy. Muszę kupić kilka prezentów dla znajomych, jakieś drobiazgi, pamiątki, które chciałabym zabrać do domu.

– My zawsze prosiliśmy o PG Tips. Tutejsza herbata jest paskudna, nie sądzisz? Jeremy powiedział, że smakuje jak kocie szczyny. Twierdził, że tylko dla niej odwiedzał Londyn. – Strzepuje resztki włosów z żakietu. *Pokonuję tyle kilometrów, mawiał, żeby się napić przyzwoitej herbaty.*

Bev wyjechała, a mnie rozjaśniło się w głowie. Teraz wiem, co zrobię. Ten pomysł perkotał już podczas naszej rozmowy na temat herbaty. *Perkotał.* Cha, cha! Słyszę grzmiący rechot Jeremy'ego. *Przepraszam, napięcie było ogromne... rozumiesz?*

Tym razem jednak jego śmiech brzmi pusto i nie reaguję. Jeremy przestał być zabawny, a nasze żarty w moich ustach obróciły się w proch.

W umyśle zrodził mi się pewien plan i ogarnęła mnie przemożna chęć jego realizacji. Samolot Bev odleciał, a ja odnalazłam Clarence'a. Nie było trudno. Siedzi na stołku na Mera Market, pali papierosa i obserwuje otaczający go świat. Jego taksówka stoi zaparkowana nieopodal. Podobnie jak inne tuk-tuki służące do przewozu ludzi, jego samochód jest pomalowany na kolor kremowy i ma turkusowy pas, który ciągnie się wzdłuż całego boku. Różni się jednak od pozostałych tym, że jest gwarancją milczenia Clarence'a, a ta zapewnia mi dziwną, jednostronną więź z tym Afrykańczykiem.

Pytam Clarence'a, ile czasu zajęłaby podróż do Manaku. To osada w dżungli, gdzie mieszkają buszmeni z Kikanda i gdzie mieści się organizacja charytatywna Jeremy'ego. Staram się nie okazywać napięcia, ale serce aż podchodzi mi do gardła.

– Chętnie zobaczyłabym, na czym polegała jego praca, zanim wrócę do Anglii – wyjaśniam. – Mógłbyś mnie tam zawieźć?

Clarence nie wydaje się zdziwiony, ale najwidoczniej dla niego nie ma niespodzianek. Mówi, że podróż zajmie co najmniej pół dnia, może nawet dłużej, bo to zależy od stanu dróg. Podaje cenę, dobijamy targu i nasze poprzednie porozumienie zostaje przypieczętowane na nowo. A może dla niego jestem tylko

klientem. Nie mam pojęcia, co on myśli ani ile wie na temat śmierci Jeremy'ego. Nie będę go wypytywać. Przypuszczam, że jest bardzo lojalny wobec Jeremy'ego – w każdym razie w mojej sprawie byli w zмовie. Bóg jeden wie, jakie mieli inne tajemnice. Lubił Jeremy'ego o wiele bardziej niż Bev, a ja nie chcę mu tego popsuć.

Ale być może on doskonale zna całą historię – wie, kto zabił Jeremy'ego i z jakiego powodu. Tyle tylko, że na ten temat ja nie chcę rozmawiać. Tę zagadkę muszę rozwiązać sama.

To prawda, że podejmuję ryzyko, ale nie dbam o to. Zapewne jestem lekkomyślna i mam źle w głowie. Nie mogę jednak siedzieć w tym dusznym, zakurzonym domu przez całe dwa dni, otoczona skrzyniami. Pewnie bym oszalała do reszty. W dodatku nie trzeba opiekować się psami, bo już nie żyją.

Oprócz tego jakiś wewnętrzny głos mi podpowiada, że jestem coś winna Jeremy'emu. Może się dowiem, że w niczym nie zawinił i że Bev jest w błędzie – w końcu powiedziała, że ten kraj jest na wskroś przesiąknięty korupcją. Może za tą sprawą stoi Zonac. Mogli przecież zapłacić komuś za sfabrykowanie całej historii, żeby mieć wytłumaczenie jego śmierci, do której sami doprowadzili. Mam pretensje do Bev, że nie zbadła dokładnie okoliczności, tak jak ja zamierzam to zrobić – też narażając się na pewne ryzyko. Nie zadała sobie trudu, żeby odbyć podróż, przyjęła po prostu najgorszą wersję wydarzeń. A przecież to ona jest jego żoną.

W rzeczywistości zaczynam się poczuwać do obowiązku rozwiązania zagadki. Tylko ja jestem gotowa i mogę to zrobić przez wzgląd na Jeremy'ego. Wydaje mi się, że mam do niego wyłączne prawo. Nie cofnę się przed niczym.

Potem, podczas pakowania walizki, myślę, że pewnie podejmuję to śledztwo, bo chcę udowodnić, że Jeremy był draniem. Jadę taki szmat drogi po ponure potwierdzenie, że w związkach z mężczyznami po raz kolejny wszystko sknociłam. Nawet na przekór zdrowemu rozsądkowi czuję satysfakcję. Moja terapeutka zrozumiałaby, na czym rzecz polega; ona zna całą moją nieszczęsną przeszłość. Prawdę mówiąc, nie mogę się doczekać, żeby z nią szczerze porozmawiać, kiedy już wrócę do Londynu.

Clarence i ja wyruszamy od razu po południu. Nie ma na co czekać, jeśli mam zdążyć przed powrotem Bev. Kto wie? Może będę mogła podzielić się z nią dobrą nowiną. Jeremy jest niewinny! W końcu pieniądze trafiły na jej konto z zupełnie innych powodów. Gdyby tylko Bev знаła prawdę... Ale dzięki Bogu jej nie zna. Może najzwyczajniej w świecie ona się pomyliła. Jeremy może być przywrócony nam obu, w sercu każdej z nas osobno. Ona się nigdy nie dowie, dlaczego zadają sobie tyle trudu.

Zamykam walizkę. Clarence mówi, że niezbyt daleko od osady jest hotel. Stanowi bazę wypadową dla turystów przyjeżdżających na safari i biznesmenów,

którzy przybywają w sprawach służbowych. Możemy spędzić tam noc. Wyjeżdżamy na drogę i on już co chwila trąbi klaksonem. Ma teraz powód do okazywania wyższości, bo przestał być służącym. Podoba mi się w roli szefa bardziej niż w poprzedniej. Nie mogę się doczekać, co przyniesie ten wypad – tak nazywam swój wyjazd. Rozpoczynam wielką przygodę, wyruszam w głąb plemiennego kraju z prawdziwym Afrykańczykiem.

Pocieszam się jak mogę i staram się wierzyć w powodzenie swojej misji, więc nie czuję się tak bardzo przerażona prawdą, którą mogę odkryć.

Pamiętam swój wyjazd na wakacje z safari. Przejazd przez rezerwat Masai Mara przypominał podróż po raj. Stada słoni, antylop, żyraf, zebr... Przed oczami stają mi stada dzikich zwierząt, spokojnie żyjących na równinach. Lwy, które drzemią w cieniu; hipopotamy, które rycząc lub postępując, wychodzą z rzeki i zieją cuchnącym oddechem. Olśniewające ptaki. Pamiętam, jak krzyczałam z zachwytu, a moje dzieci mościły mi się na kolanach jak szczenięta. Słyszę trzask migawki aparatu fotograficznego Paula. Wieczorami jedliśmy gorące posiłki przygotowywane z importowanej żywności i piliśmy południowoafrykańskie wino. Noclegi mieliśmy w namiotach z łazienkami, więc później słuchaliśmy symfonii nocnych odgłosów dżungli.

Uświadomiłam sobie, że tam był park tematyczny, rozległy i piękny, ale mimo to w pewnym sensie park rozrywki. Prawdziwa Afryka rozciąga się poza jego obszarem, a ja oglądałam ją tylko z okien naszego autokaru, którym przejeżdżaliśmy przez najbiedniejsze zakątki Nairobi.

Teraz natomiast jestem w prawdziwej Afryce i do tej pory widziałam tylko niedożywione psy i osły, także wrony przegrzebujące sterty śmieci. Jadę obok Clarence'a – wydaje mi się, że milej jest nam obojgu, niż gdybym siedziała za jego plecami – a on opowiada mi o swojej pięknej, młodej żonie. Z jego słów wynika, że obecna jest o wiele lepsza od poprzedniej pod każdym względem. Nie podaje mu rozgotowanych potraw na kolację i nie wyrzeka, kiedy on wraca do domu pijany. Jest posłuszna i płodna, a czego więcej pragnie mężczyzna? Clarence jest jedynym Afrykańczykiem, jakiego znam, i naprawdę bardzo się staram go polubić, bo zanoszą się na to, że spędzimy ze sobą sporo czasu, ale takiego ważniactwa nie dostrzegłam u niego, kiedy był służącym. Jeździ brawurowo, za każdym razem przy wyprzedzaniu ciężarówek głośno trąbi, gwałtownie hamuje przy wjeździe na skrzyżowanie, gdzie policjant reguluje ruchem powoli przetaczających się autobusów, z których wydostają się kłęby spalin. Pasażerowie tłoczą się przy oknach, kiedy się zatrzymujemy – chłopcy pokazują nam torebki z wodą, kobiety przyciskają Biblie do szyb. Żebracy na wózkach wyciągają do nas ręce, ale my już się oddalamy w chmurze spalin, mijamy kolczaste krzaki upstrzone plastikowymi torebkami i rzędy baraków, przed którymi siedzą mężczyźni i obserwują drogę.

Mimo szaleńczej jazdy czuję ten wszechobecny bezwład. Wszędzie unoszą się tumany kurzu. Otacza nas niekończące się pustkowie bez jednej zebry w zasięgu wzroku.

Jedziemy wyboistą drogą. Plecy przykleiły mi się do plastikowego oparcia. Pozostawiamy za sobą kolejne kilometry. W czasie podróży próbuję zniszczyć w sobie miłość do Jeremy'ego. *Chcesz znać prawdę? – pytam go. Oto ona! Zbyt głośno śmiałeś się z własnych dowcipów. Miałeś pękaty brzuch i odrażające paznokcie u nóg, wyglądały jak skalne odłamki z nikotynowymi plamami. Twarz robiła ci się purpurowa po zbyt dużej dawce alkoholu. Nosileś żółte skarpetki. Wyobrażałeś sobie, że możesz się zgrywać na łobuziaka, ale na takie zachowanie byłeś o wiele za stary; miałeś coś z ciemnego typka. Owszem, ciemnego. Bulgotałeś jak guziec po szczytowaniu, kiedy zasypiałeś, leżąc na mnie. Czasami w ogóle się nie sprawdzałeś jako mężczyzna. Nazywałeś swojego koguta majorem! Majorem! Wypowiadałeś się obraźliwie na temat lesbijek.*

Z idiotyczną satysfakcją wyliczam jego wady. Dostrzegałam je, ale nigdy nie ubierałam w słowa. Teraz, kiedy przypuszczam, że jednak był draniem, wyciągam je bezlitośnie na światło dzienne i szczegółowo analizuję. Zauważyłam, że tak się zazwyczaj dzieje po zakończeniu każdego związku, ale w tym konkretnym przypadku odczuwam jeszcze bardziej palącą potrzebę zniszczenia uroczego wizerunku mego kochanka, metodycznie, krok po kroku, aż do całkowitego wymazania go z pamięci.

Mijają godziny. Widzę, że w miarę upływu czasu nasila się ruch na drodze – pojawiają się na niej samochody, jakimi jeżdżą osoby na wysokich stanowiskach, ciężkie pojazdy budowlane, lśniące nowością autobusy zamiast rozklekotanych furgonetek używanych przez lokalnych przewoźników. Na zupełnym pustkowie wylaniają się ogromne i nowoczesne budynki otoczone wysokimi murami. Przy bramach wjazdowych na ogrodzony teren stoją budki strażników. Słońce chyli się ku zachodowi, a w jego gasnącym świetle łukowato wygięta dwupasmowa droga wydaje się prowadzić donikąd.

Clarence mówi mi, że w tym rejonie znajdują się bogate złoża minerałów i innych surowców naturalnych. Do tych kompleksów wprowadzili się cudzoziemcy, ale mieszkają w nich też ich pracownicy. Odseparowali się od miejscowej ludności, a nad ich bezpieczeństwem czuwają strażnicy. Większość potrzebnych rzeczy dowozi się tu samolotami.

W jego głosie nie pobrzmiwa wcale nuta krytycyzmu; w gruncie rzeczy wydaje się dumny, że jego kraj rozwija się w tak szybkim tempie. Bezsprzecznie uważa, że bogactwo stąd będzie skapywać na zwykłych Afrykańczyków, takich jak on, i przyniesie im korzyści. Zwracam mu uwagę, że większość tych zysków znajdzie się na szwajcarskich kontach bankowych prezydenta i jego popleczników.

Clarence odpowiada na to, że prezydent jest wielkim człowiekiem i pomógł uwolnić swój kraj spod kolonialnego ucisku. Nie tymi słowami się wyraził, ale taki był sens jego wypowiedzi. Staram się mu wyjaśnić, że jego kraj plądrują dla własnych korzyści obce mocarstwa, ale moje słowa do niego nie trafiają. W ogóle nie okazuje zainteresowania tym, co mówię, a ja nie chcę się z nim wdawać w polemikę. Ostatecznie co ja na ten temat wiem? Bev stwierdziła, że jestem tylko sentymentalną czytelniczką „Guardiana”.

W Afryce w mgnieniu oka zapada zmierzch i równie szybko obniża się temperatura. Dostrzegam wałęsające się upiorne psy i gdzieś tam chałupę, przy której pod gołą żarówką siedzą zgarbieni mężczyźni owinięci w koce. Pokonujemy kilometry po drogach, które ni stąd, ni zowąd zmieniają się w wyboiste trakty i równie niespodziewanie przekształcają w autostrady. Zmienacko pojawiają się samochody ciężarowe oślepiające światłami reflektorów i wyprzedzają nas, grząc klaksonami. Z radia dobiega co chwila urywający się głos, a Clarence prowadzi długą i ożywioną rozmowę w swoim niezrozumiałym języku.

Po pewnym czasie zaczynam się niepokoić. Czy on wie, dokąd jedziemy? Nie boję się go; opuściły mnie wszelkie uczucia i popadłam w stan fatalistycznego odrętwienia. Pewnie tu umrę – ale co z tego? I tak już nic gorszego nie może mnie spotkać niż to, co się przydarzyło. Jestem jednak zmęczona i głodna i coraz bardziej zirytowana przechwałkami Clarence’a na temat jego synów – ani razu nie wspomina o córkach, nie mówi ani słowa o dzieciach z poprzedniego małżeństwa, o których beztrąsko zapomniał, tak jak o już niepotrzebnej, pomarszczonej babie – ich matce.

O ósmej w końcu docieramy do hotelu Hibiscus. Wiele kilometrów jechaliśmy w ciemności przez tereny, na których nie było śladów ludzkiej obecności. Budynek hotelu nagle wyrasta przed nami – betonowe monstrum w środku pustkowia – skąpany w pomarańczowym blasku sodowych lamp podobnych do tych z obwodnicy w Watford. Dlaczego hotel znajduje się tutaj? W jakim celu go wybudowano w takim miejscu? Czy Clarence liczy na wspólną kolację?

Cały hol wyłożono marmurem, odgłosy naszych kroków odbijają się donośnym echem. Światła są bezlitośnie jasne, ale miejsce jest puste jak mauzoleum; przypomina mi tamten hotel przy lotnisku. W telewizji nadają nawet tę samą nigeryjską telenowelę przy wyłączonej fonii, tym razem kłócą się ze sobą dwaj mężczyźni. Ich historia toczy się przez cały ten czas, a moje życie pogrążyło się w chaosie. Zazdroszczę im, że są aktorami; każdy z nich może porzucić swoją rolę w tym melodramacie i wrócić do rodziny. A tak naprawdę zazdroszczę wszystkim, nawet żebrakom na wózkach. Wiem, że to niedorzeczne, ale mam to w nosie.

Są tutaj różne sklepiki, ale żaden nie jest otwarty – studio paznokci,

Orientalny Dom Towarowy Khana, wyroby chałupnicze Ngotów. Za szybą dostrzegam pamiątki z rezerwatu pawianów. Widzę obrączki na stołowe serwetki i nagle staje przede mną Jeremy, dawny Jeremy, który otwiera szampana i wciąga nosem zapachy kolacji. Jeremy, którego kochałam jeszcze niedawno, wiedziałam, że go Kocham; przypomina mi się światło słoneczne wpadające do mojej kuchni.

Mięso tych małych jest jadalne, naprawdę. Nawet bardzo smaczne. Ani trochę nie przesadzam. W smaku przypomina naszego cietrzewia.

– Czy mogę w czymś pomóc, proszę pani? Może przynieść pani krzesło? – pyta Clarence, który mi się przygląda.

Kręcę głową i wycieram nos. Za kontuarem recepcji pojawia się nadąsana Rosjanka. Ja się melduję, a Clarence w jednej chwili znika. Prawdopodobnie poszedł do budynku na zewnątrz hotelu, gdzie nocują pracownicy obsługi. Rozmiary tego miejsca onieśmieliły go zapewne i stał się znów dawnym sobą.

Obcy mężczyzna bierze moją walizkę, a ja podążam za nim niekończącym się korytarzem, obok klubu Remix, gdzie dudni muzyka, choć sala jest pusta. Po drodze mijamy mnóstwo zamkniętych drzwi. Czy w istocie nikt tu mieszka? Dlaczego w takim razie mój pokój jest aż tak daleko? Gdzie tu jakakolwiek logika?

Znam samotność, wiem, co to znaczy wyc z powodu osamotnienia, ale moje doświadczenia są niczym w porównaniu do tego, co tu widzę. Nagle zapragnęłam zobaczyć dzieci. Zatęskniłam za Sashą, którą tak bardzo chciałabym przytulić i pogłaskać jej siwiejące (siwiejące!) włosy; usłyszeć od niej, co dziś robiła. Chcę, żeby Jack opowiedział mi jakiś niewybredny dowcip. Chcę wziąć na ręce wnuki, które będą się szamotać i wierzgać nogami, gdy będę próbowała posadzić je sobie na kolanach.

Chcę oddychać zapachem ich włosów. Chcę, żebyśmy się znaleźli razem w tym nijakim pokoju hotelowym, buszowali w minibarku i ani słowem nie wspominali o Jeremym.

Nie, jeszcze lepiej – chcę, żebyśmy byli z powrotem w Anglii. Trudno uwierzyć, że jest luty. Siedzielibyśmy wygodnie na kanapie, za oknem padałby deszcz i dzwonił o szyby, a wichur przyklejałby liście do słupów telegraficznych.

Mój Boże, tak bardzo chcę wrócić do domu.

Nadszedł ranek i ku memu zdumieniu okazuje się, że w holu kręci się wielu biznesmenów. Skąd się wzięli? Czy oni rzeczywiście tutaj nocowali? Wśród nich jest sporo Chińczyków w śnieżnobiałych koszulach i błyszczących garniturach. Przed hotelem na włączonych silnikach czekają ekskluzywne autobusy.

Dzisiaj Clarence też ubrał się w śnieżnobiałą koszulę. Intensywnie pachnie płynem po goleniu. Pytam go, jak mu się spało, ale czuję, że to pytanie zabrzmiało zbyt intymnie. Zaczynam mu opowiadać o posiłku, który przyniesiono mi do pokoju, o karcie składającej się z dziesięciu stron dań międzynarodowych, chociaż

kelner, który dopiero po długim czasie w końcu odebrał telefon, oznajmił, że nie ma nic prócz omletu. Kończę swoje opowiadanie. Clarence jest patriotą, może nie podoba mu się, że krytykuję hotele w jego kraju. On mógł uznać to miejsce za imponujące. W każdym razie nie okazuje zainteresowania moją relacją. Clarence funkcjonuje w trybie odbioru. Nigdy nie zadał mi osobistego pytania. Jestem ciekawa, czy jego zachowanie należy uznać za typowe dla tubylców, czy tylko Clarence wykazuje taką powściągliwość.

Mimo to coraz bardziej go lubię. Nasze relacje się pogłębiły od czasu transakcji taksówkowej. Ciekawe, czy on czuje podobnie. Bev narzekala na afrykańską niesolidność, ale ona ma skłonności rasistowskie. Nie, ona jest rasistką. Mnie Clarence wydaje się godny zaufania. Muszę na nim polegać; służy mi za jedyne przewoźnika w podróży do wnętrza tego kraju, a ja jestem coraz bardziej zdenerwowana.

Wyjeżdżamy za bramę. W świetle dziennym widzę, że krajobraz się zmienił. Okolica jest gęściej zalesiona i w oddali w falującym gorącym powietrzu niewyraźnie zarysowują się wzgórza. Już wiadomo, że będzie to kolejny upalny dzień. Clarence mówi, że teraz znajdujemy się na terytorium plemienia Kikanda, tu są ich tereny łowieckie. Wyobrażam sobie buszmenów przemykających między drzewami z włóczyniami w dłoniach – na ilustracji w książce *Takie sobie bajeczki*, którą pamiętam z dzieciństwa, właśnie tak byli przedstawieni. Oczywiście nigdzie nie widać ani prawdziwego buszmena, ani dzikiego zwierza.

Pytam Clarence'a, jaki wpływ wywarł na członków Kikanda bardziej osiadły tryb życia, i próbuję się dowiedzieć, czy w dalszym ciągu żują *kar*. Jeżeli w ogóle ta roślina rośnie gdzieś tutaj w naturalnym środowisku.

On nie ma pojęcia, o czym mówię. Powtarzam pytania, tym razem wolniej. Wygląda na to, że nic o niej nie słyszał. Czy to kolejny przykład jego braku zainteresowania? Nagle przychodzi mi do głowy mroczniejsza i bardziej niepokojąca myśl.

Może Jeremy kłamał na temat całej tej sprawy? Może został zwolniony z Zonacu za nadużycie i nie powiedział Beverley prawdy o powodach założenia organizacji charytatywnej. W obecnych okolicznościach mogę uwierzyć w każdą hipotezę, która go dotyczy. Fałszował księgi rachunkowe albo robił inne przekręty i dlatego odszedł w cieniu podejrzeń.

To wszystko jest zbyt okropne, żeby tak szczegółowo to analizować. Już stoję na skraju otchłani, a tymczasem pod nią zaczyna się otwierać jeszcze głębsza czeluść. Czuję mdłości i zawroty głowy. Może Beverley знаła prawdę i dlatego próbowała nie dopuścić do śledztwa; za wszelką cenę chciała uniknąć zbędnych pytań i uciec. A może wymyśliła tę historię o kłusownictwie, żeby mnie przestraszyć i zmusić do milczenia. Tak czy inaczej nie przedstawiła mi żadnego dowodu, który potwierdziłby jej podejrzenia.

– Proszę pani, żyrafa.

Odwracam się za siebie. Ponad drzewami wystaje głowa żyrafy. Patrę, jak ona z wdziękiem zgina szyję – jestem przekonana, że to ona – odwraca się w przeciwną stronę i krótkim galopem oddala się na pięknych, choć niezręcznych nogach, z wdziękiem deski do prasowania.

Śmieję się. W jednej chwili ulatniają się moje wątpliwości i obawy. Odwracam się do Clarence’a i w przypływie wdzięczności dotykam jego kolana.

– Dziękuję ci – mówię, jak gdybym to za jego sprawą doświadczyła łaski.
– I proszę cię, na litość boską, zwracaj się do mnie Petra.

Manak, Ngotolandia

Pozostało nam do przejechania jeszcze kilka kilometrów. Muszę zachować czujność, ale dudni mi w głowie. Wczoraj wieczorem zasiadłam przed barkiem – najpierw poszedł dżin w miniaturowej buteleczce, po nim taka sama porcja wódki. Gdy się z nimi rozprawiłam, przyszła kolej na miniaturową whisky. I tu popełniłam poważny błąd, za który teraz ponoszę karę. Nie pomogło nawet duże opakowanie batonów czekoladowych Toblerone.

Clarence włączył taśmę z największymi przebojami Petuli Clark. Jedziemy przez busz, a z głośników, zupełnie nieadekwatnie do okoliczności, grzmi *Downtown*. Nie dostrzegliśmy już żadnych innych zwierząt. Czyżby Arabowie do ostatniej sztuki wybili je na polowaniach? Clarence, przekrzykując Petulę, wyjaśnia, że przylatują tu z Arabii Saudyjskiej helikopterami i z góry strzelają do zwierząt. Mało sportowy sposób polowania, jak się zdaje. Buszmeni z Kikanda dają przynajmniej zwierzętom jakąś szansę.

Droga znacznie się pogorszyła, jedziemy teraz wyboistym traktem usianym kamieniami. Przecinamy koryto wyschniętej rzeki, podskakując na wertepach, aż rozkołysała się maskotka wudu, którą Clarence zawiesił w samochodzie. W środku pustkowi siedzi kobieta przy straganie i sprzedaje smażone ryby. Dlaczego akurat tutaj? I dlaczego w niektórych miejscach rzędy kamieni ułożono w poprzek drogi, tak jakby ktoś ustawił prowizoryczny punkt kontrolny? Przy niektórych kamiennych stertach są nawet maszty. Stoją tu pewnie od lat, ponieważ wokół nich widać głębokie koleiny. Zrezygnowałam z zadawania pytań Clarence'owi. On nie zna odpowiedzi, a poza tym jestem za bardzo zdenerwowana, żeby nawiązywać rozmowę.

Za to zna drogę, ponieważ jeździł tędy z Jeremym. Całe szczęście, bo nie ma tu żadnych drogowskazów. Skręca w prawo na skrzyżowaniu, a następnie w lewo w kolejny zakurzony trakt.

Już nie mogę się doczekać, kiedy zobaczę Manak, mówię do Jeremy'ego. *Ciekawa jestem miejsca, które stworzyłeś i kochałeś*. Mój głos brzmi uprzejmie i sztucznie; dobry Boże, mówię jak kobieta na przyjęciu! *Tyle mi o nim opowiadałeś, chcę zobaczyć choć kawałek Afryki, dobrze ci znany, bo on zbliży nas do siebie*. Nie może być już gorszego oszustwa od okłamywania kogoś we własnych myślach, chociaż w tym, co do niego mówię, jest również trochę prawdy. Chryste, kompletnie nie radzę sobie ze sobą.

– Witam w Manaku – informuje Clarence.

Jest mniejszy, niż się spodziewałem. Clarence nazywał Manak miasteczkiem, ale to, co widzę, wygląda raczej na wioskę. Białe, murowane budynki pokryte blachą falistą stoją rozrzucone tu i tam pod drzewami. Wszystko

wokół jest pokryte pyłem i wyschnięte, nie widać tu żadnych śladów życia. Clarence wyłącza silnik i zapada cisza od czasu do czasu przerywana pianiem koguta.

Siedzę jeszcze przez chwilę w samochodzie i próbuję powiązać to, co widzę, z moją wizją tego miejsca. Na ogół rzeczywistość nie zbiega się z wyobrażeniami. Trzeba jakoś jedno i drugie do siebie dopasować, a to zajmuje trochę czasu; wymazać miejsce stworzone w wyobraźni i zastąpić je rzeczywistym. Ale znajduję się teraz w innym wymiarze, w innych okolicznościach, które budzą we mnie przerażenie. Je także muszę jakoś ze sobą połączyć, ale ledwie sobie z tym radzi moja biedna, skacowana głowa.

Mimo to czuję się zadowolona z siebie, że przyjechałam tutaj, że odbyłam tę podróż, na którą nie zdobyła się Bev. Okazało się, że to ja jestem żoną, która szuka prawdy. Poczuję się do takiego obowiązku i dziś to Bev jest osobą postronną. Czuję satysfakcję, gdy wysiadam z samochodu, żeby rozprostować zeszytniałe nogi.

W powietrzu czuć naftę i ostrą woń zwierzęcych odchodów. Idę do wioski, pozostawiając Clarence'a opartego o taksówkę i palącego papierosa. Nagle dostrzegam trzech mężczyzn, którzy siedzą w cieniu budynku. Należą pewnie do Kikanda, ponieważ mają bardzo ciemną, prawie czarną skórę i blizny na policzkach. Spodziewałam się, że buszmenów z tego plemienia zastanę w strojach etnicznych, ale widzę, że tylko jeden z nich nosi przepaskę.

Pozostali mają na sobie brudne szorty. Najmłodszy jest w czapce baseballowej Burger Kinga i trzyma w dłoni maczetę.

O dziwo, wszyscy mają nadwagę. Na zdjęciach w internecie są przedstawiani jako szczupli, umięśnieni i niewysocy myśliwi obwieszeni naszyjnikami. Ci tutaj przypominają mi raczej pokazywanych na zdjęciach pogrążonych w apatii Aborygenów żyjących w rezerwach. Uśmiecham się do nich, ale oni patrzą w dal ponad moją głowę. Jak mam się z nimi przywitać? Nie znam języka Ngotów. Oni też mogą go nie znać, skoro porozumiewają się własnym.

Czy to są ludzie, którzy kochali Jeremy'ego i wysmarowali się popiołem, gdy umarł? A może są kłusownikami, którzy działali z nim w zмовie, i niewykluczone, że ponoszą odpowiedzialność za jego śmierć? Wyglądają na takich, którzy ledwo trzymają się na nogach, a cóż dopiero mówić o zabijaniu słoni. Zupełnie nie podoba mi się ta maczeta.

– Dzień dobry. Czy mogę pani w czymś pomóc?

Zdecydowanym krokiem zbliża się do mnie młoda kobieta. Ma kolczyki w nosie i w uszach, na rękach liczne tatuaże. Wyglądem bardziej przypomina mieszkankę buszu niż ci trzej z Kikanda.

Wyjaśniam jej, że jestem przyjaciółką Jeremy'ego i chcę zwiedzić ten

ośrodek, który stworzył.

– Jeremy’ego? – pyta.

– Tak, Jeremy’ego Payne’a.

Odnoszę wrażenie, że nigdy o nim nie słyszała.

– Rozumiem. Tylko że ja jestem tutaj dopiero od kilku tygodni.

Nazywa się Sindy i pochodzi z Australii. Ubrana jest w oliwkowy T-shirt z nadrukiem „Manak”. Najwidoczniej drzewa manaku rosną w całej Ngotolandii i w sąsiadującej z nią Ghanie; mają gęstą sieć korzeni, które – Jeremy miał taką nadzieję – będą symbolem szerokiego zasięgu jego projektu. Myślę o tamtych drzewach posadzonych do góry korzeniami, które przyczyniły się do jego zauroczenia Afryką.

Pytam o niderlandzkie małżeństwo, Hansa i Kaatję, którzy odwiedzili nas w Oreyi, ale najwyraźniej o nich również nie słyszała. Słysząc dzwonek i z pobliskiego budynku sporą grupą wychodzą uczennice. Mają ogolone głowy, wyglądają jak kosmitki. Znikają za następnymi drzwiami i znów zapada cisza.

Sindy mówi, że przyprowadzi Hassana, kierownika, i proponuje, żebym zaczekała w bibliotece. Mówi, że jest w niej sporo książek dla dorosłych i dla dzieci.

– Przeprowadzili wielką zbiórkę pieniędzy w Stanach – mówi. – Są bardzo dumni ze swojego programu edukacyjnego. Nauka czytania, obsługi komputera i tak dalej.

Podążam za Sindy do jednego z murowanych domków. W środku jest słonecznie i czysto. Rzędami ustawiono tu stoły i krzesła, a regały przy ścianach rzeczywiście wypełniają książki. Jest pusto, tylko za biurkiem śpi potężna Afrykanka. Ma na sobie brudny gorset zdobiony haftem angielskim, z którego przez każdą dziurkę wylewają się jej ogromne piersi i – jak mawiała moja matka – każdy cycek żyje własnym życiem.

Nie widzę tu ani jednego komputera, ale przypominam sobie, co powiedziała Bev – niedawno zostały skradzione. Sindy wychodzi. Przy akompaniamencie donośnego chrapania czytam tytuły książek: *Przyjemne aspekty jidysz...* *Krótką historia koncernu Chrysler...* *Ptaki Pensylwanii*, tom pierwszy. Biorę z półek kilka książek i otwieram. Na odwrocie każdej strony tytułowej widnieje naklejka Biblioteki Głównej w Filadelfii.

Wtedy wchodzi mężczyzna. Jest wysoki, ciemnoskóry i niesamowicie przystojny. Uśmiecha się szeroko i ku memu zaskoczeniu całuje mnie w oba policzki.

– Dzień dobry. Nazywam się Hassan Abdullah – przedstawia się. – Każdy przyjaciel Jeremy’ego jest moim przyjacielem. Co to był za facet! I taka tragedia! – dodaje ciszej ze smutkiem. Potem znów się uśmiecha. Ma olśniewająco białe zęby. Mówi jak dyskdzokej, z amerykańskim akcentem. Jego koszulka ze znakiem

Manaku jest napięta na umięśnionym torsie; aż bolą mnie oczy od patrzenia na jego uderzającą męską urodę. – To jest Mavis, nasza bibliotekarka – mówi. – Mavis!

Kobieta budzi się z pomrukiem.

– Mavis dba u nas o porządek – wyjaśnia Hassan. – Prawda, moja droga?

O Boże! On jest gejem. Oczywiście, że tak.

– Jak się czuje pani Payne? – pyta życzliwie. – Jestem z nią całym sercem. Kilkakrotnie nas tu odwiedziła. Szczególnie zainteresowała ją nasza klinika. Tutaj istnieje realne ryzyko zarażenia się współczesnymi chorobami, gdy ludzie, którzy prowadzą koczowniczy tryb życia, nagle stykają się ze światem zewnętrznym.

– Ostatnie wydarzenia były dla niej dramatyczne. Za kilka dni wraca do Anglii – mówię. – Przysyła mnie, żebym pożegnała się w jej imieniu – dodaję od niechcienia. Wydaje mi się, że znalazłam dobry powód na wyjaśnienie swojej obecności.

Mavis z olbrzymim trudem się podnosi. Bez pośpiechu zdejmuje książki z półek i odstawia je z powrotem na to samo miejsce. Hassan obserwuje ją z pobłażliwym uśmiechem.

Odkasuję.

– Czy mogłabym się tutaj trochę porozglądać? Chciałabym po powrocie opowiedzieć o waszej imponującej pracy, którą tu wykonujecie.

Wychodzimy na zewnątrz. Pytam Hassana o niderlandzką parę, a on odpowiada, że oboje wyjechali na urlop. Wyrażam żal. Polubiłam ich i miałam nadzieję, że może byliby ze mną szczerzy. Hassan natomiast moim zdaniem kręci.

Pokazuje mi sklep, w którego mrocznym wnętrzu dostrzegam pudełka proszku do prania Daz i porzucone bezładnie worki ryżu. Sprzedawca rozmawia przez telefon komórkowy. Jestem zdumiona, ponieważ powiedziano mi, że w tej wiosce nie ma dostępu do sieci.

Spacerujemy po terenie, a ja otrząsam się z uczucia wyobcowania. Częściowo dlatego, że nigdzie nie ma ludzi – a konkretnie buszmenów Kikanda. Widzę kilku członków personelu w oliwkowych koszulkach, niektórych w otoczeniu dzieci. Widzę też parę kobiet, zapewne z plemienia Kikanda, we wzorzystych strojach, z koszami na głowach. Ale gdzie są mężczyźni?

Jestem spocona do suchej nitki. Nieopodal mnie z drzewa odrywa się kawał kory i spada na ziemię, czemu towarzyszy głuchy odgłos. W oddali pustynia się rozplywa, tworząc własny połyskujący pozorny obraz. Nic tu nie jest takie, jakim się wydaje. Nawet hotel, w którym spędziłam wczorajszą noc, wydaje się nierzeczywisty jak sen. Dlaczego tak było tam i dlaczego tak jest tutaj? *Nie potrafię powiązać ze sobą tych dwóch miejsc*, mówię Jeremy'emu. *Upalne popołudnie, bębnienie, które słyhać wśród drzew... czy ty naprawdę opowiadałeś mi o tych przypadkowo rozrzuconych chatkach pośrodku pustkowia?*

Bębnienie jest jednak prawdziwe. Hassan prowadzi mnie na skraj wioski,

a tam w kole podskakują mężczyźni, którzy ewidentnie są członkami Kikanda.

Mają ciemniejszą skórę, są silni, nadzy do pasa i bogato obwieszeni koralikami. Włosy mają wysmarowane błotnistą mazią z ziemi ochrowej. Potrząsają włóczniami. Znalazły się tu również psy, które rzucają się im do nóg i głośno ujadają.

Czyli wreszcie pojawili się prawdziwi buszmeni. Tylko przez chwilę jestem poruszona. To plemię istnieje od epoki kamienia! Pytam Hassana, co symbolizuje ten taniec.

- Udane łowy – odpowiada. – Mają próbę dla Hibiscusa.
- Co to znaczy?
- Dla hotelu Hibiscus. W sobotę wieczorem występują tam dla gości.

W dalszym ciągu nie zadałam pytania o kłusownictwo. Nie mam pojęcia, jak nawiązać do tego tematu. Hassan, który najwyraźniej ma sporo wolnego czasu, prowadzi mnie na farmę.

Ona również nie jest taka, jakiej się spodziewałam. Ale właściwie czego się spodziewałam? Z pewnością nie małego poletka porośniętego roślinami podobnymi do kukurydzy. Są wysokie i wyschnięte, osypują się z nich plewy, które szeleszczą na wietrze. Jest tu też kilka krów, które stoją w zakurzonej budynku zabezpieczonym ciernistymi gałęziami. Mają ogromne rogi i na wystających kościach mocno napiętą skórę jak płótno na stelażu namiotu. Pilnuje ich siedzący nieopodal nastolatek. Ma bujne czarne włosy i słucha muzyki z iPhone'a, kiwając głową w jej rytm. Hassan opowiada mi o uprawach, o warsztatach rzemieślniczych, które organizują, i o programie kursów zawodowych, podczas których młodzież poznaje sposoby adaptacji do współczesnego świata. *Ten człowiek zaczyna mi działać na nerwy*, mówię Jeremy'emu. *Naprawdę go lubiłeś? Jest taki gładki, przesadnie poukładany, a przy tym nijaki. Bardzo wątpię, czy zdołam mu zaufać.*

– Żyją w waszej okolicy słonie? – pytam nagle. – Słyszałam, że podobno dostają się na pola i niszczą uprawy.

– Skąd o tym wiesz, moja droga? – Hassan unosi brwi i się uśmiecha.

– Trudno powiedzieć, ktoś mi wspominał, że tubylcy z Kikanda współistnieli w zgodzie ze słoniami, a teraz je zabijają.

Czyżby drgnęła mu powieka?

– Plemię Kikanda szanuje wszelkie życie – odpowiada bez zajknięcia. – Oni zabijają tylko w celu zdobycia pożywienia.

Nie ma tu zbyt wielu upraw do zniszczenia. Ale przynajmniej nawiązałam do tematu słoni.

– A co z kłusownictwem? Pozyskiwaniem kości słoniowej?

Przyglądam mu się uważnie. Bardzo się poci, ale jest przecież duszno i piekielnie gorąco.

– Kłusownictwem?

– Wiem, że się tutaj rozprzestrzeniło – mówię. – Proceder wydaje się kuszący. Zwłaszcza przy cenie tysiąca dolarów za cios. Zapewne do tej pory o tym nie wiedzieli. Ale gdy nawiązali kontakt ze światem zewnętrznym... – Przerwywam. On patrzy na mnie uprzejmie. – Zastanawiałam się po prostu... czy wie pan o kimś takim tu, w Manaku, kto może być w coś podobnego zaangażowany.

Hassan wybucha śmiechem – dudniącym i donośnym. Chłopak siedzący przy ciernistej zagrodzie wyjmuję słuchawki z uszu.

– Moja droga, eee...

– Petra.

– Petro. Kto ci naopowiadał takich rzeczy? Pozwolę sobie powiedzieć, że masz bardzo brytyjskie poczucie humoru. – Rozbawienie go nie opuszcza. – Zupełnie jak ten wasz Monty Python. *Czy ta papuga jest martwa!* – krzyczy do chłopca. – Ta papuga wyzionęła ducha! – Uwielbiamy tu Johna Cleese'a, prawda, Chika?

Czuję się pokonana i mam w głowie pustkę. Hassan poszedł do swego biura. Jestem w samym sercu Afryki, mokra od potu, pokąsana przez bez wątpienia pasożytnicze owady i huczy mi w głowie. I po co mi to było? Chcę wracać do domu.

Nie znalazłam odpowiedzi na swoje pytania, a na dodatek nie ma tutaj nikogo, komu mogłabym je zadać.

Odnoszę wrażenie, że wioska zatrzęsnęła okiennice. Przechodząc obok drzwi biblioteki, zauważyłam na nich kłódkę. Sklep też jest zamknięty. Gdzie oni wszyscy się podziali? *Jeremy, czy oni wiedzieli, że mam przyjechać, czy może byli tylko wytworem mojej wyobraźni?* W oddali horyzont przybiera płynną formę. Wszystko przepływa mi przez palce jak rtęć.

Słysząc samolot. Leci dość nisko. Gdzie będzie lądował? Gdzieś w pobliżu? Jak okiem sięgnąć jest pusto, widać tylko drzewa i zarośla rozciągające się w oddali, i nie ma żadnych śladów ludzkiej obecności, z wyjątkiem tego ogromnego, tajemniczego hotelu. Dokąd wybierali się ci biznesmeni, którzy zniknęli w tej pustce?

A gdzie są mężczyźni z Kikanda? Ta osada też jest zastanawiająca: taka mała i ospała. Na podstawie opowieści Jeremy'ego wyobrażałam sobie tętniącą życiem społeczność – hektary zaoranych pól, hodowlę zwierząt, warsztaty i ośrodki rzemieślnicze. Wysłuchałam propagandowej pogadanki Hassana, ale śladu po tym wszystkim nie mogę się dopatrzeć. Wprawdzie widziałam wiele kobiet, ale przed oczami przewinęli mi się nieliczni mężczyźni – właściwie tylko ci, którzy uczestniczyli w cudacznym przedstawieniu, i ci posępni brzuchacze. Czy to dlatego, że większość z nich przebywa głęboko w buszu, gdzie zajmują się

zupełnie inną działalnością? Ostatecznie są łowcami, polowanie mają we krwi. O takich pieniądzach, jakie można na tym zarobić, nawet im się nie śniło. Czy w związku z tym kogokolwiek obchodzi, że populacja słoni może zostać zniszczona za życia jednego pokolenia?

Tak bardzo staram się uwierzyć w niewinność Jeremy'ego, że to przygnębiające miejsce uznaję po prostu za efekt irracjonalnego idealizmu. Czytałam dość często, że ludzie jadą do Afryki pełni dobrych intencji, a potem tam ulegają apatii i wikłają się w korupcję. Przez duchotę i nieznośny upał. Trudno w ogóle funkcjonować w tej temperaturze; czuję się jak worek piachu i ledwie powłóczę nogami.

Ale nie mogę oszukiwać siebie, a Jeremy milczy. Czuję się w tym miejscu coraz bardziej nieswojo. Mam wrażenie, że utworzono je specjalnie dla mnie, Hassan przywitał mnie olśniewającym uśmiechem, a teraz okiennice są już pozamykane. Absolutnie nic się tu nie dzieje. Na przykład w bibliotece. Dlaczego jest w niej tyle niepotrzebnych książek, których nikt nigdy nie przeczyta? Dlaczego Hassan zachowuje się tak nienaturalnie uprzejmie i nieprzekonująco? Ta organizacja charytatywna jest tylko fasadą, oszustwem, prawdziwe interesy prowadzi się gdzie indziej. Nie mam pojęcia, kto może być w nie zaangażowany, ale ten sklepikarz mamroczący do telefonu komórkowego wydał mi się podejrzany. Zauważyłam też, że Hassan ma nowiutkiego range rovera – czarnego z przyciemnianymi szybami. Skąd wziął taki samochód?

Clarence śpi na tylnym siedzeniu taksówki. Szturcham go dość zdecydowanie. Otwiera jedno przekrwione oko.

– Co naprawdę się tutaj dzieje? – pytam go. – Co pan Payne robił, gdy tu przyjeżdżał?

– Pan Payne był dobrym człowiekiem – bełkocze Clarence.

– Dokąd się udawał? W inne miejsce, prawda? Położone niedaleko stąd, tak? Jeździłeś tam z nim?

– On był dobrym człowiekiem. – Twarz Clarence'a jest bez wyrazu. – Kochał naszych ludzi.

Patrzę na niego. Nie interesuje mnie lojalność Clarence'a wobec swego pana. Nie dbam o nic. Po prostu chcę znać prawdę.

– Kochałam pana Payne'a tak jak ty, ale on zdradził nas oboje – ciebie, mnie i kraj, który kochał! – krzyczę, ale co mi tam, do cholery. – Był zaangażowany w krwawe kłusownictwo!

Clarence podnosi się do pozycji siedzącej.

– Przykro mi, proszę pani, ale jest pani stara i smutna.

Aż odskakuję o krok do tyłu.

– Coś ty powiedział?

– Potrzebny pani mężczyzna.

Nagle wybucham płaczem. Upokarzające, ale nie mogę się powstrzymać. Płacę za Jeremym, tak mi bliskim, a teraz utraconym. Płacę z żalu nad moim starzejącym się ciałem i dramatem samotności. Płacę nad pożałowania godnym życiem buszmenów z Kikanda; co z nich zostało! Opierając się o przesuwne drzwi taksówki, płacę z powodu nas wszystkich. Nawet z powodu tych cholernych słońi.

Nagle ktoś odzywa się do mnie:

– Pokażę pani, gdzie oni są.

To Chika. Wyjął z uszu słuchawki i przemówił płynnie po angielsku.

– Jak dostanę tysiąc ledi, to pani pokażę.

Nadąsany Clarence jedzie drogą, którą wytyczają koleiny. Gałęzie ciernistych krzewów uderzają w okna samochodu. Jest wyraźnie niezadowolony. Chce wracać do domu, do swojej pięknej, młodej żony w skąpych szortach. Moja złość na niego wypędziła ze mnie cały strach. *Potrzebny pani mężczyzna*. Wymusił na mnie zakup taksówki! Myślałam, że jesteśmy przyjaciółmi, że Afryka stanie mi się bliższa dzięki znajomości z Afrykańczykiem. Jakże byłam naiwna. *Ten kraj doprowadzi mnie do śmierci*. Jeremy mówi teraz za nas oboje. Jego z pewnością spotkała śmierć. Jeśli natomiast chodzi o mnie, to Bóg jeden wie, co mnie tu czeka, moja wyobraźnia tak daleko nie sięga. Ale czy ktoś się tym przejmuje? Ja nie, przestało mnie to już obchodzić. Moje dzieci będą zmartwione, ale są już dorosłe, prawie w średnim wieku, przynajmniej oszczędzę im mego nieuniknionego pogrążania się w demencji. Zresztą w tym metalowym piekarniku jest tak gorąco, że prawdopodobnie upiekę się w nim żywcem, zanim dokądkolwiek dojadę.

Czy naprawdę tak mało mi ufasz? – Jeremy wydaje się teraz rozgniewany. Do tej pory nie słyszałam, żeby mówił w ten sposób. *Tylko dlatego, że oszukał cię Alan i zdradził cię twój mąż? Na tym polega twój problem z mężczyznami, prawda?* Jestem wściekła i każę mu się zamknąć: *Skończ już i wynocha*.

Jest druga i z głodu głośno burczy mi w żołądku.

Chika twierdził, że to godzina drogi, ale jedziemy już o wiele dłużej. Siedzi na przednim siedzeniu zwinięty w kłębek jak kot i z pogardliwą miną przegląda kolekcję kaset Clarence'a. Jest miłośnikiem heavy metalu, a nie tego samochodowo-podróżnego kitu. Oczywiście zna Clarence'a i traktuje go z lekceważeniem i zniecierpliwieniem jak kogoś, kto jak na osobę do towarzystwa jest dla niego za stary. Zgarnął do kieszeni moje pieniądze i od tej pory mnie ignoruje. Zapytałam go, gdzie nauczył się tak dobrze mówić po angielsku, a on bąknął tylko, że w hotelach. Jakich hotelach? Gdzie?

Zorientowałam się, że obaj są zdenerwowani. Siedzę za nimi i mogę to stwierdzić po usztywnionym karku jednego i drugiego. Ledwie ich znam, ale nieobcy mi jest ten sposób trzymania głowy; zaraz mi się przypomina mój syn w drodze do nowej szkoły.

Byłoby lepiej, gdybym tego nie zauważyła. W dalszym ciągu trudno mi dociec, czy Clarence już tu kiedyś był. Jeśli tak, to wie aż za dobrze, co nas czeka. Wprawdzie Chika udziela mu wskazówek, któredy ma jechać, ale być może ten młodzieniec zna lepszą drogę. Po pewnym czasie nawet Chika milknie.

Raptem podnosi rękę. Clarence gwałtownie hamuje i wyłącza silnik.

Dopiero po chwili słyszę stłumiony warkot. Lecący nisko zdalnie sterowany samolot słychać coraz wyraźniej. Nad nami przesuwa się jego cień. Nagle wzdrygamy się wszyscy. Samolot leci tak nisko, że niemal ociera się podwoziem o szpaler rosnących przed nami krzewów. Za linią zarośli znika nam z pola widzenia.

– Tam dalej jest lądowisko? – pytam.

Nie otrzymuję odpowiedzi. Siedzę za Clarence'em. Z tyłu głowy rosną mu gęsto kępki włosów skręconych w spirale, które wyglądają jak znaki zapytania. Są mokre od potu.

– Nie jadę dalej, proszę pani – oświadcza.

Śmieję się drwiąco.

– I ty uważasz się za mężczyznę? Ciekawe, co powiedziałaaby na to twoja kochana żona? Zostawiasz mnie na pastwę bandy przestępców samą z nastolatkiem?

– Ja też się stąd nie ruszam – oznajmia Chika.

– Co takiego?

– Pokazałem wam drogę. Ale nie obiecywałem, że pójde do tego miejsca.

Zapada cisza. Słychać szelest w krzakach, ale szybko ucicha.

– Wielkie dzięki – mówię w końcu. – Buszmenów z Kikanda miałam za dzielnych wojowników.

– Nie należę do Kikanda. – Chika odwraca się do mnie. – Pochodzę z Bombaju.

Znów zapada cisza. Kolejny raz następuje nagły zwrot zdarzeń. Patrę na niego innym okiem. Oczywiście, że jest Hindusem. Rumienię się z powodu własnej tępoty.

– Skąd się tutaj wzięłeś? – pytam zaskoczona.

– Poznałem Hassana w hotelu Taj. Był w podróży służbowej.

Czyli tak sprawy stoją! On jest chłopcem Hassana! Rzeczywiście wygląda uwodzicielsko z tymi wydatnymi ustami i bujnymi włosami. Spotkali się w hotelu. Okoliczności i miejsce mówią same za siebie. Jasne, że Chika jest chłopczykiem do wynajęcia. Teraz wiadomo, skąd się bierze ta jego zachłanność; tysiąc ledi to spora kwota.

– I wcale nie jestem nastolatkiem – dodaje. – Mam dwadzieścia sześć lat. – Mówi też, że jest śmiertelnie znudzony i spędza cały czas na grach komputerowych. Chcę jechać do Wielkiej Brytanii. Pomoże mi pani? Tutaj, w tym

zacofanym kraju, jest gorzej niż w Indiach. Jeśli się zorientują, że jestem gejem, wtrąca mnie do więzienia, a tam do mojego tyłka dobiorą się mordercy i gwałciciele. Nic z tego, kolego!

Podaje butelkę z wodą Clarence'owi, ale ten się wzdryga, kręci głową i oddaje ją Chice. Rozumiem, że i dla Clarence'a są to niezbyt przyjemne wiadomości. Odsuwa się od Chiki i przykleja do okna.

– Skąd wiesz o kłusownictwie? – pytam Chikę. – Oczywiście już tu kiedyś byłeś...

– Taki jeden z Kikanda mnie przywiózł. Ukradliśmy motocykl, żeby się tu dostać. Powiedział mi, że zabijają je pastą, którą robią z drzew acokanthery. Gotują je najpierw, a potem ekstraktem smarują strzały. – Wypija łyk wody. – To był świetny gość, ale teraz gdzieś się zapodział. Większość facetów w moim wieku zniknęła. Może mnie pani stąd zabrać? Pomoże mi pani załatwić brytyjski paszport?

Wskazuję na kępę drzew.

– Czyli plemię Kikanda bierze udział w kłusownictwie?

Chika wzrusza ramionami.

– Może. Hassan twierdzi, że już prawie wszyscy zaszyli się z powrotem w buszu. To są myśliwi i wrócili do swoich dawnych zwyczajów. Polują dla zdobycia jedzenia. Odechciało im się, mieli dość siedzenia w zamknięciu. Ale Hassan trzyma to w tajemnicy. Nikt nie powinien się dowiedzieć, bo byłaby to zła reklama.

Znalazło się więc wytłumaczenie braku mężczyzn z Kikanda. Pytam Chikę, kto obecnie para się kłusownictwem.

– Przywożą samolotem jakichś typów z Nigerii. Zawodowe gangi. Tak słyszałem. Mają karabiny AK-47 i za jednym zamachem mogą wystrzelać całe stado dorosłych słoń. *Karrramba!*

Clarence i ja wzdrygamy się.

– A pan Payne? – pytam. – Czy on tu bywał?

– Pan Payne był dobrym człowiekiem – wtrąca się Clarence.

– Och, przestań już!

– Pan Payne był świetnym facetem. Umiał żartować – mówi Chika. – Dał mi książkę sir Wodehouse'a.

Kurczy mi się serce. Przypomina mi się śmiech Jeremy'ego, dawnego Jeremy'ego z Londynu. *Co ty robisz w samym środku Afryki z moim zaufanym służącym i gejowską dziwką? Zachowałeś jeszcze choć krztynę rozsądku, najdroższa? Co to za wyglupy? Szkoda, że mnie tam nie ma.*

Tęsknię za nim tak bardzo, że chcę umrzeć. I kto wie? Może się tak zdarzyć. Niezależnie od tego, co się dzieje za tymi drzewami, z pewnością grozi nam niebezpieczeństwo. Ale naprawdę nie dbam o to.

W pewnej chwili odzywa się Clarence, który wciąż siedzi przyciśnięty do okna:

– Idę z panią.

Zaskoczona tą zmianą, patrzę na niego. Jest sztywny ze strachu. Domyślam się od razu, że widocznie bardziej się boi zostać w wozie z homoseksualistą, niż stanąć oko w oko z gangiem przestępców z karabinami AK-47.

Śmieję się głośno, choć cała ta sprawa przestała być zabawna. Każdy następny krok graniczy z szaleństwem.

– W takim razie chodźmy. – Odsuwam drzwi samochodu.

Przedzieramy się z Clarence'em przez krzaki. Przelatuje nad nami ptak, przysiadając na gałęzi i skrzeczy na alarm. Pod koronami drzew jest cień i biegnie tędy wydeptany pas, w pewnym sensie ścieżka. Piasek porastają jakieś kolczaste rośliny, które tworzą siatkę i płaczą się nam pod nogami; gdzieś między nimi przebijają się brudnawe, różowe kwiaty. Może to jest ta roślina *kar*; Jeremy mówił, że wygląda podobnie do kaktusa. Co mi za różnica!

Przemykamy się przez przerwę między drzewami. Za moimi plecami Clarence oddycha chrapliwie. W pylistym gruncie dostrzegam wgłębienie, które początkowo błędnie uznaję za odcisk stopy słonia. Chciałabym zobaczyć jakiś znak – ślad, górę odchodów. Trudno mi uwierzyć, że słonie tu w ogóle istnieją. Coraz trudniej jest mi też wierzyć w istnienie mego dawnego życia – kobiety pracującej, z gronem przyjaciół i domem w Pimlico.

Nagle dostrzegam pas startowy. Gestem komandosa sygnalizuję „stop” i Clarence się zatrzymuje.

W powietrzu wyraźnie czuć ostrą woń paliwa. Przed nami, między drzewami, znajduje się trawiasta polana. Pasem startowym jest niewielki skrawek ziemi. Na polanie stoi samolot. W pobliżu znajdują się niewielkie budynki pokryte blachą falistą. Widać też samochód ciężarowy i kilka dżipów. Kręcą się tam mężczyźni, wyraźnie zajęci; nie ma tu mowy o ospałości. Z tej odległości wydaje mi się, że wszyscy są Afrykańczykami.

Clarence stoi obok mnie i ciężko dyszy, ma świszczący oddech. Szepcze, że cierpi na astmę. Mnie serce dudni jak młotem i uginają się pode mną nogi.

– Proszę pani. – Clarence dotyka mojego ramienia. – Uciekajmy stąd.

Stoję, kołyszając się z powodu zawrotów głowy od gorąca. Gdy ktoś tu umiera, to co się potem z nim dzieje? Czy dusze zmarłych żyją w zwierzętach lub ptakach? Czy może odlatują stąd, żeby połączyć się z przodkami na niebiańskim terenie łowieckim, pozostawiając swoich najbliższych, którzy smarują się popiołem?

– Ja jestem chrześcijaninem – mówi Clarence.

Och! Mówiłam głośno. Mój głos oddzielił się od mego ciała – właściwie to

moje ciało oddzieliło się od mego ciała. Od słońca miesza mi się w głowie. Jestem tamtą kobietą w pubie, kobietą z psem wyglądającą na wariatkę, gadającą byle co do nieznamym. Jestem pomarszczoną, starą babą, która rozpaczliwie potrzebuje mężczyzny. Po co się podjęłam takiej szalonej misji?

Masz mętlik w głowie, kochanie, prawda? Dłoń Jeremy'ego spoczywa na moim ramieniu. Przypomnij sobie, jacy byliśmy szczęśliwi. Pomyśl, jakie to proste. Jaki jest cel tego, co robisz? Wracaj do domu, zanim wydarzy się nieszczęście.

On ma rację.

– Masz rację! – wyrzucam nagle z siebie.

Clarence odwraca się do mnie i patrzy z uniesionymi brwiami.

– To szaleństwo – mówię i od razu czuję obezwładniającą ulgę. – Chodźmy stąd.

Na jego twarzy pojawia się uśmiech. Spoglądam na to miejsce po raz ostatni. Stado kóz wyłoniło się z lasu i pasie się po drugiej stronie polany pod okiem małego chłopca. Jakiś mężczyzna kuca pod podwoziem samolotu i coś przy nim majstruje. Z tej odległości wszystko wygląda dość niewinnie.

Wracamy ścieżką wśród krzaków. Odzyskałam swój normalny stan i ogarnia mnie dobry nastrój. Dzięki Bogu zastanowiłam się nad sensem tej wyprawy, zanim było za późno! Mogłabym stracić życie, a moje ciało zostałoby rzucone w krzaki hienom na pożarcie! Poczułam ogromne pragnienie i rozpaczliwy głód – do jedzenia w podróży mieliśmy tylko różowe ciastka wafłowe bez smaku, które rozpuszczały mi się w ustach i przyklejały do podniebienia jak opłatek. To był długi, bardzo długi dzień, ale wkrótce będziemy w drodze powrotnej do Oreyi. Te wydarzenia zostaną jedynie wspomnieniem – z czasem coraz mniej wiarygodnym, co do tego nie ma wątpliwości.

I wreszcie mamy okazję zobaczyć dziko żyjące zwierzęta. W pewnej chwili bowiem słysząc trzask i z krzaków wyskakują trzy gazy. Zatrzymują się, stoją nieruchomo i patrzą na nas; wyraźnie drżą im piękne nogi. Mija kilka sekund. Gazy odwracają się i wielkimi skokami oddalają – to były skoczki, antylopy południowoafrykańskie – z daleka migają jeszcze ich białe kuperki.

Nagle w tym miejscu rozbudziło się życie. Trajkocze ptak wśród liści, ogłasza alarm, jego głos wznosi się i opada. Jakieś zwierzę przeciska się przez zarośla. Coś je przestraszyło, pewnie my.

Już po chwili okazuje się, że nie my. Niepokój w przyrodzie wywołało coś innego. Teraz i ja słyszę głosy. Męskie podniesione głosy, krzyki.

Wyłaniamy się z buszu na otwartą przestrzeń skąpaną w oślepiającym świetle słonecznym i widzimy dwóch mężczyzn wymachujących karabinami. Wydzierają się na Chikę, który kuli się w taksówce. Jeden z nich próbuje otworzyć drzwi, ale Chika trzyma je mocno. Słyszę jego stłumione zawodzenie.

– Co wy, do jasnej cholery, robicie? – krzyczę.

Odwracają się gwałtownie w moją stronę i wrzeszczą coś w niezrozumiałym języku. O dziwo, wcale nie czuję się przestraszona; wyglądają zdumiewająco nieporadnie. Jeden z nich próbuje ułożyć sobie karabin, który przekręcił mu się na pasku i zwisa skierowany lufą w jego udo.

– Wyoście się stąd! – wołam. – Zostawcie auto natychmiast, to własność prywatna! – Oczywiście wykrzykuję głupstwa, ale liczę, że ostrym tonem zmuszę ich do posłuszeństwa. Zresztą przede mną stoją tylko młodzi chłopcy, a ja jestem przecież białą kobietą. Czy to nie my, biali ludzie, rządaliśmy dawniej w tym kraju, a może w innym, na przykład w Kenii?

Jednemu z nich udało się otworzyć drzwi. Popycha mnie do środka. Na fotel obok wciska się też Clarence, od którego czuję ostrą, piźmową woń potu, intensywniejszą niż zwykle pod wpływem strachu.

– Kim oni są? – pytam szeptem.

Kręci głową, nie ma pojęcia.

– Będę się panią opiekować – mamrocze.

Nagle robi mi się go żal. Ja go tu przyciągnęłam, a teraz on musi udowodnić sobie, że jest prawdziwym mężczyzną. Nietrudno mu to przychodziło, kiedy wysiadywał sobie w śnieżnobiałej koszuli jako właściciel taksówki i dumny ojciec licznych synów.

Jeden z tych obcych mężczyzn wpycha się obok nas. Wyczuwam też odór jego strachu, być może on również się boi, albo poci się intensywnie z podekscytowania udanym polowaniem. Jesteśmy zwierzętami w pułapce. Drugi siada za kierownicą i po kilku nieudanych próbach uruchamia silnik.

Nie mogę się nadziwić, że jestem bardziej rozgniewana niż przestraszona. Na kogo oni się porywają! Cóż za bezczelność – jestem Angielką. Ci głupkowaci chłoptasie trzęsą się ze strachu jeszcze bardziej niż ja. Tak czy inaczej ktoś musi zachować spokój, a z tym my, Brytyjczycy, radzimy sobie wyjątkowo dobrze.

Odwagi dodaje mi niedorzeczność sytuacji. Nie mieści mi się w głowie, że znajduję się w samym środku pustkowia z czterema mężczyznami, z których dwaj to prawdopodobnie mordercy, że siedzę w minibusie, którym kupiłam sobie przemilczenie zdradzieckiego romansu, i w piątkę jedziemy do gniazda międzynarodowych bandytów zajmujących się handlem kością słoniową, gdzie mogę zostać zastrzelona.

Tak jak słonie. *Za jednym zamachem mogą wystrzelać całe stado dorosłych słoni. Karrramba!*

Przed oczami staje mi zdjęcie słonia Bomiego na kolanach, ze związanymi nogami po obu stronach i z odciętą głową. Jak mogli zrobić coś takiego? Jak mogli?

Taksówka gwałtownie zatrzymuje się przed budynkiem, który wygląda jak

magazyn. Znajdujący się w pobliżu mężczyźni przerwali pracę, stoją i się nam przyglądają. Kierowca każe nam wysiadać; zachowuje się nonszalancko, bo pewnie poczuł się wśród swoich. W rzeczywistości bardzo się boję – oczywiście, że tak – ponieważ czuję w brzuchu gwałtowne poruszenie.

– Muszę natychmiast iść do toalety – oznajmiam głośno. – Do toalety!

Nikt nie reaguje. Ogarnia mnie panika, a oni stoją bezradnie. O Boże, to gorsze niż strach, znacznie gorsze. Co mam robić? Spuścić majtki i kucnąć przed nimi?

Na ratunek przychodzi mi Clarence. Mówi coś w języku Ngotów. Jeden z tych typów najwidoczniej zrozumiał, bo daje mi znak głową, żebym szła za nim. Jest bardzo chudy. Ma na sobie poplamioną koszulę i spodnie khaki. Okrążamy budynek i z tyłu pokazuje mi niewielki wychodek z pustaków. Znajduje się w sporej odległości od budynku, obok sterty śmieci i wózka, na którym piętrzą się skrzynie.

Wpadam do środka i zamykam za sobą drzwi. Rozchodzi się obezwładniający fetor. W mroku dostrzegam przenośny sedes. Nie patrząc, otwieram klapę i opuszczam dżinsy. Wypływa ze mnie rzadki stolec, a ja, macając wokół siebie, próbuję znaleźć papier toaletowy.

Nie ma ani kawałka. Po chwili oczy przyzwyczajają mi się do ciemności i widzę, że na podłodze leży tekturowy rulonik.

Siedzę zdrętwiała z przerażenia. Co, do cholery, mam teraz zrobić? Pot leje się ze mnie strumieniem, a całe ciało robi się purpurowe ze wstydu. Zabawne, prawda? Pewnego dnia będę się śmiać z tej przygody, pod warunkiem że ujdę stąd z życiem. Chętnie zgodziłabym się nawet zabić słonia za kawałek czegoś, czym mogłaby podtrzeć sobie tyłek.

I jak na zawołanie przypominam sobie o paczuszcze chusteczek, którą kupiłam na lotnisku Heathrow. Szperam w torebce i ją znajduję. Nigdy nie trzymałam w dłoni cenniejszej rzeczy. Rozrywam opakowanie i – nie do wiary – nucę chorał z kantaty J.S. Bacha BWV 147 *Już się zbliża Jezus miły*.

Wychodzę z toalety, pluję na ręce i wycieram je o dżinsy. Rozglądam się i stwierdzam, że mężczyzna zniknął.

Od załadowanego wózka dzieli mnie zaledwie kilka kroków. Stojące na nim skrzynie owinięte siatką bez wątpienia przygotowano do załadunku do samolotu. Widnieje na nich nadruk M&B EXPORTS. Są zamknięte, pokrywy przybito gwoździami.

Dostrzegam kolejne dwie skrzynie przy tylnej ścianie magazynu, obok szumiącego generatora. Z jeszcze niezamocowanymi pokrywami. Obok nich na ziemi leży młotek. Być może ktoś przerwał pracę, kiedy przyjechaliśmy.

Podchodzę do nich i unoszę jedną pokrywę. Początkowo nie widzę nic oprócz grubej warstwy słomy. Zanurzam w niej rękę i rozgarniam, jakbym szukała

jaj w kurniku.

W pewnej chwili dotykam palcami czegoś o gładkiej powierzchni. Zaskoczona odrzucam słomę.

Dziwne, prawda? Bez względu na to, co podsuwa wyobraźnia, rzeczywistość i tak ma sporo niespodzianek. Ciosy są większe i brudniejsze, niż się spodziewałam, z brązowymi plamami jak zęby palacza. Mają łukowaty kształt. Leżą w rzędach ciasno poukładane, jeden przy drugim. Na pierwszy rzut oka trudno mi je w ogóle powiązać ze słoniami.

Słyszę kroki. Zbliża się Clarence.

– Spójrz na to! – szepczę.

Nie reaguje. Może dlatego, że wiedział o tym już wcześniej. Z trudem wciąga powietrze, przy każdym oddechu świszcz mu w płucach.

– Ich szef chce z panią rozmawiać – mamrocze.

Wchodzimy do magazynu. Jest ogromny i w znacznej mierze pusty.

W ostrym świetle lampy jarzeniowej widzę zdemontowane części samolotu – skrzydła i kadłub – a nieco dalej stertę opon i jakieś zardzewiałe elementy silnika. Wzdłuż ściany stoją kolejne skrzynie częściowo przykryte plandeką. Tu i tam stoją mężczyźni. Wśród nich jest również Chika. Posyła mi błagalne spojrzenie i przesuwa dłonią po bujnej czuprynie. Jest bardzo młody. Biedny chłopak w koszulce z napisem „Zachowaj spokój i rób swoje!” trzęsie się ze strachu jak spłoszona gazela.

W narożniku hali wydzielono pomieszczenie na biuro. Za oknem siedzi mężczyzna, który przypuszczalnie jest szefem. To Chińczyk w okularach w złotej oprawie i lśniącym garniturze w miejskim stylu. Na jego biurku stoi aktówka. Przypuszczam, że właśnie przyleciał, tym samolotem.

Jest przysadzisty i paskudny, rozmawia przez telefon komórkowy. Mija kilka minut i w ogóle nie zwraca na mnie uwagi. Uważam, że nie ma nic bardziej irytującego od takiego lekceważącego zachowania mężczyzn! W końcu, nie przerywając rozmowy, przywołuje mnie skinieniem ręki i pokazuje mi krzesło. Nie ruszam się z miejsca.

Próbuję sobie wyobrazić Jeremy’ego za tym biurkiem. Oczywiście nie mam pojęcia, na czym polegała jego rola i czy swoje zadania wykonywał tutaj. Teraz ja znalazłam się w tym dziwnym miejscu i zupełnie nie potrafię powiązać z nim Jeremy’ego. *Ale tu bywałeś, prawda? Siedziałeś za tym biurkiem?* Zniknął z mojej głowy i nie mogę go już o nic zapytać.

Znów czuję rewolucję w brzuchu. Żeby utrzymać nerwy na wodzy, wyliczam sobie po cichu imiona i nazwiska koleżanek i kolegów ze szkoły podstawowej: Janie Simpson, Toby Littlejohn, Jackie Adams. Próbuję pokonać Chińczyka i zmusić go do wstania zza biurka.

Wreszcie się podnosi. Odnoszę zwycięstwo, małe, ale zawsze to zwycięstwo.

Wychodzi zza biurka i zbliża się do mnie. Jest wręcz malutki! Wojowniczo nastawiona mała żaba; idzie, kołyszając się z boku na bok. Nic dziwnego, że nie chciał wstać. Sięga mi ledwie do brody.

– Dzień dobry pani – mówi. – Czy mogę wiedzieć, jaka sprawa panią tutaj sprowadza?

– A czy ja mogę wiedzieć, jaka sprawa sprowadza tu pana?

Nie odpowiada. Narasta we mnie gniew, którego nie mogę powstrzymać. Na niego, na jego ohydne interesy, na Jeremy’ego, na siebie i moje żalose, nic niewarte życie. Nikt nie wie, że tutaj jestem, i nikogo to nie obchodzi. Umrę w samotności i nawet nikt mnie nie otoczy ramieniem. A czy kogoś obchodzą słonie? Odbywa się tu ich masowa rzeź i wkrótce nie zostanie przy życiu ani jeden. Moje wnuki będą je znać tylko z obrazków w książkach. Jaki jest sens istnienia na tym świecie?

– Zamierzam złożyć na pana doniesienie na policji! – krzyczę. – Właśnie tak zrobię! Złożę na pana doniesienie!

Słyszę poruszenie wśród mężczyzn stojących za mną. Widać znają słowo „policja”.

– Na policji, droga pani?

– Przyjadą i wsadzą pana do więzienia!

– Przepraszam, ale najwyraźniej nie jest pani zaznajomiona z tym krajem.

– Złożę na pana meldunek do władz – wyrzucam z siebie groźby ze złością.

– Opowiem o tym, co się tu dzieje, w konsulacie brytyjskim. Mam przyjaciół na najwyższych szczeblach. Już do nich telefonowałam i wkrótce tu będą! – krzyczę dalej na niego, ale prawda okazuje się dla mnie uderzająca: w rzeczywistości wydieram się na Jeremy’ego. – Pańskie interesy to przestępstwo! Wszystkich was wpakuję do więzienia. Będziecie tam służyć za męskie dziwki. Tam jest wasze miejsce, zboczeńcy!

Z tyłu rozlega się niespokojnie szemranie mężczyzn. Zdaje się, że rozumieją moje słowa.

Czy ich szef wygląda na wytrąconego z równowagi? Jeśli nawet tak, to tylko przez ułamek sekundy.

– Droga pani, nie mam pojęcia, o czym pani mówi.

– Ależ doskonale pan wie. Para się pan kłusownictwem i handlem kością słoniową.

– Słucham?

– Jestem przyjaciółką pana Payne’a i wiem, co się tu wyprawia.

– Payne’a?

– Jeremy’ego Payne’a!

– Nigdy o kimś takim nie słyszałem.

– Czyżby? I niby mam panu uwierzyć?

– Owszem, bo to prawda.

– Ty kłamco! Łżesz jak z nut i handlujesz kością słoniową. Widziałam skrzynię pełną słoniowych ciosów, do cholery!

– Myli się pani. Jestem biznesmenem, ciężko pracuję w legalnie działającej firmie dla dobra tego kraju. Bintu – zwraca się do jednego z mężczyzn. – Pokaż pani, proszę, nasze produkty.

Szczupły mężczyzna o bardzo czarnej skórze odwraca się do jednego z pracowników i ostrym tonem wydaje mu polecenie. Ten drugi idzie do skrzyń i stawia jedną z nich na podłodze.

Podchodzę, a on zdejmuję pokrywę. Wewnątrz znajduje się warstwa słomy. Odsuwam ją na bok. Pod spodem leżą równo ułożone banany, jeden przy drugim, i ciasno przylegają do siebie.

– Tak jak powiedziałem, jest pani w błędzie – stwierdza Chińczyk. Połyskują szkła jego okularów. – Ale proponuję na siebie uważać. To nie jest bezpieczne miejsce dla takiej kobiety jak pani. Tubylcom nie należy ufać. Czy pani i jej znajomi napijecie się pepsi-coli przed wyjazdem?

– Złożę na pana doniesienie! – krzyczę i odwracam się. Wychodząc, w towarzystwie Clarence’a i Chiki, wyjmuję telefon, wybieram całkiem przypadkowy numer. Tamci wszyscy mnie obserwują, gdy krzyczę do głuchego aparatu. – Czy to biuro prezydenta? Chcę zgłosić grupę przestępczą, proszę powiadomić wojsko!

Niedorzeczne przedstawienie. Czuję się jak aktorka w marnym melodramacie, ale nie rusza mnie to. Najważniejsze, że wydostaniemy się stąd żywi. A ja z całą pewnością złożę na nich doniesienie. Zaraz po powrocie do Oreyi zadzwonię do brytyjskiego konsula i powiem mu o tym miejscu. Już za późno na ukaranie Jeremy’ego, ale jest jeszcze czas na aresztowanie Chińczyka.

Z całą pewnością napędziłam strachu jego pracownikom. Na moje oko byli bardzo zdenerwowani. Wsiadając do taksówki, słyszę podniesione głosy i krzyki.

Clarence uruchamia silnik i szybko odjeżdżamy. Samochód podskakuje na wyboistej, porośniętej trawą drodze. Wystraszyliśmy stado kóz, które rozpierzchły się na boki.

Myślę o Jeremym, który kiedyś zepchnął swój samochód do rzeki. Powiedział potem, że sam nie mógł uwierzyć, że zrobił coś takiego. Tamten postępek pod wpływem impulsu był jednorazowym epizodem wyodrębnionym z jego normalnego życia.

Czuję się w tej chwili tak samo. Kim była ta kobieta, która krzyczała na zgraję kłusowników jak dyrektorka Cheltenham Ladies College? Jestem kompletnie wyczerpana. Nie ma mowy o powrocie do Oreyi dzisiaj wieczorem. Dopiero po zmroku docieramy do Manaku. Musimy zostać w osadzie do rana.

Nie ma w niej nikogo. Gdy zapada ciemność, Afrykańczycy zatapiają się we własnym, ukrytym przed światem życiu. Nad nami rozciąga się rozgwieżdżone niebo. *Przyjemna noc po trzykroć pożądana, by sen rozwiązał członki* – jej niezwykle piękno mnie rozczyła i z oczu płyną mi łzy. Jak wspaniale jest żyć! Jakim nieopisanym cudem jest życie i jakże delikatnym! Ogarnia mnie fala euforii, w jej przypływie mocno przytulam do siebie moich wiernych towarzyszy, Clarence’a i Chikę. Stanowimy dość niezwykłą trójkę, mówiąc ogólnie, ale jesteśmy ze sobą związani na całe życie. Nikt na świecie się nie dowie, co razem przeszliśmy.

Nic dziwnego, że obaj są wstrząśnięci ostatnimi wydarzeniami. Staralam się im wytłumaczyć, o co chodzi ze skrzynią z ciosami, co oznacza masowe kłusownictwo, ale niczego nie przyjmują do wiadomości; bardzo przestraszyli się broni.

Nie mogę rozmawiać z Jeremym – w każdym razie nie teraz. Nie chcę nawet słyszeć jego głosu, jego krasomówczych wyjaśnień i argumentów. Musi się czuć tak samo, bo zniknął w eterze jak utracony sygnał radiowy. *Ty tchórze.*

Chika przynosi kilka butelek piwa i siedzimy w ciemności, racząc się trunkiem. Obaj są pod wrażeniem moich możliwości przyswajania alkoholu i koniecznie chcą wiedzieć, czy wszystkie Angielki są takie. Dość szybko, z powodu pustych żołądków, ogarnia nas przyjemne uczucie rozluźnienia. Chika opowiada o swoich ostatnich klientach, Japończykach, i ich najbardziej dziwacznych żądaniach. Wcale nie jestem zaskoczona. Nadmienia przy okazji, że natura niezbyt hojnie ich obdarzyła. Clarence wkrótce jest tak pijany, że nawet nie kurczy się z przerażenia. Wspiera się na urodziwym chłopcu do wynajęcia i już po chwili chrapie. W ten niezwykły dzień runęły wszelkie bariery – poznaliśmy namacalne efekty globalizacji wspomaganej jasnym piwem marki Lion.

Zjawia się Hassan i zaprasza nas na kolację. Jemy w bardzo skromnej stołówce w jednym z budynków, razem z innymi pomocnikami – Sindy, dwojgiem milczących wegetarian z Norwegii, podstarzałym hipisem ze Scunthorpe i jasnowłosą, młodziutką Francuzką, która dopiero co przyjechała i cierpi z powodu poparzenia słonecznego. Otacza ich aura charakterystyczna dla idealistów i od razu czuję się na ich tle oschła i cyniczna. Hassan był kiedyś bankierem – oto i wyjaśnienie, skąd wziął się range rover – ale porzucił ten zawód i poświęca się działalności charytatywnej. Podobnie jak Jeremy, znalazł się w pewnym momencie swego życia na drodze do Damaszku.

Również w życiu Jeremy’ego naprawdę dokonał się zwrot, akurat w to nie wątpię. Bezsprzecznie uważał, że Zonac postępuje niemoralnie, i dlatego przeszedł na drugą stronę. W którym momencie się sprzedał? Jestem w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach przekonana, że brał udział w tym procederze. Za okularami w złotej oprawie pojawiło się nerwowe mrugnięcie, kiedy wymieniłam jego imię

i nazwisko.

Jemy ciężkostrawną warzywną lasagne. Postanowiłam nie poruszać sprawy dzisiejszego odkrycia i nakazałam Clarence'owi i Chice również o tym nikomu nie wspominać ani słowem. Nie do końca wiem, dlaczego tak postąpiłam. Może dlatego, że nie chcę dotykać ropiejącego wrzodu, którym stał się Jeremy. Może nie chcę wplątywać ich w sprawy, na które nie mają żadnego wpływu. Oni muszą koncentrować się na swojej pracy; ona wymaga wysiłku, zwłaszcza że prawie wszyscy mężczyźni z Kikanda wrócili do buszu. Toczą tu walkę z góry skazaną na porażkę, ale muszą iść swoją drogą, nie tylko ze względu na własne aspiracje, ale też z konieczności zapewnienia funduszy w przyszłości. Hassan zapewne wie o kłusownictwie, ale to jego sprawa, czy powiedział o tym pozostałym czy nie. Nie ulega natomiast wątpliwości, że bezpieczniej jest przymknąć oko. Zrobiłam to, co musiałam, i jutro stąd wyjeżdżam. Clarence śpi w swojej taksówce. Tłumaczyłam mu, że nie jest to najlepszy pomysł. Nasz samochód jest zbyt łatwo rozpoznawalny, a tamci złoczyńcy z pewnością wiedzą, gdzie jesteśmy. Zdałam sobie sprawę, że wrażenie pustki na tych terenach jest iluzoryczne. Okazuje się, że wszędzie tu żyją i polują ludzie, którzy znają każdy centymetr tej ziemi. Są tak samo niewidzialni jak zwierzęta.

Mam wspólny pokój z Francuzką, która ma na imię Marie-Louise. Poruszona opowiada łamaną angielszczyzną o swoich pierwszych wrażeniach z Afryki – ubóstwo, stroje, zachody słońca! Zwraca uwagę na dzieci, które wydają się wyjątkowo radosne w porównaniu z europejskimi, rzadko kiedy słyhać ich płacz. Twierdzi, że nawet smakuje jej *banku* – tutejsza owsianka ze sfermentowanego manioku. Jej ożywienie sprawia, że czuję się jak zgrzybiała staruszka. Nie może się nadziwić, jakie ogromne ciężary tutejsze kobiety noszą na głowach.

– One w taki sposób noszą zakupy – mówi. – *Mon Dieu!* One tak noszą nawet swoje sklepy!

Przychodzi mi na myśl kobieta, którą widziałam na Mera Market. Przemierzała targowisko wzdłuż i wszerz ze sklepem kosmetycznym na głowie. Dokąd podążała i o czym myślała? Dla mnie jej życie jest jedną wielką tajemnicą. Zapewne ma męża. Założę się, że go kocha i nie zadaje sobie żadnych zbędnych pytań. Nie leżą w jej naturze zawile analizy, którym moi przyjaciele i ja poddajemy nasze relacje. Ona nie ma powodów odwiedzać psychiatry. Czy jest z tego powodu szczęśliwsza? A gdyby dokonała fatalnego wyboru, tak jak mnie się to wielokrotnie zdarzało? Czy w języku Ngotów są słowa, którymi dałoby się wyrazić uczucia w takiej sytuacji? Moim zdaniem nie ma. Założę się, że ona po prostu robi to, co do niej należy, najlepiej jak potrafi, tak samo jak dawniej moi przodkowie.

Co jest z kobietami takimi jak ty? – pyta Jeremy. Dlaczego nie możesz mi zaufać? Dlaczego nie możesz po prostu być szczęśliwa? Przecież byliśmy razem szczęśliwi, prawda? Szczęśliwsi niż kiedykolwiek i z którąkolwiek inną osobą.

Jestem w Oreyi przed powrotem Beverley. Ona nie ma pojęcia, gdzie byłam, i nie zamierzam jej o tym mówić. Nie chcę angażować jej w moje zmagania z Jeremym. To jest nasza jedyna wspólna rzecz, którą on i ja zachowaliśmy tylko dla siebie. Bev miała tak wiele, tak bardzo wiele. Z nieposkromionej zazdrości zatrzymam dla siebie tę nieszczęsną tajemnicę; to jest moja boleść i nie chcę się nią z nikim dzielić. A ponad wszystko nie chcę, żeby ona miała powód do zadowolenia, że jej podejrzenia okazały się słuszne. Niestety uważam, że się nie myliła. Każda jej reakcja sprawi mi ból i zrani serce. Na samą myśl o takiej rozmowie robi mi się niedobrze.

Na nią też już nie mogę patrzeć. Po tych dwóch dniach nieobecności, widząc ją znowu, uświadomiłam sobie, jak niewiele mamy wspólnego. Może ona myśli podobnie, ponieważ jest zgryźliwa i rozkojarzona. Przyłapuję ją na tym, że w różnych, najmniej oczekiwanych momentach obserwuje mnie z zaciśniętymi ustami, jakby szykowała jakiś plan, którym chciałaby mnie zaskoczyć. Pamiętam to jej spojrzenie jeszcze ze szkoły.

Od pewnego czasu w ogóle zachowuje się dziwnie. Zaskoczyła mnie po kolacji, gdy stanęła w drzwiach salonu, przebierając palcami.

– Spójrz. – Wyciąga do mnie lewą rękę.

Coś błyszczący na jej środkowym palcu. To pierścionek. Z szafirem i brylantami, mówi. Kupiła go w Cape Town.

– Kosztował fortunę, ale przecież mogę sobie pozwolić na taki luksus, nie uważasz? – Dotyka go i gładzi. Dostrzegam, że ma pomalowane paznokcie na kolor perłoworóżowy. – Pamiętasz mój pierścionek zaręczynowy, który zgubiłam w zeszłym roku? Tamten też miał szafiry, ale drobnutkie, nie takie duże jak ten. – Podnosi głowę i uśmiecha się do mnie szeroko. – To jest prezent dla mnie od Jema. Możesz myśleć, że jestem głupia, ale właśnie tak czuję. W sklepie nawet mu po cichu podziękowałam.

Czuję się nieswojo. Czy to nie dziwne, że jego zaskórniaki poszły na pierścionek? Cóż, równie dziwne jak mój zakup taksówki dla Clarence'a. Bardzo zaskakujące posunięcie jak na Bev.

Ona przygląda mi się z przechyloną głową i uniesionymi brwiami. Pierścionek lśni na jej filigranowej dłoni, wielkości rączki lalki. Czeka.

– Przepiękny – mówię i uśmiecham się do niej.

Jesteśmy na lotnisku. Do odlotu pozostało już niewiele czasu. Bev przyjechała do Afryki z mężem, a wyjeżdża z jego prochami w urnie. Cięży na niej odpowiedzialność za uśmiercenie psów, które obdarzyły ją zaufaniem – postępek, który jej, jako miłośniczce zwierząt, z pewnością leży na sumieniu. Podczas odprawy nie okazuje jednak w żaden sposób smutku z powodu poniesionych strat.

Kiedy jej ostatnia walizka odjeżdża na taśmociąg, Bev jest w zaskakująco doskonałym humorze.

Patrząc na nią, myślę o teorii na temat etapów przeżywania żałoby – wstrząs, gniew, smutek, zaprzeczenie, akceptacja. Bzdura, żałoba nie poddaje się żadnym uporządkowanym regułom. I na tej liście brakuje poczucia wyzwolenia. Podejrzewam, że nawet po długim i szczęśliwym małżeństwie w uszach pobrzmiwa pisk nietoperza. Po latach życia w nie swojej skórze Bev może znów stać się taką osobą, jaką była dawniej, albo kimś zupełnie innym, nowym. Nie karmić sobą każdej komórki swojej rzekomo drugiej połowy – nigdy nie lubiłam tego powiedzenia – nawet jeśli jest nią Jeremy. Może więc ona w głębi duszy czuje ulgę.

Beverley nie jest kobietą, która zastanawia się nad sobą, wątpię więc, żeby ten stan próbowała ubrać w słowa. Gdyby tak było, dręczyłoby ją poczucie winy. Ale niczego takiego po niej nie widać, kiedy odprowadzamy wzrokiem jej walizkę, trumnę Jeremy'ego, znikającą za osłoną tunelu bagażowego. Przez cały czas opowiada o mieszkaniu, które wynajmie w Londynie, i o tym, jak będzie chodzić po sklepach i robić zakupy, dopóki starczy jej sił. Zachwyca się swoimi planami jak młoda dziewczyna. Aż trudno uwierzyć, że ma sześćdziesiąt lat.

I już planuje uroczystość dla upamiętnienia Jeremy'ego. Mówi mi o tym podczas lotu na Heathrow przy lampce nareszcie naprawdę dobrego wina. Uroczystość ma być oczywiście radosna. Jeremy czułby się niepocieszony, gdyby towarzystwo było ponure. Zamierza sporządzić listę jego ulubionych piosenek i wyszukać całą masę starych fotografii z ich wspólnego życia w różnych miejscach na świecie. Czy jej pomogę? Przy tej okazji powrócą nasze dawne wspomnienia.

Myślałam, że moje tortury się skończyły, ale, jak się zdaje, konstrukcja naszych relacji trzyma się mocno i wszystko zaczyna się od nowa. Pograżam się w rozpacz, ale jak mam jej odmówić?

Manak, Ngotolandia

Ciało Wang Leia znaleziono dopiero po wielu dniach. Zauważyli je uczestnicy wycieczki na safari. Nikt nie wie, że był Chińczykiem, ponieważ hieny dobrały się najpierw do twarzy.

Chika dowiaduje się o tym pocztą pantoflową. Niczego nie da się długo utrzymać w tajemnicy, nawet w samym środku pustkowia, bo tym, którzy zamieszkują te pozornie puste obszary, każdy ich skrawek jest znany. Podobno niewiele pozostało też z ciała, ale Chika dodał dwa do dwóch. Jest dość roztargniętym, młodym mężczyzną; najlepszy dowód stanowi to, że radzi sobie w życiu, kierując się własnym rozumem.

Jeden z pracowników wystraszył się Angielki. Krzyczała i odgrażała się, że złoży doniesienie do władz, więc się przeraził. Wang Lei był szefem i w pewnym sensie to on ponosił odpowiedzialność. Być może on i inni rozumowali w taki sposób, jeśli w ogóle się nad czymkolwiek zastanawiali.

Niezależnie od tego, czy został zastrzelony czy zatłuczony na śmierć, i tak nikt nigdy nie dowie się prawdy. Nie będzie też wiadomo, czy rzeczywiście był szefem czy tylko pośrednikiem, trybikiem w maszynie, który przybył na kontrolę z wielkiego miasta. Czy była to niewielka placówka czy może część większej organizacji? Kogo to obchodzi? Życie jest brutalne i dla ludzi, i dla słoni, a zabójca zniknął bez śladu, wrócił do buszu.

Assenonga, Afryka Zachodnia

Podczas lotu do Afryki dziecko śpi prawie przez cały czas. Kobieta, która siedzi w fotelu obok, roztkliwia się nad szczęściem Lorrie, zachwyca się, że ma takiego spokojnego i słodziutkiego dzidziusia. Dziwi się, że małeństwo ma dopiero tydzień.

Lorrie przygląda się niemowlęciu, które ma chińskie rysy i jest jej, chociaż nie jej; w końcu takie małe dzieci są najczęściej podobne do Chińczyków. Dziecko śpi spokojnie, ale kto wie, co je czeka na tej planecie, ponad którą lecą w ciemności. Lorrie podnosi żaluzję na parę centymetrów i widzi krwistoczerwone niebo, ponieważ czas przesunął się o kilka godzin do przodu. Budzi się nowy dzień i osiem godzin z przyszłości jej dziecka umknęło bezpowrotnie.

Desperacja popycha ludzi do najśmielszych działań, a Lorrie jest zdesperowana. Musi odnaleźć pana Wang Leia. Dlaczego się nie pojawił i czemu nie odpowiada na jej e-maile? On nie może się teraz wycofać. Todd wraca do domu za cztery dni, a tymczasem jej szalony plan rozsypał się w drobny mak. Wyobrażała sobie różne niepomyślne scenariusze, ale nie taki.

Może Wang Lei zachorował i leży w szpitalu, bo zaraził się malarią lub jakąś inną mało znaną chorobą afrykańską. Jest zbyt słaby i nie może się z nią skontaktować. Może jego żona przyleciała do niego z Pekinu, żeby być przy nim. Albo może on poleciał do Pekinu po żonę, bo chcą razem odebrać swoje dziecko w Teksasie. Ale jeśli tak jest, to dlaczego nie powiadomił Lorrie albo kliniki o zmianie planu? Do tej pory za każdym razem szybko odpowiadał na jej e-maile, ale od kiedy wysłała mu wiadomość o narodzinach dziecka, nie odezwał się ani słowem.

Lorrie skłamała w klinice. Powiedziała tam, że pan Wang Lei trochę się spóźni, ale niebawem przyjedzie po dziecko i wtedy podpisze dokumenty. Będą domagać się od niego zapłaty.

Również ona oczywiście będzie jej żądać, i to pilnie. Co on kombinuje? To obcy człowiek, Chińczyk. Lorrie nie ma pojęcia, jakimi motywami się kieruje. Gdyby tylko mogła napisać do jego żony, ale ta pani zawsze korzystała z adresu męża, więc Lorrie nie wie, jak się teraz z nią porozumieć bezpośrednio.

Oczywiście, że jest rozgniewana na pana Wang Leia, chociaż w większym stopniu dezorientowana i bardzo, bardzo przestraszona. Leci na nieznaną kontynent – ona, która tylko raz opuściła Stany, kiedy wybrali się na wakacje do Acapulco – z misją z dużym prawdopodobieństwem skazaną na niepowodzenie. A jeśli sprawy rzeczywiście przybiorą taki obrót, runie jej małżeństwo i w gruzach legnie przyszłość jej dzieci. Takiej ewentualności nawet do siebie nie dopuszcza. Ale niebezpieczeństwo istnieje. Musi trzymać nerwy na wodzy.

Lorrie wciąż mocno krwawi – czy krew przesiąka na fotel? Czuje ból w okolicy szwów. W ramionach trzyma tę maleńką istotkę, która jest całkowicie od niej zależna i bezwzględnie potrzebuje jej opieki, ona natomiast nie może się do niej przyzwyczajać, choć oczywiście bardzo ją kocha. Jest przecież matką tego dziecka, nosiła je przez dziewięć miesięcy i z rozdzierającym bólem wydała na świat. W dodatku do tej pory nie ma ono nikogo innego, kto by się nim zaopiekował. *Mój skarbie, kruszynko moja, jaki początek cię spotyka?* – myśli Lorrie.

Ma tylko adres firmy pana Wang Leia w Assenondze, dużym mieście w Afryce Zachodniej. Pod tym adresem przebywa on przez znaczną część roku i tam powinien być w czasie, gdy urodziło się dziecko. Niewątpliwie w klinice mają jego numer telefonu w Pekinie, ale Lorrie nie odważyła się z nimi skontaktować przed wyjazdem z kraju, żeby nie budzić podejrzeń, że nastąpiły komplikacje. A właśnie tak się stało, i to na skalę przekraczającą jej wszelkie wyobrażenia. Musi bezwzględnie starać się nad sobą panować.

W tej chwili znajduje się w hali przylotów, gdzie zмага się z dzieckiem, wózkiem dziecięcym, torbami pełnymi butelek, pieluch i wszelkich innych akcesoriów, których w ogóle nie zamierzała kupować. Nieoczekiwanie w ciągu ostatnich kilku dni stała się matką w pełnym tego słowa znaczeniu; musi nadążyć sama za sobą.

Uprzejmy nieznajomy pomógł jej zdjąć walizkę z karuzeli bagażowej. Jest potężny, czarnoskóry. Wystarczyło zaledwie kilka godzin i Lorrie stanęła na innym kontynencie. Znalazła się w Afryce, w otoczeniu Afrykańczyków, którzy taszczą olbrzymie torby pooklejane taśmą maskującą. Panuje tu ogłuszający hałas. Po czasie rozłąki witają się członkowie rodzin, obejmują się nawzajem i radośnie pokrzykują, dzieci przytulają się do nóg matek. Wszędzie stoją mężczyźni w mundurach i z karabinami w dłoniach.

Gdyby Todd był tutaj razem z nią! O wszystko by się zatroszczył, tak jak zawsze. On nie tylko jest jej mężem, ale też żołnierzem, dużo podróżował po świecie. Miał do czynienia z większym niebezpieczeństwem niż to, w którym ona się znalazła. Ale Lorrie jest sama. Nie wie, jakim językiem się tutaj mówi, kompletnie nie ma pojęcia o niczym.

Dziecko zaczyna płakać. Jeden z żołnierzy mamrocze do mikrofonu walkie-talkie. Lorrie stoi w ogromnej, niezwykle akustycznej hali, serce omal nie wyskoczy jej z piersi. Wciąż jeszcze znajduje się w miejscu, w którym nie czuje się aż tak bardzo obco, ponieważ na lotnisku jest odgradzona od świata zewnętrznego, ma dostęp do toalety, możliwość wymiany pieniędzy i rozumie komunikaty podawane w języku angielskim. Nic jej tutaj nie grozi, jeszcze nie.

Ale wcześniej czy później będzie musiała opuścić to miejsce, zrobić krok w nieznaną, nie mając nawet kawałka papieru, na którym znalazłaby pomocne

wskazówki.

Assenonga, Afryka Zachodnia

Li Jing siedzi w mieszkaniu swego zmarłego męża. W ogóle nie potrafiła sobie wyobrazić jego życia w Afryce, a teraz przyjechała do Assenongi, do jego domu, który miał z dala od ich domu, i stwierdziła, że niewiele jest w nim śladów jego bytności. Owszem, w szafie wiszą jego ubrania, na krześle leży stos świeżo wypranych koszul, na biurku stoi popielniczka pełna niedopałków, a obok leży kilka porzuconych monet, ale te pomieszczenia nie mają charakteru. Mieszkanie firmowe, wynajmowane w apartamentowcu, jest bardzo skromnie wyposażone – telewizor, kanapa, stół, cztery plastikowe krzesła – i bez wątpienia niczym nie różni się od wielu służbowych mieszkań znajdujących się w tej czy innej części tego zdumiewającego, gorącego miasta.

Policjanci pojawili się i zniknęli. Ich dowódca powiedział, że wrócą jutro rano. Powiedział też, że nie ma pojęcia, dlaczego ciało jej męża zostało znalezione około trzystu kilometrów stąd w samym sercu buszu, ale w tej sprawie toczy się szczegółowe dochodzenie.

Na całe szczęście przyjechała z nią Danielle. Jing nie zdołałaby sama sobie z tym wszystkim poradzić. Spodziewała się, że zjawią się współpracownicy jej męża i zaoferują pomoc, ale nie wie, kim oni są; zupełnie nic o nich nie wie. Do tej pory jedyną osobą, która jej pomogła, był pracownik chińskiej ambasady. Zapewniał ją, że dokłada wszelkich starań, żeby ustalić, gdzie mieści się biuro jej męża. Okazuje się, że nie jest to łatwe. Jing właściwie nie może mu podać żadnych informacji, wie tylko, że jej mąż prowadził działalność eksportową. Może w ogóle nie miał biura i pracował w mieszkaniu. Jej niewiedza jest upokarzająca. Wynika z wygodnictwa czy ze strachu?

Nie, chodzi o znacznie więcej. Zaskoczona uświadamia sobie wyraźnie: *Mąż trzymał mnie w zamkniętym pudełku. Słowa krążą jej w kółko po głowie. Nic nie wiem, ale to nie jest moja wina. Trzymał mnie w swojej marmurowej szkatułce i wcale nie musiał bandażować mi stóp; niewola jawnie nie rzuciła się w oczy. Czy tak jest w porządku? Akurat to niewiele ją obchodzi. Chciał mieć prostą, wiejską dziewczynę, którą mógłby pod każdym względem kontrolować. Miał bzika na punkcie kontroli! Nawet sobie z tego nie zdawałam sprawy, aż do teraz. Kontrolował moje maile. W tajemnicy kupił letni dom. Załatwił matkę zastępczą, która miała urodzić nam dziecko. „Zostaw to mnie”, powiedział.*

Zastanawia się, co się stało z dzieckiem. Czy już się urodziło? Tego też Jing nie wie. W ciągu ostatnich kilku dni w jej życiu panował okropny chaos. Komputer Leia zniknął, a ona nie ma możliwości niczego się dowiedzieć. Naprawdę jest głupia. Może mąż miał ją za nic, ale on już nie żyje.

Li Jing siedzi w tym nijakim mieszkaniu, które wypełnia szum

klimatyzatora. Od przyjazdu dwa dni temu nastąpiła w niej zaskakująca metamorfoza. Spodziewała się, że pograży się w głębokim smutku, a tymczasem wyjście na świat skąpany w afrykańskim słońcu miało odwrotny skutek. Marzący zimowy smog w Pekinie zniknął, a wraz z nim jej przygnębienie.

Jest wolna.

Dlaczego nie obwinia się z tego powodu? Przeciwnie, czuje się wyzwolona. Może to wynik wstrząsu. Kto wie, być może jutro jej uczucia całkowicie się zmienią. Koniecznie musi o tym powiedzieć Danielle. Nawet jej cyniczna przyjaciółka, który nie znosiła Leia, będzie porażona.

Zwłaszcza że Lei nie tylko nie żyje, ale został brutalnie zamordowany. Znaleziono pocisk w jego ciele, które wciąż znajduje się w policyjnej kostnicy. Co robił sam na pustkowiu? Na czym dokładnie polegała jego praca? Jing pamięta rozmowy telefoniczne prowadzone półgłosem. Powiązania z siecią potężnych interesów. Przyniosły mu fortunę, nie ulega wątpliwości.

Trzymał mnie w pudełku, żeby mnie chronić. Może taki był powód.

Musi o nim myśleć jak najlepiej; biedny człowiek nie żyje.

Brzęczy jej telefon komórkowy. Li Jing się wzdryga.

– Hej, skarbie, przyjdiesz niedługo? – dzwoni Danielle z hotelu. – Wysłać po ciebie taksówkę? Zarezerwowałam dla nas sesję w spa: peeling całego ciała, cytrusowy detoks, ćwiczenia. Musisz sobie dogadzać, kochanie.

Jing postanowiła zostać w mieszkaniu, mając nadzieję, że gdy Danielle sobie pójdzie, otworzą się śluzy i poczuje zalewający żal, jak każda żona po śmierci męża. Nic się jednak nie zmienia, wciąż nie ogarnia jej smutek. *Nigdy go nie kochałam.*

– Co powiedziałaś? – pyta Danielle.

– Nic – odpowiada Jing. – Nie martw się. Mogę przyjść do hotelu. Stąd nie jest daleko.

– Może i nie, ale czy jest bezpiecznie?

– Myślisz, że pożre mnie lew?

Są w dzielnicy handlowej – z hotelami, budynkami biurowymi – w pobliżu lotniska. Mogłyby znajdować się w Pekinie albo w każdym innym, dowolnie wybranym miejscu na świecie.

– Nie wygłupiaj się – oburza się Danielle. – To Afryka, kochanie. I nie lwy stanowią tu problem, tylko pomyleni ludzie. Rudi uważa, że powinniśmy wynająć ochroniarza. – Rudi, jej mąż, wiele podróżował po świecie i niejedno wie. Telefonuje do nich często, odkąd tu przyjechały, żeby sprawdzić, czy wszystko jest w porządku. – Ten kraj ma jeden z najwyższych wskaźników przestępczości na Ziemi.

Jing myśli: *Może chciał mnie mieć pod kontrolą dlatego, że sam był taki niedowartościowany. Nigdy nie powiem o tym nikomu, nawet Danielle. Owszem,*

byłam dziewicą, ale wiem, jak to się powinno odbywać. Nie jakieś tam nieudolne szturchnięcie i porażka; zwiotczały, ledwie wilgotny pręcik. Oblewa się rumieńcem, nawet myśląc w ten sposób. Ale teraz może śmiało przyznać, że właśnie tak było naprawdę. Pewnego dnia jeszcze spotkam mężczyznę, który mnie zadowoli.

– Jesteś tam, laleczko? – pyta Danielle.

– Tak, jestem.

– Martwię się o ciebie. Bardzo długo nie wracasz.

– Naprawdę niepotrzebnie.

– Słuchaj, już po ciebie idę.

– Nie, nie trzeba. Zaraz się stąd zbieram.

Właśnie wtedy ktoś dzwoni do drzwi.

Jing zamiera. Wyłącza telefon komórkowy.

Dzwonek rozlega się ponownie.

Mój mąż został zamordowany. Dopiero teraz dociera to do jej świadomości – teraz naprawdę rozumie. Lei był zaangażowany w działalność przestępczą, oczywiście, że tak... Dlaczego nigdy jej nie powiedział, czym się zajmuje? Jedno z drugim się składa. Powinna była dawno to sobie poukładać, ale wciąż brakowało jej odwagi, żeby luźne myśli ubrać w słowa. Głupota... zaślepienie... instynkt samozachowawczy... Niezależnie od tego, jakiego wytłumaczenia będzie szukać, jedno jest pewne: do tej pory żyła w świecie fantazji.

Jak mogła być do tego stopnia nieświadoma? Co sobie myślała o pochodzeniu pieniędzy? Ci ludzie, kimkolwiek są, wytropili go, a teraz przychodzą po nią. Wiedzą, że jest tutaj i siedzi skulona na kanapie.

Jing obficie się poci. Sięga po telefon. Trzęsą się jej ręce. Do kogo może zadzwonić? Na policję? Pod jaki numer?

Dziwne, że nagle czas tak zwolnił. Siedzi, ściska w dłoni telefon i obserwuje, jak przygasa ekran. Za oknem niebo przybrało szkarłatną barwę. W apartamentowcu naprzeciwko zapaliły się światła. Czy tak się czuł jej mąż, zanim umarł? Czy pomyślał, że jego życie nie było poukładane? Czy przesuwwały mu się błyskawicznie przed oczami wyraziste wspomnienia, a ciało wydawało się ciężkie jak ołów?

Jing widzi czaple brodzące w strumieniu, swoją babcię przywołującą kury.

Dwa żółte ptaki śpiewają na zielonej wierzbie.

Żurawie wzbijają się i lecą kluczem w stronę błękitnego nieba.

Wyglądam przez okno

Śnieg na zachodnich zboczach gór leży od tysięcy lat...

To będzie ostatni widok, który stanie jej przed oczami, i ostatnie słowa, które zabrzmiały jej w uszach. Musi się skoncentrować na ich pięknie, każdą cząstką

swego ciała. Teraz ktoś głośno puka do drzwi.

Jing zeskakuje z kanapy i pędzi do łazienki. Zamyka za sobą drzwi i stoi przyciśnięta do nich, serce wali jej jak młotem. Jest ciemno, nie ma tu okna. Jeżeli pozostanie w łazience i będzie się zachowywać cicho, to tamci może sobie pójdą. Ale gdyby było inaczej? Co mogą z nią zrobić? Zupełnie nie wie, co ma myśleć.

Nogi się pod nią uginają i osuwa się na podłogę. Widziała takie sceny na filmach, aktorzy osuwają się po ścianie w taki sposób. Gram w filmie, to wszystko tutaj nie dzieje się naprawdę. Jestem aktorką, ci na zewnątrz też odtwarzają swoje role!

Zmoczyła się. Niestety nie jest to film, lecz przerażająca rzeczywistość.

Nagle poczuła gwałtowny przypływ gniewu. Jak Lei mógł doprowadzić do tego, żeby ona znalazła się w takiej sytuacji? Po co mu było aż tyle pieniędzy? Byłaby szczęśliwsza, gdyby żyli skromnie. Nienawidzi ich mieszkania pod chmurami, w którym żyje jak w klatce, bez przyjaciół. Jej matka zamieniła się w potwora. Pieniądze sprowadziły na nich wyłącznie nieszczęście, a teraz ona sama tu umrze.

Jing nie wie, jak długo siedzi skurczona na podłodze. Czas to przyspiesza, to znów zatrzymuje się w miejscu. Wstrzymuje oddech, nasłuchuje, czy z pokoju dobiegają jakieś odgłosy.

Wszędzie cisza, którą zakłóca jedynie szum klimatyzatora. W końcu powoli wstaje, bardzo ostrożnie otwiera drzwi.

W salonie panuje mrok. Zapadł zmierzch. Widzi jednak nawet w ciemności, że pokój jest pusty. Zagląda do sypialni. Tam też nic się nie wydarzyło.

Nie ma odwagi włączyć światła. Jeszcze nie w tej chwili. Bierze głęboki oddech, podchodzi do drzwi wejściowych i je uchyla.

Na korytarzu nikogo nie widać. Ten, kto pukał, już sobie poszedł. Może było tu kilka osób, być może jeszcze wróca. Musi znaleźć torebkę i jak najszybciej stąd uciekać.

Właśnie wtedy dostrzega, że coś leży na podłodze.

To dziecięca czapeczka. Małeńka, bawełniana dziecięca czapeczka.

Zdziwiona Jing ją podnosi. Cofa się do mieszkania i widzi, że na podłodze leży kawałek papieru. Ktoś pewnie wsunął go pod drzwiami.

Podnosi go i włącza światło. Czyta krótki list napisany ołówkiem.

Szanowny Panie Wang Lei, proszę o pilny kontakt. Przywiozłam Panu Waszą córkę. Mieszkam w Novotelu, ul. Nelsona Mandeli, pokój 114. Lorelei Russell.

Część trzecia

Marlborough, Anglia

Uroczystość poświęcona pamięci Jeremy'ego odbywa się w hotelu Swan, w Marlborough. To rodzinne miasto Jeremy'ego jest dla mnie miejscem równie obcym jak Afryka. Znalazłam się w zakrzywieniu czasoprzestrzeni. Aż trudno uwierzyć, że te dystyngowane, podstarzałe damule z Partii Niepodległości Zjednoczonego Królestwa i ci pułkownicy o fioletowobrazowych twarzach są w moim wieku. Czyżby rzeczywiście przeżyli lata siedemdziesiąte w stanie tak przekomicznie niezmienionym? Niektórzy z tych starych ramoli mają jednak w sobie coś z Jeremy'ego. Nie mojego Jeremy'ego, ale tego, którego kiedyś znałam, w czasach jego triumpha staga. Ich wygląd sprawia, że on wydaje się ode mnie oddzielony – on zdecydowanie jest ode mnie oddzielony. Dzisiejszy dzień w żaden sposób nie wiąże się z nami, to znaczy ze mną i z nim.

Mimo to miałam swój udział w organizacji tej uroczystości. Bev położyła mi na kolanach stertę albumów i przysiadła na poręczy fotela, przytuliła się do mnie i przewracając kolejne karty, pokazywała różne zdjęcia. Niektóre albumy należą do jego matki i są w nich fotografie Jeremy'ego z dzieciństwa. Wywołują we mnie wzruszenie, ale nie kłują w serce jak sztylet tak jak te późniejsze, na przykład ze ślubu z Bev, które kompletowała bardzo skrupulatnie, najpierw jako zwykłe zdjęcia, a potem przeniosła na swój komputer. Twierdzi, że mają dla niej terapeutyczną moc, są częścią przeżywania żałoby.

Najdziwniejsze jest to, że zapomniała, że on był ostatnim draniem – mordercą słoni i oszustem, który dopuścił się zdrady małżeńskiej. Już dawno się zorientowałam, że Beverley jest fantastką, ale to jej obecne samooszukiwanie się aż mi zapiera dech w piersiach. Ona najwyraźniej stworzyła siebie na nowo. Występuje w roli organizatorki imprezy, wdowy w żałobnym stroju z woalką, i przygotowuje się do przedstawienia przed publicznością – widowiska, podczas którego będą śmiech i łzy, i trochę dobrej muzyki, ulubione melodie z ich wspólnego życia. Nikomu nie powiedziała prawdy i na mnie wymogła przyrzeczenie, że zachowam ją w tajemnicy. Ten dzień poświęcony jest Jeremy'emu, a ona mu zafunduje niezapomniane pożegnanie. Innymi słowy, jej cyrkularze zostaną niebawem zaprezentowane na scenie.

Od naszego powrotu do Anglii minęło sześć miesięcy. Szczerze przyznam, że Beverley wcale nie musiała mnie nakłaniać do trzymania buzi na kłódkę. I tak nie powiedziałabym nikomu ani słowa ze wstydu. Moje dzieci i kilkoro przyjaciół, którzy wiedzą o moim romansie, bardzo mi współczują z powodu straty, a ja nie chcę wyznać im prawdy. Przyznanie się do tak spektakularnej klęski i konfrontacja z ich reakcją byłyby zbyt upokarzające. Więc jeszcze raz Beverley i ja zostałyśmy ze sobą związane. Jeremy jest naszym małym, wstydliwym sekretem.

Mimo to nieczęsto się z nią widywałam przez te miesiące. Dużo pracuję, jestem zajęta tworzeniem biblioteki obrazów w internecie. Czasem mija wiele dni, kiedy w ogóle o niej nie myślę. Oprócz spraw związanych z organizacją uroczystości upamiętniającej Jeremy'ego, cateringiem, listą gości i tak dalej, nie kontaktowałyśmy się ze sobą i każda z nas powróciła do swego odrębnego życia. Przypuszczam, że ona ma mnie tak samo dość jak ja jej. Ale jest coś, co jeszcze czai się pod spodem: a mianowicie niechęć – nawet wrogość – która pojawia się, gdy ludzie są ze sobą zbyt często i zbyt blisko. W relacjach erotycznych między partnerami takiego uczucia się nie spotyka.

Przytrafiła mi się też choroba. Początkowo uaktywnił się jakiś pasożyt, który zwałił mnie z nóg, dokuczały mi wymioty i bóle brzucha. Przeszłam badania w szpitalu chorób tropikalnych, ale niczego szczególnego nie wykryto. Potem zaczęłam odczuwać ból w kolanach. Znacznie pogorszył mi się wzrok i musiałam zmienić okulary na silniejsze. Wyglądało to tak, jakby moje ciało trzymało się w ryzach dla Jeremy'ego, w swoim ostatnim zryw, a gdy on odszedł, poddało się starości. Naprawdę zaczęłam wyraźnie ją odczuwać.

Oprócz tego bardzo tęsknię za Jeremym. W najlepszym wypadku tęsknota objawia się w postaci przewlekłego bólu, jak przy zapaleniu stawów. W najgorszym ogarnia mnie rozdzierająca samotność. Muszę się wtedy napić do nieprzytomności, połknąć dwa diazepamy i zagrzebać pod kołdrą, szlochając z rozpacz, zwinięta w kłębek.

Przez ostatnie miesiące zaszła zaskakująca zmiana. Udało mi się oddzielić moją miłość od przestępstwa, które popełnił. Może tak się dzieje z dziewczynami gangsterów. Próbowałam nawet szukać dla niego usprawiedliwienia. Bardzo potrzebował pieniędzy na ratowanie swojej organizacji charytatywnej. Zależało mu na wspieraniu plemienia Kikanda, choć potępiał ich czyny. Wplątał się w ten proceder wbrew własnej woli i starał się go powstrzymać.

Żałosne, prawda? I dzwoniłam do Bev, ulegając własnym złudzeniom.

Teraz jestem tutaj, w Marlborough, w słoneczny sierpniowy dzień. Dołączyłam do stu pięćdziesięciu innych osób, które przybyły na uroczystość pożegnalną. Jestem zdumiona tak licznym gronem gości, tym bardziej że Jeremy większą część życia spędził za granicą. Przylecieli z różnych stron świata, dając świadectwo interesującemu zjawisku, że znajomi potrafią się zmobilizować do przyjazdu z najdalszych krańców kuli ziemskiej na uroczystość poświęconą przyjacielowi tylko wtedy, kiedy jego już nie ma. Ale Jeremy był dość popularny. *Był wyjątkowy i bardzo lubiany*, mówi ktoś przyciszonym głosem. Nie rzucam się w oczy w tym tłumie, który zgromadził się w holu. W końcu jestem tylko dawną współlokatorką żony.

Przyjechała też matka Bev, stara hetera, która choruje na raka płuc. Była, jak powiedzieliby moi rodzice, posługaczką i ubóstwiała Jeremy'ego, ponieważ

wyróżniał się dobrymi manierami. Matka Jeremy'ego natomiast gardziła Bev ze względu na jej pospolitość; również jest tutaj, siedzi z opuszczoną głową na wózku inwalidzkim popychanym przez korpulentną Filipinkę. Towarzyszy jej brat Jeremy'ego, zasuszony adwokat z Fife. On też nie lubi Bev, ale teraz pochyla się nad nią i całuje ją w policzek.

Oczywiście Bev znajduje się w centrum uwagi. Tracę ją z oczu, gdy zanurza się w objęciach znajomych. To jest jej chwila i skwapliwie z niej korzysta. Wiem, że brzmi to nieprzyjemnie, ale Bev zachowuje się wyjątkowo nienaturalnie. Całe przedpołudnie spędziła w gabinecie fryzjersko-kosmetycznym, robiła sobie fryzurę i makijaż, i zabieg z botoksu. Wynikiem tych starań jest wygląd lalki w dodatku nie z tej epoki; kasztanowe, błyszczące włosy uczesane na boba, jak dawniej, jeszcze w czasach Pimlico. Największym zaskoczeniem jest jednak jej sukienka, niezwykle kolorowa w odcieniach czerwieni i pomarańcza z bufiastymi rękawami – zbyt młodzieńcza jak dla niej, za bardzo w stylu Debbie Reynolds.

Właściwie nic w tym złego, ale obserwuję ją uważnie. Chociaż ścisza w dłoni chusteczkę, wcale nie wygląda na osobę w żałobie, raczej przeciwnie. Jest podekscytowana – wręcz podminowana – gdy unosi głowę i nadstawia policzek do pocałowania. Takie uroczystości oczywiście mogą mieć zaskakująco optymistyczny charakter, ale w jej spojrzeniu widać przebiegłość i satysfakcję, jakby miała w zanadrzu tajemnicę, którą zaskoczy swoich gości. Znam to jej spojrzenie z przeszłości. Kiedyś byłyśmy siostrami krwi i dzisiaj znów połączyła nas dawna więź, ponieważ jestem jedyną osobą, która zna tę tajemnicę. Przyznam, że z niecierpliwością czekam na wystąpienie Bev. Jak dobrą jest aktorką? Czy przez ostatnie miesiące udało się jej wymazać ze świadomości przestępstwa męża i przywrócić swemu małżeństwu dawną świetność? Tę opisywaną w blogach, które – jak sama się przekonałam – były co najmniej w połowie fikcją.

To prawda, jestem zgorzkniała, ale z trudem znoszę ten wręcz fizyczny ból. Spodziewałam się, że dzisiejsza uroczystość będzie bolesna, ale nie sądziłam, że do tego stopnia będę się czuła wykluczona. Zasługuję na politowanie, bo usiłuję odzyskać Jeremy'ego z jego własnej historii. Nasz krótki związek pograża się w tej masie nieznajomych ludzi, których relacje z nim, w oczach jego otoczenia, wydają się o wiele bardziej znaczące niż ta, która istniała między nami.

Nagle czuję nieodpartą potrzebę ukarania tych ludzi. Obserwuję ich, jak zapełniają salę „Kwiatów Bzu”, ściskając w dłoniach kartoniki wspominkowe, i wyobrażam sobie siebie przepychającą się w kierunku podium, na które wchodzę i ogłaszam: „Jestem Petra Samson, kochanka Jeremy'ego, miłość jego życia!”. Niech to szlag trafi, idę na całość. „Zebraliśmy się tu, żeby uhonorować życie i dorobek Jeremy'ego. Zacznę od wyrażenia szacunku dla jego wkładu, którym przyczynił się do nieuchronnego wyginięcia słoni afrykańskich”.

Bev szuka mnie wzrokiem wśród gości i w pewnej chwili nasze oczy się

spotykają. W naszych spojrzeniach jest wyraźny błysk porozumienia. Współudział? Strach? Bezsensownie daję jej porozumiewawczy znak uniesionym kciukiem. Dlaczego, u licha, to zrobiłam? Gości wciąż przybywa. Dostrzegam Madeleine, która chodziła z nami do klasy. O mój Boże, jest starą kobietą, która wspiera się na lasce! Może przeszła operację stawu biodrowego. Kto wie, czy widząc mnie, nie pomyślała podobnie? „Nie, ta wychudzona przezroczysta jak duch jędrza nie może być Petrą!”

Z głośników płynie ulubiona piosenka Jeremy’ego – *Let’s Face the Music and Dance*. Ale tak nie zrobił. On się wymknął i zamknął za sobą drzwi. Opuścił nas, pozostawiając z naszym dalszym życiem.

Mogę sobie pozwolić na płacz. Nikt na mnie nie patrzy; zresztą uroczystość dopiero się zaczęła i przyjdzie też czas na łzy innych. Szukając chusteczki do nosa, chwiejnym krokiem wychodzę do holu i korytarzem podążam do damskiej toalety.

Na szczęście nie ma w niej nikogo. Wchodzę do kabiny, zamykam drzwi i siadam na sedesie. Nie będę w stanie wytrzymać na sali. Uspokoję się trochę, przestanę płakać, wyjdę stąd i pojedę do domu. Nikt nawet nie zauważy mojej nieobecności.

Nagle zaskrzypiały drzwi i ktoś wszedł do toalety. Przystaję szlochać i wstrzymuję oddech. Nie wiem, kim jest ta osoba, ale nie wchodzi do kabiny. Nic nie przerywa ciszy. Może stoi przed lustrem i poprawia makijaż.

Wtedy słyszę głos Beverley. Przez chwilę wydaje mi się, że ona mówi do mnie, ale szybko stwierdzam, że rozmawia przez telefon.

– Cześć, chcę tylko potwierdzić nasze spotkanie wieczorem... Doskonale, Pizza Express, o ósmej... Poznasz mnie na podstawie zdjęcia, będę w zielonej sukience w paski, a ty? No, no! Już mi się podoba. Mężczyzna w kurtce rowerzysty... A tak na marginesie, kiedyś miałam rower, hondę 125. Przemykałam na niej przez miasto na przesłuchania... Proszę? Nie, tylko epizody, w czasach mojej zmarnowanej młodości. – Śmieje się. Jej głos jest spokojny i pogodny. – Proszę? Nie, jestem w Birmingham, na konferencji, ale wrócę do wieczora. Do zobaczenia... Paaa!

Zapada cisza. Ona się nie porusza. Ja też nie.

– Kto tu jest? – pyta obojętnym głosem.

Pewnie zauważyła zamknięte drzwi.

Nie ruszam się z miejsca. Krew odpływa mi z twarzy.

O mój Boże. Mój Boże. Jaka ja byłam głupia. Bardzo, bardzo głupia.

– Halo? – zagaduje.

Ona stąd nie wyjdzie, jeśli nie otworzę drzwi.

– Halo?

To ma sens. Dopiero teraz uświadamiam sobie prawdę. Potrzebowałam na to aż sześciu miesięcy, ale ja jestem ograniczona. Zawsze wiedziałam, że ona

kłamie. Ta rozmowa przez telefon wcale mnie nie dziwi.

Oto jej kolejne kłamstwo. Piramidalne. Kłamstwo na temat Jeremy'ego.

Wszystkie elementy składają się w logiczną całość. Rysuje się dramatyczny, nieuchronny obraz całej tej sprawy. Jak mogłam się nie zorientować, choć to było tak oczywiste? Byłam kompletnie zaślepiona.

Słyszę stukot jej obcasów na marmurowej posadzce. Podeszła blisko i przystanąła. Słyszę jej oddech.

Wstaję i otwieram drzwi.

– Ach, to ty – mówi.

Jeśli jest zaniepokojona, to w żaden sposób tego nie okazuje. Uśmiecha się do mnie szeroko i zgina łokieć, dając mi do zrozumienia, żebym wzięła ją pod rękę.

– Idziemy tam? – pyta.

Nie ruszam się z miejsca.

– Jak to zrobiłaś?

– Ale co zrobiłam, kwiatuszku?

– Jak go zabiłaś?

Przez chwilę nie odpowiada. Patrzy na mnie z przechyloną głową i uniesionymi brwiami.

Z kranu cieknie woda, kap, kap, kropla za kroplą kapie do umywalki.

– Ja miałabym go zabić?

– Nawet nie jestem zaskoczona – mówię. – Po tym, jak sama się przekonałam o twojej miłości do zwierząt.

– O co ci chodzi?

– O to, że zapewne była to dla ciebie najstraszniejsza rzecz. Jezu, właściwie sama chciałam go zabić. Ale co ty czułaś, kiedy się dowiedziałas, czego się dopuścił? Prawdopodobnie była to najgorsza zbrodnia, jaka komukolwiek mogła przyjść do głowy.

Bev coraz szerzej otwiera oczy ze zdumienia. Nagle wybucha śmiechem. Skrzekliwym, histerycznym śmiechem.

– I ty uważasz, że to z tego powodu?

– Oczywiście. Zrobiłaś to z powodu słoni.

Bev nie może się opanować. Wspiera się na umywalce, łzy płyną jej po twarzy.

– Mam gdzieś twoje słonie! – krzyczy.

Zapada cisza. Zupełnie nie rozumiem, o co jej teraz chodzi. Patrzy na mnie i przechyla głowę. Przestaje się śmiać tak nagle, jak zaczęła. Z daleka słyszę przytłumione głosy. Bev wyciera oczy, tusz do rzęs rozmazał się jej po twarzy.

– To przez ciebie, ty głupia jędzio – wyrzuca z siebie. – Zabiłam go z twojego powodu.

Nie spuszczam z niej wzroku.

– Myślałaś, że pozwolę ci go sobie odebrać?

Otwierają się drzwi i do toalety wbiega kobieta. To Janet, jej szwagierka.

– Tutaj jesteś! – woła. – Chodź, kochanie, wszyscy na ciebie czekają.

Bierze Bev za rękę i prowadzi ją do drzwi. Bev, podążając za nią, spogląda na mnie przez ramię spod uniesionych brwi.

W sali „Kwiatów Bzu” jest tłoczno. Na ekranie wyświetlają się zdjęcia, migawki z przeszłości; od początku do końca i znów od początku, pętla się zamyka. Jeremy w stroju pletwonurka i z pełnym wyposażeniem, okrągły i lśniący jak mors... Jeremy z bratem Malcolmem, mali chłopcy na plaży... Jeremy i Bev w dniu ślubu. On szczupły, w aksamitnym garniturze i w koszuli z żabotem, wygląda jak konferansjer na statku wycieczkowym.

Na podium staje handlowiec uwędzony na słońcu, zatwardziały palacz, który zalicza sześćdziesiąt papierosów dziennie, i opowiada nam o swojej przyjaźni z Jeremym w czasach, kiedy razem pracowali w Hongkongu. Tylko jeden taki jak on zdarza się na milion ludzi, niech go Bóg błogosławi – mówi. Dusza towarzystwa, wielki człowiek, wielkie serce. Ci, którzy go ukształtowali, wykroczyli poza standardy. Opowiada o słabości Jeremy’ego do szybkich samochodów i kończy historyjką z jego wieczoru kawalerskiego, która zostaje przyjęta w milczeniu.

Po nim na scenę wchodzi młoda kobieta i ma kłopot z mikrofonem. Jej głos najpierw grzmi na całą salę, a po chwili gubi się w trzaskach i zgrzytach. Wygląda na to, że pomagała Jeremy’emu w prowadzeniu organizacji charytatywnej, kiedy ta dopiero powstawała. Był niezwykle sympatyczny i hojny, mówi. Traktował mnie jak własną córkę. Mówi o pozyskiwaniu funduszy, o tym, jak potrafił wyczarować pieniądze z kamienia, i opowiada żartobliwie o zbieraniu niepotrzebnych książek, które przybyły z Biblioteki Głównej w Filadelfii jako dar, który trzeba było odhaczyć na liście zrealizowanych celów jakiejś dotacji, a potem wybucha płaczem.

Te ludzkie opowieści przepływają obok mnie. Siedzę daleko za Bev, która zajmuje miejsce w pierwszym rzędzie. Jej lśniąca, kasztanowa głowa pochylona jest niczym w modlitwie, podczas gdy słowa uznania i serdeczności dla jej męża wyrażają kolejni mówcy. Jestem porażona i wstrząśnięta, ale nie mogę zacząć myśleć o tym teraz, wśród tych ludzi, którzy mnie otaczają. Siedzę sztywno, staram się zachować równowagę i czekam na wystąpienie Bev.

Będzie mówić na samym końcu. Nieznajomy mężczyzna wchodzi na scenę, manipuluje przy mikrofonie, ustawia go odpowiednio do jej wzrostu. Gdy wraca na swoje miejsce, ona posyła mu zalotny uśmiech. Potem odwraca się do nas, jej twarz w jednej chwili się zmienia, Bev przybiera poważną minę.

– Serdecznie wam dziękuję za przybycie na dzisiejszą uroczystość – mówi.

– Wiem, że niektórzy z was musieli pokonać długą drogę, i pragnę podkreślić, że wiele to znaczy dla mnie i dla rodziny Jeremy’ego. Wciąż próbujemy pogodzić się ze stratą. – Jej głos cichnie. Przymyka oczy na chwilę, potem bierze głęboki oddech i spogląda w górę. – Nie mogę uwierzyć, że go tu nie ma – mojego męża, mojej bratniej duszy, mojego kochanka i najlepszego przyjaciela. Spędziliśmy razem trzydzieści pięć lat i muszę szczerze powiedzieć, że nasza miłość z każdym dniem stawała się głębsza i silniejsza. Dawaliśmy sobie radość. Życie z Jemem było jak jedna długa i radosna przygoda. – Uśmiecha się. – No i zawsze bardzo się lubiliśmy. – Po sali rozszedł się szmer rozbawienia. – Moja droga przyjaciółka, Petra, która jest tu dzisiaj – Pet, gdzie jesteś? – Dostrzega mnie i wskazuje, goście się odwracają. – Pamięta tamten pierwszy dzień, kiedy wróciłam z poradni z głową w chmurach. Poznałam mężczyznę, za którego mam zamiar wyjść za mąż – powiedziałam, prawda, moja droga?

Potwierdzam skinieniem głowy, a Bev w dalszym ciągu patrzy na mnie z uśmiechem.

– Pamiętasz pierwsze słowa Jema, które powiedział na widok mojej sypialni? – pyta. – *Albo znikną stąd co do jednego te pluszowe miśki, albo ja wychodzę.*

Zebrani wybuchają śmiechem. Bev czeka, aż sala się uciszy.

– Naprawdę, moi drodzy – mówi. – Każdy, kto zetknął się z Jemem, pokochał go, ale najbardziej członkowie prymitywnego plemienia, któremu tak niestrudzenie pomagał poprzez swoją organizację charytatywną. Jej poświęcił życie. Jak się okazało, od chwili jej założenia miało ono potrwać tylko kilka lat. Wspierałam go oczywiście w stu procentach, a kiedy zobaczyłam uśmiech na twarzach Afrykańczyków, wiedziałam, że było warto. – Zniża głos. – Jeremy, jestem z ciebie dumna... wszyscy jesteśmy i byliśmy zaszczytzeni, że cię znaliśmy... – Nagle zaczyna płakać. – Żegnaj, mój drogi, mój kochany...

Głos się jej łamie. Szlocha głośno, spontanicznie.

– Przykro mi, nie mogę... Nie mogę... – Patrzy na nas. Po twarzy strumieniami płyną jej łzy. – Wzniescie, proszę, kieliszki w moim imieniu. Nie mam siły... Niech Bóg ma was w swojej opiece.

Odwraca się i chwiejnym krokiem schodzi ze sceny.

Zrywam się na równe nogi, ale kobieta siedząca obok mnie kładzie mi dłoń na ramieniu.

– Proszę ją zostawić, biedaczkę.

Bev rzeczywiście zniknęła. Chwyliła torebkę i wybiegła wyjściem awaryjnym. Po sali rozchodzi się szmer, słychać liczne głosy i wyrazy współczucia. Goście rozumieją. Ona jest zrozpaczona, w jej stanie emocje okazały się zbyt trudne do zniesienia.

Bev przemawiała jako ostatnia. Malcolm, brat Jeremy’ego, wchodzi na scenę i ogłasza, że napoje i kanapki będą serwowane w sali „Kapryfolium”. Tam

odbędzie się też zbiórka na rzecz Manaku. Zwrócił się do tych, którzy chcą przekazać datki.

Działam szybko. Goście kierują się do drzwi prowadzących do drugiej sali, a ja przepycham się w przeciwnym kierunku. W końcu wydostaję się z tłoku i pędzę do wyjścia awaryjnego. Naciskam metalową sztabę, otwieram drzwi i wybiegam na parking.

Samochodu Bev nie ma. Obok śmietnika pozostało po nim puste miejsce. Jej nowiusieńki żółty beetle zniknął.

Oczywiście jej także nigdzie nie widać. Odjechała. Wiedziałam, że tak będzie.

Bev, wytrawna aktorka, wszystkich wywiodła w pole.

Część czwarta

Pimlico, Londyn

Nowa para wprowadziła się do mieszkania na dole. Są w sobie bardzo zakochani. To ich pierwszy wspólny dom i szczęście tych dwojga przenika przez deski podłogowe na górę, wydostaje się z ich małego pokoju i roznosi wszędzie. Dobiegają mnie ich stłumione śmiechy z pomieszczenia, które obecnie jest kuchnią. Chodzą razem na zakupy, wciąż sobie coś opowiadają, gdy znoszą na dół po schodach ciężkie torby z Lidla.

Jak miło, że obwiesili swój maleńki ogródek lampkami, wygląda jak z bajki! Jest letni wieczór. Widzę ich od siebie z góry – popijają prosecco, jedno i drugie przegląda swój telefon komórkowy. *Och, i zaczyna się od początku.* Tak powiedziałam do Jeremy’ego, zanim się pocałowaliśmy. *A gdybyśmy tak naprawdę zaczęli od początku i zorganizowali sobie inne, nowe życie?* Lokatorzy zajęli moje miejsce, a ja czuję troskę o nich i życzę im więcej szczęścia, niż miałam sama.

Minęło osiemnaście miesięcy od śmierci Jeremy’ego. Długo nie mogłam się zdobyć na rozpakowanie jego kartonów. Wreszcie to zrobiłam i powiesiłam jego ubrania w swojej szafie. Pozostałe rzeczy – kolaż, zdjęcia i drobiazgi – umieściłam na swoich półkach. Nie mogłam ich tak po prostu wyrzucić. Z przodu, przed nimi, postawiłam świecę, którą od czasu do czasu zapalam. Może to dziwne, ale wystarczy wpisać w wyszukiwarce Google „rytuały pośmiertne” i wyświetlą się jeszcze bardziej osobliwe.

Szperam teraz w internecie, szukam książki na temat potraw w sztuce renesansu i ponownie zastanawiam się nad adopcją psa. Moje życie już wróciło do dawnego stanu – takiego jak poprzednio, a jednak zdecydowanie innego. W każdym razie przestałam wybuchać płaczem na środku domu towarowego Johna Lewisa, a obrazy z błyszczącymi bakaliami wywołują we mnie uczucie głodu. Z przyjemnością myślę o podróży do Melbourne, gdzie spędziłabym Boże Narodzenie z Sashą, ale jeszcze nie zdobyłam się na odwagę, żeby jej o tym powiedzieć.

Zastanawiam się nad bezsensownością strachu przed własną córką, kiedy dzwoni telefon.

To Maureen, koleżanka Bev, jeszcze z czasów, kiedy pracowały jako pielęgniarki w przychodni. Widziałam ją przez chwilę na uroczystości w intencji Jeremy’ego. Nie marnuje czasu na kurtuazyjne pogawędki i od razu przechodzi do rzeczy.

– Widziałam ją – oznajmia.

– Jak to?

Nikt nie widział Beverley od tamtego dnia. Po prostu zniknęła. Nie chodzi o jej zaginięcie, nikt nie zgłosił tego przypadku na policję, ponieważ Bev

kontaktowała się z różnymi znajomymi za pośrednictwem poczty elektronicznej. Informowała ich, że podróżuje, *zawsze miałam trochę cygańską duszę*, ale nie przesyłała nikomu cyrkularzy ani zdjęć. Nadmieniała, że odwiedza dawnych przyjaciół na całym świecie i rozważa, co dalej zrobić ze swoim życiem. Wspominała, że może zamieszka we Francji.

Co ona zamierza zrobić ze swoim życiem? Wcześniej czy później musi się wynurzyć, ale podejrzewam, że zmieniła imię i nazwisko, ponieważ wie, że będę jej szukać. Nie muszę dodawać, że moje maile do niej pozostawały bez odpowiedzi. Nikomu nie powiedziałam prawdy; przypuszczam, że znajomi uznaliby, że postradałam zmysły. Przecież nie ma żadnych dowodów, żadnych, absolutnie nic. Nasza Bev morderczynią?

Przyjdzie czas, że ją znaję. A teraz Maureen mi w tym pomogła.

– Postanowiłam umówić się z kimś przez internet – mówi. – Od śmierci Robbiego jestem sama jak palec. Wiem, że kobietom w naszym wieku nie jest łatwo, ale pomyślałam, że spróbuję, nic nie szkodzi sprawdzić, może mi się spodoba. Chodzi mi o to, że gotowanie dla jednej osoby wcale nie jest przyjemne. Skłamałam na temat mego wieku, wydaje mi się, że każdy robi to samo. Chciałam się zorientować, jaką mam konkurencję. Wtedy ją zobaczyłam. Ona też skłamała. Napisała, że ma pięćdziesiąt lat, że jest młodą pięćdziesięciolatką, podała pseudonim Tancerczka. – Maureen się śmieje. – Bardziej nadaje się dla cyrkówki. Poznałam ją bez kłopotu. Zmieniła fryzurę, ale bez wątpienia to była Bev.

Wygląda na to, że Tancerczka szuka mężczyzny w okolicach Kentu. Kandydat musi mieć poczucie humoru, lubić długie spacery za miastem i spędzać wieczory przy kominku i lampce wina. I musi kochać zwierzęta. *Mam metr sześćdziesiąt wzrostu, jestem drobna, szczupła i wrażliwa na dotyk*, dowiaduję się po zalogowaniu na portal randkowy. *Moi przyjaciele twierdzą, że wyglądam młodo jak na swój wiek. Skończył się właśnie mój długoletni związek i szukam kogoś, z kim przeżyję romantyczną przygodę z perspektywą na dłuższy związek.*

Jest też jej zdjęcie. Ma ciemniejsze włosy, krótko obcięte, nosi obecnie fryzurę w chłopięcym stylu. Dobrze w niej wygląda. Ku swemu zaskoczeniu czuję chwilowy przypływ sympatii do niej. Ona też jest samotna! Jedziemy na tym samym wózku.

Ale bardzo szybko mi przechodzi.

Kent, a więc tam mieszka.

Wpisuję dane Lennox, mojego bliskiego znajomego, geja – na przynętę. Nie wie, czemu ma służyć ta zasadzka, ale on zawsze jest skłonny do różnych wybryków. Założyliśmy mu profil. Został Pluszowym Niedźwiadkiem. Mieszka w Ramsgate z trzema psami i sześcioma kotami. Dorzucamy żółwia na dokładkę. Niedawno rozwiedziony. Pluszowy Niedźwiadek lubi przytulanki, dużo

podróżował, ma poczucie humoru – *jest wesoly i chętnie się śmieje.*

Wstawia „oczko” przy jej wpisie i bardzo szybko przychodzi odpowiedź, powiedziałabym nawet, że zbyt żwawo wysłana. *Cześć, podoba mi się twój profil! Napisz coś więcej o swoich pieskach i kotkach. Jakie mają imiona?*

W taki sposób Bev i ja, jako Pluszowy Niedźwiadek, nawiązałyśmy korespondencję. Pisze mi, że prowadzi własną niewielką firmę – salon piękności na kółkach. Jeździ po wsiach i miasteczkach, sprzedaje różne produkty, oferuje sesje aromaterapii i sztuki makijażu. Myśli nawet o wprowadzeniu na rynek własnej linii balsamów do ciała. Wyobrażam ją sobie w jej lśniącym, nowym żółtym beetle’u kupionym za zaskórniaki męża – ciekawe, że jest to drugi samochód, do którego kupna się przyczyniłam.

Pluszowy Niedźwiadek pisze jej, że uwielbia masaże – *nastrajają go pozytywnie i zwykle aż mruczy z rozkoszy.* Tancerczka odpowiada: *wyczuwam, że jesteś bardzo zmysłowy, tak jak ja. Anglicy na ogół są sztywni i spięci; boją się swego ciała, nie uważasz?*

Siedzę przy komputerze. Na podstawie znaków na ekranie wiem, że Tancerczka też jest w internecie, niemal czuję jej oddech. Dziwne to wrażenie wiedzieć, że ona jest po drugiej stronie i czeka na moją odpowiedź. Już przecież ze sobą flirtujemy.

Bev nie traci czasu. W kolejnym wpisie proponuje spotkanie na kawie w Ramsgate. *Będę w tej okolicy w czwartek. Powiedzmy: o jedenastej we Franco’s?*

Gdzie to jest? – piszę.

Och, przepraszam, myślałam, że wszyscy tu znają Franco’s. Na rogu Broad Street i Church Row.

Ona myśli, że jestem stamtąd. *Ależ ze mnie osioł! – odpisuję. Oczywiście, że tam jest Franco’s. Do zobaczenia.*

Jej odpowiedź przychodzi natychmiast, szybko jak błysk flesza: *Nie mogę się doczekać!*

Czy tylko mi się wydaje, czy rzeczywiście ludzie, którzy chcą odnaleźć siebie, przenoszą się na zachód, do Kornwalii albo do Walii? Na przykład całymi koloniami mieszkają tam artyści, w tamtych ustronnych rejonach funkcjonują ośrodki jogi. Natomiast ci, którzy chcą się ukryć, kierują się na wschód. Mają powody do ucieczki, sprawy do zatajenia; w przenośni można powiedzieć, że zostali w tamte okolice zdmuchnięci przez wiatr dominujący i dopiero morze ich zatrzymało, chociaż jego obecność daje im możliwość dalszej ucieczki. Głucha nadmorska miejscina w Kent wydaje się równie dobrym miejscem jak każde inne, w którym z powodzeniem można się zaszyć.

I ponownie pojawić jako zupełnie inna osoba.

Rano próbowałam pomalować sobie paznokcie, ale trzęsły mi się ręce. W pociągu wylewała mi się herbata z filiżanki, gdy chciałam ją podnieść do ust. Nawet pomyślałam, że naprawdę się rozchoruję.

Ale właśnie dojechałam do Ramsgate. Na mapie w Google zlokalizowałam Franco's. Mieścina znajduje się niedaleko morza. Wieje dość silny wiatr i hałasują mewy. Na betonowej ścianie stoją duże, ciężkie ptaszyska na rozstawionych nogach i spoglądają na mnie wrogo. Kiedyś, w młodości, byłam w Ramsgate, ale nadal jestem zdezorientowana po śnie z ostatniej nocy, w którym znalazłam się w zupełnie innym Ramsgate. Towarzyszył mi mężczyzna, którego wprawdzie nie rozpoznałam, ale byłam w nim zakochana do utraty tchu. Szliśmy promenadą i on trzymał mnie za rękę, fale rozlewały się po plaży. Powiedział: „Zabieram cię do Franco's i tam będziemy się kochać”. Dotarliśmy do Franco's i okazało się, że to magazyn. Znajdowało się w nim pełno skrzyń. „Najpierw dam ci prezent, kochanie” – powiedział. Wyłamał pokrywę jednej ze skrzyń. Wewnątrz rzędami leżały sztabki złota. „Oszukałem cię” – oświadczył, a kiedy się odwróciłam, jego już nie było.

W rzeczywistości Franco's to lodziarnia i kawiarnia.

W innych okolicznościach zachwyciłabym się jej artystycznym urokiem. Czekam jeszcze za wiatą na przystanku autobusowym. Jest za pięć jedenasta. Jej na pewno jeszcze tam nie będzie. Gdyby przyszła za wcześnie, wyglądałoby na to, że bardzo jej zależy. Nigdzie nie widzę żółtego beetle'a Bev, choć oczywiście mogła zaparkować na innej ulicy.

Mijają minuty. Nie wejdę tam pierwsza, bo jak mnie zobaczy w środku, to najpewniej stchórzy. W głowie mam pustkę. Może właśnie tak czuje się snajper czekający na swoją ofiarę. Analizuję napis graffiti na ścianie wiaty, ale nie potrafię go odczytać. Jestem snajperem, a Bev moim wrogiem. Nasza długa przygoda dotarła do tego punktu, a pytania, które sobie układałam miesiącami, strach wymazał mi z pamięci.

Zaczyna padać. Obok przechodzi mężczyzna. Mamrocze pod nosem i trzyma nad głową gazetę. Z Franco's wychodzą dwie dziewczynki, spoglądają w górę i szybko znikają za rogiem. Muszę natychmiast skorzystać z toalety; Bev mawiała *wydać drobne*.

Piętnaście po jedenastej dochodzę do wniosku, że ona nie przyjdzie. Wystawiła mnie – wystawiła Pluszowego Niedźwiadka. Wyczuła podstęp. Albo, co wydaje mi się bardziej prawdopodobne, po prostu lubi manipulować mężczyznami. *Każdego mogę sobie owinąć wokół małego palca*. Trzymaj ich krótko i podsycaj zmysły. Napisze do niego później, na usprawiedliwienie wymyśli jakieś kłamstwo i rozdmucha tłące się w nim pragnienia.

Właściwie nie mam pojęcia po co. Ale ona jest morderczynią. Kto wie, co się dzieje w głowach takich ludzi?

Poddaję się o jedenastej dwadzieścia. Znów mi się wymknęła. Napiję się kawy, skorzystam z toalety i wrócę pociągiem do Londynu.

Przechodzę na drugą stronę ulicy, mijam centrum rozrywki i sklep z używanymi rzeczami. Dochodzę do Franco's i otwieram drzwi.

W kawiarni gości jest niewielu. Nie zwracam na nich uwagi, gdy zmierzam do bufetu.

Nagle dostrzegam ją. Siedzi w kącie, za ledwie kilka kroków ode mnie, i przesuwa palcem po ekranie telefonu komórkowego.

Podnosi głowę i na kilka sekund zamiera.

– Och – mruczy. Jeśli jest zaskoczona, to zdecydowanie nie daje tego po sobie poznać. – Więc to ty.

Ramsgate, Kent

Bev ma na sobie jasnoniebieski bliźniak, zaskakująco skromny. Niesforne, delikatne włosy ufarbowała na czarno.

– Napijesz się kawy? – Poklepuje otwartą dłońią krzesło stojące obok niej.

Kręcę głową i siadam.

– Jak to zrobiłaś? – Wracam do rozmowy rozpoczętej przed rokiem, tak jakby nie minęło od niej kilkanaście miesięcy. Znowu przeniosłyśmy się do damskiej toalety. À propos, niedawno pilnie chciałam z niej skorzystać, ale teraz zapomniałam o swojej potrzebie.

– Nie chcesz zdjąć kurtki? – pyta. – Przemokłaś do suchej nitki.

Znowu kręcę głową.

– Powiedz mi, jak to zrobiłaś.

Niechętnie chowa telefon komórkowy, jakby była znudzona moją obecnością, ale ze wszystkich sił starała się zdobyć na uprzejmość. Jej serce z całą pewnością pracuje na wysokich obrotach.

– Zastrzyk z insuliny – mówi. – Jest nie do wykrycia.

Milczę. Czekam, aż jej słowa dotrą do mojej świadomości.

– Przypuszczam, że dobrze wiedziałaś, że ona tak działa.

Kiwa głową.

– Spał. Był pijany. Nawet nie poczuł.

– Uśmierciłaś go jak psa?

Wzdycha.

– Biedne te moje psy. Wciąż czuję się winna.

Wybucham śmiechem.

– Na litość boską, Bev!

Ta kobieta jest psychopatką. Słysząc syczenie ekspresu do kawy. Do kawiarni wszedł kolejny gość i strząsa wodę z parasola.

Próbuję powiązać fakty, ale w głowie mam mętlik.

– Ale Jeremy był już chory – przypominam. – Czy z tym też masz coś wspólnego?

– Fiboxin. Środek zwiotczający mięśnie. Tak się złożyło, że Zonac go produkuje. Jednym z jego skutków ubocznych są objawy grypopodobne.

– Karmiłaś go tym, żeby wyglądało na prawdziwą chorobę?

Bev kiwa głową. Kołyszają się jej kolczyki. Wydaje się zupełnie nieskrępowana.

– Czyli zabiłaś go ze względu na mnie – mówię.

– Już ci przecież powiedziałam – wyrzuca nagle z siebie z rozdrażnieniem.

– Jeżeli ja nie mogłam go mieć, to ty tym bardziej.

– Jak się o nas dowiedziałaś?
– Przez pieniądze. Zapytałam go, dlaczego wpłacił tyle pieniędzy na moje konto bankowe. Płacił się trochę, ale w końcu wyciągnęłam z niego całą prawdę.
– Co ci powiedział?
– Że się w tobie zakochał i że chce ode mnie odejść.
Nie mogę mówić. Jeremy przemyka tuż obok mnie, otacza mnie swoją miłością. Jego słowa zmiękczają mi serce, mimo że usłyszałam je z ust Bev.
Wysysa resztki kawy z filiżanki.
– Rozzłościłam się nie na żarty. Chyba rozumiesz dlaczego. Prawda, kochanie?
– Tak mi przykro – mówię, ale właściwie nie wiem, dlaczego próbuję się przed nią tłumaczyć. Chociaż może i powinnam. Kręci mi się w głowie. Bev robi wrażenie niezwykle spokojnej. Zdołała pomalować sobie paznokcie. No tak, ale przecież ona przygotowywała się na randkę. Zupełnie zapomniałam.
– Ty miałaś wszystko – dodaje. – Mimo to potrzebny był ci jeszcze mój mąż.
– Co to znaczy „wszystko”?
– Nie udawaj głupiej. Dobrze wiesz, o co mi chodzi.
– Nie, nie mam pojęcia.
– Naprawdę mam wymieniać? – Wzdycha. – Proszę bardzo: wygląd, inteligencję, talent, klasę, miłych i kochających rodziców z ładnym, komfortowym domem, dzieci...
– Dobrze wiesz, że nie mam dobrych relacji z dziećmi...
– Ale masz dzieci!
– Ty przecież nie chciałaś ich mieć.
Bev robi zniecierpliwioną minę.
– Naprawdę w to wierzyłaś?
– Wciąż powtarzałaś...
– Nie mogę mieć dzieci! Mam niedrożne jajowody.
Przyglądam się jej przez chwilę.
– Powiedziałaś o tym Jeremy’emu?
Po raz pierwszy Bev wygląda na zakłopotaną. Siedzi bez słowa i bawi się kolczykiem.
– Nie od razu.
– Czyli dopiero po ślubie.
Nie reaguje.
– To znaczy, że go oszukałaś.
– Owszem, skłamałam! I co mi zrobisz? Wsadzisz mnie do więzienia?
– I tak tam trafisz. – Śmieje się.
Teraz ona na mnie patrzy. Deszcz przestał padać i wewnątrz kawiarni w jednej chwili wypełniło się słońcem.

– Jeżeli ja miałabym tam pójść, to ty też.
– Daj spokój, Bev. Nie jedziemy na tym samym wózku.
– Moim zdaniem na tym samym. – Mruży oczy. – Jesteś moją najlepszą przyjaciółką, a mnie okłamałaś.

– Tak jak ty mnie!

Mężczyzna przy stoliku obok odwraca się i spogląda na nas. Przyciszamy głosy.

– Nie rozumiem. – Nachyliłam się do niej. – Dlaczego prosiłaś, żebym przyjechała się tobą zaopiekować, skoro o wszystkim wiedziałaś?

Zastanawia się.

– Dobre pytanie.

– Chodziło o zemstę, dręczenie, jak wrywanie musze skrzydełek?

– Och, tak, nawet lepiej. – Uśmiecha się do mnie. – O wiele lepiej.

Obserwowałam ją uważnie. Czyżby była zupełnie pozbawiona serca?

– Czułam się bardzo nieszczęśliwa, naprawdę. – Czyta w moich myślach. – Można rozpaczać po kimś, nawet jeśli się go... – Rozgląda się dookoła. – No wiesz... – Nagle wygląda na starą i wyczerpaną, przypomina skurczonego elfa. – Tęsknię za nim – wyznaje. – Może ci się to wydawać głupie, ale tęsknię za nim jak diabli.

– Ja też.

Łzy napływają mi do oczu. Twarz Bev też się kurczy, traci wyraz.

Nie możemy zacząć płakać w kawiarni, więc szybko zmieniam temat.

– Co z kłusownictwem? – Miesiącami zastanawiałam się nad tą sprawą. – Od początku do końca wymyśliłaś tę historię, prawda?

Wzrusza ramionami.

– Musiałam coś na poczekaniu wykombinować.

– Delikatnie mówiąc, nie postąpiłaś sprawiedliwie wobec niego.

– Jeremy nigdy nie dałby się wciągnąć w coś takiego – mówi pompatycznie.

Wybucham śmiechem. Nagle stała się taką lojalną żoną! Nie wierzę tej kobiecie za grosz.

Bev jest niewzruszona.

– Ale widzisz, jednak dałaś się nabrać.

– Wydawałaś się bardzo przekonująca. Skąd wiedziałaś o tym miejscu?

– Jeremy mi powiedział. Wyjeżdżał czasem do buszu na camping. Był zapalonym skautem, naprawdę. Czasami zabierał Clarence'a i kilku swoich pracowników. Podczas jednego z takich wypadów odkrył ładowisko.

– Ja też je widziałam. Pojechałam tam, kiedy byłaś w Cape Town.

Przyjmuje tę informację obojętnie. Te wydarzenia należą do przeszłości, teraz nie mają znaczenia. Kręcę głową ze zdumieniem.

– Nie wierzę, że pozwoliłaś mi myśleć o nim takie straszne rzeczy.

– I co z tego? – Wzrusza ramionami. – Postaw się w moim położeniu.

– No tak, jasne, mam sobie wyobrazić, że zamordowałam męża.

– Ciii! – Bev rozgląda się niespokojnie po kawiarni.

Wygląda na to, że nikt niczego nie zauważył. Jesteśmy tylko dwiema starszymi paniami, które spotkały się na porannej kawie i którym zebrano się na wspominki z bardzo dawnych czasów.

Jakże oni mało wiedzą. O dziwo, czuję, że nasze dawne więzi się zacieśniły. Choćby z tego powodu, że ja zrujnowałam życie Bev, a ona zniszczyła moje. Zbliżył nas przerażający spisek.

– Wciąż się zastanawiam, jakim cudem tamten człowiek znał prawdę – mówię. – Ten z targowiska.

– Ja też.

– Czy Clarence mu powiedział? On nie wydawał się tą wiadomością zaskoczony.

– Szkoda, że w ogóle powiedziałaś Clarence’owi.

– Zapytał mnie tylko, czy mam zamiar zgłosić tę sprawę policji. Przypuszczałam więc, że on już wcześniej wiedział, ale być może uważał, że powinien zachować się lojalnie wobec ciebie.

– Posłuchaj, Pet, ci ludzie wiedzą o nas wszystko. Oni piorą nasze majtki, słyszą nasze kłótnie, znają nasze tajemnice lepiej niż my sami. Nigdy nie ufałam Clarence’owi. On zawsze kręcił się po targu, zbierał i rozpowiadał plotki.

– To nie jest w porządku...

– Nic nie wiesz, kochanie. Nie mieszkałaś tam. Oni się zachowują jak na safari, nas traktują jak zwierzęta.

Wbrew własnej woli jestem pod wrażeniem tej analogii. Bev w dalszym ciągu potrafi mnie zaskoczyć.

– Albo może ktoś grzebał w śmieciach – mówi. – Szukają różnych rzeczy – czegokolwiek – im się przyda wszystko, co można sprzedać. Ktoś może znalazł strzykawkę albo coś innego, nie wiem. Może rozeszła się wiadomość i ktoś napisał SMS-a, a tamten człowiek, ten wścibski facet w budce na targu, go przeczytał. Kto to wie?

Jakże przykro to brzmi – życie Jeremy’ego sprowadzone zostało do worka zgniecionych kartonów i pustych butelek po szamponie, wygrzebanych ze śmieci przez głodujących Afrykańczyków. Nagle czuję się pokonana.

Bev bawi się kolczykiem, wielobarwnym pomponikiem, który ociera się o jej sweterek.

– Problem w tym – przerywa milczenie – że ty nie masz pojęcia, co znaczy być biednym.

– Wiem, biedni ludzie to ci, którzy u nas grzebią w lumpeksach...

– Wcale nie mówię o Afrykańczykach, głuptasie! Mam na myśli siebie. –

Wzdycha głęboko. – Nie chodzi mi o cierpienie z głodu, którego oni doświadczają. Oczywiście, że nie o to. Tylko o całkowitą bezradność. O stanie w kolejce do autobusu, czekanie na zasiłek, a potem, kiedy w końcu przychodzi twoja kolej, okazuje się, że zatrząskują ci okienko przed nosem, ponieważ minęły godziny urzędowania. O słuchanie kaszlu ojca, który wypluwa sobie płuca, a potem matka idzie w jego ślady. O mieszkanie w przeciekającej norze bez żadnej cholernej prywatności, znoszenie upokorzeń z powodu marnego pochodzenia. – Wstrzymuje oddech. O zmagania na egzaminie, a potem w nowej szkole wykluczenie, bo nie pasujesz do reszty, traktują cię jak powietrze i nikt z tobą nie rozmawia, nie jeździsz na wycieczki i nie masz cholernego kucyka...

– Nigdy nie miałam kucyka...

– Ty nic nie rozumiesz, prawda? Jesteś z innego gatunku. A ja byłam taka szczęśliwa, że zostałam twoją przyjaciółką.

– Jakoś na to nie wygląda. Raczej odnoszę wrażenie, że masz do mnie pretensje.

– Ach tak? A ty nie traktowałam mnie protekcyjnie? Odkąd pamiętam, patrzyłaś na mnie z wyższością. Wyobrażasz sobie w ogóle, jak ktoś się wtedy czuje?

Bev nie spuszcza ze mnie wzroku. Ma zbyt jasną cerę, która ostro kontrastuje z czarnymi włosami tak ostentacyjnie ufarbowanymi; nadają jej dziwny, teatralny wygląd starzejącego się klauna. W innych okolicznościach mogłabym jej o tym powiedzieć. Na temat stylu i aparycji zawsze rozmawialiśmy ze sobą otwarcie.

– Nigdy nie odnosiłam się do ciebie lekceważąco – tłumaczę się niepewnie.

– Nieprawda. Oczywiście, że właśnie tak mnie traktowałaś.

Nagle odsuwa się do tyłu na krześle i wstaje. Przez chwilę myślę, że zamierza wymknąć się z kawiarni bez płacenia rachunku, ale ona łapie mnie za rękę.

– Chodź – ponagla. – Przejechałaś taki kawał drogi, to przynajmniej popatrzmy na morze.

Siadamy na plaży. Nastął akurat czas odpływu, więc morze odsunęło się daleko. Jest gładkie jak lustro. Wygląda tak łagodnie! Rodziny zjechały się na piknik, jedzą przywiezione ze sobą frykasy. Dzieci przekopują piasek w ogromnym skupieniu, które wkrótce im minie, ponieważ za kilka lat uświadomią sobie, że takie kopanie nie ma najmniejszego sensu. Każdy robi to, czym wszyscy zazwyczaj zajmują się nad morzem. Aż trudno uwierzyć, że każda z tych osób ma swoje traumatyczne przeżycia. Teraz poddają się kojącemu działaniu słońca i przenoszą w stan relaksującego zapomnienia.

Och, Jeremy, tak bardzo mi przykro. Jak mogłam w ogóle choć przez chwilę

dawać wiarę tym wszystkim oskarżeniom przeciwko tobie? Jak mogłam?

Bev wyciąga nogi, ja też. Zrzuciłyśmy buty. Jej małe sandały leżą na piasku obok moich wielkich espadryli. Tyle się zmieniło, a stopy pozostały takie same. Myślę o naszych wspólnych latach spędzonych w mieszkaniu i wielu poprzednich, znanych tylko nam obu. Nic nie może ich wymazać. Stanowimy najbardziej nieprawdopodobną parę, ale takimi prawami rządzi się przyjaźń.

Bev ma zamknięte oczy, wygrzewa się na słońcu.

– I co zamierzasz zrobić? – pyta półgłosem. – Doniesiesz na mnie?

– A ty jakie masz zamiary? Zabijesz mnie?

Zapada milczenie. Nastrój się zmienił. Już wiem, że żadna z nas nic nie zrobi. Wiem też, że już nigdy więcej się nie spotkamy.

Bev podwija i podciąga rękaw.

– Siostry krwi – mówi. – Pamiętasz nasz pakt ze szkoły?

Ujmuję jej rękę. Nie ma na niej ani śladu blizny, w każdym razie ja nic nie widzę, bo oślepia mnie słońce. Nie pozostał też znak na mojej ręce, której każdy centymetr znam doskonale. Podsuwam jej swoją do obejrzenia.

Ona delikatnie mnie szczypie.

– Masz teraz taką cienką skórę – mówi łagodnie. – Moja jest taka sama.

To skóra starzejącej się kobiety, pergaminowa i zwiotczała. Pojawiły się na niej plamy, na mojej również... są pęknięcia i krwiaki, które przypuszczalnie już nie znikną. W jednym miejscu na ręce mam plaster. Jak to się mogło stać, że tak się zestarzałyśmy? Najwyraźniej samoistnie, pod naszą nieuwagę.

Bev przesuwa palcem w miejscu, gdzie jest przyklejony plaster.

– On powiedział, że byłeś miłością jego życia, jeśli jest to dla ciebie jakieś pocieszenie, kochanie.

Po tych słowach wstała, podniosła z piasku sandały i odeszła.

Epilog

Pekin, Chiny

Li Jing pisze mail do Lorrie.

Szanowna Pani Russell,

życzę wszelkiej pomyślności Pani i Jej nowemu domowi. Jest piękny, a Pani zasługuje na szczęście. Jestem pewna, że los je przyniesie Pani i jej rodzinie. W Chinach odprawiamy specjalny rytuał feng shui z użyciem skórki pomarańczowej, żeby stworzyć aurę przyjaznego i bezpiecznego otoczenia. Słowa „pomarańcza” i „szczęście” są podobne w naszych językach.

Trzeba obrać pomarańczę, skórkę namoczyć w wodzie, a potem tę wodę rozpylić wokół drzwi i okien, żeby pozbyć się negatywnych zatorów i uwolnić drogę dla radości. Jednocześnie trzeba wypowiadać mantrę, która ma potężną moc: „Om mani padme hum”. Proszę pamiętać, że Pani mąż musi być wtedy poza domem!

Moja najdroższa matko-wspólniczko, załączam ostatnie zdjęcie naszego cudownego maleństwa. Kochająca Li Jing

